



SIŁA

NATURY

Kontynuacja bestsellerowej *SUSZY*

JANE

HARPER



SIŁA NATURY

przełożyła Magdalena Nowak

JANE HARPER

Wydawnictwo Czarna Owca
Warszawa 2019

Dla Pete'a i Charlotte, z miłością

Spis treści

[Strona tytułowa](#)

[Prolog](#)

[Rozdział 1](#) [Rozdział 2](#) [Rozdział 3](#) [Rozdział 4](#) [Rozdział 5](#) [Rozdział 6](#)

[Rozdział 7](#) [Rozdział 8](#) [Rozdział 9](#) [Rozdział 10](#) [Rozdział 11](#)

[Rozdział 12](#) [Rozdział 13](#) [Rozdział 14](#) [Rozdział 15](#) [Rozdział 16](#)

[Rozdział 17](#) [Rozdział 18](#) [Rozdział 19](#) [Rozdział 20](#) [Rozdział 21](#)

[Rozdział 22](#) [Rozdział 23](#) [Rozdział 24](#) [Rozdział 25](#) [Rozdział 26](#)

[Rozdział 27](#) [Rozdział 28](#) [Rozdział 29](#) [Rozdział 30](#) [Rozdział 31](#)

[Rozdział 32](#) [Rozdział 33](#) [Rozdział 34](#) [Rozdział 35](#)

[Przypisy końcowe](#)

Prolog

Później pozostałe cztery kobiety były zgodne jedynie w dwóch kwestiach. Po pierwsze: żadna z nich nie widziała, jak Alice Russell znikła w buszu. Po drugie: zaginiona miała język tak cięty, że każdej z nich się dostało.

Kobiety spóźniały się na zbiórkę.

Mężczyźni, którzy dotarli na miejsce w niezłym tempie – należyte trzydzieści pięć minut przed czasem – poklepywali jeden drugiego po plecach, wychodząc spośród drzew. Dobra robota. Kierownik wyprawy w służbowej kurtce z czerwonego polaru czekał na nich pełen uznania. Mężczyźni wrzucili swoje drogie śpiwory na tył minibusa i odetchnąwszy z ulgą, wsiedli do środka. Czekali tam na nich mieszanka studencka i termosy z kawą. Jednak od jedzenia woleli swoje telefony, bez których musieli się obywać przez kilka poprzednich dni. Nareszcie razem.

Na zewnątrz było zimno. Nic się pod tym względem nie zmieniło. Błede zimowe słońce wyszło zza chmur zaledwie raz w ciągu ostatnich czterech dni. W samochodzie było przynajmniej sucho. Rozsiedli się. Jeden z nich zażartował, że kobiety oczywiście wykazują się swoją osławioną umiejętnością orientacji w terenie, i wszyscy się roześmiali. Pili kawę w oczekiwaniu na przybycie koleżanek z pracy. Minęły trzy dni, odkąd widzieli je po raz ostatni, mogli poczekać jeszcze trochę.

Po godzinie samozadowolenie ustąpiło miejsca irytacji. Pięciu mężczyzn, jeden po drugim, podniosło się ze swoich miejsc i nerwowym krokiem chodziło w tę i z powrotem po ścieżce. Wyciągali swoje telefony do nieba, jakby długość wyprostowanego ramienia mogła pomóc w odebraniu nieuchwytnego sygnału. Wystukiwali zniecierpliwione wiadomości, które miały zostać wysłane do ich partnerek, dopiero kiedy znajdą się już

w mieście. *Mamy opóźnienie. Coś nas zatrzymało.* Mieli za sobą kilka naprawdę długich dni i nie mogli doczekać się ciepłego prysznica i zimnych piw. A następnego dnia do pracy.

Kierownik wyprawy wpatrywał się w drzewa. W końcu sięgnął po radio.

Przybyły posiłki. Ton głosu strażników parku był lekki, kiedy wkładali kamizelki odblaskowe. *Znajdziemy je w okamgnieniu.* Dobrze znali miejsca, w których gubią się ludzie, a poza tym do zmierzchu było jeszcze dużo czasu. Przynajmniej kilka godzin. To wystarczy. Znajdą je szybko. Ruszyli w busz pewnym krokiem zawodowców. Mężczyźni z powrotem zajęli miejsca w samochodzie.

Po mieszance studenckiej nie został nawet ślad, a kawa w termosach ostygła i zgorzkniała, kiedy ekipa poszukiwawcza ponownie wyłoniła się zza drzew. Sylwetki eukaliptusów odcinały się na tle ciemniejącego nieba. Na twarzach strażników malował się smutek. Beztroski ton znikł wraz z nastaniem zmierzchu.

Mężczyźni w samochodzie siedzieli w milczeniu. Gdyby mieli do czynienia z kryzysem w sali konferencyjnej, wiedzieliby, co robić. Spadek kursu dolara, niepożądana klauzula w umowie – żaden powód do zmartwień. W buszu nie mieli jednak żadnych odpowiedzi. Trzymali swoje bezużyteczne telefony na kolanach niczym zepsute zabawki.

Coraz więcej słów padało przez radio. Światła samochodów skierowano między gęstwinę drzew, nocne powietrze było tak zimne, że para szła z ust. Ekipa poszukiwawcza zebrała się na naradę. Mężczyźni w samochodzie nie słyszeli szczegółów dyskusji, ale nie było im to potrzebne. Sam jej ton mówił wszystko. Nocą niewiele da się zdziałać.

W końcu grupa poszukiwawcza się rozdzieliła. Mężczyzna w kamizelce odblaskowej usiadł za kierownicą minibusa, żeby zawieźć do schroniska tych, którzy dotarli. Mężczyźni będą musieli zostać tam na noc – w tej sytuacji wszyscy byli potrzebni na miejscu, nikt nie mógł poświęcić trzech godzin, żeby zawieźć ich do Melbourne. Zanim znaczenie tych słów zdążyło

do nich dotrzeć, usłyszeli pierwszy krzyk.

Był ptasi, przesywający i nie przypominał niczego, co można usłyszeć nocą w buszu, więc wszyscy natychmiast odwrócili się w kierunku, z którego dobiegł, i ich oczom ukazały się cztery postaci wspinające się na wzgórze. Wyglądało na to, że dwie z nich pomagają iść trzeciej, a czwarta kuśtyka za nimi. Z daleka krew na jej czole wyglądała, jakby była czarna.

– Pomocy! – wołała jedna z nich. Pozostałe przyłączyły się do niej. – Jesteśmy tutaj. Potrzebujemy pomocy, potrzebujemy lekarza. Błagam, pomóżcie. Dzięki Bogu, dzięki Bogu, że was znalazłyśmy.

Poszukiwacze ruszyli biegiem, mężczyźni z minibusa, porzuciwszy swoje telefony, deptali im po piętach.

– Zgubiłyśmy się – mówił jakiś głos.

– Zgubiłyśmy ją – dodał inny.

Trudno było rozróżnić je w ciemności. Kobiety wołały, płakały, ich głosy mieszały się.

– Czy jest z wami Alice? Udało się jej? Jest bezpieczna?

W ogólnym zamieszaniu wśród panującej nocy nie sposób było odgadnąć, która z czterech kobiet pytała o Alice.

Później, kiedy było już tylko gorzej, każda z nich upierała się, że była to ona.

Rozdział 1

– Tylko nie wpadnij w panikę.

Agent federalny Aaron Falk, który bynajmniej nie miał takiego zamiaru, zamknął czytaną właśnie książkę. Przełożył komórkę do sprawnej dłoni i usiadł wyprostowany na łóżku.

– Dobrze.

– Alice Russell zaginęła. – Jego rozmówczyni wymówiła imię i nazwisko ściszym głosem. – Rzekomo.

– Jak to zaginęła? – Falk odłożył książkę na bok.

– Naprawdę. Tym razem nie chodzi tylko o to, że nie odbiera od nas telefonów.

Falk usłyszał, jak Carmen Cooper wzdycha po drugiej stronie. Odkąd pracowali razem, czyli od trzech miesięcy, nigdy nie słyszał jej tak zestresowanej, co samo w sobie było niezwykle znaczące.

– Zgubiła się gdzieś w parku Giralang Ranges – kontynuowała Carmen.

– W Giralang?

– No tak, to tam na wschodzie, kojarzysz?

– Wiem, gdzie to jest – odparł. – Chodziło mi raczej o reputację tego miejsca.

– Sprawa Martina Kovaca? Na szczęście w niczym jej to nie przypomina.

– Na szczęście. Poza tym to było dwadzieścia lat temu.

– Raczej dwadzieścia pięć.

Pewnych rzeczy jednak nawet czas nie zaciera. Falk był zaledwie nastolatkiem, kiedy Giralang Ranges po raz pierwszy pojawiło się w serwisach informacyjnych. W trakcie kolejnych dwóch lat powracało jeszcze trzykrotnie. Za każdym razem na ekranach telewizorów w całym kraju wyświetlano ujęcia grup poszukiwawczych przeczesujących busz

w asyście psów tropiących. Znaleźli większość ciał – w końcu.

– Co ona tam w ogóle robiła? – zapytał.

– Wyjazd integracyjny z pracy.

– Żartujesz?

– Niestety nie. Włącz telewizję, wszystko jest w wiadomościach. Trwa akcja poszukiwawcza.

– Chwileczkę. – Falk wstał z łóżka w samych bokserkach, włożył podkoszulek. Nocne powietrze było chłodne. Poszedł do salonu i włączył kanał emitujący wiadomości przez całą dobę. Prezenter informował o obradach parlamentu.

– Nic się nie stało. To tylko praca. Idź spać. – Falk usłyszał, jak Carmen szepcze mu do ucha, ale uświadomił sobie, że te słowa nie były skierowane do niego. Odruchowo wyobrażał sobie, że siedzi w ich wspólnym pokoju w pracy, przy biurku, które zostało tam wciśnięte dwanaście tygodni wcześniej. Od tamtej pory współpracowali bardzo blisko – i to dosłownie. Kiedy Carmen wyciągała nogi, zahaczała o jego krzesło. Falk spojrzął na zegar. Było po dziesiątej w sobotnią noc – to oczywiste, że Carmen jest w domu.

– Widzisz? – zapytała szeptem przez wzgląd na osobę, z którą przebywała, zapewne narzeczonego.

– Jeszcze nie. – Falk nie miał potrzeby mówić cicho. – Chwileczkę. – Na dole ekranu pojawił się pasek informacyjny. – Mam.

O ŚWICIE WZNOWIENIE AKCJI POSZUKIWAWCZEJ
W GIRALANG RANGES. ZAGINEŁA TURYSTKA Z MELBOURNE,
ALICE RUSSELL (45 l.).

– Turystka z Melbourne? – zdziwił się Falk.

– Wiem.

– Od kiedy Alice... – urwał. W wyobraźni odtworzył obraz jej butów: wysokie obcasy, wąskie noski.

– Wiem. W wiadomościach podali, że był to jeden z tych wyjazdów

integracyjnych. Była w grupie osób, które wysłano na kilka dni i...

– Na kilka dni? To kiedy ona właściwie zaginęła?

– Nie jestem pewna. Chyba zeszłej nocy.

– Dzwoniła do mnie – powiedział Falk.

Po drugiej stronie zapadła cisza. Po chwili Carmen zapytała:

– Kto? Alice?

– Tak.

– Kiedy?

– Wczoraj w nocy. – Falk odsunął komórkę od ucha i zaczął przeglądać listę nieodebranych połączeń. – Jesteś tam? Dokładnie rzecz biorąc, to było dzisiaj nad ranem, około czwartej trzydzieści. Nie usłyszałem. Dopiero kiedy się obudziłem, zobaczyłem, że mam wiadomość na poczcie głosowej.

Znów chwila milczenia.

– I co powiedziała?

– Nic.

– Zupełnie nic?

– Nic a nic. Myślałem, że telefon włączył się jej w kieszeni.

W komunikacie informacyjnym zamieszczono aktualne zdjęcie Alice Russell. Wyglądało na zrobione podczas jakiegoś przyjęcia. Blond włosy upięte w wymyślny sposób, srebrna sukienka, która nie pozostawiała złudzeń, ile czasu Alice spędzała na siłowni. Wyglądała na dobre pięć lat mniej niż w rzeczywistości, może nawet na jeszcze mniej. W dodatku obdarzyła fotografa uśmiechem, jakim nigdy nie zaszczyciła Carmen i Falka.

– Próbowałem oddzwonić, jak tylko się obudziłem. Około szóstej trzydzieści – dodał Falk, nadal patrząc na ekran. – Ale bez skutku.

Na ekranie telewizora pojawiło się ujęcie Giralang Ranges z lotu ptaka: wzgórze i doliny aż po horyzont, falujący ocean zieleni w słabym świetle zimowego słońca.

O ŚWICIE WZNOWIENIE AKCJI POSZUKIWAWCZEJ...

Carmen milczała, Falk słyszał jej oddech. Na ekranie park wydawał się

bardzo duży. A nawet ogromny. Gęsto rosnące drzewa uniemożliwiały oku kamery zarejestrowanie czegokolwiek więcej.

– Odsłucham pocztę głosową jeszcze raz – powiedział Falk. – I oddzwonię do ciebie.

– Dobrze.

Falk usiadł na kanapie w półmroku rozświetlanym jedynie przez migającą niebieską poświatę telewizora. Nie zaciągnął zasłon i za swoim niewielkim balkonem widział łunę Melbourne. Czerwone światło sygnalizacyjne na budynku Eureka Tower rytmicznie zapalało się i gasło.

O ŚWICIE WZNOWIENIE AKCJI POSZUKIWAWCZEJ...

Wyłączył telewizor i wybrał numer poczty głosowej. Połączenie odebrane o 4.26 z telefonu Alice Russell.

Z początku Falk nic nie słyszał, więc przycisnął aparat mocniej do ucha. Niewyraźne szумы przez pięć sekund. Dziesięć. Tym razem słuchał nagrania do samego końca. Fale białego szumu, dobywające się jakby spod wody. Zdławiony dźwięk, który mógł być jakimś słowem. Wtem zupełnie znikąd pojawił się głos. Falk gwałtownie odsunął telefon od ucha i spojrzał na niego. Głos był tak cichy, że miał wątpliwości, czy się nie przesłyszał.

Powoli dotknął ekranu. Mieszkanie było pogrążone w ciszy, a Falk zamknął oczy i odtworzył nagranie ponownie. Nic, nic i nagle w zupełnej ciemności odległy głos wypowiedział dwa słowa prosto do jego ucha:

– ...skrzywdzić ją...

Rozdział 2

Jeszcze przed świtem Carmen podjechała pod mieszkanie Falka. On już czekał z plecakiem na chodniku. Jego buty były sztywne, bo nieużywane.

– Posłuchajmy tego nagrania – powiedziała, kiedy wszedł. Jej fotel kierowcy był odsunięty do tyłu. Carmen była jedną z niewielu kobiet, które Falk spotkał w swoim życiu, na tyle wysokich, żeby patrzeć mu w oczy, kiedy stali twarzą w twarz.

Falk włączył głośnik w swoim telefonie i nacisnął przycisk. W samochodzie rozległy się trzaski. Pięć, dziesięć sekund ciszy, a później dwa słowa – ciche, ledwo słyszalne. Kilka zdławionych dźwięków i koniec połączenia.

Carmen zmarszczyła brwi.

– Jeszcze raz.

Zamknęła oczy, a Falk przyglądał się jej twarzy, kiedy słuchała. Carmen miała trzydzieści osiem lat, czyli była o pół roku od niego starsza – o tyle dłuższy miała też staż pracy w policji federalnej, ale współpracowali ze sobą po raz pierwszy. Była nowa w jednostce wywiadu finansowego w Melbourne, ponieważ dopiero niedawno przeprowadziła się z Sydney. Falk nie był w stanie orzec, czy żałuje tej decyzji. Carmen otworzyła oczy; w pomarańczowym świetle latarni ulicznej jej skóra i włosy wydawały się o ton ciemniejsze niż zazwyczaj.

– Skrzywdzić ją – powiedziała.

– Ja też tak słyszę.

– Czy udało ci się usłyszeć coś jeszcze pod sam koniec?

Falk pogłośnił dźwięk maksymalnie i ponownie włączył nagranie. Wstrzymał oddech, wyężając słuch.

– Teraz – przerwała Carmen. – Czy ktoś powiedział właśnie „Alice”?

Odsłuchali całość ponownie i Falkowi wydawało się, że wychwycił wśród szumu dźwięk głosu.

– Sam nie wiem – zawahał się. – Może to tylko zakłócenia.

Carmen włączyła silnik. O tej porze zabrzmiał wyjątkowo głośno. Dopiero kiedy wyjechała na ulicę, odezwała się ponownie:

– Na ile jesteś pewien, że to głos Alice?

Falk spróbował przypomnieć sobie tembr jej głosu. Był raczej charakterystyczny, często szorstki, zawsze zdecydowany.

– Nic nie wskazuje na to, żeby to nie była ona. Ale ledwo cokolwiek słyhać.

– To prawda. Nie jestem nawet w stanie stwierdzić, że mówi to kobieta.

– Zgoda.

Melbourne w bocznym lusterku oddalało się coraz bardziej. Przed nimi od wschodu niebo z czarnego stawało się granatowe.

– Zdaję sobie sprawę, że Alice jest wrzodem na dupie – powiedział. – Ale naprawdę mam nadzieję, że nie wpędziliśmy jej w kłopoty.

– Ja też. – Pierścionek zaręczynowy Carmen błysnął, kiedy skrzyła kierownicę, aby wjechać na autostradę. – Co miał do powiedzenia ten policjant stanowy? Jak on się nazywa?

– King.

Po tym jak zeszłej nocy Falk skończył odsłuchiwać wiadomość od Alice, niezwłocznie zadzwonił na posterunek policji stanowej. Minęło dobre pół godziny, zanim oddzwonił do niego starszy sierżant prowadzący poszukiwania.

– Przepraszam – rzekł King zmęczonym głosem. – Musiałem dotrzeć do telefonu stacjonarnego. Pogoda sprawia, że zasięg jest gorszy niż zwykle. Proszę opowiedzieć mi wszystko o tej wiadomości.

Wysłuchał cierpliwie tego, co Falk miał do powiedzenia.

– Dobrze – odparł. – Widzisz, sprawdziliśmy wykaz połączeń z jej telefonu.

- Jasne.
 - Jakiej natury jest wasza znajomość?
 - Zawodowa. A nawet poufna. Razem z partnerem prowadzimy pewną sprawę, w której Alice nam pomaga.
 - Jak nazywa się twój partner?
 - Dokładnie rzecz biorąc, to partnerka. Carmen Cooper.
- Falk usłyszał szelest papierów, policjant wszystko sobie zapisywał.
- Czy któreś z was spodziewało się telefonu od zaginionej?
- Falk zawahał się.
- Raczej nie.
 - Umiesz dobrze poruszać się w buszu?
- Falk spojrzał na swoją lewą rękę. Skóra nadal była różowa i dziwnie gładka w miejscach, gdzie poparzenia nie zagoiły się jeszcze zupełnie.
- Nie.
 - A twoja partnerka?
 - Nie sądzę. – Do Falka dotarło, że tak naprawdę nie miał o tym pojęcia.
- Nastąpiła chwila ciszy.
- Według operatora komórkowego dzisiaj nad ranem Alice Russell usiłowała dodzwonić się na dwa numery: 000 [\[1\]](#) i twój – powiedział King. – Wiesz dlaczego?
- Tym razem Falk nie odpowiedział od razu. W słuchawce słyszał oddech Kinga.
- Skrzywdzić ją.*
- Wydaje mi się, że najlepiej będzie, jak przyjadę na miejsce – odparł w końcu. – Porozmawiamy twarzą w twarz.
 - Myślę, że to dobry pomysł, kolego. Zabierz ze sobą swój telefon.

Dzień 4: Niedziela rano

Kobieta widziała odbicie swojego strachu w oczach trzech towarzyszek. Jej serce waliło jak młotem, słyszała przyspieszone oddechy pozostałych. Skrawek nieba wyzierający spomiędzy koron drzew nad ich głowami był szary. Wiatr potrząsnął gałęziami, strącając na nie krople wody. Żadna się nawet nie wzdrygnęła. Za ich plecami zatrzeszczały przegniłe bale drewnianej chatki.

– Musimy się stąd wydostać. Natychmiast – powiedziała.

Obie osoby po jej lewej stronie skwapliwie pokiwały głowami – strach malujący się w ich oczach sprawił, że choć raz były zgodne. Towarzyszka po prawej po krótkiej chwili wahania również na to przystała.

– A co z...

– Z czym?

– Co z Alice?

Zapanowała potworna cisza. Słyszać było jedynie skrzypienie i szum drzew, w których cieniu stała cała czwórka.

– Alice sama jest sobie winna.

Rozdział 3

Kiedy Falk i Carmen zatrzymali się kilka godzin później, było już zupełnie jasno, a miasto zostało daleko za nimi. Stanęli na poboczu, żeby rozprostować nogi, chmury rzucały ruchome cienie na ogrodzoną ziemię. W oddali majaczyły nieliczne domy i zabudowania. Minęła ich ciężarówka wioząca sprzęty rol nicze – jedyny samochód, jaki widzieli przez ostatnie trzydzieści kilometrów drogi. Hałas przestraszył stado kakadu, które ze skrzekiem i furkotem poderwały się z pobliskiego drzewa.

– Jedźmy – powiedział Falk, biorąc od Carmen kluczyki, i wsiadł za kierownicę jej wysłużonego brązowego sedana. Zapalił silnik. Wszystko natychmiast wydało mu się znajome. – Miałem kiedyś taki samochód.

– Ale miałeś na tyle oleju w głowie, żeby się go pozbyć? – Carmen usadowiła się na miejscu dla pasażera.

– Nie z własnej woli. Został zniszczony, kiedy na początku roku odwiedziłem swoje rodzinne miasteczko. Prezent powitalny od miejscowych ziomków.

Spojrzała na niego, nieznacznie się uśmiechając.

– Ach tak, słyszałam o tym. Mówisz, że został zniszczony... Pewnie można to tak ująć.

Falk przesunął dłoń po kierownicy z uczuciem żalu – jego nowy samochód był w porządku, ale to nie było to samo.

– Tak w ogóle to jest samochód Jamiego – dodała Carmen. – Lepiej się nadaje na dłuższe dystanse niż mój.

– Jasne. A jak się ma Jamie?

– Dobrze. Jak zawsze.

Falk nie wiedział, co to znaczy w przypadku Jamiego. Spotkał narzeczonego Carmen tylko raz. Muskularny gość w dzinsach

i podkoszulku, idealnie nadający się do swojej pracy w dziale marketingu firmy produkującej napoje dla sportowców. Uścisnął dłoń Falka i dał mu butelkę z czymś niebieskim i musującym, dzięki czemu miał „uzyskać lepsze efekty”. Uśmiechał się szczerze, ale na jego twarzy pojawiło się coś jeszcze, kiedy przyglądał się wysokiemu i chudemu ciału Falka, jego włosom tak jasnym, że niemal białym, jego poparzonej ręce. Gdyby Falk miał zgadywać, powiedziałby, że była to ulga.

Leżący na desce rozdzielczej telefon Falka wydał cichy dźwięk. Mężczyzna przeniósł spojrzenie z pustej drogi na ekran, następnie podał aparat Carmen.

– Sierżant przysłał nam e-mail.

Carmen otworzyła wiadomość.

– Dobra, pisze, że w wyprawie uczestniczyły dwie grupy: męska i żeńska – każda miała osobną trasę do pokonania. Przysłał nam też imiona i nazwiska współtowarzyszek Alice Russell.

– Obie grupy to pracownicy BaileyTennants?

– Na to wygląda. – Carmen sięgnęła po swój telefon i wyszukała w internecie stronę firmy. Kątem oka Falk dostrzegł czarno-srebrną nazwę firmy rachunkowej. – Okej. Breanna McKenzie i Bethany McKenzie – przeczytała z telefonu. – Breanna to asystentka Alice, prawda? – Carmen nacisnęła na ekran. – Tak, zgadza się. Dobry Boże, wygląda jak żywa reklama suplementów diety.

Podsunęła Falkowi pod nos telefon, na którym widniało firmowe zdjęcie dwudziestoparoletniej uśmiechniętej dziewczyny. Było jasne, co Carmen miała na myśli. Nawet w niekorzystnym biurowym oświetleniu Breanna McKenzie wyglądała jak ktoś, kto codziennie rano biega, z oddaniem ćwiczy jogę i co niedziela z pietyzmem nakłada maskę odżywczą na swoje lśniące czarne włosy.

Carmen ponownie wpisała coś w telefonie.

– Nie ma żadnych wyników dotyczących Bethany. Myślisz, że to siostry?

– Możliwe.

Pewnie do tego bliźniaczki, pomyślał Falk. Breanna i Bethany. Bree i Beth. Bez wątpienia rodzeństwo.

– Dowiemy się, o co z nią chodzi – powiedziała Carmen. – Następna jest Lauren Shaw.

– Już się z nią zetknęliśmy, prawda? – przypomniał sobie Falk. – Pracownica średniego szczebla, tak?

– Tak, jest kierowniczką strategiczną w dziale planowania. Cokolwiek to znaczy.

Czymkolwiek by się zajmowała, szczupła twarz Lauren niczego nie zdradzała. Trudno było nawet oszacować jej wiek, ale Falk zakładał, że może mieć czterdzieści pięć–pięćdziesiąt lat. Miała jasnobrązowe włosy, a jej szare oczy patrzyły wprost w obiektyw, zachowując wyraz tak neutralny jak na zdjęciu paszportowym.

Carmen wróciła do listy nazwisk.

– Ha!

– Co?

– Wygląda na to, że była z nimi Jill Bailey.

– Naprawdę? – Falk nie spuszczał oczu z drogi, ale ziarno niepokoju, które zeszłej nocy wykiełkowało w jego piersi, rosło i pulsowało.

Carmen nie wyszukała zdjęcia Jill. Oboje znali aż za dobrze ciężkie rysy pani prezes. W tym roku kończyła pięćdziesiąt lat i pomimo drogich ubrań i fryzury dokładnie na tyle wyglądała.

– Jill Bailey. – Carmen przeglądała listę na telefonie. – Cholera. A do tego jej brat był w męskiej grupie.

– Jesteś pewna?

– Tak. Daniel Bailey, dyrektor generalny. Wszystko jest czarno na białym.

– Nie podoba mi się to.

– Mnie też nie. Ani trochę.

Carmen stukała delikatnie paznokciami o telefon, zastanawiając się.

– No dobra. Nie mamy wystarczających informacji, żeby wysnuć jakiegokolwiek wnioski – powiedziała w końcu. – Wiadomość na twojej poczcie głosowej jest zupełnie wyrwana z kontekstu. Uwzględniając każdy punkt widzenia – realistyczny, statystyczny – Alice Russell najprawdopodobniej zbczyła ze szlaku przypadkowo i się zgubiła.

– Tak, pewnie tak.

Żadne z nich nie mówiło tego z przekonaniem.

Jechali dalej – z każdym kilometrem kolejne stacje radiowe traciły zasięg. Carmen kręciła pokręteł, aż trafiła w końcu na fale średnie. Z wiadomości o pełnej godzinie dowiedzieli się, że nadal trwały poszukiwania turystki z Melbourne. Droga łagodnie skierowała ich na północ i nagle Falk dostrzegł na horyzoncie wzgórze Giralang Ranges.

– Byłaś tu kiedyś? – zapytał.

Carmen potrząsnęła głową.

– Nie. A ty?

– Nie. – Nigdy tu nie był, ale dorastał w miejscu niewiele różniącym się od tego: odizolowane miasteczko, za którego granicami zaczynał się gęszcz drzew, nieskory, aby kogokolwiek wypuścić.

– Zniechęca mnie historia tego miejsca – mówiła dalej Carmen. – Wiem, że to głupie, ale... – Wzruszyła ramionami.

– Co się w końcu stało z Martinem Kovakiem? – zapytał. – Nadal siedzi?

– Nie jestem pewna. – Carmen ponownie sięgnęła po telefon. – Nie. Już nie żyje. Zmarł trzy lata temu w więzieniu. Miał sześćdziesiąt dwa lata. Właściwie to coś mi teraz świta. Wdał się w bójkę z innym więźniem, uderzył się w głowę i już nie odzyskał przytomności – tak podają na tej stronie. Trudno go żałować.

Falk zgodził się z tym. Pierwsze znaleziono ciało dwudziestokilkuletniej początkującej nauczycielki z Melbourne, która przyjechała na weekend odetchnąć świeżym górskim powietrzem. Znaleźli ją biwakowicze – o wiele

za późno. Zamek jej szortów był rozerwany i brakowało plecaka ze sprzętem turystycznym. Była boso, sznurówki z jej butów morderca zacisnął ciasno na jej szyi.

Musiały minąć kolejne trzy lata, w ciągu których znaleziono ciała dwóch innych kobiet, a zwłok trzeciej nie odszukano nigdy, żeby ze sprawą morderstw zaczęto wiązać nazwisko pracownika sezonowego – Martina Kovaca. Wtedy było już naprawdę za późno.

Na cichy i spokojny park Giralang padł cień. Falk należał do pokolenia, które przechodził dreszcz na sam dźwięk tej nazwy.

– Najwyraźniej Kovac zmarł, nie przyznawszy się do zamordowania tych trzech kobiet – powiedziała Carmen znad telefonu. – Ani tamtej czwartej, której ciała nigdy nie znaleziono. Sarah Sondenberg. To naprawdę smutna sprawa. Miała zaledwie osiemnaście lat. Pamiętasz, jak jej rodzice występowali z apelami w telewizji?

Falk pamiętał. Dwadzieścia lat później nadal pamiętał wyraz rozpacz w oczach rodziców Sarah.

Carmen próbowała dowiedzieć się czegoś więcej, ale w końcu poddała się z westchnieniem.

– Przykro mi, strona się zawiesiła. Kłopoty z sygnałem.

Nic dziwnego. Drzewa rosnące wzdłuż drogi rzucały cień, który skutecznie blokował poranne światło.

– Chyba jesteśmy już poza zasięgiem.

Nie odzywali się, dopóki nie zjechali z głównej drogi. Carmen wyciągnęła mapę i przejęła rolę pilota na coraz węższych drogach wśród coraz większych wzgórz. Minęli rząd sklepików mających w ofercie pocztówki i ekwipunek turystyczny. Na samym końcu znajdowały się supermarket i stacja samochodowa. Falk sprawdził wskaźnik paliwa i włączył kierunkowskaz. Wysiedli oboje, Falk tankował paliwo, ziewając – wczesny start zaczął dawać się im we znaki. Powietrze było rześkie i chłodniejsze niż w mieście. Carmen z jękiem rozciągała zeszywniałe

mieśnie, a on wszedł do środka, żeby zapłacić.

Mężczyzna za ladą miał na sobie czapkę i kilkuniedniowy zarost. Na widok Falka trochę się wyprostował.

– Jedziecie do parku? – zagadnął pospiesznie, jakby od dawna z nikim nie rozmawiał.

– Tak.

– Szukacie tej zaginionej?

Falk zamrugnął zdziwiony.

– Zgadza się.

– Całe mnóstwo osób przewinęło się tędy właśnie w tym celu. Wezwali ochotników. Wczoraj było tu pewnie ze dwadzieścia osób. Ruch cały dzień jak w godzinach szczytu. Dzisiaj nie było lepiej. – Potrząsnął głową z niedowierzaniem.

Falk rozejrzał się dyskretnie. Na podjeździe oprócz ich samochodu nie stał żaden inny. W sklepie nie było nikogo oprócz ich dwóch.

– Mam nadzieję, że szybko ją znajdą – mówił dalej sprzedawca. – Kiepska sprawa takie zaginięcie. Dla interesów też. Odstrasza ludzi. Pewnie za bardzo się im kojarzy. – Nie rozwinął tej myśli. Nie było potrzeby przywoływać Martina Kovaca – przynajmniej nie tu.

– Są jakieś nowiny? – zapytał Falk.

– Nie. Nie sądzę jednak, żeby im się poszczęściło, bo nikt nie wracał. A zatrzymują się u mnie, jak jadą w obie strony. W tę i z powrotem. Następna stacja jest za pięćdziesiąt kilometrów. Wszyscy tankują tutaj. Na wszelki wypadek, wiesz? Atmosfera tego miejsca sprawia, że wolą się zabezpieczyć. – Wzruszył ramionami. – Nie ma tego złego.

– Od dawna tutaj mieszkasz?

– Wystarczająco.

Kiedy Falk podawał mu swoją kartę kredytową, zauważył migające czerwone światelko za ladą.

– Masz kamery nad dystrybutorami paliwa? – zapytał, a sprzedawca

spojrzał na zewnątrz. Carmen stała oparta o samochód z zamkniętymi oczami i twarzą skierowaną ku niebu.

– Tak, oczywiście. – Sprzedawca przyglądał się jej o sekundę za długo. – Nie mam wyboru. Przez większość czasu jestem tutaj sam. Nie mogę ryzykować, że ktoś odjedzie bez płacenia.

– Czy zaginiona ze swoimi koleżankami również tu była?

– Tak. W czwartek. Policja już zabrała nagranie.

Falk wyciągnął legitymację służbową.

– Jest szansa na kopię?

Gość spojrział na nią i wzruszył ramionami.

– Daj mi chwilę.

Zniknął w biurze na zapleczu. Falk, czekając na jego powrót, wyglądał przez przeszkłone frontowe drzwi. Za podjazdem nie widział nic oprócz ściany zieleni. Wzgórza zakrywały niebo. Nagle poczuł się osaczony. Podskoczył, kiedy sprzedawca wrócił z pendrive'em.

– Ostatnie siedem dni – powiedział, podając mu go.

– Dzięki. Jestem wdzięczny.

– Nie ma sprawy, mam nadzieję, że się przyda. Nikt nie chciałby zgubić się tutaj na zbyt długo. Jak dopadnie cię panika, to już po tobie. Po kilku dniach wszystko zaczyna wyglądać tak samo, przestajesz wierzyć własnym oczom. – Spojrzał na zewnątrz. – Można oszaleć.

Dzień 1: Czwartek po południu

Szyba minivana pokryła się drobnymi kropelkami deszczu, kiedy samochód wreszcie się zatrzymał. Kierowca zgasił silnik i obrócił się na siedzeniu.

– Jesteśmy na miejscu.

Dziewięć głów obróciło się w stronę okien.

– Wsiądę tylko pod warunkiem, że pójdziemy w lewo, a nie w prawo – zawołał męski głos z tylnego siedzenia, wywołując wybuch śmiechu u pozostałych.

Po lewej stał ciepły i zaciszny domek gościnny – jego drewniane ściany dobrze chroniły przed chłodem, wewnątrz paliło się światło.

Po prawej znajdował się błotnisty szlak oznaczony spłowiałym drogowskazem. Eukaliptusy rosnące po jego obu stronach spletały swoje gałęzie, tworząc sklepienie nad meandrującą ścieżką, która ostro skręcała w busz i znikła z pola widzenia.

– Przykro mi, stary, dziś wszyscy idą w prawo.

Kierowca otworzył drzwi, wpuszczając podmuch lodowatego powietrza. Pasażerowie jeden po drugim zaczęli się zbierać.

Bree McKenzie odpięła pas bezpieczeństwa i wysiadła, cudem omijając sporą kałużę. Obróciła się z ostrzeżeniem na ustach, ale dla Alice było już za późno. Jej blond włosy zsunęły się na twarz, oslepiając ją, kiedy jednym butem wylądowała w wodzie.

– Cholera – rzuciła, zakładając włosy za ucho i spoglądając w dół. – Niezły początek.

– Przepraszam – powiedziała odruchowo Bree. – Przemókl ci?

Alice obejrzała but.

– Nie. Upiekło mi się tym razem. – Moment niepewności, ale w końcu Alice uśmiechnęła się i ruszyła dalej. Bree odetchnęła z ulgą.

Zadrżała z zimna, więc zapięła kurtkę pod samą szyję. Powietrze było rześkie i przesiąknięte zapachem butwiejących eukaliptusów. Bree zauważyła, że wyźwirowany parking był niemal pusty. To nie sezon, domyśliła się. Obeszła van, żeby odebrać swój plecak z bagażnika. Cały ekwipunek wyglądał na cięższy, niż to zapamiętała.

Szczupła i wysoka Lauren Shaw pochylała się, próbując wydostać swój plecak z samego spodu.

– Pomóc ci? – Bree nie знаła Lauren tak dobrze jak niektórych innych

starszych pracowników, ale wiedziała, jak być pomocną.

– Nie, nie trzeba...

– To nie problem. – Bree sięgnęła po plecak w momencie, kiedy Lauren udało się go oswobodzić. Nastąpiła niezręczna szamotanina, bo obie ciągnęły go w przeciwnych kierunkach.

– Wydaje mi się, że sobie poradziłam. Dziękuję. – Oczy Lauren miały ten sam zimny szary odcień co niebo nad ich głowami, ale posłała Bree nieznaczny uśmiech. – Może pomóc tobie?

– Och nie. – Bree machnęła ręką. – Nie trzeba. Dziękuję. – Spojrzała w górę. Chmury stawały się coraz cięższe. – Mam nadzieję, że nie będzie padać.

– Prognoza mówi co innego.

– Och. No cóż, nigdy do końca nie wiadomo.

– Tak. – Lauren wydawała się niemal rozbawiona optymizmem Bree. – Nigdy nie wiadomo do ostatniej chwili. – Chciała powiedzieć coś jeszcze, ale Alice ją zawołała. Lauren obejrzała się i zarzuciła plecak na ramię. – Przepraszam.

Odeszła z chrzęstem po żwirze, zostawiając Bree przy bagażach. Dziewczyna wyciągnęła swój plecak i usiłowała go założyć, chwając się nieznacznie pod nieoczekiwanym ciężarem.

– Przyzwyczaisz się.

Bree obejrzała się i zobaczyła szczerzącego się do niej kierowcę. Kiedy wsiedli do minibusa w Melbourne, przedstawił się, ale ona nie zaprzętała sobie głowy zapamiętywaniem jego imienia. Dopiero teraz przyjrzała się mu z uwagą. Był młodszy, niż się jej wydawało, prawdopodobnie miał tyle lat co ona lub niewiele więcej. W każdym razie nie więcej niż trzydzieści i miał żylaste ręce wspinacza. Był szczupły, lecz wyglądał przy tym na silnego. Na jego flanelowej koszuli widniał wyszyty napis „Executive Adventures”, ale nie miał plakietki z imieniem. Bree nie mogła rozstrzygnąć w myślach, czy był przystojny, czy nie.

– Dopasuj go sobie. – Mężczyzna pomógł jej założyć plecak. – To ci naprawdę pomoże.

Jego długie palce poprawiały sprzączki i zatrzaski, aż w końcu plecak, choć nadal nie lekki, stał się o wiele lżejszy. Bree już miała mu podziękować, kiedy poczuła w wilgotnym powietrzu zapach dymu papierosowego. Oboje odwrócili się w kierunku, z którego dolatywał. Bree nie miała wątpliwości, kogo zobaczy.

Bethany McKenzie stała przygarbiona w pewnej odległości od pozostałych. Jedną dłonią osłaniała papierosa przed podmuchami wiatru, drugą wcisnęła do kieszeni kurtki. Podczas jazdy spała, jej głowa obijała się o okno, a kiedy się obudziła, wyglądała na zawstydzoną.

Kierowca odchrząknął.

– Tutaj nie wolno palić.

Beth przestała się zaciągać.

– Jesteśmy na zewnątrz.

– Koło drewnianych domków. Tu nigdzie nie można palić.

Przez chwilę wyglądało na to, że Beth będzie się kłócić, ale czując na sobie spojrzenia wszystkich, tylko wzruszyła ramionami i zdeptała niedopałek czubkiem buta. Owinęła się ciasniej płaszczem. Bree widziała, że jest stary i już na nią nie pasuje.

Kierowca ponownie przeniósł uwagę na Bree i z konspiracyjnym uśmiechem zagadnął:

– Długo z nią pracujesz?

– Pół roku. Ale znam ją od zawsze. To moja siostra.

Mężczyzna patrzył to na nią, to na Beth zdumiony, tak jak Bree przypuszczała.

– Naprawdę?

Bree odchyliła nieznacznie głowę i przeciągnęła dłonią po swoich ciemnych, związanych w kucyk włosach.

– Dokładniej rzecz ujmując, jesteśmy bliźniaczkami. Identycznymi –

dodała, bo była pewna, że jego mina ją ubawi. Nie zawiodła się. Już chciał coś powiedzieć, kiedy w oddali rozległ się grzmot. Wszyscy spojrzeli w niebo.

– Przepraszam – powiedział kierowca, znów się szczerząc. – Lepiej już pojedę, żebyście mogli wyruszyć. Będziecie mieli wystarczająco dużo czasu, żeby dotrzeć do obozowiska przed zmrokiem. Jedyne, co jest gorsze od rozkładania namiotu w deszczu, to pospieszne rozkładanie namiotu w deszczu.

Wyciągnął pozostałe plecaki z bagażnika i spojrzął na Jill Bailey, która z trudem próbowała przełożyć swoją pulchną rękę przez ramiączko plecaka. Bree ruszyła jej z pomocą, przytrzymując plecak, podczas gdy jej szefowa nieudolnie się z nim szamotała.

– Chcecie już zacząć? – zapytał Jill kierowca. – Mogę wyprawić grupę kobietą w drogę. Czy chcecie zaczekać, aż wszyscy dotrą na miejsce?

Jill w końcu z trudem udało się założyć plecak i stała, sapiąc z poczerwieniałą z wysiłku twarzą. Spojrzała na drogę dojazdową. Była pusta. Zmarszczyła brew.

– Daniel ma taki samochód, że powinien dotrzeć tutaj przed nami – zauważył jeden z mężczyzn, wywołując uprzejmy śmiech.

Na ustach Jill pojawił się cień służbowego uśmiechu, jednak nic nie powiedziała. Daniel Bailey mógł być jej bratem, ale był też dyrektorem generalnym firmy. Bree uważała, że to dawało mu prawo do spóźnienia.

Bree obserwowała Jill, kiedy dziesięć minut przed planowanym odjazdem minibusa sprzed siedziby BaileyTennants w Melbourne zadzwonił jej telefon. Jill oddaliła się, aby nikt jej nie słyszał, i stojąc na szeroko rozstawionych nogach z ręką opartą na biodrze, wysłuchiwała swojego rozmówcy.

Jak zawsze Bree próbowała odgadnąć, co oznaczał wyraz jej twarzy. Może rozdrażnienie? Niekoniecznie. Często trudno go było rozszyfrować. W każdym razie, kiedy Jill wróciła do minibusa, chwilowy grymas zniknął

już z jej twarzy.

– Daniela coś zatrzymało – powiedziała po prostu. – Praca, jak zawsze. Pojadą bez niego. Dojedzie do nich swoim samochodem.

Teraz, kiedy wszyscy szwendali się między domkami, Bree zauważyła, że Jill zaciska usta. Chmury stawały się coraz cięższe, na kurtkę Bree spadło kilka kropel deszczu. Droga nadal była pusta.

– Naprawdę nie ma sensu, żebyśmy wszyscy czekali – powiedziała Jill, obracając się do czterech mężczyzn stojących z plecakami koło minibusa. – Daniel nie może być daleko.

Nie przeprosiła za brata, za co Bree była jej wdzięczna. To właśnie podziwiała w niej najbardziej: że nie wynajdywała żadnych wymówek.

Mężczyźni uśmiechnęli się i wzruszyli ramionami. W porządku. Jakżeby inaczej, pomyślała Bree. Daniel Bailey był ich szefem. Co innego mogliby powiedzieć?

– No dobra. – Kierowca klasnął w ręce. – Ruszajmy, drogie panie. Za mną.

Pięć kobiet spojrzało po sobie, a następnie poszło za nim przez parking. Czerwona kraciasta koszula kierowcy odznaczała się na tle zgaszonej zieleni i brązu buszu. Żwir chrzęszczący pod ich butami szybko ustąpił błotnistej trawie. Kierowca zatrzymał się na początku szlaku i oparł się o stary drewniany drogowskaz. Poniżej wyciętej strzałki znajdowały się dwa słowa: „Mirror Falls”.

– Macie wszystko? – zapytał.

Bree poczuła, jak wszystkie oczy zwracają się w jej stronę, więc sprawdziła kieszenie swojej kurtki. Starannie złożona nowiutka mapa i kompas w plastikowej obudowie były na miejscu. Bree została oddelegowana na kilkugodzinny kurs orientacji w terenie. Nagle dotarło do niej, że to bardzo niewiele.

– Nie przejmuj się – pocieszył ją kierowca. – Na tym etapie prawie w ogóle nie będziesz ich potrzebować. Wystarczy, że będziecie szły przed

siebie, a dojdziecie do pierwszego obozowiska. Nie można go przegapić. Później trzeba będzie parę razy skręcić, ale miejcie po prostu oczy szeroko otwarte, to wszystko będzie dobrze. Spotkamy się na końcu trasy w niedzielę. Któraś z was ma zegarek? Dobrze. Macie czas do południa. Kara za każde piętnaście minut spóźnienia.

– A jeśli skończymy wcześniej? Czy będziemy mogły wrócić szybciej do Melbourne?

Kierowca spojrzął na Alice.

– Dobrze, że jesteś taka pewna siebie.

Wzruszyła ramionami.

– Muszę być gdzieś w niedzielę wieczorem.

– Jasne. No cóż, wydaje mi się, że tak. Jeśli obie grupy dotrą na miejsce zbiórki wcześniej. – Kierowca spojrzął w stronę mężczyzn, którzy stali oparci o busa i rozmawiali, nadal w niepełnym składzie. – Tylko nie lećcie na złamanie karku. W niedzielę i tak nie ma korków. Jeśli dotrzecie do celu na dwunastą, wróćcie do miasta późnym popołudniem.

Alice już się nie odezwała, tylko zacisnęła mocniej usta. Bree dobrze знаła ten jej wyraz twarzy, ponieważ starała się go nie wywoływać.

– Jeszcze jakieś pytania? – Kierowca spojrzął na każdą z pięciu twarzy z osobna. – Dobrze. A teraz zróbmy zdjęcie grupowe do waszego newslettera.

Bree zauważyła wahanie Jill. Ich firmowy newsletter ani nie ukazywał się regularnie, ani, delikatnie rzecz ujmując, nie zawierał nic ciekawego. Jill poklepała się po kieszeni bez przekonania.

– Nie mam. – Spojrzała w kierunku busa, gdzie jej telefon leżał w woreczku strunowym obok siedzenia kierowcy.

– W porządku. Zrobię swoim – odparł kierowca, wyciągając aparat z kieszeni polaru. – Stańcie razem. Trochę bliżej. Teraz dobrze. Obejmijcie się, drogie panie. Udawajcie, że się lubicie.

Bree poczuła, że Jill objęła ją w talii, i się uśmiechnęła.

– Super. Gotowe. – Kierowca spojrział na ekran. – No, to już wszystko. W drogę i powodzenia. I bawcie się dobrze, jasne?

Odwrócił się, pomachawszy ręką na pożegnanie, i pięć kobiet zostało samych. Stały nieruchomo w swoich pozach, aż w końcu Jill wyswobodziła się ze wspólnych objęć i pozostałe rozplotły swoje ramiona. Bree spojrzała na Jill i zobaczyła, że szefowa patrzy prosto na nią.

– Jak daleko do pierwszego obozowiska?

– Och, chwileczkę. – Bree rozłożyła mapę, mocując się z wiatrem, który zaginał jej rogi. Punkt startowy był zakreślony, a trasa zaznaczona na czerwono. Słyszała, jak jej towarzyszki zakładały plecaki, podczas gdy ona usiłowała dotrzeć palcem po mapie do ich pierwszego miejsca noclegowego. Gdzie ono było? Krople deszczu uderzały o mapę, a jeden róg się zagiął. Rozprostowała go ponownie, najlepiej jak umiała, i odetchnęła po cichu z ulgą, kiedy zauważyła poszukiwane miejsce tuż obok swojego kciuka. –

Okej, to niedaleko – powiedziała, usiłując odczytać skalę u dołu mapy. – Jest nie najgorzej.

– Podejrzewam, że dla ciebie „nie najgorzej” może oznaczać coś innego niż dla mnie – zauważyła Jill.

– Jakies dziesięć kilometrów? – Niezamierzenie słowa Bree zabrzmiały jak pytanie. – Nie więcej niż dziesięć.

– Dobrze. – Jill podciągnęła plecak wyżej na ramionach. Wyglądała, jakby było jej bardzo niewygodnie. – Prowadź.

Bree ruszyła przed siebie. Na ścieżce z każdym krokiem robiło się coraz ciemniej z powodu gęstwiny gałęzi blokujących dostęp do światła. Słyszała spływające z liści krople wody, z jakiegoś dobrze ukrytego miejsca dobiegały odgłosy dzwońca. Obejrzała się przez ramię na podążające za nią cztery osoby, których twarze były niewidoczne pod kapturami. Najbliżej niej szła Alice, pasma jej blond włosów powiewały na wietrze.

– Dobrze ci idzie – wyszeptała. Bree po chwili namysłu doszła do wniosku, że nie była to ironia, i uśmiechnęła się.

Za nimi szła Lauren, uważnie się rozglądając. Policzki Jill zdążyły się już zaróżowić z wysiłku. Na samym końcu szła Beth. O pół kroku za wolno, w pożyczonych butach i za ciasnej kurtce. Oczy sióstr się spotkały. Bree nie zwolniła.

Ścieżka zwężała się i zakrecała, ostatnie przebliski światła z domków letniskowych znikły, a las zamknął się za nimi.

Rozdział 4

Parking był zapełniony. Pikapy ochotników stały wciśnięte między wozy transmisyjne i samochody policji.

Falk zaparkował, blokując inny samochód, i zostawił Carmen w środku z kluczykami. Tupnął butami na werandzie, a kiedy otworzył drzwi, załapała go fala ciepła. W kącie obitej boazerią recepcji grupa poszukiwaczy pochylała się nad mapą. Drzwi z jednej strony prowadziły do wspólnej kuchni, a z drugiej – do pomieszczenia z wysłużonymi kanapami i półkami pełnymi książek i gier planszowych. W kącie stał wiekowy komputer, nad którym umieszczono odręcznie napisaną informację „Tylko dla gości”. Falk nie był pewien, czy brzmiało to bardziej jak zachęta, czy jak groźba.

Strażnik stojący za ladą ledwie podniósł wzrok na Falka.

– Przykro mi, stary, nie ma już miejsc – powiedział. – Zjawiłeś się w złym momencie.

– Czy jest tu gdzieś sierżant King? – zapytał w odpowiedzi Falk. – Czeka na nas.

Tym razem strażnik popatrzył na niego uważnie.

– Och, przepraszam. Zobaczyłem, jak zajechaliście, i pomyślałem, że... – urwał. *Kolejni miastowi kretyni.* – Jest w centrum dowodzenia. Wiecie, gdzie to jest?

– Nie.

Strażnik rozłożył mapę parku na biurku. Niemal w całości była pokryta kolorem zielonym, oznaczającym busz, tylko miejscami przecinały ją wijące się linie, oznaczające drogi i szlaki. Strażnik sięgnął po długopis i wyjaśniając, zaczął zaznaczać na mapie trasę. Pojadą na zachód niewielką bitą drogą przecinającą zielen, aż dotrą do skrzyżowania, a następnie skreślą ostro na północ. Zakreślił punkt docelowy. Wyglądało to, jakby znajdował

się pośrodku niczego.

– Nie przejmuj się, to zaledwie dwadzieścia minut jazdy stąd. – Podał mapę Falkowi. – Przysięgam, że trafisz tam w mgnieniu oka.

– Dzięki.

Gdy Falk znalazł się z powrotem na zewnątrz, chłód uderzył go niczym siarczasty policzek. Wsiadł do samochodu, zacierając ręce. Carmen siedziała pochylona do przodu, przypatrując się czemuś intensywnie przez szybę. Kiedy się do niej odezwał, uciszyła go i wykonała gest ręką. Falk posłusznie spojrział we wskazanym kierunku. Po drugiej stronie parkingu mężczyzna po czterdziestce ubrany w dżinsy i kurtkę narciarską pochylał się nad bagażnikiem czarnego bmw.

– Spójrz, to Daniel Bailey, prawda? – odezwała się Carmen.

W pierwszej chwili Falk pomyślał, że szef BaileyTennants wygląda zupełnie inaczej, kiedy nie jest ubrany w garnitur. Nigdy wcześniej nie widział go osobiście, mężczyzna poruszał się niczym sportowiec, czego zdjęcia nie oddawały. Był trochę niższy, niż zakładał Falk, ale miał silne ramiona i plecy. Jego gęste włosy o intensywnym brązowym kolorze nie nosiły śladów siwizny. Jeśli była to zasługa farbowania, to wykonanego profesjonalnie w drogim salonie. Bailey nie znał ich – a przynajmniej nie powinien – niemniej jednak Falk odruchowo zsunął się trochę z siedzenia.

– Ciekawa jestem, czy rzeczywiście pomaga w poszukiwaniach – zastanowiła się Carmen. – Na pewno nie siedzi z założonymi rękami. – Na jego butach widać było świeże błoto.

Przyglądali się, jak szukał czegoś w bagażniku. Czarne bmw wyglądało jak lśniące egzotyczne zwierzę wśród starych, wysłużonych pikapów i busów. W końcu wyprostował się, wkładając jakiś ciemny przedmiot do kieszeni kurtki.

– Co to było? – zapytała Carmen.

– Wyglądało jak rękawiczki.

Bailey nacisnął na drzwi bagażnika, a one zamknęły się w zupełnej ciszy.

Stał jeszcze chwilę, wpatrując się w busz, po czym ruszył w kierunku domków gościnnych, z głową pochyloną przed wiatrem.

– To, że są tutaj oboje z Jill, może utrudnić sprawę – powiedziała Carmen, kiedy obserwowali jego znikającą sylwetkę.

– No. – To było mało powiedziane i oboje o tym wiedzieli. Falk uruchomił silnik i podał Carmen mapę. – A w międzyczasie musimy się tam dostać.

Spojrzała na zakreślony punkt wśród morza zieleni.

– Co tam jest?

– Tam znaleźli pozostałą czwórkę.

Zawieszenie sedana zostało wystawione na poważną próbę. Tłukli się po nierównej drodze, podskakując na wybojach, a eukaliptusy z odchodzącą korą zdawały się bacznie im przyglądać. Mimo szumu silnika do uszu Falka docierał niezbyt głośny, lecz przeszywający gwizd.

– Jezu, czy to wiatr? – zapytała Carmen, patrząc przez szybę.

– Tak sędzę. – Falk nie spuszczał oczu z drogi, bo busz wokół nich stawał się coraz gęstszy. Jego poparzona ręka mocno ścisnęła kierownicę. Poczuł ból.

Strażnik powiedział im prawdę. Tego miejsca nie dało się przeoczyć. Falk skręcił i ich oczom ukazało się gwarne centrum dowodzenia. Wzdłuż drogi stały ciasno zaparkowane koło siebie samochody, a reporterka wypowiadała się z przejęciem do kamery, wskazując na grupy poszukiwaczy stojących za nią. Z boku stał ustawiony na kozłach blat, na którym postawiono termosy z kawą i butelki wody. Krążący nad głowami policyjny helikopter strącał liście z drzew.

Falk zaparkował na samym końcu. Zbliżało się południe, ale słońce ledwie świeciło na niebie. Carmen zapytała przechodzącego strażnika o starszego sierżanta Kinga, a ten wskazał jej wysokiego mężczyznę około pięćdziesiątki. Był szczupły i miał baczne spojrzenie, które przenosił z mapy na busz. Kiedy zauważył Falka i Carmen, skierował uwagę na nich.

– Dziękuję, że przyjechaliście. – Uścisnął im dłonie po tym, jak mu się przedstawili, i spojrzął przez ramię na ekipy telewizyjne. – Odejdźmy trochę dalej od tego całego zamieszania.

Postąpili w górę drogi i przystanęli obok powalonego pnia, który stanowił przynajmniej częściową ochronę przed wiatrem.

– Rozumiem, że jeszcze się wam nie poszczęściło? – zapytał Falk.

– Jeszcze nie.

– Ile takich poszukiwań już przeprowadziłeś?

– Sporo. Jestem tu już od dwudziestu lat. Ludzie cały czas zbaczają ze szlaku.

– Jak szybko się ich zazwyczaj znajduje?

– To zależy. Ile jest wody w oceanie? Niekiedy od razu, ale zazwyczaj trochę czasu nam to zajmuje. – King wydał policzki. – Poszukiwana zaginęła jakieś trzydzieści godzin temu, więc idealnie by było, gdybyśmy znaleźli ją dzisiaj. Z opowieści jej grupy wynika, że miały na tyle rozsądku, żeby zebrać deszczówkę, jednak prawdopodobnie zaginiona nie ma nic do jedzenia. No i jest jeszcze ryzyko hipotermii. W przemoczonych ubraniach o nią nietrudno. Ale bardzo wiele zależy od tego, jak ona sobie radzi w tej sytuacji. Może mieć szczęście w nieszczęściu. Dowiedziałem się, że kiedy była młodsza, spędziła trochę czasu na kempingach. Często zaginieni sami się znajdują... – urwał. – A czasem nie.

– Ale zawsze udaje się wam ich znaleźć? – dociekała Carmen. – Mam na myśli: koniec końców.

– Prawie zawsze. Nawet za czasów Kovaca znajdowano jego ofiary – koniec końców. Wszystkie oprócz tej jednej. Od tamtej pory przychodzi mi na myśl tylko jedna lub dwie osoby, które się nigdy nie znalazły. Jakieś piętnaście lat temu, starszy gość. Nie był do końca zdrowy, miał problemy z sercem. Nie powinien był iść na wyprawę sam. Pewnie usiadł gdzieś sobie w zacisznym miejscu i dostał zawału. Dziesięć lat temu z kolei była sprawa pary z Nowej Zelandii. Było w tym coś dziwnego. Oboje około trzydziestki,

sprawni, z pewnym doświadczeniem. Dopiero dużo później okazało się, że wpadli w spore długi.

– Myślisz, że zaplanowali swoje zniknięcie? – zapytał Falk.

– Nie mnie o tym przesądzać, stary. Ale myślę, że byłoby im to na rękę, jakby zniknęli z radaru.

Falk i Carmen spojrzeli po sobie.

– To co stało się tym razem? – drążyła Carmen.

– Alice Russell znajdowała się w grupie pięciu kobiet, które wyruszyły szlakiem do Mirror Falls w czwartek po południu – jak będziecie chcieli, ktoś was tam później zaprowadzi – wyposażone w podstawowy sprzęt turystyczny. Mapy, namioty, kompas, trochę jedzenia. Miały kierować się na zachód, w ciągu dnia wykonywać te głupawe zadania integracyjne, spać w namiotach przez trzy noce.

– Czy to jest oferta parku? – wtrąciła się Carmen.

– Nie. To organizuje prywatna firma, która działa tutaj już od dobrych kilku lat. Executive Adventures? Tak się chyba nazywają. Nie są źli, raczej wiedzą, co robią. Była też druga grupa: pięciu gości z BaileyTennants. Oni szli innym szlakiem. Obie grupy miały się spotkać wczoraj w południe w miejscu zbiórki, czyli tutaj.

– Ale kobiety nie dotarły.

– Nie. W każdym razie nie wszystkie. Cztery z nich zjawiły się w końcu z sześciogodzinnym opóźnieniem i w kiepskim stanie. Kilka urazów. Skaleczenia i siniaki. Uraz głowy. A jedną ukąsił wąż.

– Jezu, którą? – chciał wiedzieć Falk. – Nic jej nie jest?

– Nie. Raczej nie. Nazywa się Breanna McKenzie. Z tego, co udało mi się zrozumieć, jest asystentką. Ale w tych korporacjach wszyscy mają takie wyszukane tytuły. Wszystko wskazuje na to, że ukąsił ją pyton dywanowy, choć rzecz jasna wtedy tego nie wiedziała. Przeraziły się śmiertelnie. Myślały, że to wąż tygrysi i że zaraz umrze. Oczywiście tak nie było, wąż był zdecydowanie niejadowity, ale w ranę wdało się zakażenie, więc będzie

musiała spędzić kilka dni pod opieką lekarzy.

– W Melbourne?

– Nie, w szpitalu w miasteczku. To dla niej najlepsze miejsce. Jak przedawkujesz metamfetaminę w squocie, to chcesz trafić na miejskich lekarzy. Jak ugryzie cię wąż, chcesz być pod opieką takich, którzy znają się na dzikich zwierzętach, możecie mi wierzyć. Jej siostra jest z nią. –

Wyciągnął notatnik z kieszeni i spojrzął na swoje zapiski. – Bethany McKenzie. Ona również była z nimi w grupie, ale wyszła z całej tej przygody bez większego uszczerbku.

King spojrzął przez ramię na poszukiwaczy. Kolejna grupa przygotowywała się do drogi – ich odblaskowe pomarańczowe kamizelki odcinały się od wszechotaczającej zieleni. Falk zauważył przerwę w linii drzew, gdzie biegła ścieżka. Oznaczał ją pojedynczy drewniany drogowskaz.

– Wiemy, że musiały zboczyć ze szlaku drugiego dnia, bo nie dotarły do wyznaczonego obozowiska – mówił dalej King. – Od głównego szlaku odchodzi całkiem spora kangurza ścieżka. Podejrzewamy, że właśnie ona je zmyliła. Zorientowały się już po kilku godzinach, ale to wystarczy, żeby wpaść w niezłe tarapaty.

Ponownie spojrzął na swoje zapiski i odwrócił stronę.

– Od tego momentu nic nie jest już zupełnie jasne. Moi podwładni wyciągnęli z nich, co się dało, wczoraj wieczorem i dziś rano, ale nadal jest kilka luk. Wygląda na to, że kiedy zorientowały się, że zeszyły ze szlaku, zawróciły, chcąc z powrotem na niego dotrzeć. To najprostszy sposób, żeby pogorszyć swoją sytuację. W drugim obozie czekały na nie zapasy jedzenia i wody, jednak nie udało im się tam trafić, więc zaczęła wkradać się panika.

Falk przypomniał sobie słowa sprzedawcy: „Jak dopadnie cię panika, to już po tobie. Przystajesz wierzyć własnym oczom”.

– Wszystkie miały zostawić telefony, ale jak wiecie, Alice zabrała swój ze sobą. – King skinął głową w kierunku Falka. – Zasięg jest tutaj beznadziejny. Czasem można mieć szczęście, ale naprawdę rzadko.

W każdym razie kobiety błąkały się aż do soboty, kiedy trafiły na opuszczoną chatę.

Urwał. Wyglądało na to, że chciał coś powiedzieć, lecz zmienił zdanie.

– W tym momencie nie mamy pewności, gdzie ona się znajduje. Niemniej jednak kobiety spędziły w niej noc. Kiedy obudziły się wczoraj, naszej zaginionej już z nimi nie było. Tak przynajmniej twierdzi pozostała czwórka.

Falk zmarszczył brew.

– Co sądziły, że się z nią stało?

– Że się wkurzyła. Że poszła sama. Były między nimi nieporozumienia dotyczące tego, co powinny zrobić. Ponoć ta Alice miała pomysł, żeby przedrzeć się przez busz na północ w poszukiwaniu drogi. Pozostałe nie były zbyt chętne.

– A co ty myślisz?

– Mogą mieć rację. Razem z nią zniknęły jej plecak i telefon. Zabrała ze sobą jedyną działającą latarkę. – King zacisnął usta. – Tak między nami, sądząc po ich urazach i poziomie stresu, wszystko wskazuje na to, że musiało w pewnym momencie dojść między nimi do przepychanki.

– Myślisz, że się pobili? Tak naprawdę? – odezwała się Carmen. – O co?

– Jak już powiedziałem, jest kilka spraw do wyjaśnienia. Posuwamy się tak szybko, jak tylko możemy, uwzględniając te konkretne okoliczności. Tutaj liczą się minuty. Najważniejsza jest akcja poszukiwawcza.

Falk pokiwał głową.

– Jak pozostałym czterem kobietom udało się znaleźć drogę?

– Szły cały czas na północ, aż w końcu trafiły na drogę i zawróciły nią. To nie najlepszy sposób, nie zawsze wychodzi, ale podejrzewam, że nie miały wyboru. Zwłaszcza jeśli uwzględni się to ukąszenie przez węża i wszystko inne, przez co przeszły. Zajęło im to kilka godzin, jednak opłaciło się – westchnął. – Nasze wysiłki skupiają się na odnalezieniu tej chaty. W najlepszym razie Alice wróciła do niej i postanowiła tam poczekać.

Falk wolał nie pytać, co w najgorszym razie. Co mogło stać się z samotną osobą wśród niebezpieczeństw buszu, samo nasuwało się na myśl.

– Tak się sprawy mają tutaj – powiedział King. – Teraz wasza kolej.

Falk wyciągnął telefon. Zapisał już nagranie z poczty głosowej w pamięci telefonu, co okazało się słusznym posunięciem, ponieważ jego telefon pokazywał brak sygnału. Podał Kingowi słuchawki, które ten mocno przycisnął sobie do ucha.

– Cholerny wiatr. – King zakrył drugie ucho dłonią, zamknął oczy i wyteżył słuch. Odsłuchiwał nagranie jeszcze dwukrotnie, zanim oddał telefon.

– Możesz mi powiedzieć, o czym z nią rozmawialiście? – Tym razem to on zadał pytanie.

Helikopter ponownie zniżył lot, a drzewa ugiwały się pod podmuchem śmigieł. Falk spojrział na Carmen, która nieznacznie skinęła głową.

– Na parkingu przy domkach widzieliśmy Daniela Baileya – powiedział Falk. – To dyrektor generalny firmy, w której oni wszyscy pracują. Jego imię i nazwisko widnieje na liście uczestników, którą mi przysłałeś.

– Chodzi wam o szefa? Wiem, który to. Był w grupie mężczyzn.

– Czy obie grupy miały ze sobą kontakt podczas wyprawy?

– Oficjalnie – nie. Nieoficjalnie? Powiedziano mi, że tak. A co?

– To właśnie był temat naszych rozmów z Alice Russell – odparł Falk. – Daniel Bailey.

Dzień 1: Czwartek po południu

Jill Bailey wiedziała, jak Alice oddała się z każdym krokiem.

Szły dopiero od dwudziestu minut, gdy lewy but Jill zaczął ją obcierać, mimo że specjalnie zapłaciła trzycyfrową kwotę za coś, co nosiło nazwę

„technologia komfortu Quick-Wick”. Było zimno, ale koszulka kleiła się jej pod pachami, a strużki potu spływały po szyi i zbierały się w jej staniku. Czowała, że jej czoło się świeci, więc wytarła je rękawem.

Pomyślała, że jedyną osobą, która znosi to gorzej od niej, jest Beth. Jill słyszała za sobą jej rwany oddech palacza. Wiedziała, że powinna się obrócić i zaoferować słowa zachęty i wsparcia, ale żadne nie przychodziły jej do głowy. W każdym razie żadne, które brzmiałyby szczerze.

Starła się skupić na utrzymywaniu własnego tempa i nieokazywaniu zmęczenia. Subtelny dźwięk kropel spływających z gałęzi kojarzył się jej ze ścieżkami medytacyjnymi w spa. To był wypoczynek w jej stylu, na aktywność na świeżym powietrzu wpadł Daniel. *Cholerny Daniel*. Zastanawiała się, czy dojechał już na miejsce.

Wyczuła, że przed nią zaszła jakaś zmiana: jej koleżanki zwolniły. Ścieżka stała się w tym miejscu szersza, drzewa rosły rzadziej, a to, co Jill brała za dźwięk wiatru, w rzeczywistości było szumem spływającej wody. Doszła do miejsca, gdzie kończyła się linia drzew, i zamrugła, bo busz gwałtownie się tu rozstępował, ustępując miejsca kaskadom białej wody.

– O mój Boże. Niewiarygodne – westchnęła. – Wygląda na to, że znalazłyśmy wodospad.

Oszalaniający – to słowo samo cisnęło się na usta. Wartko płynąca rzeka torowała sobie drogę wśród drzew, pieniać się, przepływała pod drewnianym mostkiem, aby w końcu spłynąć ze skalnego urwiska niczym ciężka kurtyna ryczącej białej wody do ciemnego jeziora poniżej.

Pięć kobiet ścisnęło się na mostku i opierając się o balustradę, patrzyło, jak woda pod nimi burzy się i kotłuje. Powietrze było tak rześkie, że Jill wydawało się, że mogłaby go dotknąć, a bryza bijąca od wodospadu chłodziła jej policzki. Widok był hipnotyzujący i kiedy go chłonęła, czuła, jakby plecak na jej ramionach tracił na wadze. Mogłaby tu stać wiecznie.

– Powinniśmy iść dalej.

Głos dobiegł z przeciwległego końca mostku. Jill zmusiła się, żeby

spojrzeć w tamtą stronę. Alice przyglądała się dalszej części szlaku.

– Pewnie wkrótce zrobi się ciemno – powiedziała. – Nie powinniśmy tracić czasu.

W jednej chwili Jill poczuła, że na pięcie zrobił się jej pęcherz, a koszulka zaczęła ją obcierać. Spojrzała na niebo zasnuwane ciężkimi chmurami, a następnie raz jeszcze na wodospad. Westchnęła.

– No dobra. Chodźmy dalej.

Odsunęła się od barierki w odpowiednim momencie, żeby zobaczyć, jak Bree marszczy się pochylona nad mapą.

– Wszystko w porządku? – zapytała, a Bree w odpowiedzi błysnęła swoimi prostymi, białymi zębami.

– Tak. Tędy. – Złożyła mapę, przerzuciła kucyk przez ramię i wskazała na jedyną ścieżkę, która rozpościerała się przed nimi. Jill kiwnęła głową, nic nie mówiąc. Jedna ścieżka, jeden wybór. Miała nadzieję, że asystentka będzie równie zdecydowana, kiedy przyjdzie podjąć jakąś decyzję.

Ścieżka była błotnista i Jill obawiała się, że może się pośliznąć. Zaczynał boleć ją kręgosłup: nie była pewna, czy to z powodu wagi plecaka, czy też dlatego, że cały czas musiała pochylać głowę, żeby patrzeć pod nogi.

Nie uszły daleko, kiedy dźwięki buszu zagłuszył krzyk. Bree zatrzymała się i wskazywała palcem na coś na ścieżce.

– Patrzcie. To pierwsza flaga. Prawda?

Biały materiałowy prostokąt powiewał na jednym z poskręcanych eukaliptusów. Bree zrzuciła plecak i podbiegła bliżej, żeby się przyjrzeć.

– Tak, to jest to. Ma na sobie logo Executive Adventures.

Jill zmrużyła oczy, z tej odległości nie była w stanie dostrzec szczegółów. Bree stanęła na palcach i wyciągnęła dłoń. Podskoczyła, ale nadal nie dosięgnęła flagi.

– Muszę na czymś stanąć. – Rozejrzała się wokół siebie.

– Och, zostaw to. – Alice patrzyła na niebo. – Jeszcze sobie kark skręcisz. Co dostaniemy, jeśli zbierzemy wszystkie sześć? Sto dolarów czy coś

takiego?

– Dwieście czterdzieści na osobę.

Jill obróciła się na dźwięk głosu Beth. Usłyszała ją po raz pierwszy, odkąd wyruszyli z Melbourne.

Beth również zdjęła plecak.

– Podsadzę cię.

Jill patrzyła, jak cały entuzjazm znika z twarzy Bree.

– Nie, nie ma po co. Zostawmy to.

Ale było już za późno, jej siostra szła w jej kierunku.

– Dwieście czterdzieści dolarów, Bree. Sama to zdejmem, jeśli ty nie masz ochoty.

Jill, Alice i Lauren przyglądały się im, stojąc ze skrzyżowanymi na piersiach rękoma, aby ochronić się przed chłodem. Beth uklękła przed siostrą i zrobiła koszyczek ze splecionych dłoni. Bree po chwili wahania postawiła na nim swój ciężki, ubłocony but.

– To strata czasu – zauważyła Alice, po czym zerknęła na Jill. – Przepraszam, nie chodziło mi o wycieczkę, tylko o tę flagę.

– Och, daj im spróbować – powiedziała Lauren, patrząc na wspólny wysiłek bliźniaczek. – Nic nam to nie szkodzi. Kilka stów tyle znaczy, kiedy ma się dwadzieścia lat.

Jill spojrzała na Alice.

– Gdzie ci się spieszy?

– Chodzi o to, że w tym tempie będziemy rozbijać namioty nie tylko w ciemnościach, ale i w deszczu.

Jill podejrzewała, że Alice może mieć rację. Niebo stało się ciemniejsze i nie było już słycać nawoływania ptaków.

– Zaraz pójdziemy dalej. Pytałam o to, dlaczego chcesz wrócić jak najszybciej do Melbourne. Mówiłaś, że musisz na coś zdążyć?

– Och. – Nastąpiła niezręczna cisza, a po chwili Alice machnęła ręką. – To nic takiego.

– Chodzi o rozdanie nagród w Endeavour Ladies' College – wyjaśniła Lauren, a Alice rzuciła jej spojrzenie, które umknęło Jill.

– Naprawdę? No cóż, nie martw się, dowieziemy cię na czas – odparła Jill. – Jaką nagrodę zdobyła Margot?

Za każdym razem, kiedy Jill widziała córkę Alice, miała dziwne wrażenie, że jest przez nią oceniana. Oczywiście opinia jakiejś szesnastolatki nie miała dla Jill żadnego znaczenia – przynajmniej już od jakichś trzydziestu pięciu lat – ale w chłodnym spojrzeniu Margot Russell było coś podejrzanie niepokojącego.

– Z tańca – odpowiedziała Alice.

– To miło.

– Mhmm – mruknęła Alice, która, jak pamiętała Jill, zrobiła magisterium na kierunku handel i zarządzanie.

Jill skierowała uwagę na Lauren. Nigdy nie poznała jej córki, ale wiedziała, że chodzi do tej samej szkoły co córka Alice. Nieraz słyszała, jak narzekała na wysokość czesnego. Jill sięgnęła do głębokich pokładów pamięci, ale nie była w stanie przywołać imienia dziewczyny.

– Czy ty też musisz tam zdążyć? – zapytała w końcu.

Lauren nie odpowiedziała od razu.

– Nie. Nie w tym roku.

W tym momencie rozległ się cichy okrzyk radości i Jill z ulgą zobaczyła, że siostrom udało się ściągnąć flagę.

– Dobra robota, moje panie – pochwaliła je. Bree cała promieniała, nawet Beth się uśmiechnęła. Jill zwróciła uwagę, że to bardzo zmieniło wygląd jej twarzy. Powinna robić to częściej.

– No nareszcie – powiedziała Alice niby do siebie, jednak tak, żeby wszystkie słyszały. – Przykro mi, ale naprawdę nie dotrzemy do obozowiska przed nocą, jeśli się nie pospieszymy.

– Tak, dzięki, Alice, już to mówiłaś – odparła Jill i obróciła się do sióstr. – Pierwszorzędna praca zespołowa.

Alice ruszyła już dalej, ale Bree uśmiechała się nadal i gdyby Jill nie знаła jej dobrze, mogłaby nie zauważyć drgnięcia w jednym kącie jej ust.

Alice miała rację. Obozowisko było pogrążone w zupełnych ciemnościach, kiedy tam w końcu dotarły. Ostatni kilometr pokonały w ślimaczym tempie, szukając drogi przy świetle latarki i zatrzymując się co chwila, żeby sprawdzić mapę.

Jill spodziewała się, że gdy w końcu dotrą na polanę, poczują ulgę, ale nawet na to była zbyt wykończona. Nogi ją bolały, a oczy były zmęczone od wpatrywania się w ciemności. Trudno było stwierdzić, ale miejsce wyglądało na większe, niż przypuszczała. Ze wszystkich stron otaczały je kołyszące się na wietrze eukaliptusy, których gałęzie na tle nocnego nieba wyglądały niczym czarne palce. Nie było gwiazd.

Jill położyła plecak na ziemi, zadowolona, że może uwolnić się od jego ciężaru. Zrobiła krok w tył, zawadziła o coś piętą i upadła z krzykiem.

– Co to było? – Światło latarki oślepiło Jill. Szybko zdławiony śmiech zaskoczenia. Alice. – O rany, Jill. Przestraszyłaś mnie. Nic ci się nie stało?

Jill pozwoliła, żeby któraś złapała ją za ramię.

– Chyba znalazłaś palenisko. – Bree. Oczywiście. – Pozwól, że ci pomogę.

Jill poczuła, jak Bree ugięła się pod jej ciężarem, pomagając jej stanąć na nogi.

– Wszystko w porządku, dziękuję. – Czuła, że obtarła sobie rękę, pewnie leciała jej krew. Zaczęła szukać latarki, ale kieszeń jej kurtki była pusta.

– Cholera.

– Zraniłaś się? – Bree nadal stała obok niej.

– Musiałam upuścić latarkę. – Spojrzała na miejsce swojego upadku, ale było zbyt ciemno, żeby coś zobaczyć.

– Pójdę po moją. – I Bree poszła, nie czekając na odpowiedź. Jill słyszała, jak przetrząsa plecak.

– Proszę. – Głos pojawił się znikąd, tuż przy jej uchu, i Jill podskoczyła.

Beth. – Weź moją.

Jill poczuła przedmiot złożony w jej rękach. Przemysłowa metalowa latarka – długa i ciężka.

– Dzięki. – Jill nieporadnie szukała włącznika. Silny strumień światła przeciął noc i oświetlił Alice. Kobieta drgnęła i podniosła ręce, żeby osłonić oczy.

– Jezu, ale to świeci.

Jill zwlekała o ułamek sekundy dłużej, niż powinna, zanim skierowała snop światła na nogi Alice.

– Spełnia swoje zadanie pierwszorzędnie. Jeszcze będziemy się z tego cieszyć.

– Pewnie tak. – Alice zrobiła jeden krok i znikła w ciemnościach.

Jill powoli przeszukiwała miejsce swojego upadku. Białe światło niwelowało większość kolorów i pograżało wszystko w monochromatycznych cieniach. Ścieżka, którą przyszły, wyglądała na wąską i nierówną, a palenisko u jej stóp było czarne w środku. Polana była ze wszystkich stron otoczona milczącym kręgiem drzew, których pnie połyskiwały w świetle latarki. Dalej busz tonął w nieprzebranym mroku. W pewnym momencie Jill dostrzegła jakiś cień i zatrzymała się. Wróciła w tamto miejsce snopem światła, tym razem znacznie wolniej.

Szczupła postać stała bez ruchu na skraju polany. Jill podskoczyła i niemal znów się przewróciła, kreśląc chaotyczne wzory światłem latarki. Udało jej się jednak złapać równowagę. Kiedy ponownie skierowała latarkę w tamtą stronę, światło nieznacznie drgało.

Jill odetchnęła z ulgą. To tylko Lauren. Jej wysoka szczupła sylwetka niemal zlewała się z zarysem drzew i ciemnymi przestrzeniami między nimi.

– O Boże, Lauren, ale mnie nastraszyłaś – zawołała Jill. Jej puls nadal nie zwalniał. – Co tam robisz?

Lauren stała odwrócona tyłem do grupy i wpatrywała się w ciemności.

– Lau...

Podniosła rękę.

– Ciii.

Wszystkie usłyszały to jednocześnie. Trzask. Jill wstrzymała oddech, w jej uszach dzwoniła cisza. Nic. A później kolejny trzask. Tym razem nie ulegało wątpliwości, że był to dźwięk gałązek łamiących się pod czyimiś stopami.

Jill zrobiła szybki krok w tył. Lauren odwróciła się, jej twarz w ostrym świetle latarki była szara.

– Tam ktoś jest.

Rozdział 5

– Daniel Bailey? – zapytał King, patrząc to na Falka, to na Carmen. – Dlaczego się nim interesujecie?

Na odległym końcu drogi wiatr podrywał w górę tumany kurzu i liści. Falk patrzył za kolejną grupą poszukiwaczy ruszających w busz. Wydawało mu się, że Melbourne było bardzo, bardzo daleko.

– To ściśle poufne – powiedział Falk i poczekał, aż King skinął głową.

– Oczywiście.

– Chodzi o pranie pieniędzy. Nic pewnego.

– W BaileyTennants?

– Tak sądzimy. – Śledztwo obejmowało również wiele innych biur rachunkowych.

– Wydawało mi się, że to miała być bardzo szacowna firma. Od pokoleń w rękach jednej rodziny i tak dalej.

– Cóż, uważamy, że proceder zaczął się jeszcze za czasów ojca Jill i Daniela.

– Naprawdę? – King uniósł brew. – Czyli przekazał im to w spadku?

– Coś w tym rodzaju.

– Czy to wygląda bardzo źle? – dociekał King. – Trochę kreatywnej księgowości czy...

– Podejrzenia są bardzo poważne – odparła Carmen. – Działania zorganizowane. Na wysokim szczeblu. Długotrwałe.

Prawda była taka, że ani Falk, ani Carmen nie wiedzieli, na jaką skalę było zakrojone całe śledztwo. Im została przydzielona sprawa BaileyTennants – otrzymali tylko takie informacje, jakie były im potrzebne. Firma stanowiła trybik w większej maszynie, tyle wiedzieli. Jak wielka ona była, tego nikt nie uznał za stosowne im powiedzieć. Podejrzewali, że zasięg

był państwowy, być może nawet międzynarodowy.

King zmarszczył brwi.

– Więc Alice zwróciła się do was, żeby kogoś wsypać?

– To my zwróciliśmy się do niej – sprostował Falk. I to niekoniecznie był słuszny wybór, ale w świetle zgromadzonych informacji tak się wówczas wydawało. Zajmowała odpowiednio wysokie stanowisko, żeby mieć dostęp do dokumentów, których potrzebowali, i tkwiła w tym po uszy, co umożliwiało im wywieranie nacisku. I nie była nikim z rodziny Baileyów.

– Czyli ścigacie Daniela i Jill?

– Tak – potwierdziła Carmen. – I Leo, ich ojca.

– On już chyba od dawna jest na emeryturze, nie?

– Nadal działa. Rzekomo.

King pokiwał głową, ale w jego oczach Falk dostrzegł spojrzenie, które tak dobrze znał. Większość ludzi stawiała pranie pieniędzy gdzieś między kradzieżą w sklepie a niepłaceniem podatków. Oczywiście, nie należy tego robić, ale policja nie powinna trwonić swojego cennego czasu i zasobów na ściganie garstki bogaczy, którzy chcą dorobić się jeszcze bardziej.

To chodzi o coś więcej, czasem Falk próbował tłumaczyć, jeśli czas i miejsce temu sprzyjały, a spojrzenie danej osoby nie było zbyt szkliste. Jeśli ukrywa się znaczącą ilość pieniędzy, to zawsze jest ku temu powód. Idealnie czyste białe kołnierzyki coraz bardziej się brudzą, aż w końcu są po prostu czarne. Falk tego nienawidził. Nienawidził wszystkiego, co się z tym wiązało. Nienawidził mężczyzn w eleganckich gabinetach, którzy umywali ręce, aż po łokcie, tłumacząc sobie, że to odrobina kreatywnej księgowości. A następnie za swoje premie kupowali sobie posiadłości i drogie samochody i udawali, że nie mają najmniejszego pojęcia, co znajduje się na drugim końcu tego wszystkiego. Narkotyki. Nielegalna broń. Wyzysk dzieci. Szczegóły się zmieniały, ale wspólną walutą było zawsze ludzkie nieszczęście.

– Czy Baileyowie wiedzą, że toczy się przeciwko nim śledztwo? –

zapytał King, a Falk spojrział na Carmen. Oni sami cały czas zadawali sobie to pytanie.

– Nie mamy żadnych powodów, żeby tak sądzić – powiedział w końcu Falk.

– Oprócz tego, że wasza informatorka zadzwoniła do ciebie w noc swojego zniknięcia.

– Oprócz tego.

King potarł brodę, wpatrując się w busz.

– Co to wszystko dla nich oznacza? – zapytał po dłuższej chwili. – Alice Russell daje wam, czego potrzebujecie, i co wtedy? Oni tracą swoją firmę?

– Nie, jeśli sprawy potoczą się po naszej myśli, Baileyowie pójdą siedzieć. A firma zostanie zamknięta.

– Czyli wszyscy pracownicy stracą pracę?

– Tak.

– Nie wyłączając tych kobiet, które były tutaj na wycieczce?

– Tak.

King wyglądał na niewzruszonego.

– I co Alice Russell o tym myślała?

– Prawdę powiedziawszy – wtrąciła się Carmen – nie miała dużego wyboru. Jeśliby nam nie pomogła, postawiłaby się w jednym rzędzie z Baileyami.

– Jasne. – King zastanawiał się przez chwilę. – I to trwało już od jakiegoś czasu, tak?

– Współpracowaliśmy z nią bezpośrednio od trzech miesięcy – odparł Falk.

– To dlaczego chciała się z tobą skontaktować wczoraj w nocy? – dociekał King. – Skąd ta nagła potrzeba?

Carmen westchnęła.

– Dokumenty, które Alice przekazała nam do tej pory, miały zostać przekazane szerszemu zespołowi śledczemu – powiedziała. – Dzisiaj.

– Tak. Nadal czekamy na bardzo ważne informacje od Alice, ale to, co już otrzymaliśmy, wystarczy, żebyśmy przekazali to dalej.

– I zrobiliście to? Posłaliście je dalej?

– Nie – odparła Carmen. – Kiedy to zrobimy, nie będziemy już mieć na nic wpływu. Alice też nie. Chcieliśmy się najpierw zorientować w sytuacji tutaj.

– Myślicie, że chciała się wycofać? – zapytał King.

– Nie mamy pojęcia. To możliwe. Ale gdyby to zrobiła, nie miałyby już wyjścia. Czekaloby ją oskarżenie. Musiałaby mieć cholernie dobry powód. – Carmen zawahała się. – Albo znalazła się w sytuacji podbramkowej.

Cała trójka skierowała spojrzenia na ciemny krajobraz, w którym nadal tkwiła Alice Russell.

– Czego wam jeszcze nie dała?

– Wciąż czekamy na serię dokumentów handlowych – powiedział Falk. – Bardzo starych. – Oficjalnie były to dokumenty od BT-51X do BT-54X, ale on i Carmen mówili o nich po prostu „umowy”. – Potrzebujemy ich, żeby móc powiązać ze sprawą ojca Daniela i Jill.

To, co wydarzyło się w przeszłości, miało fundamentalne znaczenie, powiedziano Falkowi i Carmen. To Leo Bailey nadał interesom obecny kształt i to on nawiązał kontakty z osobami, przeciw którym toczyło się śledztwo. Choć zdarzyło się to wiele lat temu, nadal miało wpływ na teraźniejszość.

King zamilkł. W oddali słyszeli dźwięk helikoptera.

– Wszystko jasne – powiedział, zebrawszy myśli. – W tej chwili moim jedynym priorytetem jest Alice Russell. Muszę ją znaleźć i zapewnić jej bezpieczeństwo. Zazwyczaj ludzie gubią się tutaj, ponieważ zbczyli ze szlaku, i tego na razie się trzymam. Ale jeśli to, że rozmawiała z tobą, mogło przysporzyć jej problemów wśród towarzyszek wycieczki, to cieszę się, że mogłem się o tym dowiedzieć. Dzięki, że byliście ze mną szczerzy.

Sierżant najwyraźniej chciał już wrócić do swoich obowiązków. Na jego

twarzy odmalował się dziwny wyraz, przypominający ulgę. Falk przyglądał się mężczyźnie przez chwilę, aż w końcu zapytał:

– Co jeszcze?

– Co?

– Co jeszcze masz nadzieję, że się nie wydarzyło? Żaden z tych scenariuszy nie brzmi dla mnie dobrze.

– Nie. – King nie spojrzał mu w oczy.

– To co jest jeszcze gorszego?

Sierżant przestał się kręcić i spojrzał na drogę. Poszukiwacze zniknęli w lesie, nigdzie już nie przeświecały ich pomarańczowe kamizelki. Przedstawiciele mediów stali w bezpiecznej odległości. Pochylił się ku nim i westchnął:

– Kovac. To byłoby zdecydowanie gorsze.

Spojrzeli na niego zdziwieni.

– Kovac nie żyje – zauważyła Carmen.

– Martin Kovac nie żyje. – King przeciągnął językiem po zębach. – Nie jesteśmy jednak pewni, jak się sprawy mają z jego synem.

Dzień 1: Czwartkowa noc

Lauren miała ochotę krzyczeć.

To byli tylko mężczyźni z drugiej grupy. Z łomoczącym sercem i kwaśnym smakiem w ustach patrzyła, jak wychodzą spomiędzy drzew, szczerząc się w uśmiechach i niosąc butelki wina. Prowadził ich Daniel Bailey.

– Udało ci się w końcu dojechać? – warknęła na niego. Adrenalina dodała jej odwagi.

Daniel zwolnił.

– Tak.

Przymrużył oczy i w pierwszej chwili Lauren myślała, że jest zły, ale szybko dotarło do niej, że po prostu próbuje przypomnieć sobie jej imię. Uratowało go zjawienie się jego siostry.

– Daniel, co wy tutaj robicie? – Nie dało się odgadnąć, czy Jill była zaskoczona czy zirytowana obrotem spraw. Jak zawsze zachowywała twarz zawodowego pokerzysty.

– Pomyśleliśmy, że przyjdziemy się z wami przywitać. Sprawdzimy, jak sobie radzicie. – Patrzył siostrze w oczy. – Przepraszam, przestraszyliśmy was?

Być może Daniel potrafił rozszyfrować swoją siostrę lepiej niż inni, pomyślała Lauren. Jill nie odpowiedziała i po prostu czekała.

– Czy wszystkie macie się dobrze? – kontynuował Daniel. – Nasz obóz jest zaledwie o kilometr stąd. Przynieśliśmy coś do picia. – Spojrzał na pozostałych czterech mężczyzn, którzy posłusznie podnieśli w górę butelki wina. – Niech któryś pomoże dziewczynom rozpalić ogień.

– Poradzimy sobie – zapewniła Jill, ale Daniel tylko machnął ręką.

– W porządku. To nie problem.

Zwrócił się do siostry i Lauren patrzyła, jak odchodzą. Podeszła do paleniska, gdzie chudy mężczyzna z działu marketingu próbował wzniecić ogień, podpalając kupkę mokrych liści.

– Nie w ten sposób. – Lauren zabrała mu zapałki i poszła na skraj polany, aby zebrać trochę gałązek, które przed zawilgnięciem osłoniło powalone drzewo. Słyszała Alice instruującą bliźniaczki, jak rozłożyć namioty. Wyglądało na to, że sama im nie pomaga.

Przykucnęła przy palenisku, starając się sobie przypomnieć, jak się do tego zabrać. Ustawiła stożek z gałązek nad podpałką i przyjrzała się mu uważnie. Wyglądało dobrze. Lauren zapaliła zapałkę i wstrzymała oddech, a gałązki zajęły się ogniem w pomarańczowym blasku.

– Gdzie się tego nauczyłaś? – zapytał marketingowiec.

– Na szkolnym obozie.

Coś zaszeleściło w zaroślach i w świetle ogniska stanęła Alice.

– Hej. Namioty gotowe. Bree i Beth śpią w jednym, więc my mamy drugi na spółkę. Dla Jill jest jednoosobowy. – Skinęła głową w kierunku ogniska, rysy jej twarzy były zniekształcone przez pełgające płomienie. – Dobra robota, wyciągnijmy jedzenie.

– Powinniśmy poczekać na Jill?

Polana była rozległa i Lauren zlokalizowała szefową dopiero po chwili. Stała na skraju ze swoim bratem, zupełnie pogrążona w rozmowie. Jill coś mówiła, a Daniel potrząsał głową.

– Są zajęci – zauważyła Alice. – Zaczynajmy. I tak to my musiałybyśmy to zrobić, Jill nie umie gotować nad ogniskiem.

To pewnie prawda, pomyślała Lauren, a Alice zaczęła wyciągać garnki, ryż i gulasz wołowy do ugotowania w woreczku.

– Pamiętam, jak na obozie obiecywałam sobie, że już nigdy więcej tego nie zrobię, ale z tym jest jak z jazdą na rowerze, prawda? – powiedziała Alice kilka minut później, kiedy woda zaczęła się gotować. – Czuję się, jakbyśmy znowu byli w szkolnych mundurkach.

Zapach eukaliptusów, drewna z ogniska oraz obecność Alice sprawiły, że w pamięci Lauren odżyły wspomnienia sprzed trzydziestu lat. Obóz McAllaster.

Położony w buszu kampus Endeavour Ladies' College nadal zajmował poczesne miejsce w błyszczącej broszurze informacyjnej szkoły. Możliwość – jak najbardziej obowiązkowa – dla uczennic dziewiątej klasy, żeby spędzić cały rok w tej odległej lokalizacji. Program został ułożony tak, żeby kształtować charakter, wytrzymałość i zdrowy szacunek dla australijskiej przyrody. I – co delikatnie sugerowano między starannie napisanymi wierszami – aby trzymać nastoletnie dziewczynki z dala od wszystkiego, do czego ciągnie młodzież w tym wieku.

Piętnastoletnia Lauren tęskniła za domem począwszy od pierwszego dnia

pobytu, a od drugiego cała była pogryziona przez komary i wszędzie miała odciski. Była w złej kondycji fizycznej, a wiek, w którym można było to nazwać dziecięcym tłuszczkiem, dawno już minął. Pierwszy, bardzo długi tydzień zakończyła z zawiązanymi oczami. *Jaki był sens zabawy w zaufanie, skoro nie ufała żadnej koleżance?*

Wiedziała, że została wyprowadzona z głównego obozu w kierunku buszu, co wywnioskowała z szelestu liści pod nogami, ale nic poza tym. Mogła znajdować się na skraju urwiska lub stać tuż nad brzegiem rzeki. Wyczuwała ruch wokół, słyszała chichot. Gdy wyciągnęła rękę przed siebie, trafiła na powietrze. Zrobiła niepewny krok w przód, co niemal kosztowało ją upadek, ponieważ potknęła się na nierównym gruncie. Nagle czyjaś ręka złapała ją za ramię. Poczowała ciepło oddechu na policzku i usłyszała głos:

– Mam cię. Tędy. – To była Alice Russell.

To był pierwszy raz, kiedy Alice należycie odezwała się do Lauren, ale rozpoznała jej głos bez problemu. Lauren, wówczas gruba i samotna, nadal pamiętała mieszaninę zdumienia i ulgi, kiedy Alice ją złapała. Teraz, niemal trzy dekady później, patrzyła na nią przez ognisko i zastanawiała się, czy ona również myśli o tym samym.

Lauren chciała coś powiedzieć, ale usłyszała, że ktoś podchodzi do ogniska. Za jej ramieniem w pomarańczowym blasku pojawiła się twarz Daniela.

– Rozpalili wam ogień? Dobrze. – W świetle ogniska jego źrenice były bardzo czarne. Wepchnął Lauren do ręki butelkę czerwonego wina. – Na zdrowie. Alice, muszę zamienić z tobą słowo.

– Teraz? – Alice ani drgnęła.

– Tak. Proszę. – Położył delikatnie dłoń na jej plecach. Po chwili wahania Alice pozwoliła, aby zaprowadził ją na bok. Lauren patrzyła, jak niemal zniknęli wśród drzew okalających polanę, pochłonięci przez cienie. Jeszcze przez moment słyszała niski tembr głosu Daniela, zanim zlał się z resztą

dźwięków.

Obróciła się z powrotem do paleniska i sprawdziła posiłki gotujące się w woreczkach. Były gotowe. Otworzyła je i do każdego dosypała dokładnie taką samą ilość ryżu.

– Kolacja gotowa – powiedziała właściwie do nikogo.

Pierwsza zjawiała się Bree, trzymając w ręku zdobytą flagę. Za nią podążało dwóch mężczyzn.

– Zobaczyłam ją na drzewie, tuż przy ścieżce – mówiła do nich. – Może przegapiliście swoją.

Policzki miała zaróżowione i popijała z plastikowego kubeczka. Wzięła swój woreczek z jedzeniem.

– Dziękuję. Wspaniale. – Zajrzała do środka i mina lekko jej zrzędała.

– Nie lubisz wołowiny? – zapytała Lauren.

– Lubię. Nawet bardzo. Nie o to chodzi, ja po prostu... – Bree urwała. – Wygląda pysznie. Dziękuję.

Lauren patrzyła, jak Bree wzięła do ust niewielką ilość jedzenia. Samo mięso, bez ryżu. Bez trudu rozpoznawała, kiedy ktoś unika węglowodanów nocą. Chciała coś powiedzieć, ale ugryzła się w język. To nie była jej sprawa.

– Jeśli wasza kolacja smakuje tak jak nasza, będziecie musiały czymś przepłukać usta – powiedział jeden z mężczyzn, pochylając się nad Bree. Napełnił ponownie jej kubek, zanim zdążyła odpowiedzieć.

Lauren obserwowała ich kątem oka, kiedy sama siadła na kłodzie koło ogniska, żeby zjeść. Otworzyła woreczek, w którym czekały na nią ryż i wołowina. Powinna to zjeść, ale zamiast tego rozejrzała się dookoła. Nikt na nią nie patrzył. Nikomu nie robiło to różnicy. Odłożyła widelec.

Na Lauren padł cień, więc podniosła wzrok.

– Czy też mogę dostać jedzenie? – zapytała Beth.

– Oczywiście.

– Dzięki, umieram z głodu. – Skinęła głową na kłodę. – Mogę tu usiąść?

Lauren posunęła się i poczuła, jak drewno trzeszczy i ugina się pod jej ciężarem. Beth jadła szybko, przyglądając się, jak jej siostra bryluje wśród mężczyzn. Bree odchyliła długą białą szyję i wychyliła zawartość kubka. Natychmiast został on napełniony ponownie.

– Zwykle nie lubi pić tak dużo – powiedziała Beth, jeszcze z pełnymi ustami. – Alkohol uderza jej do głowy.

Lauren przypomniała sobie o butelce, którą wcisnął jej Daniel, i zaproponowała ją Beth.

– Nie, dziękuję.

– Też nie lubisz pić?

– Lubię, aż za bardzo.

– Och. – Lauren nie potrafiła stwierdzić, czy był to żart, czy nie. Jej rozmówczynie się nie uśmiechała.

– Będzie ci przeszkadzało, jak zapalę? – Beth zgmiotła pusty woreczek po jedzeniu i wyciągnęła paczkę papierosów.

Lauren nie miała ochoty wdychać dymu papierosowego, ale potrząsnęła głową. Były przecież na zewnątrz, niech sobie zapali. Razem wpatrywały się w płomień. Śmiechy i dźwięki rozmów wokół stawały się tym głośniejsze, im więcej przybywało opróżnionych butelek. Jeden z mężczyzn przestał na chwilę adorować Bree i podszedł do nich.

– Mogę pożyczyć papierosa? – zapytał. Beth zgodziła się nie bez wahania. – Dzięki – powiedział, biorąc dwa. Jednego włożył do ust, a drugiego schował do kieszeni na później. Zanim zdążył zaciągnąć się po raz pierwszy, już obrócił się do nich plecami. Lauren zauważyła, że Beth odprowadziła go wzrokiem, kiedy wracał do jej siostry.

– Jak ci się podoba w BaileyTennants?

Beth wzruszyła ramionami.

– Jest dobrze. Wszystko w porządku.

Starła się, żeby ton jej głosu brzmiał entuzjastycznie, ale nie do końca jej się to udało. Lauren nie miała jej tego za złe. Praca w archiwum była

wyjątkowo źle płatna, nawet jak na początek kariery w firmie, a dodatkowo oznaczało to ciągle przebywanie pod ziemią. Za każdym razem, kiedy Lauren zjeżdżała tam w jakimś celu, wracała stęskniona za światłem słonecznym.

– Cieszysz się, że pracujesz z siostrą?

– No, bardzo. – Tym razem w jej głosie brzmiała prawdziwa radość. – To dzięki niej dostałam tę pracę. Poleciała mnie.

– Gdzie pracowałaś wcześniej?

Beth posłała jej takie spojrzenie, że Lauren zrozumiała, że nie powinna była pytać.

– Miałam chwilową przerwę.

– Och.

Beth zaciągnęła się i wypuściła kłęb dymu.

– Przepraszam. Jestem po prostu wdzięczna, że mam tę pracę. To wszystko. – Pokazała ręką na polanę. – To nie jest raczej w moim stylu.

– Nie jestem pewna, czy to jest w czyimkolwiek stylu. No, chyba że Daniela.

Lauren przypomniała sobie nagle o Alice i rozejrzała się za nią. Miejsce, gdzie stała wcześniej z Danielem, było puste. Ich szef stał teraz na drugim końcu polany i razem ze swoją siostrą przyglądał się uczestnikom wyprawy. Alice nie było nigdzie widać.

W oddali zabrzmiał grzmot i twarze wszystkich obróciły się ku niebu. Lauren poczuła kroplę deszczu na twarzy.

– Idę sprawdzić, czy mój plecak jest w namiocie – powiedziała, a Beth skinęła głową.

Torowała sobie drogę przez ciasno napięte odciążki. Siostry wykonały kawał świetnej roboty z rozstawieniem namiotów, pomyślała, kuczając i rozpinając wejście.

– Alice!

Alice podskoczyła. Siedziała po turecku na środku namiotu z opuszczoną

głową, a jej twarz rozświetlała niebieska poświata. Na kolanach trzymała telefon komórkowy.

– Cholera! – Alice przycisnęła telefon do piersi. – Przestraszyłaś mnie.

– Przepraszam. Wszystko dobrze? Jedzenie jest gotowe, jeśli chcesz.

– Wszystko w porządku.

– Na pewno? Co robisz?

– Nic. Naprawdę, wszystko dobrze. Dzięki. – Nacisnęła przycisk i ekran telefonu się wyłączył, w namiocie zapanowała ciemność. Jej głos brzmiał dziwnie. Lauren przeszło przez myśl, że chyba płakała.

– Czego chciał Daniel? – zapytała.

– Nic. Coś z programem dla AGM.

– To nie mogło poczekać?

– Oczywiście, że mogło, ale sama znasz Daniela.

– Och. – Lauren zaczęły boleć kolana od klęczenia w przejściu. Czowała, jak krople deszczu uderzają w materiał tuż nad jej głową.

– To twoja komórka? Wydawało mi się, że ją oddałaś.

– To była służbowa. Hej, a ty masz swoją?

– Nie, mieliśmy je zostawić.

Krótki, szorstki śmiech.

– No i ty posłuchałaś. To bez znaczenia. I tak nie ma tutaj zasięgu.

– Do kogo chcesz się dodzwonić?

– Do nikogo. – Chwila ciszy. – Do Margot.

– Wszystko w porządku?

– Tak. – Alice odchrząknęła. – Tak, wszystko w porządku. Wszystko u niej dobrze.

Nacisnęła przycisk i ekran znów się rozświetlił. Jej oczy były zdecydowanie zbyt błyszczące.

– Nadal brak sygnału?

Cisza.

– Na pewno wszystko gra?

– Tak. Ja tylko... – Dźwięk telefonu rzuconego na śpiwór. – Po prostu muszę się dodzwonić.

– Margot ma szesnaście lat, Alice. Zostawiłaś ją tylko na parę dni. I tak zobaczysz ją w niedzielę. Podczas wręczania nagród. – Lauren usłyszała w swoim głosie gorzką nutę, jednak Alice chyba nie zwróciła na to uwagi.

– Chcę się tylko upewnić, że nic jej nie jest.

– Ależ oczywiście, że nic jej nie jest. Margot sobie poradzi. Margot zawsze sobie radzi. – Lauren zmusiła się, żeby wziąć głęboki oddech. Nie ulegało wątpliwości, że Alice jest wzburzona. – Dobrze cię rozumiem. Też się niepokoję o Rebeccę. – To było mało powiedziane. Czasami Lauren czuła, jakby nie przespała ani jednej nocy w całości, odkąd szesnaście lat wcześniej urodziła córkę.

Cisza. Niebieska poświata telefonu ponownie rozświetliła wnętrze namiotu.

– Alice?

– Słyszałam. – Alice zdawała się rozkojarzona. Na jej twarzy malowało się napięcie.

– Przynajmniej wszystko wskazuje na to, że Margot sobie radzi. Ta nagroda za taniec i w ogóle. – Gorycz znów zagościła w głosie Lauren.

– Może. Ja tylko... – Lauren usłyszała, że Alice wzdycha. – Ja po prostu chciałam dla niej lepiej.

– Zgoda. No cóż, wiem, jak się czujesz. – Lauren pomyślała o swojej własnej córce w domu. Była pora kolacji. Próbowwała sobie wyobrazić, co ona może teraz robić, i znajome uczucie ścisnęło jej żołądek.

Alice potarła oczy nasadą dłoni. Nagle uniosła głowę.

– Dlaczego jest tak cicho?

– Pada. Impreza się skończyła.

– Daniel idzie?

– Myślę, że jak oni wszyscy.

Alice przepchnęła się obok niej, zahaczając butem o jej palec. Lauren

ruszyła za nią, pocierając obolałą rękę. Na polanie było prawie pusto. O obecności bliźniaczek świadczył jedynie snop światła latarki przeświecający przez materiał namiotu. Jill stała na środku w kurtce zapiętej pod brodę i kapturze naciągniętym na głowę. Grzebała widelcem w swoim jedzeniu i patrzyła na dogorywające w deszczu ognisko. Spojrzała na nie.

– Tu jesteście! Proszę cię, Alice, powiedz, że nie łamiesz żadnych zasad.

Cisza.

– Słucham?

Jill skinęła w kierunku ręki Alice.

– Telefony nie są dozwolone.

Lauren usłyszała, jak Alice ciężko wzdycha.

– Wiem. Przepraszam. Nie zdawałam sobie sprawy, że miałam go w plecaku.

– Nie pozwól, żeby Bree i Beth go zobaczyły. Zasady są dla wszystkich takie same.

– Wiem.

– Jest tu zasięg?

– Nie.

– No cóż. Czyli i tak ci w niczym nie pomoże.

Rozdział 6

Falk i Carmen wpatrywali się w Kinga. Helikopter przeleciał tuż nad ich głowami.

– Nie wiedziałem, że Kovac miał syna – wydusił w końcu z siebie Falk.

– No cóż, nie był to idealny rodzinny układ. Dzieciak teraz miałby trzydzieści lat. Owoc przelotnego romansu Kovaca z barmanką z pubu, w którym bywał. Wpadli z tym chłopcem, Samuelem – Samem. Kovac zaskoczył wszystkich, przyznając się do ojcostwa. Nie jest to coś, czego można oczekiwać od świra. – King westchnął. – Wylądował w więzieniu, kiedy chłopiec miał jakieś cztery, pięć lat. Matka miała problemy z alkoholem i chłopiec wędrował od jednej rodziny zastępczej do drugiej. Pojawił się na naszym radarze ponownie jako prawie dwudziestolatek, kiedy zaczął odwiedzać ojca w więzieniu – nikt inny oprócz niego tego nie robił. Straciliśmy go z oczu jakieś pięć lat temu. Zaginął, najprawdopodobniej nie żyje.

– Najprawdopodobniej? Czyli nie udało się tego potwierdzić? – zapytała Carmen.

– Nie. – King spojrzał na grupę poszukiwaczy, która wyłoniła się z buszu. Ich twarze nie zwiastowały żadnych dobrych wiadomości. – Był drobnym rzezimieszkiem z ambicjami przekraczającymi jego możliwości. Maczał palce w handlu narkotykami, usiłował zadawać się z gangami motocyklowymi. Było tylko kwestią czasu, zanim pójdzie w ślady ojca i wyląduje w więzieniu z jakiegoś powodu lub też wkurzy niewłaściwą osobę i za to zapłaci. Nasi ludzie w Melbourne próbują coś ustalić. –

Uśmiechnął się niewesoło. – Byłoby lepiej, gdyby zostało to zrobione od razu, ale kiedy taki gość jak Sam Kovac znika, nikomu nie jest przykro. Jediną osobą, którą obchodził, był jego ojciec.

– Dlaczego myślisz, że Sam Kovac może mieć coś wspólnego ze sprawą Alice Russell? – zapytał Falk.

– Ja tak wcale nie myślę. Nie biorę tego pod uwagę. Ale zawsze istniała teoria, że Martin Kovac miał gdzieś w buszu bazę. Miejsce, w którym mógł się przyczaić. W tamtym czasie sądzono, że musiało to być niedaleko obszaru, gdzie zostały uprowadzone ofiary, jednak nigdy go nie znaleziono. – Zmarszczył brwi. – Z opisu, który przedstawiły kobiety, wynika, że jest pewna szansa, że chata, którą znalazły, mogła być powiązana z Kovakiem.

Falk i Carmen spojrzeli na siebie.

– Jak na to zareagowały? – zapytała Carmen.

– Nie powiedzieliśmy im tego. Doszliśmy do wniosku, że nie ma sensu martwić ich bardziej, niż w danym momencie jest to konieczne.

– Nie macie pojęcia, gdzie jest ta chata?

– One sądzą, że jest gdzieś „na północy”. Ale to „na północy” to cholernie rozległy obszar. Setki hektarów, o których nie mamy dużej wiedzy.

– Czy możecie zawęzić teren poszukiwań dzięki sygnałowi z telefonu Alice? – zapytał Falk, ale King tylko potrząsnął głową.

– Gdyby znajdowały się na jakimś wzniesieniu, to może by się dało. Niestety wygląda na to, że tak nie było. Są takie miejsca, gdzie może ci się poszczęścić, ale nie rządzi tym żadna logika. Czasem sygnał pojawia się na zaledwie kilku metrach kwadratowych.

Ktoś zawołał Kinga i sierżant dał znać ręką, że już idzie.

– Przepraszam, muszę wracać do pracy. Porozmawiamy później.

– Czy reszta pracowników BaileyTennants nadal tu jest? Możliwe, że będziemy musieli zamienić z nimi słowo – rzuciła Carmen, idąc za nim.

– Poprosiłem kobiety, żeby jeszcze przez jakiś czas zostały. Wszyscy mężczyźni, oprócz Daniela Baileya, wrócili do Melbourne. Jeśli to wam ułatwi śledztwo, możecie powiedzieć, że mi pomagacie. Oczywiście pod warunkiem, że wszystkim się ze mną podzielicie.

– Zgoda.

– Chodźcie, przedstawię was Ianowi Chase’owi. – King podniósł rękę, a młody mężczyzna w czerwonym polarze odłączył się od grupy poszukiwaczy i podszedł do nich. – To on zajmuje się tutaj wycieczkami Executive Adventures. – Niemal się uśmiechnął. – Niech sam wam opowie, jak to wszystko jest niezawodnie urządzone.

– To naprawdę łatwe, jeśli się przestrzega zasad – mówił Ian Chase. Był szczupły, ale muskularny, miał ciemne włosy, a jego wzrok cały czas uciekał w kierunku buszu, jakby Alice Russell miała się z niego lada chwila wyłonić.

Byli z powrotem w schronisku, Carmen i Falk przyjechali swoim samochodem za minibusem Iana. Chase opierał się o drewniany znak wyznaczający początek szlaku. Wyżłobione litery układały się w nazwę Mirror Falls. Kręta ścieżka szybko zniknęła z pola widzenia w buszu.

– Z tego miejsca wyruszyła grupa kobiet – powiedział. – Szlak do wodospadów Mirror Falls nie należy do najcięższych w naszej ofercie. W ciągu roku wysyłamy nim z piętnaście grup i nigdy nie ma najmniejszych problemów.

– Nigdy? – dopytywał Falk. Chase przestąpił z nogi na nogę.

– No, może od czasu do czasu są. Zdarzają się grupy, które się spóźniają. Ale zazwyczaj dlatego, że idą powoli, a nie dlatego, że się gubią. Wystarczy, że przejdziesz się szlakiem w przeciwnym kierunku i spotykasz maruderów niedaleko ostatniego obozu, bo już nie chce im się nieść plecaków.

– Tym razem było inaczej – zauważyła Carmen.

– Tym razem było inaczej – powtórzył, potrząsając głową. – Zostawiamy jedzenie i picie w zamkniętych skrzyniach w drugim i trzecim obozowisku, żeby uczestnicy nie musieli wszystkiego nosić. Kiedy kobiety się nie zjawiły, kilku strażników tam poszło. Znają różne skróty, wiecie? Sprawdzili skrzynie w trzecim obozowisku i nic nie wskazywało, żeby one tam kiedykolwiek dotarły. Tak samo w drugim. Wtedy poinformowaliśmy

władze stanowe.

Wyciągnął mapę z kieszeni i wskazał grubą czerwoną linię zakręcającą delikatnie na północ, a kończącą się na zachodzie.

– To jest ten szlak. Zboczyły z niego pewnie gdzieś w tej okolicy. –
Dźgnął mapę w miejscu między krzyżykami oznaczającymi obozowiska. –
Jesteśmy niemal pewni, że poszły kangurzym szlakiem. Problem w tym,
gdzie trafiły, kiedy próbowały zawrócić po własnych śladach.

Falk przyjrzał się trasie. Na papierze wyglądała na łatwą, ale wiedział, że w buszu sprawy mają się inaczej.

– A którądy poszli mężczyźni?

– Zaczęli z miejsca oddalonego stąd o jakieś dziesięć minut jazdy. –
Chase wskazał inną trasę, zaznaczoną dla odmiany na czarno. Przez pierwszy dzień biegła niemal równoległe do czerwonej, po czym zakręcała na południe, aby skończyć w tym samym miejscu na zachodzie. – Faceci mieli godzinę opóźnienia na starcie, ale i tak zostało im mnóstwo czasu, żeby dotrzeć do pierwszego obozu. Najwyraźniej mieli go tak dużo, że postanowili jeszcze złożyć wizytę koleżankom.

Carmen uniosła brwi.

– Czy to normalne?

– Nie zachęcamy do tego, ale takie wypadki się zdarzają. Nie jest trudno przejść z jednego obozu do drugiego, jednak zawsze istnieje ryzyko związane z poruszaniem się poza szlakiem. Jeśli coś pójdzie źle, to nie będzie co do tego żadnych wątpliwości.

– Dlaczego mężczyźni wystartowali z opóźnieniem? – zapytał Falk. –
Myślałem, że wszyscy przyjechaliście razem z Melbourne?

– Wszyscy oprócz Daniela Baileya – doprecyzował Chase. – Nie dotarł na zbiórkę.

– Ach tak? A powiedział czemu?

Chase potrząsnął głową.

– Przede mną się nie tłumaczył. Przeprosił swoich kolegów. Powiedział,

że zatrzymały go interesy.

– Jasne. – Falk ponownie spojrział na mapę. – Czy oni wszyscy dostali to na początku wyprawy czy...

Chase ponownie potrząsnął głową.

– Wysłaliśmy im mapki z trasą kilka tygodni wcześniej, ale tylko po jednej na grupę z zaleceniem, żeby ich nie kopiowali. Oczywiście nie możemy im zabronić, ale to część procesu. Pozwala im docenić niedostępność zasobów tutaj, to że nie zawsze wszystko da się zastąpić. Dlatego też mają nie zabierać ze sobą telefonów. Chcemy, żeby polegali na sobie, a nie na technologii. A poza tym telefony tutaj nie działają.

– W jakich nastrojach wyruszyły kobiety? – zapytał Falk. – Oczywiście twoim zdaniem.

– Według mnie w dobrych. – Chase odpowiedział bez zastanowienia. – Może trochę się denerwowały, ale nie bardziej, niż to bywa w takich sytuacjach. Nie puściłbym ich, gdybym miał jakiegokolwiek wątpliwości. Jednak one były całkiem zadowolone. Sami zobaczcie.

Wyciągnął komórkę z kieszeni, dotknął ekranu i podał Carmen i Falkowi. Zdjęcie.

– Zrobiłem je tuż przed tym, jak wyruszyły.

Pięć kobiet uśmiechało się i obejmowało nawzajem. W środku grupy stała Jill Bailey i prawą ręką obejmowała w pasie Alice. Ona z kolei obejmowała kobietę, którą Falk rozpoznał jako Lauren Shaw. Z drugiej strony Jill stały dwie młodsze kobiety, które były do siebie odrobinę, choć nie bardzo, podobne.

Falk wpatrywał się w Alice. Przechylała głowę odrobinę w bok. Miała na sobie czerwoną kurtkę i czarne spodnie, a jej ręka spoczywała lekko na ramieniu Jill. Ian Chase miał rację. W tym momencie, który został uwieczniony, wyglądały na całkiem zadowolone.

Falk oddał mu telefon.

– Drukujemy odbitki tego zdjęcia dla poszukiwaczy – powiedział Chase.

– Chodźcie, pokażę wam początek szlaku. – Po tych słowach obrzucił ich spojrzeniem od stóp do głów. Jego uwagę przykuły zwłaszcza ich niemal nieużywane buty. Nie przeoczył również poparzonej ręki Falka. – Do wodospadu jest kawałek drogi, ale powinniście sobie poradzić.

Ruszyli między drzewami i Falk niemal natychmiast poczuł mrowienie w ręce, ale zignorował to i postarał się skupić na otoczeniu. Ścieżka była dobrze widoczna i Falk dostrzegał na niej stare ślady rozmyte przez deszcz. Ponad ich głowami kołysały się stare eukaliptusy. Falk zauważył, że Carmen zadrżała z zimna mimo kurtki. Jego myśli wróciły do Alice: co czuła, kiedy wkraczała w busz, nieświadomie zbliżając się do czegoś, co ją w nim zatrzyma?

– Na czym polega program Executive Adventures? – zapytał Falk. Jego głos brzmiał nienaturalnie głośno na tle szumu przyrody.

– Organizujemy imprezy integracyjne dopasowane do konkretnych potrzeb. Większość naszych klientów jest z Melbourne, ale działamy w całym stanie. Parki linowe, jednodniowe wyjazdy – co tylko chcecie.

– Czy ty sam tutaj wszystko prowadzisz?

– Przeważnie tak. Jest jeszcze jeden gość, który prowadzi obozy przetrwania. Mieszka kilka godzin stąd. Zastępujemy się nawzajem, kiedy któryś z nas ma urlop, ale poza tym tutaj jestem tylko ja.

– Mieszkasz tutaj? – dociekał Falk. – Na terenie parku?

– Nie. Mam domek w miasteczku. Koło stacji benzynowej.

Falk, który urodził się i wychował w miejscu, gdzie diabeł mówi dobranoc, pomyślał, że nawet dla niego nazwanie tych kilku sklepików miasteczkiem jest nieco naciągane.

– Nie czujesz się samotny?

– Nie jest najgorzej. – Chase szedł po nierównej ścieżce z łatwością osoby, która znała ją naprawdę dobrze. – Lubię spędzać czas na wolnym powietrzu, a strażnicy są bardzo w porządku. Kiedy byłem młodszy, jeździłem tutaj biwakować, więc dobrze znam okolicę. Nigdy nie chciałem

pracować w biurze. Zatrudniłem się w Executive Adventures trzy lata temu, a tutaj jestem już od dwóch. I jest to pierwszy raz, kiedy przytrafiło mi się coś takiego.

Z daleka dobiegał do nich dźwięk spływającej wody. Cały czas szli powoli, ale pewnie pod górę.

– Jak myślisz, kiedy znajdą Alice? – zapytał Falk. – Poproszę o najlepszą wersję wydarzeń.

Kąciki ust Chase’a opadły.

– Trudno powiedzieć. Nie mamy tutaj zimowych warunków porównywalnych z Alaską, ale i tak robi się cholernie zimno. Zwłaszcza w nocy, szczególnie jeśli nie masz schronienia. Zgubisz się tutaj i trochę deszczu, trochę wiatru wystarczy, żeby naprawdę szybko było po tobie – westchnął. – Ale wiecie, jeśli ona ma odrobinę rozsądku, dba o to, żeby było jej możliwie ciepło i sucho, a do tego pije, to nigdy nie wiadomo. Ludzie są wytrzymalsi, niż się wydaje.

Chase musiał podnieść głos, ponieważ wyszli z zakrętu i stanęli twarzą w twarz z wodospadem. Woda spływała ze skały i wpadała do zbiornika daleko pod nimi. Podeszli na mostek wśród huku wodospadu.

– Wodospad Mirror Falls – poinformował Chase.

– Jest niesamowity. – Carmen wychyliła się przez barierkę, włosy przesłoniły jej twarz. Drobiniki wody wydawały się zawieszony w rześkim powietrzu. – Ile ma metrów?

– To małeństwo. Załedwie piętnaście – odparł Chase. – Ale jezioro jest niemal tak samo głębokie, a ciśnienie wody – szalone, więc nie radzę. Sam upadek nie jest najgorszy, za to zimno i szok mogą zabić. Macie szczęście, bo to najlepsza pora w roku na podziwianie tego wodospadu, w lecie nie robi takiego wrażenia. W tym roku została z niego załedwie strużka. Była susza, wiecie?

Falk zacisnął w kieszeni rękę pokrytą nową, śliską skórą. Tak, on o tym dobrze wiedział.

– Ale odkąd pogoda się przełamała, jest naprawdę dobrze – kontynuował Chase. – Duże zimowe opady deszczu i widzicie, skąd wzięła się nazwa.

Falk widział. U stóp wodospadu większość wzburzonej wody zabierała rzeka, ale przechył terenu utworzył naturalny uskok, skąd woda przelewała się do jeziora – które było zupełnie spokojne. Jego tafla delikatnie się marszczyła, jednak wiernie odbijała wspaniałe otoczenie. Identyczny obraz – kilka tonów ciemniejszy. Falk niczym zahipnotyzowany stał i patrzył na spływającą z hukiem wodę. Nagle, niweczając urok chwili, odezwało się radio, które Chase miał przypięte do paska.

– Lepiej już wróć – powiedział. – Jesteście gotowi?

– Jasne.

Kiedy Falk odwracał się, żeby podążyć za Chase'em, kątem oka dostrzegł jakiś kolor w oddali. Na odległym końcu wodospadu, tam, gdzie szlak znikał w buszu, nad wodą malowała się niewielka ludzka postać. Kobieta, pomyślał Falk, jej fioletowy kapelusz odcinał się na tle zielono-brązowego otoczenia.

– Tam ktoś jest – powiedział do Carmen.

– Och, faktycznie. – Spojrzała we wskazanym kierunku. – Widzisz, kto to?

– Nie z takiej odległości.

– Ja też nie widzę. Ale to nie Alice.

– Nie. – Kobieta była zbyt drobnej budowy, a włosy wystające spod kapelusza miały zdecydowanie za ciemny kolor. – Niestety nie.

Kobieta nie mogła ich słyszeć z powodu odległości i huku wodospadu, ale w tej chwili odwróciła się i spojrzała prosto na nich. Falk podniósł rękę, lecz postać nie wykonała żadnego ruchu. Kiedy szli za Chase'em, Falk obrócił się, żeby spojrzeć jeszcze raz czy dwa. Kobieta nadal stała i patrzyła, aż w końcu przesłoniły ją drzewa i Falk nie mógł już jej dostrzec.

Dzień 2: Piątek rano

Beth rozpięła wejście do namiotu od wewnątrz i skrzywiła się, słysząc, jak głośno to zabrzmiało. Obejrzała się za siebie. Jej siostra nadal spała w najlepsze, na boku, zwinięta w kłębek. Długie rzęsy Bree ocieniały policzki, a włosy tworzyły ciemną aureolę wokół głowy.

Jako dziecko zawsze tak spała. Obie tak spały: niemal nos w nos, ich włosy splątane razem na poduszce, wspólny oddech. Beth otwierała rano oczy i widziała wpatrzony w siebie własny obraz. Ale to było dawno temu. Beth już nie zwijała się w kłębek, a jej sen był przerywany i niezbyt przyjemny.

Wydostała się na zimne powietrze i starannie zamknęła namiot za sobą. Wzdrygnęła się, wsuwając stopy do butów. Poprzedniego dnia zamokły i nadal były wilgotne. Niebo też było równie szare i ciężkie jak w czwartek. W pozostałych namiotach wszyscy spali. Była sama.

Poczuła chęć zbudzenia siostry, żeby mogły być tylko we dwie, pierwszy raz od... Beth nie była pewna od jak dawna. Nie zrobiła tego jednak. Nie umknął jej wyraz rozczarowania, jaki odmalował się na twarzy Bree, kiedy Alice rzuciła plecaki sióstr przed jednym namiotem. Wolałyby spać razem z Alice niż z nią.

Beth zapaliła papierosa i zaciągnęła się z przyjemnością; zaczęła rozciągać obolałe mięśnie. Podeszła do paleniska, gdzie leżało niedopalone drewno, czarne i zimne. Woreczki po posiłku zostały wetknięte pod kamień, ale jakieś zwierzę znalazło je w nocy i rozniosło wszędzie dookoła resztki wczorajszego gulaszu. Cóż za marnotrawstwo, pomyślała Beth, i zaburczało jej w brzuchu. Wczorajsza kolacja całkiem jej smakowała.

Nieopodal przycupnęła kukabura i obserwowała ją swoimi czarnymi oczkami. Beth podniosła plasterek wołowiny poniewierający się na ziemi i rzuciła go w kierunku ptaka, który złapał go samym koniuszkiem dzioba. Beth paliła, a ptak tarosił mięso, energicznie machając głową. Kiedy w końcu upewnił się, że zdobycz na pewno nie żyje, połknął ją na raz

i odleciał, zostawiając Beth ponownie samą. Pochyliła się, żeby zgasić niedopałek, i zawadziła butem o niedopitą butelkę wina, która przewróciła się, a jej zawartość rozlała się na ziemi niczym plama krwi.

– Cholera.

Poczuła gorące ukłucie irytacji. Alice to przebiegła suka. Beth trzymała język za zębami, kiedy dyrygowała nimi podczas rozkładania namiotów, ale w prawdziwe niedowierzanie wprawiła ją, kiedy powiedziała jej, żeby przyniosła alkohol. Rozbawiona Alice sama otworzyła plecak Beth i wyciągnęła trzy butelki wina. Beth nigdy wcześniej ich nie widziała.

– To nie moje.

Alice roześmiała się.

– Wiem. One są dla wszystkich.

– To dlaczego były w moim plecaku?

– Ponieważ są dla wszystkich – mówiła powoli jak do dziecka. –

Wszystkie musimy nieść zapasy.

– Ja już niosę swój przydział. Te butelki ważą tonę. I... – zamilkła.

– I co?

– Ja nie powinnam...

– Czego nie powinnaś? Nie powinnaś pomagać?

– Nie. – Beth spojrzała na siostrę, ale Bree patrzyła na nią wrogo z policzkami czerwonymi z zażenowania. *Przestań robić z igły widły.* Beth westchnęła. – Nie powinnam być w posiadaniu alkoholu.

– No cóż. – Alice stuknęła butelkami. – Już nie jesteś. I po problemie.

– Czy Jill o tym wie?

To podziałało na Alice. Na jej twarzy nadal malował się uśmiech, ale cała wesołość zniknęła.

– Co powiedziałaś?

– Czy Jill wie, że włożyłaś to do mojego plecaka?

– To tylko kilka butelek, Beth. Złóż oficjalne zażalenie, jeśli czujesz się tak bardzo pokrzywdzona. – Alice czekała, cisza stawała się nieznośna, aż

w końcu Beth potrząsnęła głową. Dostrzegła jeszcze, że Alice przewróciła oczami, zanim się od niej odwróciła.

Później, kiedy Lauren zaoferowała jej butelkę przy ognisku, Beth poczuła pokusę, jakiej już dawno nie doświadczyła. Co zdarza się w buszu, zostaje w buszu. A Bree była zbyt zajęta, żeby jej pilnować. Zapach wina był tak ciepły i znajomy jak objęcia, ale Beth zmusiła się, żeby powiedzieć „nie”, zanim przypadkowo powie „tak”.

Żałowała, że Daniel Bailey zjawił się z kolegami w ich obozowisku, że przynieśli ze sobą więcej alkoholu. W grupie trudniej było jej się oprzeć. Za bardzo przypominało to imprezę, choć marną.

Beth po raz pierwszy widziała dyrektora generalnego we własnej osobie. Nie zapuszczał się nigdy do mroków piwnicznego archiwum, a jej nikt nigdy nie zaprosił na dwunaste piętro. Ale z tego, jak ludzie się o nim wypowiadali, spodziewała się czegoś więcej. Przy ognisku był po prostu kolejnym gościem z fryzurą za sto dolarów i uśmiechem, o którym ktoś mu kiedyś powiedział, że jest czarujący. Może w pracy był inny.

Beth przyglądała mu się uważnie, kiedy zabrał Alice na stronę, żeby porozmawiać. Czy coś między nimi było? Zastanawiała się. Coś w jego zachowaniu sprawiało, że wydawało się jej, że jednak nie, ale co ona mogła wiedzieć? Minęły całe lata, odkąd ktokolwiek miał ochotę zniknąć z nią w odmętach nocy.

Dotarły do niej urywki ich rozmowy, kiedy krążyła w poszukiwaniu kogoś, z kim mogłaby pogadać. Nie. Miała rację za pierwszym razem. Nie była to rozmowa, która prowadzi do łóżka.

– Nasz szef ma niezłe mniemanie o sobie, nie sądzisz? – szepnęła później do siostry, kiedy obie zapinały swoje śpiwory.

– Płaci ci pensję. Ma do tego pełne prawo – odparła Bree i odwróciła się na bok, zostawiając Beth sam na sam z tęsknotą za papierosem, a nawet czymś mocniejszym.

Przeciągnęła się, niebo się rozwidniało, a ona nie mogła już ignorować

swojego pęcherza. Zaczęła rozglądać się za drzewem, które oznaczało ich miejsce na toaletę. Oto i ono. W niewielkiej odległości od polany, tuż za namiotami. To ze złamanym konarem.

Beth szła przed siebie, uważnie stawiając kroki. Nie wiedziała prawie nic o lokalnej faunie, oprócz tego, że pewnie by nie chciała nadepnąć na żadnego jej przedstawiciela. Za nią na polanie zaczął się ruch. Ktoś rozpiął namiot i mówił ściszym głosem. Nie była już sama.

Zatrzymała się przy drzewie. Czy to tu? W świetle dnia wszystko wyglądało inaczej, ale była niemal pewna, że dobrze trafiła. Na wysokości głowy widziała ułamany konar. A kiedy wyteżyła węch, wydawało się jej, że czuje słaby zapach moczu.

Gdy tak stała, z obozowiska docierały do niej głosy. Były ciche, ale mimo wszystko nadal mogła je rozróżnić. Alice i Jill.

– Wypiłaś wczoraj trochę. Nie ty jedna, my wszyscy.

– Nie, Jill, to nie alkohol. Po prostu nie czuję się najlepiej. Muszę wrócić.

– W takim razie wszystkie będziemy musiały wrócić z tobą.

– Sama trafię z powrotem.

– Nie mogę na to pozwolić. Nie, posłuchaj mnie. Przede wszystkim jestem za ciebie odpowiedzialna. Wszystkie wrócimy z tobą.

Alice nie odpowiedziała.

– Firma oczywiście i tak będzie musiała zapłacić, więc koszty rozłożą się na nas pięć. Co oczywiście nie jest istotne, skoro źle się czujesz. – Jill zrobiła pauzę. – Ale będziemy potrzebować zaświadczenia od lekarza, więc jeśli chodzi o to, że wypić za dużo wina...

– Jill...

– Lub miałaś ciężką pierwszą noc pod namiotem. Uwierz mi, wiem, że żadnej z nas nie jest to w smak.

– To nie o to chodzi.

– A poza tym nikt nie zawiezie nas do Melbourne przed niedzielą, więc byłoby lepiej, żebyś jako pracownik wysokiego szczebla...

– No dobra. – Alice westchnęła. – W porządku.

– Czujesz się na tyle dobrze, żeby iść dalej?

Chwila ciszy.

– Chyba tak.

– To dobrze.

Wiatr potrząsnął gałęziami nad głową Beth, strząsając na nią wodę z liści. Lodowata kropla spłynęła jej po karku. Beth zdjęła spodnie i przykucnęła. Natychmiast rozbolały ją kolana i poczuła chłód na udach. Przesunęła but, żeby go nie obsikać, i usłyszała za sobą szybko zbliżające się kroki. Obejrzała się przerażona. Straciła równowagę i wylądowała gołą skórą na ziemi, która była równocześnie zimna, ciepła i mokra.

– Jezu Chryste, naprawdę? Tuż obok namiotów?

Beth zamrugała, patrząc w jasnoszare niebo, dzinsy miała wokół kostek, a jej dłoń leżała na czymś ciepłym. Alice patrzyła na nią z góry. Jej twarz była blada i spięta. Może naprawdę źle się czuła, pomyślała Beth.

– Jeśli jesteś zbyt leniwa, żeby pójść tam, gdzie uzgodniłyśmy, miej na tyle przyzwoitości, żeby załatwiać się przy swoim namiocie, nie przy moim.

– Myślałam... – Beth wstała niezdarnie, podciągając spodnie, co nie było łatwe, ponieważ były mokre i poskręcane. – Przepraszam, myślałam... –

Stała teraz, dzięki Bogu, czując na udzie pojedynczą ciepłą strużkę. – Myślałam, że to jest to drzewo.

– To? Ono jest przecież zaledwie kilka metrów od namiotów.

Beth zaryzykowała spojrzenie. To było znacznie dalej, prawda? W ciemnościach wydawało się dalej, ale to było i tak dobre pięć metrów.

– Nie zeszaś przecież nawet z górki.

– Powiedziałam już, że przepraszam.

Beth chciała uciszyć Alice, ale było już za późno. Z namiotów wychywały pozostałe trzy głowy. Beth pochwyciła twarde spojrzenie siostry. Bree nie musiała wiedzieć, o co chodzi, żeby wszystkiego się domyślić. *Beth znów narozrabiła.*

– Jakiś problem? – zapytała Jill.

– Nie. Wszystko pod kontrolą. – Alice wyprostowała się. – Tam jest właściwe drzewo. – Wskazała na miejsce w oddali. Żadnej złamanej gałęzi na widoku.

Beth obróciła się w kierunku namiotów.

– Przepraszam, myślałam... Przepraszam.

– Widzisz, o które mi chodzi? – zapytała Alice, nadal wskazując jej palcem.

– Tak, widzę. Zrozum, przepr...

– W porządku, Beth – zawołała Jill, ucinając dyskusję. – Dziękuję, Alice. Jestem pewna, że każda z nas już wie, które to drzewo.

Alice, nie spuszczać oczu z Beth, powoli opuściła rękę. Beth ze spojrzeniem wbitym w ziemię i palącymi policzkami wróciła na polanę. Jej siostra stała u wejścia do namiotu bez słowa, białka jej oczu były przekrwione. To był kac, Beth nie miała co do tego wątpliwości, a Breanna nie radziła sobie z tym najlepiej.

Beth weszła do środka i zasunęła za sobą wejście. Czuła zapach moczu na swojej jedynej parze spodni i piekły ją oczy. Zacisnęła mocno powieki i zamarła w bezruchu, jak ją tego uczyli na odwyku. Oddychaj głęboko i myśl pozytywnie, aż przejdzie ci ochota. *Wdech i wydech.*

Kiedy liczyła wdechy i wydechy i skupiała swój umysł, wyobraziła sobie, że zaprasza pozostałe kobiety, żeby stanęły z nią w kręgu. Obraz był wyraźny i Beth widziała, jak wyciąga rękę do Alice. *Wdech i wydech.* Oczami wyobraźni widziała, jak rozczapierza palce i zanurza je w blond pasemkach Alice. *Wdech i wydech.* Chwyta mocno i szarpnięciem rzuca ją twarzą na ziemię. *Wdech i wydech.* Kiedy Beth doliczyła do stu, uśmiechnęła się do samej siebie. Jej terapeuta miał rację. Wizualizowanie tego, czego pragnie, naprawdę poprawia jej humor.

Rozdział 7

Z ulgą zeszli ze szlaku. Falk odetchnął pełną piersią, kiedy drzewa się przeredziły i zobaczył nad sobą niebo. Daleko przed nimi światło sączyło się z okien domków, nie docierając jednak na ciemną ścieżkę. Szli z Carmen za Chase'em przez parking, czując żwir chrzęszczący im pod butami. Kiedy podeszli pod domki, Carmen szturchnęła Falka w łokieć.

– Dwie pieczenie przy jednym ogniu – szepnęła.

Daniel Bailey stał przy swoim czarnym bmw z kobietą, którą Falk poznał natychmiast. Jill Bailey. Nawet z tej odległości widać było siniec na jej szczęce. Sierżant King wspomniał o urazach. Z całą pewnością Jill nie miała tego na zdjęciu grupowym zrobionym pierwszego dnia wycieczki.

Teraz stała twarzą w twarz ze swoim bratem; kłócili się, ale w sposób, w jaki czynią to ludzie nauczeni, żeby nie robić scen – z zaciśniętymi ustami i napiętymi mięśniami.

Jill pochylała się, mówiąc, wskazała gwałtownie ręką na busz i natychmiast ją opuściła. Jej brat w odpowiedzi tylko pokręcił głową. Jill spróbowała ponownie, jeszcze się do niego przybliżając. Daniel Bailey spojrział w dal nad jej ramieniem. Unikał kontaktu wzrokowego. Znów potrząsnął głową. *Powiedziałem „nie”*.

Jill patrzyła na niego, jej twarz nie wyrażała emocji, a następnie bez słowa się odwróciła, weszła po schodkach i zniknęła w jednym z domków. Bailey oparty o samochód patrzył za nią, dopóki nie zniknęła. Pokręcił głową i jego wzrok padł na Iana Chase'a. Przez chwilę wyglądał na zmieszanego, ale szybko się otrząsnął.

– Hej! – Podniósł rękę do góry, jego głos niósł się po całym parkingu. – Jakieś wieści?

Podeszli do niego. Falk po raz pierwszy miał okazję przyjrzeć się

Baileyowi z bliska. Jego usta były zaciśnięte, a skóra pod oczami napięta, jednak nadal wyglądał młodziej niż swoje czterdzieści siedem lat. Z wyglądu bardzo przypominał ojca, którego Falk kojarzył ze zdjęć, a który nadal zasiadał w radzie nadzorczej firmy. Daniel trzymał się prosto i nie miał tyle zmarszczek co Leo Bailey, ale podobieństwo było niezaprzeczalne.

Bailey spojrzał na Falka i Carmen z uprzejmym zainteresowaniem. Falk czekał, ale nic nie wskazywało na to, by zostali rozpoznani. Poczul ulgę. To było coś.

– Obawiam się, że nie mam nic nowego do przekazania – powiedział Chase. – Nie w tej chwili.

– Mówili, że dziś ją znajdą.

– Mieli nadzieję, że dziś ją znajdą.

– Czy więcej pieniędzy byłoby pomocne? Powiedziałem, że zapłacimy. Wiedzą o tym, prawda?

– To nie kwestia pieniędzy, ale wszystkiego innego. – Chase spojrzał na busz. – Sam wiesz, jak tam jest.

Zanim opuścili bazę poszukiwawczą, sierżant King na mapie z siatką współrzędnych pokazał im obszar, który przeszukiwali. Powiedział im, że dokładne przeszukanie jednego kilometra kwadratowego zajmuje około czterech godzin – i to na obszarze niezbyt gęsto porośniętym. Jeśli teren był gęsto zalesiony, stromy lub znajdował się na nim ciek wodny, trwało to znacznie dłużej. Falk zaczął liczyć kwadraty, ale poddał się, kiedy doszedł do dwudziestu.

– Czy przeszukali już północno-zachodnią krawędź? – zapytał Bailey.

– O tej porze roku nie da się tam dojść. Przy tej pogodzie jest to zbyt ryzykowne.

– Tym bardziej należałoby to sprawdzić, prawda? Łatwo jest się tutaj pogubić.

Coś w sposobie, w jaki domagał się odpowiedzi, brzmiało nieszczercze.

Falk odchrząknął.

– Ta sytuacja musi być bardzo trudna dla pana i pańskich pracowników. Dobrze zna pan zaginioną?

Bailey spojrział na niego po raz pierwszy z uwagą, jednocześnie marszcząc brwi.

– A pan to...?

– Państwo są z policji – wyjaśnił Chase. – Pomagają w poszukiwaniach.

– Och, jasne. Dobrze. Dziękuję. – Bailey wyciągnął do nich rękę i przedstawił się. Jego dłoń była zimna, a opuszki palców szorstkie, co wskazywało na to, że nie spędza całego życia przed ekranem komputera. Daniel Bailey musiał uprawiać jakiś sport na wolnym powietrzu.

– Wracając do mojego pytania: czy dobrze ją pan zna? – zapytał Falk.

– Alice? – Bailey zmarszczył brwi jeszcze bardziej. – Tak. Całkiem dobrze. Pracuje u nas od czterech lat.

W zasadzie od pięciu, pomyślał Falk.

– Jest cenionym pracownikiem. Oczywiście, wszyscy moi pracownicy są cenieni. Ale żeby ona tak znikła... – Potrząsnął głową. – To bardzo niepokojące. – Tym razem troska w jego głosie była szczerą.

– Nie widział się pan z Alice Russell przed tym, jak wyruszyła ze swoją grupą w czwartek, zgadza się? – zapytała Carmen.

– Nie. Dojechałem później. Coś mnie zatrzymało. Nie zdążyłem na busa.

– Mogę zapytać dlaczego?

Bailey spojrział na nią.

– Sprawy rodzinne.

– Podejrzewam, że skoro prowadzi pan rodzinną firmę, jest pan w pracy na okrągło – rzuciła lekko Carmen.

– Ma pani rację. – Bailey wysilił się na nikły uśmiech. – Ale jeśli to tylko możliwe, staram się wprowadzać pewne granice. Inaczej można zwariować. Tym razem nie udało mi się tego uniknąć. Przeprosiłem pozostałych członków mojej drużyny. Sytuacja nie była idealna, ale w sumie skończyło się jedynie na godzinie opóźnienia. Koniec końców nie zrobiło to większej

różnicy.

– Pańska grupa nie miała żadnych problemów w dotarciu na miejsce zbiórki? – wtrącił się Falk.

– Nie. Teren jest trudny, ale szlaki same w sobie nie są zbyt wymagające. Nie o to przecież chodzi. – Spojrzał na Chase’a, który w odpowiedzi tylko spuścił wzrok.

– Dobrze rozumiem, że zna pan tę okolicę?

– Trochę. Byłem tutaj na kilku weekendowych wypadach. A od trzech lat organizujemy z Executive Adventures nasze zimowe wyjazdy firmowe – dodał. – To miejsce jest świetne. Najczęściej. Ale z pewnością nikt nie chce się tutaj zgubić.

– Zawsze bierze pan udział w wyjazdach firmowych?

– To najlepsza wymówka, żeby nie siedzieć za biurkiem. – Na ustach Bailey’a zaczął pojawiać się odruchowy uśmiech, który jednak w połowie zamarł, zamieniając się w nieszczęsny grymas. – Nasze wyjazdy zawsze były udane i zazwyczaj również dobrze zorganizowane. Zawsze byliśmy zadowoleni, aż do... – urwał. – Aż do tej pory.

Chase nadal wpatrywał się w ziemię.

– Widział się pan z Alice w trakcie wyprawy, prawda? – zapytał Falk.

Bailey zamrugał.

– Ma pan na myśli pierwszy wieczór?

– A powtórzyło się to jeszcze?

– Nie – odpowiedział trochę za szybko. – Tylko tamtej pierwszej nocy.

Towarzyskie odwiedziny.

– Czyj to był pomysł?

– Mój. Dobrze miało nam zrobić nawiązanie relacji w innej przestrzeni niż biuro. Pracujemy w jednej firmie. Wszyscy płyniemy tą samą łodzią.

– I wtedy rozmawiał pan z Alice Russell? – Falk uważnie mu się przyglądał.

– Przez chwilę na początku, ale nie zabawiliśmy tam długo. Wróciliśmy,

kiedy zaczęło padać.

– O czym rozmawialiście?

Bailey zmarszczył brew.

– Właściwie o niczym. Zwykle pogaduszki związane z pracą.

– Nawet podczas wizyty towarzyskiej? – wtrąciła się Carmen.

Uśmiechnął się nieznacznie.

– Jak sama pani wspomniała, ja zawsze jestem w pracy.

– Jak ją pan odebrał tamtego wieczoru?

Chwila wahania.

– Wydawała mi się zupełnie normalna, ale nie rozmawialiśmy zbyt długo.

– Nie dała panu żadnych powodów do zmartwienia? – dociekał Falk.

– To znaczy?

– Cokolwiek. Jej stan fizyczny, stan mentalny? Nie było wątpliwości, że sobie poradzi?

– Gdyby cokolwiek niepokoiło mnie w sprawie Alice lub któregokolwiek z naszych pracowników, coś bym z tym zrobił.

Gdzieś z buszu dobiegło przenikliwe ptasie nawoływanie. Bailey spojrzał na zegarek.

– Będę musiał państwa przeprosić. Jestem wdzięczny za pomoc w poszukiwaniach, ale muszę jechać. Chcę być w centrum dowodzenia na wieczornej odprawie.

Chase przestąpił z nogi na nogę.

– Sam się tam wybieram. Podwieźć cię?

Bailey poklepał dach swojego bmw.

– Dzięki, poradzę sobie.

Wyłowił kluczyki z kieszeni, ponownie ucisnął im dłonie i zniknął za przyciemnianą szybą samochodu.

Chase odprowadził odjeżdżający samochód wzrokiem, a następnie spojrzał smutno na swój minibus, stojący w rogu parkingu.

– Lepiej, żebym i ja już jechał. Dam wam znać, jeśli pojawi się coś

nowego – obiecał i ruszył do samochodu. Carmen i Falk zostali sami.

– Bardzo chciałabym się dowiedzieć, czemu Bailey spóźnił się na wyprawę – powiedziała Carmen. – Myślisz, że to faktycznie jakieś sprawy rodzinne?

– Nie wiem. BaileyTennants to firma rodzinna, więc podpada pod to praktycznie wszystko.

– No tak, ale prawdę powiedziawszy, gdybym miała taki samochód, to też spóźniłabym się na busa.

Podeszli do sedana Carmen, stojącego na samym końcu parkingu. Liście i pył zgromadzone w szczelinach karoserii uniosły się w powietrze, kiedy otworzyli bagażnik. Falk wydobyl swój stary plecak i zarzucił go na ramię.

– Wydawało mi się, że powiedziałaś, że nie interesują cię piesze wycieczki.

– To prawda.

– Powiedz to lepiej swojemu plecakowi. Wygląda, jakby lada chwila miał się rozpaść.

– Ach, no tak. Był często używany, ale nie przeze mnie. – Falk nie zamierzał dodawać nic więcej, lecz Carmen patrzyła na niego wyczekująco. Westchnął. – To plecak mojego ojca.

– To miło. Pożyczył ci go?

– Coś w tym stylu. Umarł. A ja wziąłem sobie jego plecak.

– Och, cholera. Przepraszam.

– W porządku. Jemu nie był już potrzebny. Chodźmy.

Falk odwrócił się, zanim zdążył powiedzieć coś więcej, i poszli do recepcji. W porównaniu z temperaturą na zewnątrz było tam gorąco jak w piecu i Falk natychmiast poczuł na skórze kropelki potu. Za ladą stał ten sam strażnik co przedtem. Sprawdził listę pokoiów zarezerwowanych dla policji i poszukiwaczy i wręczył im klucze.

– Idźcie tą samą drogą, którą tu przyszliście, a następnie skróćcie w lewo. Wasze pokoje są na końcu obok siebie.

– Dzięki.

Wyszli na zewnątrz, obeszlili budynek recepcji i trafili na długi, porządnie zbudowany drewniany domek. Każdy pokój miał oddzielne wejście ze wspólnego ganku. Kiedy szli, deszcz zaczął dudnić o blaszany dach. Ich pokoje zgodnie z zapowiedzią znajdowały się na samym końcu.

– Spotkanie organizacyjne za dwadzieścia minut? – rzuciła Carmen i zniknęła za drzwiami.

Pokój Falka był mały, ale zdumiewająco przytulny. Większość miejsca zajmowało łóżko, w rogu wciśnięto szafę, obok której znajdowały się drzwi do małej łazienki. Falk zdjął kurtkę i sprawdził telefon. Tutaj też nie było zasięgu.

Oparł swój plecak – plecak swojego ojca – o ścianę. Wyglądał na brudny na tle czystej białej ściany. Falk nie był pewien, dlaczego go zabrał. Miał przecież inne plecaki. Znalazł go na samym dnie szafy, kiedy szukał górskich butów. Prawie zapomniał o jego istnieniu. Prawie, ale nie całkiem. Wyciągnął go i przez długi czas siedział na podłodze w swoim cichym mieszkaniu, patrząc na niego.

Nie był zupełnie szczery z Carmen. Nie wziął tego plecaka sam, kiedy siedem lat wcześniej zmarł jego ojciec – dostał go od pielęgniarki w hospicjum onkologicznym. Był lekki, ale nie pusty – znajdowało się w nim kilka ostatnich rzeczy, których Erik Falk potrzebował w swoim życiu.

Dużo czasu musiało minąć, zanim jego syn zapoznał się z zawartością plecaka, i jeszcze więcej, zanim przekazał ją dalej lub znalazł dla niej inne zastosowanie. Na końcu został mu tylko plecak i trzy ostatnie rzeczy. Dwa zdjęcia i duża podniszczona koperta. Była pogięta i miała wytarte rogi, ale nigdy nie została zaklejona.

Teraz Falk otworzył górną kieszeń plecaka i wyjął ją. Była w jeszcze gorszym stanie, niż to zapamiętał. Rozłożył jej zawartość na łóżku. Jego oczom ukazały się kontury, stopnie nachylenia, cieniowanie i symbole. Szczyty i doliny, busz i plaże. Wszystko, co najlepszego stworzyła natura,

znajdowało się przed nim na papierze.

Kiedy Falk dotknął map palcami, niemal zakręciło mu się w głowie, tak dobrze były mu znane. Było ich ponad dwadzieścia. Niektóre były stare, niektóre bardziej zużyte od innych, a ich papier – cienki od częstego dotyku. Jego ojciec nanosił na nie oczywiście poprawki. Wiedział lepiej. W każdym razie tak uważał. Odręczne pismo Erika Falka wiło się wzdłuż szlaków głównych tras wycieczkowych stanu. Były to obserwacje, które czynił za każdym razem, kiedy sznurował swoje ciężkie buty, zarzucał plecak na ramiona i z westchnieniem ulgi opuszczał miasto.

Upłynęło wiele czasu, odkąd Falk ostatni raz oglądał te mapy. Nigdy nie mógł się zebrać, aby dokładnie się im przyjrzeć. Przejrzał je szybko, aż znalazł tę, której szukał: Giralang Ranges i okolice. To była jedna z tych starszych, z pożółkłymi rogami. Papier był przetarty i miękki.

Falk zdjął buty i położył się na łóżku, pozwalając głowie opaść na poduszkę, chociaż na chwilę. Powieki mu ciążyły. W środku było znacznie cieplej niż na zewnątrz. Otworzył mapę i spojrzał na nią, mrużąc oczy. Szare ślady ołówka miejscami wyblakły, a słowa stały się zamazane. Przysunął mapę bliżej i poczuł przypływ dobrze znanej irytacji. Pismo jego ojca jak zawsze niemal nie dawało się rozszyfrować. Spróbował się skupić.

Ujęcie wody. Obozowisko: dzikie. Zablokowana ścieżka.

Falk przymknął oczy. Ciepło zaczynało robić swoje.

Skrót. Punkt widokowy. Powalone drzewo.

Na zewnątrz wiał wiatr, napierając na okna chatki.

Zimą niebezpiecznie. Uważaj.

Echo ostrzeżenia.

Idź ostrożnie. Niebezpieczeństwo.

Falk zamknął oczy.

Dzień 2: Piątek rano

Zwinięcie obozowiska zajęło im więcej czasu, niż planowały. Namioty nie chciały się złożyć tak dobrze, żeby zmieściły się w pokrowcach, a zamki ich plecaków nie chciały się zapiąć na znak protestu.

Jill wiedziała, że jej plecak nie może być cięższy niż poprzedniego dnia, kiedy jednak zarzuciła go sobie na plecy, nie chciała w to uwierzyć. Były już spóźnione, ale pozwoliła reszcie ociągać się przy poprawianiu pasków i wyciąganiu butelek wody. Nie miała ochoty opuszczać obozowiska i podejrzewała, że nie jest w tym odosobniona. Pozostałe obozowiska na ich szlaku miały być mniejsze i nie tak dobrze zorganizowane, ale nie tylko o to chodziło. Było coś w opuszczaniu bezpiecznego miejsca startu ku niewiadomemu, co przyprawiało ją o drżenie.

Jill, pakując się, obserwowała Alice, która w ogóle się nie odzywała i trzeba było ją dwukrotnie prosić o pokrowiec na tyczki. Jill była jednak pewna, że nic jej nie dolega, i nie zamierzała udzielić jej pozwolenia na opuszczenie wycieczki. To nie podlegało dyskusji.

Alice zebrała puste butelki po winie i torbę śmieci i bezceremonialnie wręczyła to wszystko Beth. Najwyraźniej nie było jej przykro z powodu porannej awantury. Jill zastanawiała się, czy nie interweniować ponownie, ale Beth potulnie wzięła torbę śmieci i po prostu włożyła do swojego plecaka. Jill odpuściła. Życie nauczyło ją nie mieszać się do wszystkiego.

Godzinę później, kiedy wykorzystały już wszystkie wymówki, w końcu ruszyły w dalszą drogę. Alice szybko wysforowała się naprzód, a Bree starała się za nią nadążyć, kurczowo trzymając w ręku mapę. Jill widziała tylko ich plecy. Szelki plecaka wpijały się jej w ramiona. Sprzedawca w sklepie powiedział jej, że są wykonane ze specjalnego oddychającego materiału dla zwiększenia komfortu. Wspomnienie tamtej rozmowy napełniło ją przemożnym wrażeniem, że została oszukana.

Na szczęście ścieżka biegła po płaskim terenie, choć była na tyle nierówna, że Jill musiała cały czas patrzeć pod nogi. Potknęła się raz i drugi,

prawie tracąc przy tym równowagę. Czyjaś ręka złapała ją za ramię.

– W porządku? – zapytała Lauren.

– Tak, dziękuję. Nie jestem przyzwyczajona do tych butów.

– Obcierają?

– Trochę.

– Włóż dwie pary skarpet, to ci pomoże. Cienką parę pod grubą. Słuchaj, Jill. – Lauren ściszyła głos. – Chciałabym przeprosić.

– Za co? – Oczywiście wiedziała, o co chodzi. Chociaż może nie. Jeśli Jill miałyby się zastanowić, to Lauren mogła mieć poczucie winy z wielu powodów.

– Za zeszlotygodniowe spotkanie – odparła Lauren. – To znaczy za to, że mnie na nim nie było. Ale Andrew powiedział, że może wygłosić prezentację sam i... – urwała. – Przepraszam. Powinnam tam być. Wiem o tym. Ostatnio mam napiętą sytuację w domu.

Jill spojrzała na nią z uwagą. To akurat rozumiała jak nikt inny.

– Czy możemy udzielić ci jakiegoś wsparcia?

– Nie. Niestety nie, ale bardzo dziękuję. – Lauren cały czas patrzyła przed siebie. Jill zauważyła, że jej koleżanka bardzo ostatnio schudła: kości nadgarstków i karku silnie odznaczały się pod skórą.

– Na pewno?

– Tak.

– W porządku. Bo to spotkanie...

– Naprawdę jest mi przykro.

– Wiem, ale to nie pierwszy raz. Ani nawet nie drugi.

– To się już nie powtórzy.

– Jesteś tego pewna, Lauren? Bo...

– Tak, jestem tego pewna. Sytuacja niedługo się poprawi.

Nie ma innego wyjścia, pomyślała Jill. Lauren zajmowała wysoką pozycję na liście osób do zwolnienia. Właściwie najwyższą i już dawno straciłaby pracę, gdyby Alice nie przeforsowała połączenia niektórych

funkcji w celu uzyskania oszczędności. Jill podejrzewała również, że Alice kryła Lauren przynajmniej jeszcze dwukrotnie w ciągu ostatnich miesięcy, naprawiając jej błędy. Jeśli Jill wiedziała o dwóch sytuacjach, z pewnością było ich więcej. Wiedziała, że Alice i Lauren znały się od dawna. Nie była tylko pewna, co to oznacza dla Lauren.

Jasne włosy Alice przed nimi odcinały się na tle ciemnej przyrody. Jill coś przyszło na myśl.

– Dobrze się spisałaś wczoraj, rozpalając ognisko. Widziałam, jak to zrobiłaś.

– Och, dziękuję. Nauczyłam się tego w szkole.

– Nauka nie poszła w las.

– Można się było tego spodziewać, w końcu to był Endeavour Ladies' College, w tym całoroczny pobyt na zewnętrznym kampusie McAllaster. Miałyśmy dużo czasu, żeby przyswoić sobie tego typu umiejętności. Alice też tam była. – Lauren spojrzała na Jill. – Ty też musiałaś chodzić do prywatnej szkoły – nie było tam czegoś podobnego?

– Kształciłam się w Szwajcarii.

– Och. W takim razie pewnie nie.

– Chwała Bogu. – Jill rozejrzała się na boki, uśmiechając się nieznacznie.

– Nie jestem pewna, czy przetrwałabym rok w takich warunkach.

Lauren odwzajemniła uśmiech, ale Jill widziała w jej oczach pytanie, którego nie ośmieliła się zadać. Skoro było jej tak źle, to dlaczego w ogóle zdecydowała się na to wszystko? Jill już dawno straciła rachubę, na ile różnych sposobów pytano ją o to w ciągu minionych trzydziestu lat, ale jej odpowiedź zawsze była taka sama. BaileyTennants to firma rodzinna. A Jill Bailey robiła to, co było najlepsze dla rodziny.

– W każdym razie tylko tyle chciałam powiedzieć. Naprawdę wiem, że opuściłam się ostatnio w pracy.

Jill zobaczyła, że Alice i Bree się zatrzymały. Przed nimi znajdowało się rozwidlenie: jedna ścieżka biegła w lewo, druga – mniejsza – w prawo. Bree

wyciągnęła mapę i przysiadła na pniaku, przyglądając się jej z bardzo bliska. Nad nią stała Alice z rękami na biodrach. Przeniosła wzrok na Jill i Lauren, kiedy podeszły bliżej. Czy usłyszała naszą rozmowę? – zastanawiała się Jill. Nie, to niemożliwe. Były za daleko.

– I jestem bardzo wdzięczna za moją pracę i szansę, jaką mi dajecie. – Lauren ściszyła głos. – I za twoją cierpliwość. Chcę, żebyś wiedziała, że ci to wynagrodzę.

Jill pokiwała głową. Alice nadal się im przyglądała.

– Wiem o tym.

Rozdział 8

Falk obudził się nagle i zauważył, że za oknem jego pokoju zrobiło się ciemniej. Usłyszał szelest papieru i spojrzał w dół. Mapa ojca nadal leżała rozłożona na jego piersi. Przetarł oczy ręką i wzdygnął się na dźwięk deszczu uderzającego o parapet. Dopiero po chwili zorientował się, że obudziło go pukanie do drzwi.

– Nie spieszyłeś się – zauważyła Carmen, kiedy jej otworzył, wpuszczając razem z nią podmuch zimnego powietrza.

– Przepraszam, zasnąłem. – Falk rozejrzał się po pokoju. Nie było krzesel. Poprawił narzutę na łóżku. – Usiądź.

– Dzięki. – Carmen rozsunała mapy i przycupnęła na łóżku. – Co to jest?

– Nic takiego. To mapy, które należały do mojego ojca.

Carmen sięgnęła po mapę Giralang Ranges, leżącą na wierzchu.

– Są całe popisane.

– Tak, to prawda. To było jego hobby.

– Podejrzewam, że nie ma tu jednak dużego czarnego X podpisanego „Tutaj jest Alice”? – powiedziała, przyglądając się uważnie zapiskom. –

Moja babcia też tak robiła ze swoimi książkami kucharskimi, nanosiła uwagi i poprawki. Nadal mam je wszystkie. To jest naprawdę miłe, bo kiedy je czytam, czuję, jakby nadal ze mną była. A poza tym miała rację. Pół łyżeczki soku wymieszanego ze skórką i gwarantuję ci, że lepszego ciasta cytrynowego w życiu nie jadłeś. – Odłożyła mapę i sięgnęła po następną. – Byliście razem na tych wszystkich szlakach?

Falk potrząsnął głową.

– Nie.

– Na żadnym?

Falk powoli zabrał mapy.

– Nie byliśmy w najlepszych stosunkach. – Mówiąc to, poczuł, że zaschło mu w ustach.

– Dlaczego?

– To długa historia.

– A w skrócie?

Falk spojrzął na mapy w swoich rękach.

– Kiedy miałem szesnaście lat, ojciec sprzedał farmę i przenieśliśmy się do Melbourne. Nie chciałem tego, ale w naszym miasteczku było dużo kłopotów. Sprawy szybko się pogarszały i myślę, że ojciec zrobił to dla mnie. Pewnie uważał, że musi mnie stamtąd wyciągnąć.

Jako dorosły, z perspektywy dwudziestu lat, Falk przynajmniej po części rozumiał tę decyzję ojca, ale jako nastolatek czuł się po prostu wystrychnięty na dudka. Ucieczka do miasta wydawała się mu zwykłym tchórzostwem.

– To miał być dla nas nowy początek – powiedział. – Ale nie wyszło. Ojciec nienawidził naszego życia w mieście, ja też za nim nie przepadałem – urwał. Nigdy właściwie o tym nie rozmawiali. Ani o swoim starym, ani o nowym życiu. Niewypowiedziane słowa wisiły między nimi niczym zasłona, która z roku na rok stawała się coraz grubsza. W końcu Falk niemal nie widział tego mężczyzny po drugiej stronie. – W każdym razie prawie co weekend ojciec pakował plecak i jechał na wycieczkę. Ze swoimi mapami.

– Nigdy cię nie kusilo, żeby z nim pojechać?

– Nie. Nie wiem. Pytał mnie. Przynajmniej na początku. Ale wiesz, miałem szesnaście, siedemnaście lat. Byłem zły.

Carmen uśmiechnęła się.

– Jak większość dzieciaków w tym wieku?

– Pewnie tak. – Nie zawsze tak było. Falk pamiętał czasy, gdy chodził za swoim ojcem krok w krok. Na ich farmie, kiedy głową ledwo sięgał do płotu i nie chodził jeszcze tak szybko. Słońce wydłużało ich cienie i sprawiało, że ich jasne włosy zdawały się niemal białe. Chciał być dokładnie taki jak on. Także to dostrzegał dopiero teraz, z perspektywy czasu. Piedestał był zbyt

wysoki.

Carmen coś mówiła.

– Proszę?

– Pytałam, co na to wszystko twoja mama.

– Och, nic. Umarła, kiedy byłem bardzo mały.

Właściwie umarła, rodząc go, ale Falk unikał udzielania tej informacji, kiedy tylko mógł, ponieważ słysząc to, ludzie czuli się bardzo niezręcznie, a niektórzy, zwłaszcza kobiety, zaczynali mu się przyglądać z dziwnym błyskiem w oku. *Czy jesteś tego wart?* Unikał, jak mógł, zadawania sobie tego pytania, ale od czasu do czasu zastanawiał się, jakie były ostatnie myśli matki. Miał nadzieję, że było w nich coś oprócz żalu i ubolewania.

– Właśnie dlatego mam te mapy. – Odłożył je w końcu na bok. Wystarczy. Carmen zrozumiała. Wiatr zawył na zewnątrz i oboje spojrzeli na szarganą podmuchem ramę okienną.

– Nadal nie ma Alice.

– Nadal.

– Co teraz? Czy nasz pobyt tutaj ma sens?

– Nie wiem. – Falk z westchnieniem oparł się o zagłówek. Poszukiwania były prowadzone przez profesjonalistów. Nawet gdyby Alice miała znaleźć się w ciągu następnych kilku godzin – obojętnie czy cała i zdrowa, czy ledwo żywa – Falk wiedział, że muszą znaleźć inny sposób na zdobycie interesujących ich umów. Alice Russell nie wróci w najbliższym czasie do pracy. Jeśli w ogóle wróci.

– Daniel Bailey nie wie, kim jesteśmy – powiedział. – Chyba że umie tak dobrze udawać.

– Też tak myślę.

– To niemal przekonuje mnie, że całe to zaginięcie nie ma nic wspólnego z naszą sprawą, oprócz tego, że... – Spojrzał na swój telefon leżący na szafce nocnej.

– Wiem. – Carmen pokiwała głową.

Nagranie. *Skrzywdzić ją.*

Falk potarł oczy.

– Na chwilę zapomnijmy o wszystkim, co zostało powiedziane. Dlaczego Alice miałaby dzwonić stąd do mnie?

– Nie wiem. Wygląda na to, że najpierw chciała dodzwonić się na numer ratunkowy, ale jej się nie udało. – Carmen myślała przez chwilę. – Mimo wszystko, gdybym tutaj utknęła, nie dzwoniłabym do ciebie.

– Dzięki. Nawet pomimo moich map?

– Nawet. Ale wiesz, o co mi chodzi. To musi mieć coś wspólnego z nami. Albo z tobą. Wydaje mi się, że chciała się wycofać. Czy kiedy rozmawiałeś z nią po raz ostatni, wyglądała na zmartwioną?

– Byłaś przy tym – odparł Falk. – To było w zeszłym tygodniu.

– W porządku. Czyli nie kontaktowałeś się z nią później?

Podczas tego spotkania nie wydarzyło się nic szczególnego. Pięć minut na parkingu dużego supermarketu. *Potrzebujemy tych umów*, powiedzieli jej. *Tych, które łączą z tym wszystkim Leo Baileyą. One są dla nas najważniejsze.* Zostało to przedstawione jako prośba, ale ton wskazywał na to, że to jednak nakaz. Alice warknęła, że stara się, jak może.

– Czy naciskaliśmy na nią za mocno? – zapytał Falk. – Czy przez to popełniła jakiś błąd?

– Nie mocniej niż zwykle.

Falk nie był pewien. Sami czuli ze strony zwierzchników presję, którą przekazali swojej informatorce. Zrzucanie brudnej roboty na podwładnych – tradycyjny model biznesowy, z którym Alice z pewnością była zaznajomiona. *Zdobądź umowy Leo Baileyą.* Głuchy telefon, który w końcu dotarł do ucha Alice. Falk i Carmen nie zostali wtajemniczeni w powagę sytuacji, jednak otaczająca ją atmosfera poufności mówiła sama za siebie. *Zdobądź umowy.* Alice mogła zniknąć, ale presja z góry – nie. Umowy były sprawą priorytetową. Falk spojrzął na swój zegarek. *Skrzywdzić ją.*

– Jeśli Alice popełniła błąd, ktoś musiał to zauważyć – powiedziała

Carmen. – Może porozmawiamy z jej asystentką? Z Breanną McKenzie. Jeśli szef ma jakiś problem, z reguły asystentka wie o tym pierwsza.

– No tak. Pozostaje jedynie kwestia, czy się tym z nami podzieli, czy nie.

– Falk pomyślał, że może to być uzależnione od tego, ile sama Alice rzuciła na nią brudnej roboty.

– W porządku. – Carmen zacisnęła mocno powieki i przetarła twarz dłonią. – Lepiej poinformujmy biuro, jak się sprawy mają. Nie rozmawiałeś z nimi dzisiaj?

– Ostatni raz w nocy. – Falk zadzwonił do przełożonych po rozmowie z sierżantem Kingiem. Wiadomość o zaginięciu Alice Russell nie została przyjęta najlepiej.

– Chcesz, żebym wzięła to na siebie?

– Nie trzeba. – Falk się uśmiechnął. – Tym razem sobie poradzę.

– Dzięki. – Carmen oparła się z westchnieniem. – Gdyby Alice miała jakiś problem przed wyjazdem na wycieczkę, dałaby nam znać. Czyli jeśli coś się stało, stało się tutaj – mam rację?

– Na to wygląda. Ian Chase powiedział, że kiedy wyruszały, Alice zachowywała się normalnie. Chociaż on mógłby się nie zorientować, gdyby było inaczej.

Zdążyli się już nauczyć, że Alice jest naprawdę niezła w utrzymywaniu pozorów. Taką Falk miał przynajmniej nadzieję.

– Gdzie jest to nagranie z kamery przemysłowej ze stacji benzynowej? – zapytała. – To, na którym cała grupa jedzie do parku.

Falk wyciągnął laptop z plecaka. Znalazł pendrive, który dał mu sprzedawca, i ustawił ekran tak, żeby Carmen widziała.

Obraz był w kolorze, ale większość ekranu zajmował szary asfalt przy pompach paliwowych. Nagranie było bez dźwięku, za to przyzwoitej jakości. Film obejmował minione siedem dni: samochody migały na ekranie, kiedy Falk na podglądzie szukał czwartku, aż w końcu dotarł do niego i od popołudnia zaczął odtwarzać w normalnym tempie. Po kilku minutach

Carmen wskazała na podjeżdżającego minibusa.

– To ten, prawda?

Na nagraniu z wysoko umieszczonej kamery zobaczyli, jak drzwi od strony kierowcy się otwierają i z samochodu wysiada Chase. Nie można było pomylić jego szczupłej sylwetki w nieodłącznym czerwonym polarze. Zaczął tankować, a po chwili otwarły się główne drzwi samochodu i wyszedł przez nie Azjata, następnie dwóch ciemnowłosych mężczyzn oraz jeden łysy. Ten ostatni skierował się do sklepu, podczas gdy pozostali stanęli nieopodal samochodu, przeciągając się i gawędząc. Za nimi korpulentna kobieta z pewnym trudem wydostała się z auta.

– Jill – powiedziała Carmen i oboje patrzyli, jak kobieta wyciąga telefon. Nacisnęła ekran i przyłożyła go do ucha, aby natychmiast znów na niego spojrzeć. Falk nie musiał widzieć jej twarzy wyraźnie, żeby zrozumieć, że jest zirytowana.

– Do kogo próbuje się dodzwonić? – zastanawiał się. – Do brata?

– Możliwe.

Na ekranie pojawiła się kolejna kobieta – jej ciemne włosy były związane w kucyk.

– To musi być Breanna. Wygląda dokładnie tak jak na zdjęciu.

Kobieta rozejrzała się, a następnie obróciła do towarzyszki, która wysiadała za nią z samochodu.

Carmen westchnęła.

– Oto i ona.

Alice Russell, szczupła blondynka, zaczęła przeciągać się niczym kot. Powiedziała coś do ciemnowłosej dziewczyny, która nie odstępowała jej na krok. Obie wyciągnęły telefony i zareagowały tak samo jak Jill chwilę wcześniej. Sprawdzić, nacisnąć, sprawdzić, nic. Ramiona lekko zwieszono w geście frustracji.

Dziewczyna schowała telefon, lecz Alice nadal trzymała swój w ręce. Zajrzała przez okno minibusa, o które od wewnątrz opierał się solidny

kształt. Obraz nie był na tyle dokładny, żeby widzieli szczegóły, ale wszystko wskazywało na to, że jest to sylwetka śpiącej osoby.

Patrzyli, jak Alice podnosi swój telefon do okna. Błysk i popatrzyła na ekran, a następnie pokazała go trzem mężczyznom stojącym nieopodal. Roześmiali się bezgłośnie. Alice podsunęła go też ciemnowłosej dziewczynie, która najpierw zamarła, a następnie wykrzywiła usta w uśmiechu. Kształt w środku się poruszył. Za szybą pojawiła się niewyraźna twarz, jej rysy były niewidoczne, ale język ciała – jasny: *O co chodzi?*.

Alice odwróciła się, machając od niechcienia ręką.

O nic. To tylko żart.

Twarz pozostała w oknie, dopóki Chase nie wrócił z budynku stacji. Był z nim sprzedawca. Falk poznał go po czapce. Mężczyźni stali i rozmawiali, podczas gdy pracownicy BaileyTennants wchodzili z powrotem do samochodu.

Alice Russell wsiadła ostatnia, z rozmachem zasuważąc za sobą drzwi. Chase poklepał sprzedawcę po plecach i wsiadł za kierownicę. Minibus zatrząsł się lekko, kiedy odpalił silnik.

Sprzedawca stał i patrzył za nimi. Znów został sam na stacji.

– Samotne zajęcie – zauważył Falk.

– Tak.

Po kilku sekundach sprzedawca odwrócił się i zniknął z pola widzenia kamery, która znów rejestrowała jedynie szarość asfaltu. Nie działało się nic. W końcu Carmen się wyprostowała.

– Żadnych niespodzianek. Alice zachowuje się dość wrednie, lubi zadzierać z innymi. Dobrze o tym wiemy.

– Wyglądała na dość odprężoną – zauważył Falk. – Przy nas nigdy taka nie jest.

Carmen stłumiła ziewnięcie.

– Przepraszam, dopadł mnie brak snu.

– Wiem. – Za oknem niebo stało się ciemnoniebieskie. Falk widział odbicia ich twarzy w szybie. – Skończmy na dziś.

– Zadzwoisz do biura? – zapytała, wstając. Falk pokiwał głową. – Jutro pójdziemy do szpitala i zobaczymy, co ma do powiedzenia asystentka Alice. Kto wie? – Uśmiechnęła się ponuro. – Gdyby to mnie podczas służbowej wycieczki ukąsił wąż, byłabym wkurzona. Może będzie miała ochotę się wygadać.

Wyszła, ponownie wpuszczając do środka podmuch zimnego powietrza.

Falk spojrział na telefon stacjonarny obok łóżka. Podniósł słuchawkę i wybrał numer. Usiadł na łóżku i słuchał sygnału, który rozbrzmiewał kilkaset kilometrów na zachód, w Melbourne. Nie musiał długo czekać.

Czy kobieta została znaleziona? Nie, jeszcze nie. Czy zdobyli umowy? Nie, jeszcze nie. Kiedy je zdobędą? Falk nie wiedział. Cisza po drugiej stronie. Muszą zdobyć te umowy. To jest nadrzędna sprawa. Tak, dobrze rozumiał. Czas się im kończy, inni czekają. Tak, wiedział o tym. Rozumiał.

Falk siedział i słuchał, jak zwała się na niego najczarniejsza robota. Od czasu do czasu przytakiwał. Tak, rozumiał, co mówią, ale dlaczego miałyby być inaczej – słyszał już to wszystko wiele razy.

Jego spojrzenie padło na mapy; wyszukał tę przedstawiającą Giralang Ranges i otworzył ją. Siatka kartograficzna była gęsto pokryta wijącymi się szlakami. Wodził po nich palcami, wysłuchując swoich przełożonych. Czy gdzieś tam była Alice i patrzyła na te same linie w świetle latarki lub księżycy, próbując przełożyć druk na rzeczywistość krajobrazu? Albo, jakiś głos szeptał mu do ucha, było już na to za późno. Falk miał nadzieję, że nie.

Spojrzał w okno, ale w pokoju było za jasno i widział w nim tylko swoje odbicie. Sięgnął i wyłączył lampkę nocną. Ciemność. Kiedy jego wzrok przywykł, z mroku zaczęły wyłaniać się niebieskoczarne szczegóły. W oddali dostrzegł początek szlaku do Mirror Falls. Drzewa po jego obu stronach zdawały się oddychać i pulsować na wietrze.

Nagle na szlaku coś błysnęło i Falk pochylił się do przodu. Co to było?

Na jego oczach zza linii drzew wyłoniła się postać skulona z zimna, z opuszczoną głową, ale idąca tak szybko, jak na to pozwalały poddmuchy wiatru. Prawie biegła. Światło latarki podskakiwało.

Było zbyt ciemno i zimno na spacer. Falk wstał i przybliżył twarz do szyby, nadal trzymając słuchawkę przy uchu. Z tej odległości po ciemku nie mógł dostrzec rysów twarzy, ale coś mówiło mu, że to kobieta. Coś w jej ruchach. Nie miała na sobie kamizelki odblaskowej, więc kimkolwiek była, nie należała do oficjalnej grupy poszukiwawczej.

W słuchawce jednostronna rozmowa powoli dobiegała końca.

Zdobądźcie umowy. Tak. Szybko. Tak. Nie zawiedźcie nas. Nie.

Klik i koniec, przynajmniej na razie. Falk stał, trzymając słuchawkę w ręku.

Na zewnątrz postać okrążyła ścieżkę, unikając światła dochodzącego z domków. Obeszła budynek i zniknęła z pola widzenia.

Falk odłożył słuchawkę i spojrzał na swoją komórkę, leżącą beużytecznie obok telefonu stacjonarnego. *Skrzywdzić ją*. Wahał się przez chwilę, po czym zgarnął klucze do pokoju i wybiegł za drzwi. Przeklinając fakt, że zakwaterowano go na samym końcu, biegł ścieżką, a zimne powietrze przenikało przez jego ubrania i przywierało do skóry. Żałował, że nie wziął kurtki. Obiegł budynek i rozejrzał się po pustym parkingu, nie wiedząc, na co właściwie liczył.

Wokół było pusto. Falk stanął i nasłuchiwał. Odgłosy kroków zagłuszał wiatr. Falk wbiegł po schodach do recepcji. Z kuchni dochodziły odgłosy sztućców i rozmów. Za ladą tym razem stała strażniczka.

– Czy ktoś tu wchodził?

– Oprócz ciebie?

Spojrzał na nią wymownie, więc potrząsnęła głową.

– Widziałaś na zewnątrz kobietę?

– Nikogo nie widziałam od jakichś dziesięciu minut.

– Dzięki – powiedział i wyszedł z powrotem na zewnątrz. Czuł się, jakby

wskoczył do basenu pełnego wody, więc objął się rękami. Wpatrywał się przez chwilę w busz i ruszył przez żwir w kierunku szlaku.

Przed nim była ciemność, za nim światła domków migotały jasno. Patrząc przez ramię, dostrzegł okno swojego pokoju. Na ścieżce, którą szedł, mieszało się całe mnóstwo śladów. Usłyszał szelest, kiedy nad jego głową przeleciał nietoperz, przecinając nocne niebo. Na szlaku nie było nikogo.

Falk zaczął powoli zawracać, niemiłosiernie kąsany szalejącym wiatrem. Oprócz niego nie było tu żywej duszy. Ktokolwiek to był, już dawno zniknął.

Dzień 2: Piątek rano

Bree się pociała. Mimo zimna kobieta miała wilgotną skórę i idąc, czuła zapach alkoholu wydobywający się z jej porów. Czuła się obrzydliwie.

Obudziła się z bólem głowy, który tylko się pogorszył, kiedy musiała spakować namiot, co zajęło jej zresztą bardzo dużo czasu. Jedynie Alice zależało, żeby jak najszybciej ruszyć w dalszą drogę. Bree widziała, jak wepchnęła swój namiot do torby z taką siłą, że niemal go rozerwała. Nie rzuciła się z pomocą, miała wystarczająco dużo własnych problemów.

Kiedy w końcu zasunęła zamek, pobiegła za odległe drzewo, żeby po cichu zwymiotować. Ile wypła zeszłego wieczoru? Nie pamiętała, żeby sobie dolewała, ale nie przypominała sobie również, żeby jej kubek był pusty. To wina tych cholernych facetów, pomyślała i poczuła, jak wzbiera w niej gniew. Nie tyle na nich, ile na samą siebie. Zwykle zachowywała się ostrożniej.

Bree otarła pot z czoła, wpatrując się w plecy Alice, która, gdy tylko wyruszyli, wyrwała się do przodu i trudno było za nią nadążyć. Czy Alice widziała, ile ona wypła? Miała nadzieję, że nie. Alice przez większość

czasu stała w bezpiecznej odległości, rozmawiając z Danielem. Kiedy Bree zobaczyła ją ponownie, była już wstawiona, a jej szefowa zmierzała prosto do namiotu. Wczoraj mogła myśleć, że uszło jej to na sucho, ale dziś wiedziała, że jeszcze za to zapłaci.

Tego ranka dwukrotnie natrafiły na rozwidlenie – za każdym razem Alice zatrzymywała się i spoglądała na swoją asystentkę. Bree sprawdzała mapę, ignorując dzwonienie w głowie, i wskazywała kierunek. Skinąwszy głową, Alice ruszała dalej bez słowa.

Bree usłyszała za sobą jęk, który mogła wydać każda z jej towarzyszek. Najwyraźniej nie tylko ramiona i pięty, ale i nerwy zaczynały się nadwyręzać. Ścieżka stawała się coraz węższa i już od kilku kilometrów musiały iść gęsiego. Cały czas szły pod górę, co skutecznie zniechęcało je do rozmów. Z przodu Alice zatrzymała się ponownie w miejscu, w którym szlak skręcał delikatnie i rozszerzał się, rozdzielając się równocześnie w dwie strony. Znowu ktoś jęknął. Tym razem z całą pewnością była to Jill.

– Poczekajcie chwilę – powiedziała. – Zatrzymajmy się tutaj na lunch.

Bree odetchnęła z ulgą, ale Alice spojrzała na zegarek.

– Jest jeszcze dość wcześnie – zawołała.

– Wcale nie. To dobre miejsce na postój.

W żadnym razie nie była to prawda, pomyślała Bree, ściągając plecak. Teren był błotnisty i nie było stąd żadnego widoku, oprócz górujących nad nimi drzew. Przeszedł ją dreszcz i usiadła na plecaku – jej nogi trochę drżały. Kiedy kobiety stały, było im znacznie zimniej. I ciszej, bez dźwięku kroków. Słyszać było tryl i pisk niewidocznych ptaków. Bree usłyszała za sobą w krzakach jakiś ruch i obróciła się gwałtownie, przerażona, że zaraz stanie twarzą w twarz z Martinem Kovakiem.

Oczywiście nic tam nie było. Bree obróciła się z powrotem zażenowana. Zachowała się głupio. Była za młoda, żeby pamiętać całą sprawę, ale niepotrzebnie szukała w internecie informacji o parku Giralang, bo oczywiście natknęła się na temat morderstw. Siedziała przy biurku w pracy

zupełnie pochłonięta śledzeniem losów ostatniej domniemanej ofiary – osiemnastoletniej Sarah Sondenberg, nigdy nieodnalezionej – kiedy podszedł do niej od tyłu młodszy doradca klienta, napędzając jej niezłego stracha.

– Lepiej uważaj w Giralang – powiedział, szczerząc się i wskazując na ekran. – Przypominasz ją trochę.

– Lepiej ty uważaj, bo zgłoszę twój komentarz do działu HR.

Przez ostatnie kilka miesięcy coraz częściej ze sobą flirtowali i Bree skłaniała się ku temu, żeby powiedzieć „tak”, kiedy w końcu zdecyduje się zaprosić ją na drinka.

Gdy odszedł, przyjrzała się jednak uważnie zdjęciu Sarah. Czy naprawdę ją przypominała? Może miały trochę podobne nosy i usta. Dziewczyna była ładna, to nie ulegało wątpliwości, ale na swój sposób. Poza tym była niebieskooką blondynką. Bree zamknęła stronę w przeglądarce i nie myślała już o tym więcej, aż do tej chwili.

Jeszcze raz spojrzała za siebie. Nic. Przerwa jednak dobrze by jej zrobiła. Upiła łyk wody i przymknęła oczy, by złagodzić ból głowy.

– Mogłabyś się odsunąć, jeśli zamierzasz to robić?

Bree skrzywiła się, słysząc głos Alice, i zmusiła się, żeby ponownie otworzyć oczy. Oczywiście, Alice nie mówiła do niej. Nigdy nie zwracała się do niej takim tonem. Patrzyła na Beth, która stała oparta o pień drzewa z zapalonym papierosem w ręce.

Jezu, tyle świeżego powietrza wokół, a jej siostra nie mogła się doczekać, żeby je zanieczyścić. Natychmiast usłyszała w głowie głos ich matki. *Zostaw ją w spokoju. Lepiej, żeby była uzależniona od fajek niż od...* Zawsze urywała w tym miejscu. Nie mogła się zdobyć, żeby wypowiedzieć to słowo.

Beth wzruszyła ramionami i odeszła na bok, dym papierosowy mieszał się w powietrzu z zapachem eukaliptusów. Alice wachlowała się dłonią, aby go odpędzić.

– Lunch.

Bree spojrzała do góry i zobaczyła nad sobą Lauren, podającą jej bułkę z serem zapakowaną w folię aluminiową i jabłko.

– Och, dziękuję. – Próbowała się uśmiechnąć, ale żołądek skręcał się jej na samą myśl o jedzeniu.

– Powinnaś coś zjeść – powiedziała Lauren, nadal nad nią stojąc. – Poczujesz się lepiej.

Nie ruszyła się z miejsca, dopóki Bree nie odpakowała kanapki i nie skubnęła skórki. Lauren upewniła się, że dziewczyna przełknęła, i dopiero wtedy poszła dalej.

Alice spojrzała na Bree, jakby właśnie ją zobaczyła tego dnia.

– Za dużo wypiałś wczoraj?

– Jestem po prostu zmęczona – odparła Bree. – Źle spałam w nocy.

– Witaj w klubie.

Faktycznie, Alice była blada. Bree zdziwiła się, że nie zauważyła tego wcześniej.

– Czujesz się na siłach, żeby nas prowadzić? – zapytała.

– Tak, oczywiście.

– Jesteś pewna? Jeśli zabłądzimy, powrót na szlak zajmie nam mnóstwo czasu.

– Wiem. Nie zgubimy się.

Ostatnie słowa powiedziała głośniej, niż chciała, i dotarły one również do Jill, która przysiadła na kamieniu, ściągnąwszy jeden but, żeby poprawić skarpetkę.

– Wszystko w porządku?

– Tak, dzięki – zapewniła Bree.

– Bree jest zmęczona po wczorajszej nocy – wtrąciła Alice.

Jill patrzyła na nie uważnie.

– Jasne.

– Nieprawda, wcale nie jestem zmęczona.

Jill przez chwilę się nie odzywała, ale coś w wyrazie jej twarzy sprawiło,

że Bree zrozumiała, że pewnie widziała wczoraj więcej niż Alice. Bree poczuła, że się rumieni.

– Chcesz, żeby ktoś zmienił cię z mapą na chwilę? – zapytała w końcu łagodnym tonem.

– Nie. Dziękuję. Poradzę sobie.

– W porządku. – Jill z powrotem zajęła się swoją skarpetką. – Ale daj znać, jakbyś potrzebowała przerwy lub pomocy.

– Nie potrzebuję. Dzięki.

Bree przygryzła sobie język ze zniecierpliwienia. Nadal czuła na sobie spojrzenie Alice i próbowała skupić się na swojej kanapce. Odgryzła mały kęs, żeby nie powiedzieć nic więcej, ale nie mogła go przełknąć. Po chwili zmagania zawięła kanapkę w folię i włożyła ją do kieszeni plecaka.

– Nie chciałam cię wsypać – zwróciła się do niej Alice. – Ale musimy zdążyć na czas w niedzielę.

Coś w tonie jej głosu sprawiło, że Bree podniosła wzrok. Przejrzała w myślach kalendarz. Na co Alice się tak spieszyła? Niedziela. Rozdanie nagród w szkole Margot. Bree zamknęła oczy, żeby nimi nie przewrócić.

Widziała Margot tylko raz dwa miesiące wcześniej. Alice poprosiła ją, żeby odebrała suknię balową jej córki z pralni i zawiozła do niej do domu. Wykraczało to poza zakres obowiązków asystentki, ale może Bree mogłaby to zrobić w ramach osobistej przysługi? Oczywiście, to żaden problem. Suknia była piękna, Bree miała podobną, choć nie tak drogą, na swoim szkolnym balu. Nawet gdyby nie widziała wcześniej zdjęć Margot w gabinecie Alice, poznałaby ją od razu, kiedy tylko otworzyła drzwi. Młodsza wersja swojej matki. Z przyjaciółką popijały smoothies z jarmużu z ulubionego sklepu ze zdrową żywnością Bree.

– Hej, to jest super, prawda? – zagadnęła Bree. Znała ten rodzaj napojów, tak jak znała ten rodzaj dziewczyn, z ich błyszczącymi włosami, gładką skórą, doskonałą figurą i rozbawionym spojrzeniem. Sama była taką dziewczyną w liceum i od tej pory nic się nie zmieniło.

Margot nie mówiła nic przez chwilę, a następnie wskazała słomką w kierunku opakowania z pralni, które trzymała Bree.

– Czy to moja suknia?

– Och, tak. Tak w ogóle to jestem Bree.

– Wiem. Dzięki. – Szelest plastiku i drzwi zamknęły się jej przed nosem.

Stała przez chwilę przed nimi, wpatrując się w farbę.

– Kim była ta laska? – Słaby głos dobiegł przez otwarte okno.

– Jedna z asystentek matki.

– Jakaś namolna.

– Tak mówi mama.

Bree wycofała się. Teraz patrzyła na Alice. Trzydzieści lat starsza od córki, ale z tym samym spojrzeniem.

Zmusiła się do uśmiechu.

– Nie martw się. Nie spóźnimy się.

– To dobrze.

Bree wstała i pod pozorem, że chce się trochę porozciągać, poszła ścieżką do pniaka. W oddali widziała siostrę, która nadal paliła, wpatrując się w busz. Bree oparła nogę o pniak i zrobiła skłon, czując, jak napinają jej się ścięgna i kręci się w głowie. Przewróciło się jej w żołądku i cudem powstrzymała się, żeby nie wymiotować.

Rozłożyła mapę i położyła ją tak, żeby móc ją studiować podczas rozciągania. Szlaki jakoś dziwnie wiły się na papierze.

– Dobrze się czujesz?

Bree obejrzała się: za nią stała jej siostra i wyciągała do niej butelkę wody.

– W porządku. – Nie przyjęła picia.

– Wiesz, dokąd idziemy?

– Tak. Chryste, dlaczego wszyscy mnie o to pytają?

– Może dlatego, że nic na to nie wskazuje.

– Zamknij się, Beth.

Jej bliźniaczka wzruszyła ramionami i przysiadła na powalonym drzewie, które zaskrzypiało pod naporem jej wagi. Bree zastanawiała się, ile jej siostra teraz waży. Kiedy były nastolatkami, pożyczwały sobie nawzajem ubrania. Teraz nie mogło być o tym mowy.

Kiedy Beth zadzwoniła do Bree pół roku temu, musiała jak zwykle nagrać się na pocztę głosową. Siostra zostawiła jej wiadomość z prośbą o referencje potrzebne przy ubieganiu się o pracę, ale Bree ją zignorowała. Tydzień później Beth nagrała kolejną wiadomość, w której poinformowała ją, że dostała pracę w archiwum w BaileyTennants. Bree uznała to za żart. Nie było innej możliwości. Przeszła zbyt dużo, żeby znaleźć się na swoim obecnym stanowisku, i wcale nie chodziło o studia z handlu czy dwa nieodpłatne staże. A teraz miałyby pracować w tym samym miejscu co jej siostra, która strzygła się u taniego fryzjera, nosiła ubrania w rozmiarze L i popełniła błąd, który należało wymieniać na formalnym podaniu o pracę?

Jej matka potwierdziła, że to prawda.

– Jesteś dla niej wzorem. Mówiłam ci.

Bree uważała, że dla Beth jedyną motywacją jest strach przed utratą świadczeń. Bardzo dyskretnie wypytała o tę sprawę w dziale kadrowym. Okazało się, że to Jill Bailey osobiście zatwierdziła nieoczekiwaną kandydaturę jej siostry. Nieoficjalnie dowiedziała się, że to jej własny wkład w funkcjonowanie firmy był tym, co ostatecznie zadecydowało o przyjęciu Beth do pracy. Bree zamknęła się w toalecie i przez dziesięć minut walczyła z cisnącymi się jej do oczu łzami wściekłości.

W ciągu półtora roku przed zatrudnieniem Beth w BaileyTennants Bree widziała siostrę tylko raz. Zbliżały się święta Bożego Narodzenia i jej matka zadzwoniła, prosząc, a właściwie błagając ją o wybaczenie. Przez pięćdziesiąt minut z kamienną twarzą słuchała płaczu matki, zanim w końcu się ugięła. W końcu co święta, to święta. Wyruszyła więc do domu rodzinnego z prezentami dla wszystkich członków rodziny – oprócz jednej osoby.

Beth, oczywiście spłukana i bezrobotna, ale o zdumiewająco niezmaconym spojrzeniu, podarowała Bree ich wspólne zdjęcie z dzieciństwa, oprawione w tanią ramkę, która wyglądałaby okropnie w jej mieszkaniu. Na dołączonej kartce bożonarodzeniowej napisała po prostu „Przepraszam”. Ponieważ matka się im przyglądała, Bree nie odsunęła się, kiedy siostra podeszła, żeby ją objąć.

Po powrocie do domu, gdy świąteczny nastrój już minął, Bree wyjęła zdjęcie, a ramkę oddała na cele dobroczynne. Godzinę później wróciła, żeby ją odkupić. Umieściwszy w niej z powrotem zdjęcie, wrzuciła ją wraz z innymi świątecznymi ozdobami na samą górę szafy.

Pierwszego dnia pracy Beth ich matka zadzwoniła do Bree z prośbą, by ta pomogła siostrze za wszelką cenę utrzymać posadę. Kiedy teraz patrzyła na nią palącą papierosa na powalonym drzewie, bardzo żałowała złożonej obietnicy.

– Dziewczyny, jesteście gotowe?

Jill, Alice i Lauren stały już z założonymi plecakami, gotowe do dalszej drogi.

– Tak. Już idę. – Bree chwyciła mapę i podbiegła do nich, najwyraźniej za szybko, bo zakręciło się jej w głowie.

– Stąd skręcamy w lewo czy w prawo? – zapytała Jill. W tym miejscu szlak rozdzielał się na dwie wąskie ścieżki porośnięte w takim samym stopniu krzakami. Ziemia po lewej stronie wyglądała na bardziej ubitą, ale Bree dobrze wiedziała, że przez pierwszą część tego dnia na każdym rozgałęzieniu miały kierować się w prawo. Sprawdziła raz jeszcze, czując na sobie wzrok czterech towarzyszek. Pod ciężarem plecaków spieszyło się im, żeby ruszyć w drogę. Powiodła palcem wzdłuż szlaku, jej ręka trzęsła się lekko, a w brzuchu się kotłowało. Tak, dwukrotnie już dziś skręcały, to był trzeci raz.

– Bree, jeśli chcesz, żeby ci pomóc... – Alice przestąpiła z nogi na nogę.

– Nie.

– Okej. No to w którą stronę?

– W prawo.

– Jesteś pewna? Ta strona wygląda dość dziko i niedostępnie.

Bree wskazała na rozwidlenie na mapie. Czerwona linia.

– Tutaj. Skręcić w prawo.

– Jesteśmy już tak daleko? – Alice była zaskoczona. – No, skoro tak, to dobrze.

Bree złożyła mapę wzdłuż krawędzi.

– Widzisz, idziemy w dobrym tempie. Nie ma powodu, by się martwić. – Ani drzeć mordę, choć raz. Bree zmusiła się do wzięcia głębokiego oddechu i przywołała uśmiech na twarz. – Za mną.

Rozdział 9

Carmen i Falk mieli wrażenie, jakby wkroczyli do gabinetu luster. Dwie twarze, stanowiące swoje zniekształcone odbicie, jednocześnie podniosły się i spojrzały na nich, kiedy weszli do sali szpitalnej.

– Breanna McKenzie? – zapytał Falk.

Kobieta leżąca w łóżku straciła zdrowy blask, którym promieniała na firmowym zdjęciu. Pod jej oczami rysowały się cienie, a usta były blade i popękane. Jej prawa ręka była grubo zabandażowana.

– Jesteśmy z policji. Czy pielęgniarka przekazała ci, że czekamy, żeby z tobą porozmawiać?

– Tak.

Falk zwracał się do Breanny, ale odezwała się kobieta siedząca na plastikowym krześle obok łóżka.

– Powiedziała, że macie jeszcze kilka pytań w sprawie Alice.

– Zgadza się. Ty jesteś Bethany, prawda?

– Wystarczy Beth.

Falk po raz pierwszy widział Beth osobiście i przyglądał się jej z zainteresowaniem. Podobieństwo między siostrami było swoiste: zupełnie jakby subtelne rysy Breanny roztopiły się na słońcu i w bardziej mięsistej i o cięższej formie znalazły się u jej siostry. Cera Beth była zaczerwieniona od popękanych naczynek wokół nosa i na szczęce. Jej włosy miały zmatowiały odcień charakterystyczny dla taniej farby nakładanej w domu i były ścięte w taki sposób, że nie były ani długie, ani krótkie. Wyglądała na dziesięć lat starszą od swojej siostry, ale kiedy popatrzyła na Falka, jej spojrzenie było bardzo zdecydowane.

Obok łóżka stała taca z resztkami lunchu. Pacjentka najwyraźniej nie zjadła za wiele.

Miejskowy szpital znajdował się dwie ulice za stacją benzynową i niewiele różnił się od zwykłej przychodni. Był urządzony tak, żeby leczyć zarówno miejscowych, jak i turystów. Pielęgniarka w rejestracji w zdecydowany sposób wyprosiła ich i poleciła wrócić za półtorej godziny, kiedy tabletki nasenne podane Breannie przestaną działać. Trzykrotnie przeszli główną ulicę miasteczka od początku do końca, a następnie przeczekali w samochodzie pozostałą godzinę i kwadrans. Kiedy wrócili do szpitala, poinformowano ich, że właśnie podano lunch.

– Żadnych odwiedzin podczas posiłków. Bez wyjątków.

W końcu pielęgniarka przywołała ich do recepcji. Mogli wejść. Breanna McKenzie leżała na wspólnym oddziale, ale w tej chwili była jedyną pacjentką. Zima.

Przysunęli krzesła do łóżka chorej.

– Znaleźliście już Alice? – Beth uważnie przyglądała się Carmen i Falkowi. – Dlatego tu jesteście?

– Nie, jeszcze nie – odparł Falk. – Przykro mi.

– Och. W takim razie o co chcecie zapytać?

– Właściwie to chcemy porozmawiać z twoją siostrą – odpowiedziała Carmen. – Najlepiej na osobności.

– Wydaje mi się, że powinnam z nią zostać.

Bree podniosła się na poduszce.

– Na litość boską, Beth. W porządku. Zostaw nas i pozwól im pracować.

– Skrzywiła się. – Są tu jakieś środki przeciwbólowe?

– Jeszcze na nie za wcześnie – powiedziała Beth, nie patrząc nawet na zegar.

– Zapytaj pielęgniarkę.

– Jest za wcześnie. Nie dostaniesz nic więcej aż do wieczoru.

– Jezu. Idź i zapytaj. Proszę.

Beth podniosła się z krzesła.

– Dobra. Będę palić papierosa na zewnątrz. I tak – dodała, widząc, że jej

siostra otwiera usta – zapytam pielęgniarkę. Ale mówię ci, że jest za wcześnie.

Patrzyli, jak wychodzi.

– Przepraszam. Jest zła, bo nie dopuszczają do tego, żeby przebywała w pomieszczeniu z lekarstwami – powiedziała Bree, kiedy drzwi się zamknęły.

– Dlaczego nie? – zapytała Carmen.

– Nic wielkiego, naprawdę. Miała trochę problemów z nadużywaniem pewnych substancji w przeszłości, ale od roku jest czysta. Podejrzewam, że pielęgniarki uważają, że z ostrożnością nie da się przesadzić. Byłoby pewnie lepiej, gdyby jej tutaj nie było... – Bree spuściła wzrok. – Ale ona chce tu być.

– Czy ktoś tu jeszcze do ciebie jedzie? – zapytał Falk. – Chłopak? Rodzice?

– Nie. – Bree zaczęła skubać bandaż. Jej paznokcie nosiły ślady po lakierze w kolorze głębokiego różu. Kilka było połamanych. – Mama choruje na stwardnienie rozsiane.

– Przykro mi to słyszeć.

– W porządku. To znaczy to nie jest w porządku. Nie może podróżować. Tata musi spędzać z nią teraz większość czasu. Tak czy inaczej – próbowała się uśmiechnąć – mam Beth.

Zapadła ciężka cisza.

– Jeśli nie masz nic przeciwko, chcielibyśmy zapytać cię o Alice Russell – odezwał się w końcu Falk. – Jak długo dla niej pracujesz?

– Od półtora roku.

– Jako jej asystentka?

– Koordynator administracyjny.

Falkowi wydawało się, że Carmen zdusiła uśmiech, ale szybko odzyskała panowanie nad sobą.

– Na czym polega ta praca?

– Na początku wiązała się głównie z kwestiami administracyjnymi, ale później Alice stała się moją mentorką. Obserwuję ją uważnie, nabywam nowych umiejętności, żebym mogła awansować.

– Czy Alice jest dobrą szefową?

Ułamek sekundy wahania.

– Tak. Zdecydowanie.

Czekali, ale Bree nie dodała nic więcej.

– Czy powiedziałaabyś, że dobrze ją znasz?

– Tak. Bardzo dobrze. – W głosie Bree zabrzmiała dziwna nuta. Falk przyglądał się jej uważnie, ale kiedy odwzajemniła jego spojrzenie, nic nie wskazywało na to, żeby go rozpoznała. Bree, podobnie jak Daniel Bailey, nawet jeśli wiedziała, kim są, nie dawała tego po sobie poznać.

– Jak odebrałaś Alice podczas wycieczki? – zapytała Carmen.

Bree wróciła do skubania bandaża, który zaczynał się już strzępić.

– Zanim się zgubiłyśmy, zachowywała się normalnie, naprawdę. Ona czasem potrafi być uszczypliwa, ale żadna z nas nie prezentowała się w najlepszym świetle. A po tym, jak się zgubiłyśmy? – Bree potrząsnęła głową. – Wszystkie byłyśmy przerażone.

– Czy wspominała o czymś, co ją martwiło? – zapytała Carmen. – Oprócz tego, że się zgubiłyście, oczywiście.

– Co na przykład?

– Cokolwiek. Praca, dom, problemy ze współpracownikami?

– Nie. Przynajmniej nie mnie.

– Ale czy jako osoba, która zna ją dobrze, wyczułaś, że coś jest nie tak?

– Nie.

– A zanim udałyście się na wycieczkę? Czy zauważyłaś jakieś nietypowe prośby Alice lub spotkania?

– A co to ma wspólnego z tym, co się tutaj stało?

– Może coś, może nic – odpowiedział Falk. – Staramy się ustalić, co poszło nie tak.

– Mogę wam dokładnie powiedzieć co. – Bree zmarszczyła czoło. – I to nie była tylko moja wina.

– Co masz na myśli?

– To, że się zgubiliśmy. To była ta głupia kangurza ścieżka drugiego dnia. Tak mi powiedzieli inni policjanci. Ponoć łatwo się pomylić. – Bree urwała i jedynym słyszalnym dźwiękiem było pikanie szpitalnych urządzeń. Wzięła głęboki oddech. – One nie powinny zrzucać na mnie całej odpowiedzialności za nawigację. Nie miałam pojęcia, co robię. Wysłali mnie na półdniowy kurs z przerwami na kawę co dwadzieścia minut i natychmiast miałam zostać ekspertką?

Poruszyła zabandażowaną ręką i skrzywiła się, na jej czole pojawiły się kropelki potu.

– Co się stało, kiedy zorientowałyście się, że zbczyłyście ze szlaku?

– Od tego momentu wszystko już szło źle. Nigdy nie trafiłyśmy do drugiego obozowiska, więc nie uzupełniłyśmy zapasów, które tam na nas czekały. Brakowało nam jedzenia. Przez głupotę uszkodziłyśmy namioty. –

Cichy śmiech. – To niemal śmieszne, jak szybko się wszystko rozleciało. Nie myślałyśmy logicznie i podejmowałyśmy złe decyzje. Ciężko wytłumaczyć, jak tam jest. Można poczuć się tak, jakby oprócz was nikogo nie było na świecie.

– Jak Alice zareagowała na to, że się zgubiliście? – zapytał Falk.

– Nalegała, żebyśmy postąpiły tak, jak ona chce. Gdy Alice działa pod wpływem stresu, może wydawać się agresywna. Kiedy była w szkole, dużo biwakowała i chodziła na wycieczki – mieszkała przez rok na jednym z tych kampusów zewnętrznych. Wydaje mi się, że dlatego uważała, że ma więcej do powiedzenia niż którakolwiek z nas. Sama nie wiem. – Bree westchnęła. – Może miała rację. Ale Lauren... Znacie Lauren Shaw? Była w naszej grupie. Ona była na tym samym kursie w szkole co Alice i nie zawsze się z nią zgadzała. Jak wtedy, kiedy trzeciego dnia znalazłyśmy tę chatkę. Chodzi mi o to, że to było okropne. Bardzo mi się tam nie podobało, ale nie

miałyśmy lepszej możliwości. Pogoda się pogarszała i potrzebowaliśmy jakiegoś schronienia, więc tam zostałyśmy. – Bree zamilkła na chwilę. – Alice jako jedyna była temu przeciwna.

– Nie udało się jej przekonać was do opuszczenia tego miejsca? – zapytał Falk.

– Nie. I nie była z tego powodu zadowolona. Mówiła, że wie, jak nas stamtąd wydostać, ale że nie możemy się zatrzymywać. Jednak my nie chcieliśmy. Bo to było to, co nas zgubiło na samym początku. To, że szliśmy na ślepo. Wywiązała się kłótnia. Alice powiedziała, że w takim razie pójdzie sama, ale Jill nie chciała jej puścić. Kiedy obudziłyśmy się następnego dnia rano, okazało się, że Alice wzięła telefon i poszła.

– Czy Jill Bailey powiedziała, dlaczego nie chciała pozwolić Alice iść samej? – wtrąciła się Carmen.

– To chyba oczywiste: bo to niebezpieczne. I okazało się, że miała rację.

Bree spojrzała na każde z nich z osobna, jakby rzucając im wyzwanie, żeby się z tym nie zgodzili.

– Co zrobiliście, kiedy okazało się, że jej nie ma? – zapytał w końcu Falk.

Bree potrząsnęła głową.

– Nie jestem najlepszą osobą do udzielenia odpowiedzi na to pytanie. Chociaż to ja pierwsza się obudziłam i poszłam za potrzebą w busz. Kiedy już wracałam, potknęłam się. Na początku nie wiedziałam, co się stało, myślałam, że upadłam na coś ostrego. Myślałam, że to potłuczone szkło. Ale nagle zobaczyłam węża i wszystko stało się jasne.

Bree przygryzła dolną wargę tak mocno, że aż zbielała. Patrzyła przed siebie niewidzącym spojrzeniem.

– Myślałam, że tam umrę. Naprawdę w to wierzyłam. Powiedziano nam, że są tam węże tygrysie. Nie miałam pojęcia, gdzie się znajdowałyśmy. Myślałam, że już nigdy nie zobaczę swojej rodziny, nigdy nie pożegnani się z mamą. – Roztrzęsiona wzięła głęboki oddech. – Pamiętam, że kręciło mi

się w głowie i czułam się, jakbym nie mogła oddychać. Lekarz w szpitalu powiedział mi, że to musiał być atak paniki, ale wtedy myślałam, że to działanie trucizny. Jakoś dotarłam do chatki, a reszty prawie nie pamiętam. Koleżanki zacisnęły mi coś mocno na ręce. Bardzo mnie bolało. Nie jestem pewna, kiedy zorientowałam się, że nie ma z nami Alice.

Bree powróciła do skubania bandaża.

– Kiedy reszta zdecydowała, że powinnyśmy wyruszyć – bez Alice – nie sprzeczałam się. Szłam, gdzie mi kazały. Lauren udało się poprowadzić nas na północ i trafiłyśmy na drogę. Niewiele z tego pamiętam. Lekarz powiedział, że pewnie byłam w szoku. Gdzieś w głowie kołatała mi się myśl, że Alice poszła przodem po pomoc i będzie na nas czekała na miejscu zbiórki. – Bree spuściła wzrok. – Wydaje mi się, że nawet o nią zapytałam, ale naprawdę niewiele kojarzyłam. Nie wiedziałam, co robię.

Z jej oczu popłynęły powstrzymywane dotąd łzy i Falk podał jej chusteczkę. Czekali wśród szumu maszyn, aż wytrze sobie oczy.

– Alice miała ze sobą telefon – powiedziała Carmen. – Czy dzwoniła do kogoś przy was?

– Nie – odpowiedziała szybko. – To znaczy, oczywiście próbowała. Zwłaszcza na numer alarmowy, ale nigdy się nie dodzwoniła. To było zupełnie bezsensowne.

– Ale mimo to zabrała telefon, odchodząc.

Dziewczyna nieznacznie wzruszyła ramionami.

– W końcu był przecież jej.

Oparta o poduszkę z długimi rozpuszczonymi włosami i zabandażowaną ręką Bree wyglądała na bezbronną. Jej połamane paznokcie i historia, którą opowiedziała, tylko wzmacniały to odczucie.

– Mówisz, że dobrze znasz Alice. Czy zdziwiło cię, że was zostawiła?

– W normalnych warunkach pewnie by mnie zdziwiło. – Bree patrzyła na Falka szeroko otwartymi oczami. *Ona wie, jak okłamywać mężczyzn.* Ta myśl zupełnie nieoczekiwanie pojawiła się w jego głowie. – Ale jak już

mówiłam, tam, w buszu, jest zupełnie inaczej. Teraz żałuję, że jej nie posłuchałyśmy. Może wtedy nic z tego by się nie wydarzyło.

– Ale przecież wszystkie mogłybyście się nie znaleźć do tej pory.

– Możliwe. Ale może jakakolwiek inna wersja wydarzeń byłaby lepsza od tej.

Zmieniła ułożenie zabandażowanej ręki i na jej twarzy odmalował się ból. Falk i Carmen wymienili spojrzenia.

– Tyle nam na razie wystarczy. Pozwolimy ci teraz odpocząć – powiedziała Carmen, podnosząc się z krzesła. – Dzięki.

Bree skinęła głową. Cienie pod jej oczami wyglądały na ciemniejsze niż na początku rozmowy.

– Jak zobaczycie moją siostrę, powiedzcie jej, żeby przysłała pielęgniarkę ze środkami przeciwbólowymi albo żeby sobie poszła, to będą mogli podłączyć mi kroplówkę. Proszę.

W sali było chłodno, ale zamykając za sobą drzwi, Falk zdążył jeszcze zauważyć, że na czoło Bree znów wystąpił pot.

Dzień 2: Piątek po południu

Blade słońce przesunęło się na niebie, a trawa sięgała im po kostki, kiedy w końcu padły słowa, które od dawna wisiały w powietrzu:

– Dobrze idziemy?

Beth odetchnęła po cichu z ulgą, że Jill wreszcie o to zapytała. Ona sama zbierała się do tego od dobrych dwudziestu minut, ale bała się gniewu siostry.

Bree zatrzymała się i spojrzała za siebie.

– Wszystko powinno być w porządku.

– Powinno być czy jest?

– Jest. – W głosie Bree brakowało jednak przekonania. Spojrzała na mapę. – Nie ma innej możliwości. Nigdzie nie skręcałyśmy.

– Wiem o tym. Ale... – Jill wskazała ręką na otoczenie. Zarośnięta ścieżka, drzewa rosnące coraz gęściej z każdym krokiem. – Zapomnij o mapie, coś jest nie tak.

Wokół nich niewidoczne ptaki nawoływały się nawzajem. Beth nie mogła otrząsnąć się z wrażenia, że cały busz o nich plotkuje.

– Nie widziałyśmy żadnej flagi przez cały dzień – zauważyła Jill. – Właściwie to żadnej oprócz tamtej na drzewie wczoraj. A powinno być ich sześć. Z pewnością powinnyśmy były już jakąś zauważyć. Przynajmniej jedną.

– Może skręciłyśmy w złą stronę na tym rozstaju po lunchu. Mogę zobaczyć? – Alice wyrwała Bree mapę, zanim zdążyła odpowiedzieć. Bree zamarała z wyciągniętą pustą ręką. Czuła się zagubiona w każdym sensie tego słowa. Beth próbowała uchwycić jej spojrzenie, ale bezskutecznie.

– Zobacz. – Alice zmarszczyła brew. – Musiało tak być. Miałam wrażenie, że dotarliśmy tam za wcześnie.

– Naprawdę nie sędzę.

– Bree – uciszyła ją Alice. – Coś jest nie tak.

Przez chwilę słyhać było tylko dziwną ciszę, która zapadła w buszu. Beth spojrzała w górę na eukaliptusy. Kora odchodziła od ich pni niczym obdarta skóra. Wydawały się bardzo wysokie i przytłaczające. Jesteśmy w potrzasku, pomyślała nagle.

– Co teraz? – W tonie Jill pojawiła się nowa nuta, której Beth nie potrafiła zidentyfikować. Nie był to strach, jeszcze nie. Być może troska. Żywe zainteresowanie.

Alice wyciągnęła mapę tak, żeby Jill mogła zobaczyć.

– Jeśli skręciłyśmy tak, jak należało, to jesteśmy tu. – Pokazała. – W przeciwnym razie nie mam pojęcia. Pewnie jesteśmy gdzieś tutaj. – Zakreśliła palcem małe kółko na mapie.

Jill pochyliła się blisko, zmarszczki wokół jej oczu pogłębiły się.

Beth zorientowała się, że Jill po prostu nie może odczytać mapy. Druk musiał być za mały – równie dobrze mogłaby patrzeć na pustą kartkę. Beth pamiętała, że jej babcia zachowywała się podobnie, kiedy nie chciała się przyznać, że ma za słaby wzrok. Podczas gdy Jill udawała, że studiuje mapę, Alice przyglądała się jej z zaciekawieniem. Ona też to zauważyła, pomyślała Beth.

– Hmmm. – Jill wydała nic nieznaczące mruknięcie i podała mapę Lauren. – Co o tym myślisz?

Lauren wyglądała na nieco zaskoczoną, ale wzięła mapę. Pochyliła głowę, uważnie się jej przyglądając.

– Mnie też się wydaje, że źle poszliśmy – powiedziała. – Przykro mi, Bree.

– Co powinniśmy zrobić w takiej sytuacji? – zapytała Jill, patrząc na nią.

– Sądzę, że powinniśmy zawrócić po naszych śladach.

Alice jęknęła.

– Chryste, zawracanie trwa wieki. Zajmie nam to całe godziny.

– No cóż. – Lauren wzruszyła ramionami. – Nie wiem, co innego nam zostaje.

Jill patrzyła to na Alice, to na Lauren, jakby oglądała mecz tenisa. Bree stała zaledwie metr czy dwa od nich, ale równie dobrze mogłaby być niewidzialna.

Alice spojrzała na ścieżkę.

– Czy my w ogóle będziemy w stanie zawrócić? Ledwo widać tę ścieżkę i możemy zgubić się po raz kolejny.

Beth z przerażeniem doszła do wniosku, że Alice ma rację. Za ich plecami ścieżka, której trasę zdążyły już zapomnieć, zlewała się z krajobrazem. Beth odruchowo zaczęła szukać papierosów. Nie miała ich w kieszeni. Serce zaczęło jej bić trochę szybciej.

– Mimo wszystko nadal uważam, że to nasza najlepsza szansa –

zauważyła Lauren. – Najbezpieczniejsza decyzja, jaką możemy podjąć.

– Ale to nas opóźni o wiele godzin. – Alice spojrzała na Jill. – Znow będziemy szły w ciemnościach, zanim znajdziemy obozowisko, to nie ulega wątpliwości.

Jill spojrzała na swoje buty, kupione specjalnie na tę wyprawę, i Beth wiedzia, że perspektywa przejścia dodatkowych kilometrów nie wzbudzała jej entuzjazmu. Jill otworzyła usta, ale od razu je zamknęła i potrząsnęła głową.

– Sama nie wiem – powiedziała w końcu. – A jest jakaś inna możliwość?

Alice rzuciła uważne spojrzenie na mapę, a następnie spojrzała na swoje towarzyszkę.

– Czy ktoś jeszcze słyszy strumień?

Beth wstrzymała oddech. Nikły dźwięk płynącej wody był niemal zupełnie zagłuszony przez pulsowanie krwi w jej uszach. Boże, naprawdę nie była w formie. Pozostałe kobiety pokiwały głową.

– Jeśli skręciliśmy źle w tym miejscu, to to powinien być ten strumień. –

Alice wskazała na mapę. – Brzmi, jakby był niedaleko. Dzięki niemu możemy zorientować się w terenie. Jeśli uda się nam ustalić naszą pozycję, będziemy mogły przeciąć busz i wrócić na właściwy szlak.

Beth zauważyła, że Lauren skrzyżowała ręce na klatce piersiowej. Jej usta były mocno zaciśnięte.

– Czy sądzisz, że... – Jill musiała odkaszlnąć. – Czy jesteś pewna, że możemy się zorientować, gdzie jesteśmy?

– Tak. Powinniśmy być w stanie to zrobić.

– A ty co sądzisz? – zwróciła się do Lauren.

– Ja uważam, że powinniśmy zawrócić.

– Na litość boską, będziemy szły całą noc – zaprotestowała Alice. – Dobrze o tym wiesz.

Lauren nic nie odpowiedziała. Jill patrzyła to na jedną, to na drugą, a następnie znow na swoje buty. Zdusiła westchnienie.

– Znajdźmy ten strumień.

Nikt nie zwracał sobie głowy pytaniem Bree o zdanie. Beth szła, a dźwięk wody stawał się coraz głośniejszy. Brzmiał zupełnie inaczej niż huk wodospadu, był bardziej przytłumiony. Przedzierały się między pniami drzew, aż Beth w końcu dotarła na błotnisty występ.

Tuż obok jej stóp kawał gliniastej ziemi odpadł i spadł metr w dół prosto do brązowej wody strumienia wezbranego od niedawnych opadów. Unoszące się na powierzchni liście i gałązki nie pozostawiały wątpliwości co do silnego prądu wody.

Alice wpatrywała się w mapę, a Jill i Lauren – w Alice. Bree stała z boku zupełnie zapomniana. Beth przyciągnęła plecak i zaczęła szukać w nim paczki z papierosami. Nie mogła jej znaleźć i mimo chłodu jej dłonie zaczęły się pocić. Sięgnęła głębiej. W końcu jej palce natrafiły na znajomy kształt i wyciągnęła rękę, wysypując przy okazji kilka elementów garderoby i innych przedmiotów.

Nie zauważyła toczącego się połyskującego metalowego pojemnika, zanim było za późno. Wymknął się z zasięgu jej rąk i spadł do strumienia.

– Cholera. – Włożyła paczkę papierosów do kieszeni i próbowała odzyskać zgubę.

– Co to było? – Alice podniosła się znad mapy.

– Nie wiem. – Beth spojrzała w dół i ze stłumionym westchnięciem ulgi zobaczyła, że cokolwiek to było, leżało teraz na płataninie gałęzi unoszących się nad wodą.

– Cudownie. – Alice przyjrzała się uważnie. – To gaz do piecyka.

– Co takiego? – Beth patrzyła, jak metal połyskiwał, kiedy gałęzie się kołysały.

– Gaz. Do piecyka – powtórzyła Alice. – Potrzebujemy go, żeby ugotować dziś jedzenie. I jutro też. Jezu, Beth. Dlaczego go zrzuciłaś?

– Nawet nie wiedziałam, że go mam.

– Podzieliliśmy się wspólnym sprzętem, wiesz przecież.

Kawałek drewna przepłynął, zahaczając o gałęzie. Pojemnik z gazem

zakołysał się, ale nie wpadł do wody.

– Możemy się bez niego obyć? – zapytała Jill.

– Nie, jeśli chcemy zjeść dziś kolację.

Pojemnik znów drgnął.

Beth czuła na sobie spojrzenie Alice. Spojrzała na wezbraną wodę, wiedząc, co ją czeka. Alice stanęła za nią i Beth poczuła, jak niewidoczna dłoń ją popycha.

– Przynieś to.

Rozdział 10

Beth stała oparta o ścianę szpitala z jedną ręką w kieszeni płaszcza i z oczami zmrużonymi z powodu dymu papierosowego. Wyprostowała się trochę, kiedy zobaczyła Carmen i Falka.

– Skończyliście? – zawołała. – Jak się ma Bree?

– Trochę ją boli – powiedziała Carmen. – Kazała ci przypomnieć, żebyś poprosiła pielęgniarkę o coś przeciwbólowego.

– Już to zrobiłam. Jeszcze za wcześnie. Ona nigdy mnie nie słucha. –

Beth odwróciła głowę, żeby wydmuchać dym. – Jakies wiadomości o Alice? Są jakies ślady?

– Nadal nic nie wiadomo – odparł Falk.

– Cholera. – Beth ściągnęła kawałek tytoniu z dolnej wargi i spojrzała na drzewa rosnące za szpitalem. – Ciekawe, co się z nią stało.

– A ty jak myślisz?

Beth skupiła uwagę na swoim papierosie.

– Po tym, jak sobie poszła? Kto wie. Tam wszystko może się zdarzyć.

Wszystkie próbowałyśmy jej to uświadomić.

Falk przyglądał się jej.

– Czym się zajmujesz w firmie?

– Przetwarzaniem danych i archiwizacją.

– Ach tak? A na czym to polega?

– Łatwo to sobie wyobrazić. Segreguję dokumenty, wprowadzam dane do systemu i dbam o to, żeby partnerzy mieli dostęp do tego, czego potrzebują.

– Czyli masz dostęp do dokumentów firmy?

– Tych niezastrzeżonych. Są jeszcze dokumenty poufne, do których dostęp mają tylko starsi partnerzy w firmie.

– Często widywałaś Alice Russell w pracy?

– Czasami. – Nie wyglądało na to, żeby Beth była z tego powodu szczęśliwa. – Dość dużo czasu spędzała w archiwum, szukając różnych danych.

Falk poczuł, że Carmen przestępuje z nogi na nogę.

– Rozmawiałyście, kiedy tam była? – Carmen zapytała jakby od niechcienia. – O tym, czego tam szuka?

Beth przekrzywiła głowę, coś przemknęło przez jej twarz. Zupełnie jakby kalkulowała, co się jej opłaca.

– Nie, nie odzywała się do nikogo w dziale przetwarzania danych, chyba że czegoś potrzebowała. Poza tym dla mnie tam wszystko jest czarną magią, nie płacę mi na tyle dobrze, żebym myślała.

– A na wycieczce? Czy nawiązałyście ze sobą lepszy kontakt? – dopytywał Falk. Twarz Beth skamieniała, dłoń z papierosem zatrzymała się w połowie drogi do ust.

– Czy to jakiś żart?

– Nie.

– Nie. Alice Russell i ja nie dogadywałyśmy się wcale. Ani w pracy, ani podczas wycieczki. – Beth rzuciła spojrzenie na szpitalne drzwi. – Bree nic o tym nie wspominała?

– Nie.

– Och. – Beth po raz ostatni zaciągnęła się papierosem i zdusiła niedopałek. – Pewnie myślała, że wiecie. Alice mnie nie lubi i nie czuje potrzeby, żeby się z tym kryć.

– Dlaczego? – zapytała Carmen.

– Nie wiem. – Wzruszyła ramionami i wyciągnęła paczkę papierosów, częstując ich. Oboje pokręcili głowami. – Właściwie – powiedziała, wkładając sobie jednego do ust – to doskonale wiem dlaczego. Nie lubiła mnie nigdy, bo nie musiała. Nie miałam jej nic do zaoferowania, nie byłam dla niej interesująca. Nie jestem Bree. – Gestem ręki wskazała na siebie, od bladej twarzy o ziemistej cerze do swoich masywnych ud. – Alice

z łatwością mogła mi uprzykrzyć życie i skorzystała z tej szansy.

– Nawet mimo to, że była z wami twoja siostra?

Beth uśmiechnęła się krzywo.

– Zwłaszcza dlatego. Myślę, że to właśnie stanowiło główną atrakcję.

Osloniła papierosa dłońmi i przypaliła. Wiatr zmierzwił jej włosy i owinęła się mocniej płaszczem.

– Czyli Alice ci dokuczała? – dociekała Carmen. – Postawiłaś się jej? Odgryzałaś się chociaż raz?

Cień przebiegł przez jej twarz.

– Nie.

– Naprawdę? To musiało być dla ciebie frustrujące.

Wzruszyła ramionami.

– Zawsze będzie ktoś taki jak Alice. Nie warto z tego powodu wszczynać awantur. Zwłaszcza że jestem na zwolnieniu warunkowym.

– Za co? – zapytał Falk.

– Nie wiecie?

– Możemy się dowiedzieć, ale będzie znacznie łatwiej, jeśli sama nam powiesz.

Beth rzuciła szybkie spojrzenie na drzwi szpitala. Przystąpiła z nogi na nogę i wzięła głęboki oddech.

– Mówiliście, że z jakiej policji jesteście?

– Z Australijskiej Policji Federalnej. – Falk wyjął swoją legitymację służbową, a Beth pochyliła się, żeby przyjrzeć się jej uważnie.

– Mam wyrok, bo... – urwała i westchnęła. – Mam wyrok przez tę sprawę z Bree.

Falk i Carmen czekali na ciąg dalszy, który nie następował.

– Musisz powiedzieć nam coś więcej – odezwała się w końcu Carmen.

– Wiem, przepraszam. Po prostu nie lubię o tym mówić. Kilka lat temu – z całej siły zaciągnęła się resztką papierosa – nie szło mi najlepiej w życiu. Włamałam się do mieszkania Bree i ukradłam trochę rzeczy. Ciuchy,

telewizor. Jakieś rzeczy, na które długo oszczędzała. Trochę biżuterii, którą babcia dała jej przed śmiercią. Bree przyłapała mnie, jak pakowałam to wszystko do samochodu. Próbowala mnie powstrzymać, więc ją uderzyłam.

Ostatnie słowa pozostawiły widoczny niesmak w jej ustach.

– Mocno oberwała? – dopytywał Falk.

– Fizycznie? Nie bardzo – odparła Beth. – Ale pomyśl, została pobita na ulicy przez swoją siostrę bliźniaczkę, kradnącą jej rzeczy, żeby mieć na narkotyki, więc tak – nieźle oberwała. Bardzo ją skrzywdziłam.

Zabrzmiało to jak formułka, którą musiała często powtarzać na sesjach terapeutycznych. Skończyła papierosa, ale tym razem zwlekała z wyrzuceniem niedopałka.

– Prawdę powiedziawszy, niewiele z tego pamiętam. Od kilku lat miałam problemy z narkotykami. Odkąd... – urwała. Dotknęła dłonią ramienia. Ten ruch skojarzył się Falkowi z tym, jak Bree skubała bandaż. – Odkąd byłam na ostatnim roku studiów. To było głupie. Policja zgarnęła mnie od razu, kiedy tylko chciałam sprzedać jej rzeczy. Nie wiedziałam nawet, że ją uderzyłam, dopiero mój adwokat mi powiedział. Byłam już wcześniej notowana, więc trafiłam do więzienia. To nie była wina Bree. Oczywiście. Mam na myśli to, że ona nie zgłosiła tego na policję. Mogła to równie dobrze zrobić i nikt nie miałby jej tego za złe. Któryś z sąsiadów zobaczył, jak kłócimy się na ulicy, i zawiadomił władze. Bree nadal nie chce o tym rozmawiać. W ogóle raczej ze mną nie rozmawia. Większość szczegółów znam z dokumentów sądowych.

– Jaki dostałaś wyrok?

– Kilka miesięcy w zakładzie karnym, czego nie wspominam najlepiej, i drugie tyle w ośrodku odwykowym, co było znacznie lepsze.

– Pomogli ci?

– Tak. Zrobili, co w ich mocy, a ja robię, co w mojej. To długotrwały proces, ale na odwyku nauczyli mnie brać odpowiedzialność za moje wybory. I za to, co zrobiłam siostrze.

– Jak się teraz między wami układa? – zapytała Carmen.

– W porządku. Pomogła mi dostać tę pracę, co było z jej strony naprawdę wspaniałomyślne. Zanim rzuciłam uniwersytet, studiowałam informatykę i technologię, więc praca w archiwum jest trochę poniżej moich możliwości, ale na zwolnieniu warunkowym raczej nie można wybrzydzać, więc jestem bardzo wdzięczna. – Uśmiech na ustach Beth był cokolwiek wymuszony. –

Kiedyś byłyśmy ze sobą naprawdę zżyte. Ubierałyśmy się codziennie tak samo przez jakieś czternaście lat życia. Zdecydowanie za długo. Jakbyśmy były jedną osobą. Naprawdę wierzyłyśmy, że umiemy czytać sobie w myślach. – Znów spojrzała na drzwi szpitala. – To oczywiście nieprawda. – Wydawało się, że trochę ją to dziwiło.

– Musiałś się przestraszyć, kiedy Bree ukąsił wąż – zauważył Falk.

Beth zacisnęła usta.

– To prawda. Bałam się, że mogę ją stracić na zawsze. Wstałam wcześniej, żeby się wysikać, i ponownie zasnęłam, kiedy wpadła Bree, trzymając się za rękę. Musiałyśmy jak najszybciej znaleźć lekarza, ale ta cholerna Alice zniknęła. Biegałyśmy w kółko jak kurczaki bez głowy, usiłując ją znaleźć, ale nigdzie nie było po niej ani śladu. – Przeciągnęła kciukiem po dolnej wardze. – Jeśli mam być szczerą, miałam to gdzieś. Zależało mi tylko na Bree. Uważałam, że Alice powinna poradzić sobie sama. Miałyśmy szczęście, że Lauren wiedziała, jak iść na azymut, bo inaczej nadal siedziałybyśmy w buszu. Prowadziła nas cały czas na północ, aż trafiłyśmy na drogę i mogłyśmy nią zawrócić. Nigdy w życiu nie byłam tak szczęśliwa na widok asfaltu.

– Czy widziałaś na własne oczy, jak Alice się oddała? – zapytał Falk, przyglądając się jej uważnie.

– Nie. Ale nie byłam zaskoczona jej decyzją, ponieważ cały czas groziła, że to zrobi.

– Słyszeliśmy, że wzięła ze sobą telefon.

– To prawda. To było cholernie samolubne z jej strony, ale taka właśnie

jest Alice. Nie miało to jednak znaczenia, bo ani razu nie udało się jej nigdzie dodzwonić.

– Ani razu?

– Tak. – Beth patrzyła na nich, jakby byli upośledzeni. – W przeciwnym razie wezwałybyśmy przecież pomoc.

– Byłaś zdziwiona, że Alice nie czeka na was na umówionym miejscu zbiórki, kiedy w końcu tam dotarliście? – zapytał Falk, a Beth odpowiedziała po chwili namysłu:

– Tak, właściwie tak. Zwłaszcza że pewnie szliśmy tą samą drogą, a ona miała nad nami kilka godzin przewagi. Ponieważ nie minęłyśmy jej i nie było jej też na miejscu, co mogło się stać?

Pytanie zawisło w powietrzu. Falk słyszał dźwięk policyjnego helikoptera gdzieś w oddali. Beth patrzyła to na Falka, to na Carmen.

– Słuchajcie. – Przeszła z nogi na nogę i zniżyła głos. – Czy Alice coś kombinowała?

– Co masz na myśli? – Falkowi udało się zachować neutralny wyraz twarzy.

– Wy mi powiedzcie, to wy jesteście z policji federalnej.

Nic na to nie odpowiedzieli i po chwili Beth wzruszyła ramionami.

– Nie wiem. Ale powiem wam, że Alice składała bardzo dużo zapytań do działu przetwarzania danych. Dziwne jest jednak, że zaczęła sama przychodzić i znajdować to, czego potrzebowała. Zwróciłam na to uwagę tylko dlatego, że wcześniej wysyłała do nas Bree. Odkąd zaczęła przychodzić sama, częściej wchodziła do działu zastrzeżonego. A teraz zaginęła... – Spojrzała ponad ich głowami na malujące się w dali wzgórza i ponownie wzruszyła ramionami.

– Beth – odezwała się Carmen. – Jaką możesz mieć pewność, że Alice opuściła chatę z własnej woli?

– Nie mam co do tego wątpliwości. Zgadza się, że tego nie widziałam, ale ona wiedziała, że musi się przed nami ukryć, inaczej byśmy ją

powstrzymały. Nie chciała tkwić w buszu. Już po pierwszej nocy usiłowała namówić Jill, żeby pozwoliła jej wrócić samej, ale Jill się nie zgodziła. A później w chacie znów było to samo.

– Czy między nimi było jakieś napięcie? – dociekała Carmen.

– Oczywiście.

– Pytam, bo kiedy widzieliśmy przelotnie Jill Bailey, wyglądało na to, że na szczęce ma siniaka.

Nastąpiła długa cisza, w trakcie której Beth uważnie przyglądała się niedopałkowi papierosa.

– Nie jestem pewna, skąd go ma. Kilka razy się potknęła.

Beth nadal na nich nie patrzyła.

– No dobra – odezwał się Falk. – Czyli między Alice i Jill nie układało się dobrze.

– No tak, ale nie było w tym nic zaskakującego. Alice mogłaby wywołać bójkę w pustym pokoju. Poza tym była nieźle wkurzona na długo przed tym, jak Jill cokolwiek zrobiła. Alice była w złym humorze od pierwszego wieczoru, kiedy odbyła poufną rozmowę z Danielem Baileyem.

Gdzieś w szpitalu ktoś naciskał guzik alarmowy.

– Z Danielem Baileyem? – zdziwił się Falk.

– No, z bratem Jill? Jest dyrektorem generalnym firmy. Mężczyźni odwiedzili nas pierwszego wieczoru i Daniel wziął Alice na słowo.

– Nie wiesz, o czym rozmawiali?

– Raczej nie. Nie słyszałam zbyt wiele. Tylko tyle, że Alice zapytała Daniela, skąd o tym wie, a on odparł, że widział to na własne oczy. Cały czas pytała: „Kto jeszcze o tym wie?”, a on odpowiadał: „Jeszcze nikt”. –

Beth zmarszczyła brwi, wysilając pamięć. – Daniel powiedział jeszcze coś w stylu: „Chodzi o szacunek, dlatego chciałem cię ostrzec”.

– Ostrzec ją? – powiedział Falk. – Jesteś pewna?

– Tak, ale nie wiem, o czym mówił. Zwróciłam na nich uwagę, bo Daniel nie cieszy się w biurze opinią kogoś, kto ma szacunek dla kobiet.

- Jest agresywny? – zapytała Carmen.
- Raczej lekceważący.
- Jasne – odparł Falk. – A jaki był tamtej nocy ton jego głosu? Sprawiał wrażenie zdenerwowanego?
- Nie, był spokojny. Ale nie był zadowolony. Wyglądało na to, że to była rozmowa, którą musiał odbyć, ale wcale tego nie chciał.
- A jak brzmiała Alice?
- Szczerze? – Beth zastanowiła się przez chwilę. – Wydawało mi się, że w jej głosie pobrzmiwał strach.

Dzień 2: Piątek po południu

- Schodź tam natychmiast, Beth. – Alice wskazała na wezbraną rzekę. – Szybko, zanim odpłynie.

Lauren spojrzała w dół na brzeg. Mały metalowy pojemnik na gaz wisiał między gałęziami i lada moment mógł wpaść do rwącej wody.

Beth również patrzyła w dół, mrużąc coś pod nosem.

- Co mówisz? – zapytała Alice. – Na co czekasz?
- Pytałam, czy nie możemy po prostu rozpalić dziś ogniska.
- Ognisko można było legalnie palić tylko w pierwszym obozowisku – odparła Alice. – Potrzebujemy gazu, żeby móc gotować, więc schodź tam i przynieś go z powrotem.

Beth patrzyła w przerażeniu na wodę.

– Ale jak?

Lauren pomyślała, że to dobre pytanie. Brzeg był błotnisty i stromy.

- Wpadnę – powiedziała Beth, stojąc jak skamieniała. – Nie umiem pływać.

Alice spojrzała na nią niemal rozbawiona.

– Naprawdę? Ani trochę?

– Słabo.

– Jezu. No to lepiej nie wpadnij.

Podmuch wiatru potrząsnął gałęziami. Pojemnik przesunął się trochę.

– Może lepiej go zostawmy. – Jill odezwała się po raz pierwszy. Patrzyła na strumień z niepokojem. – Nie jestem pewna, czy to bezpieczne.

– Nie możemy go zostawić, bo go potrzebujemy. Utknęliśmy tutaj na kilka dni – powiedziała Alice.

Jill spojrzała na Lauren, która pokiwała głową. Alice miała rację. Bez działającej kuchenki te dwa dni do niedzieli będą naprawdę długie.

– Beth! – krzyknęła Alice. – Złaż na dół! Bo nam odpłynie.

– Nie! – Policzki Beth pałały, a oczy stały się szkliste. – Nie zrobię tego, rozumiesz? Wpadnę.

– Nie bądź żałosna. Bez pojemnika dzisiaj nie będzie kolacji.

– Nic mnie to nie obchodzi! Żadna z was nawet nie zjadła swojego jedzenia wczoraj! Nie skrećę sobie karku tylko dlatego, że teraz jesteście trochę głodne.

Beth stała mocno na ziemi, ale Lauren widziała, jak trzęsą jej się ręce.

– Ty go upuściłaś, Beth – mówiła Alice. – Ty po niego idziesz.

– To ty go włożyłaś do mojego plecaka bez pytania.

– I?

– Ty po niego idziesz.

Stały oko w oko. Beth włożyła dłonie do kieszeni.

– Jezu, Beth – zaczęła Alice.

– Ja zejść – odezwała się nagle Lauren, sama nie do końca zdając sobie sprawę z tego, co mówi. Cztery pary oczu spojrzały na nią zaskoczone. Natychmiast tego pożałowała, ale było już za późno. – Zejść tam, ale będziecie musiały mi pomóc.

– Dziękuję. – Beth zarumieniła się jeszcze mocniej.

– Na pewno chcesz to zrobić? – Jill odsunęła się od krawędzi. – Może po

prostu powinniśmy go...

Lauren przerwała jej, żeby nie zmienić zdania:

– Nie, pójdę po niego. Jest nam potrzebny.

Spojrzała w dół. Brzeg był stromy, ale w dwóch miejscach wystawały z błotnistej ziemi skały i gdzieniegdzie rosły kępki trawy, na których można było postawić stopy i ręce. Wzięła głęboki oddech, nie była pewna, jak podejść do tego zadania. W końcu usiadła i spuściła nogi w dół. Pod rękami czuła zimną ziemię. Kilka par rąk podtrzymywało jej ręce, kiedy schodziła niżej. Jej buty ślizgały się po błocie.

– Dobra. Mamy cię – zawołała Alice.

Lauren nie spojrzała w górę. Nie spuszczała wzroku z pojemnika i płynącej pod nim wody. Wyciągnęła rękę, ale jej palce złapały tylko powietrze. Niewiele brakowało. Kolejny podmuch wiatru zakołysał gałęziami, poruszając pojemnik.

– Muszę dostać się bliżej.

Sięgnęła dalej, jej buty ślizgały się, nie dając oparcia. Była blisko. Jej palce musnęły gładki metal, kiedy coś puściło. Stopa ześliznęła się i nagle Lauren przeleciała między gałęziami, wpadając do wody.

Udało się jej szybko nabrać powietrza, zanim jej głowa zniknęła pod powierzchnią. Pod wpływem zimna jej płuca zamarły, a gęsta, ziemista woda wdzierала się do jej ust. Usiłowała poruszyć nogami, ale w górskich butach były zbyt ciężkie. Po chwili udało się jej wydostać ponad wodę. Nic nie widząc, gwałtownie zaczerpnęła powietrza.

– Pomocy! – Słowa zagłuszyła woda ponownie zalewająca jej usta.

– Wyciągnij ręce! Ręce!

Lauren słyszała nad sobą zduszone słowa, podczas gdy ktoś zjeżdżał do niej w dół. Coś jej podawano, więc chwyciła to obiema rękami, wyczuwając jakiś ruch wewnątrz płótna. Torba na żerdki namiotu.

– Trzymaj się, wyciągniemy cię.

Wepchnęła nadgarstki do uchwytu i okręciła go, aż stał się ciasny. Koło

jej twarzy coś błysnęło. Pojemnik na gaz unoszony prądem. Lauren próbowała go złapać.

– Nie mogę...

Ni z tego, ni z owego pojawił się przed nią spory kawał drewna. Ciężki i oślizły od zbutwiałych liści wypłynął spod wody i uderzył ją w głowę. Ostatnią rzeczą, jaką zobaczyła, był zakrwawiony kawałek drewna, który odbił się rykoszetem, aby zniknąć pod wodą bez śladu.

Lauren zamarzała. Trzęsa się tak bardzo, że jej stawy uderzały o ziemię. Zmusiła się, żeby otworzyć oczy. Leżała na boku. Wszystko wydawało się boleśnie jasne, chociaż światło było już inne. Jak długo była nieprzytomna? Wydawało się jej, że słyszy płacz i szorstki szept. Hałas ustał.

– Obudziłaś się. Dzięki Bogu. – Głos Alice.

– Wszystko z nią dobrze? – Jill.

– Chyba tak.

Wcale nie, chciała powiedzieć Lauren, ale nie miała siły. Usiłowała usiąść. W głowie jej dudniło. Dotknęła bolącego miejsca. Jej palce wróciły skrwawione. Była owinięta nie swoją kurtką. Pod spodem jej ubrania były przemoknięte do suchej nitki.

Obok niej z kolanami przyciągniętymi do piersi siedziała Bree, jej ramiona były okryte ręcznikiem kempingowym, a włosy ociekały wodą. Między nimi znajdowała się kałuża wodnistych wymiocin. Lauren nie była pewna, która z nich jest za nią odpowiedzialna. W ustach czuła bardzo nieprzyjemny, zgniły smak.

Jill i Alice stały nad nią. Obie były blade z przerażenia. Beth z zaczerwienionymi oczami stała za nimi, trzęsąc się z zimna. Nie miała na sobie kurtki i Lauren zrozumiała, że to właśnie nią była przykryta. Zastanawiała się niejasno, czy powinna ją oddać, ale zęby szczękały jej za mocno, żeby mogła mówić.

– Nic ci nie jest – powtarzała Alice.

Co się stało? – chciała zapytać, ale nie znajdowała słów. Musiała jednak

mieć je odmalowane na twarzy.

– Bree cię wyciągnęła – powiedziała Jill. – Oddychałaś, ale uderzyłaś się w głowę.

Lauren czuła, jakby to było coś więcej niż zwykłe uderzenie. Wystarczyło, żeby usiadła, a zaczęło kręcić się jej w głowie.

– Czy chociaż mamy pojemnik?

Wyraz ich twarzy wystarczył za odpowiedź.

– A stelaż do namiotu?

Znów ponure miny.

– Przepadły w wodzie – powiedziała Jill. – Nikt tu nie jest winny – dodała szybko.

No cóż, z pewnością nie ja, pomyślała natychmiast Lauren.

– Co teraz zrobimy?

Alice odkaszlnęła.

– W obozowisku powinien być zapasowy sprzęt. – Starła się powiedzieć to optymistycznym tonem, który jednak zabrzmiał fałszywie.

– Nie wiem, czy uda mi się dojść.

– Będziesz musiała – odparła Alice, ale natychmiast złagodniała. – Przykro mi, ale nie możemy zostać tutaj bez namiotów. Niedługo zrobi się za zimno.

– To rozpalcie ognisko. – Każde słowo wymagało od Lauren wysiłku. Jill potrząsnęła głową. – Proszę. Jill, wiem, że nie powinnyśmy, ale...

– Nie o to chodzi. Zapalniczka zamokła.

Lauren chciało się płakać. Znów zrobiło się jej niedobrze, więc położyła się z powrotem. Zimna ziemia jeszcze pogorszyła ból głowy. Poczowała, jak kropla spływa jej z czoła na skroń. Nie wiedziała, czy to woda czy krew. Zebrała siły, aby unieść nieznacznie głowę. Alice nadal nad nią stała.

– Zadzwoń po pomoc – powiedziała jej.

Alice ani drgnęła.

– Zadzwoń po kogoś, Alice. Masz komórkę.

Jill zrobiła się jeszcze bardziej niespokojna.

– Już próbowała, ale nie ma zasięgu.

Lauren pozwoliła, żeby głowa znów opadła jej na ziemię.

– To co teraz?

Żadna się nie odezwała. Coś przemknęło w krzakach.

– Może pójdziemy wyżej – odezwała się w końcu Alice. – Może tam złapiemy sygnał.

– Czy to nam w czymś pomoże? – zapytała Jill.

– Skąd mam wiedzieć?

Zapadła niezręczna cisza.

– Przepraszam. – Alice rozłożyła mapę i pochyliła się nad nią. Po dłuższej chwili spojrzała na towarzyszkę. – Spójrzcie, jestem niemal pewna, że ta rzeka jest tutaj, na północy. W kierunku na zachód znajduje się niewielki szczyt i ścieżka. Nie wygląda na zbyt stromą. Obozowisko i tak leży w tamtej okolicy. Na szczycie możemy spróbować złapać sygnał. Co wy na to?

– Dasz radę nas tam zaprowadzić? – zapytała Jill.

– Tak, tak myślę. Tam jest zachód. Kiedy trafimy na tę ścieżkę, wszystko będzie jasne.

– Robiłaś to już kiedyś?

– Kilka razy.

– Na szkolnym obozie czy jakoś ostatnio?

– Na obozie, ale pamiętam, jak to się robi. Nic się od tego czasu nie zmieniło.

– A wtedy ci się powiodło?

Alice uśmiechnęła się ponuro.

– No cóż, nie skończyłam martwa w buszu. Ale Jill, jeśli masz jakiś lepszy pomysł...

– Nie o to chodzi. – Jill wzięła mapę i zmrużyła oczy. Prychnęła z irytacją i przekazała ją Lauren. – Ty też byłaś na obozie. Co o tym myślisz?

Palce Lauren były tak zgrabiące, że z trudem trzymały mapę. Usiłowała zrozumieć, co ma przed oczami. Czuła na sobie spojrzenie Alice. Zaznaczone było kilka szczytów. Nie potrafiła stwierdzić, o którym mówiła jej koleżanka. Zimno utrudniało jej proces myślowy.

– Nie wiem – odparła. – Chcę zostać tu.

– Ale nie możesz. – Alice przygryzła usta. – Zrozum, że musimy wezwać pomoc albo przynajmniej dotrzeć do obozu. No dalej, Lauren, przecież wiesz, że to prawda.

Lauren dudniło w głowie i nie miała siły na nic więcej niż skinienie głową.

– No dobra.

– Tak? Czyli mamy zgodę? – Jill odetchnęła z ulgą. – Zrobimy tak, jak mówi Alice?

Kiedy Lauren chwiejnie stawała na nogach, po raz kolejny przypomniał się jej tamten dzień na obozie McAllaster. Wtedy również z trudem łapała równowagę – oczy miała zasłonięte, bo bawiły się w zaufanie. Poczowała wszechogarniające uczucie wdzięczności, kiedy Alice wzięła ją pod ramię i zapewniła jej mocne oparcie. *Mam cię. Tędy.* Zdezorientowana i niepewna Lauren czuła ciepło dłoni Alice na swojej skórze i podążała za nią krok po kroku po nieznanym terenie.

Teraz, kiedy oddawała Jill mapę, żałowała, że po raz kolejny czuje się równie ślepa. Ale przynajmniej miały plan.

– Zróbmy tak, jak mówi.

O Alice można było mówić, co się chciało, ale ta kobieta zawsze wiedziała, co robi.

Rozdział 11

– Co Daniel powiedział Alice tamtego pierwszego wieczoru, że tak ją to przeraziło? – zapytała Carmen, patrząc przez okno samochodu na mijane drzewa; szpital został za nimi w tyle.

Falk nie odpowiedział od razu. Przyszło mu na myśl kilka możliwości – żadna z nich nie była dobra.

– Cokolwiek to było, najwyraźniej uważał, że dla tej sprawy warto było przedzierać się po ciemku przez busz – stwierdził w końcu.

– To musiało mieć coś wspólnego z jego spóźnieniem na busa – zauważyła Carmen. – W przeciwnym razie powiedziała by jej to – ostrzegłby ją – wcześniej.

Falk wrócił myślą do tego, co Bailey powiedział im poprzedniego dnia na parkingu. *Sprawy rodzinne.*

– Czy to mogło mieć coś wspólnego z jego siostrą? – zapytał Falk. – Może musiał natychmiast zobaczyć się z Jill. Sam nie wiem. Może powinniśmy zapytać go wprost.

– Skoro już mowa o siostrach. Co sądzisz o bliźniaczkach? Rozumiem, że Bree ma wygodną posadę na górze, ale Beth też nie jest głupia, a nawet może być równie bystra.

To także przeszło Falkowi przez myśl.

– I nie dziwiłbym się, gdyby rozumiała te wszystkie dokumenty, z którymi ma styczność, dużo lepiej, niż twierdzi.

– Świetnie. To nam dobrze nie wróży, prawda? Jeśli nawet dziewczyna z archiwum zorientowała się, że Alice zachowywała się dziwnie.

– Nie wiem – odparł Falk. – Bez problemu wyobrażam sobie, że Alice poważnie nie doceniła Beth. Sama wiesz, że my zrobiliśmy to samo. Alice mogła opuścić przy niej gardę. Pozwolić sobie na niechlujstwo.

Lub akt desperacji, pomyślał. Przypomniał sobie ostatnią rozmowę z Alice. *Zdobądź umowy. Zdobądź umowy.* Presja z góry spychana coraz niżej.

– Powiedzmy, że Beth zauważyła, że Alice zachowuje się dziwnie. Czy w ogóle by się tym przejęła? Wygląda na to, że potrzebuje tej pracy, ale pozycja, którą zajmuje w firmie, raczej nie gwarantuje dożywotniej lojalności. A poza tym jest typem outsiderki – dodała. – Choć oczywiście często outsiderzy nie marzą o niczym innym jak o akceptacji środowiska.

– Może i Beth by się tym nie przejęła, ale mogła powiedzieć o tym Bree – odparł Falk. – Bree z kolei wygląda na osobę, którą zdecydowanie by to obeszło.

– Tak, to możliwe – zgodziła się Carmen. – Jest między nimi dwiema dziwna dynamika.

Falk wjechał w ostatni zakręt przed schroniskiem.

– Tak. Nie wiem, czy one się kochają, czy nienawidzą do szpiku kości.

– Pewnie i to, i to – zawyrokowała Carmen. – Nie masz rodzeństwa, prawda?

– Nie. A ty?

– Mam. I to mnóstwo. Relacja miłość–nienawiść jest płynna. Pewnie w przypadku bliźniąt jest jeszcze gorzej.

Falk wjechał na parking i zajął pierwsze wolne miejsce. Kiedy zatrząskiwiał za sobą drzwi, coś wydało mu się nie w porządku. Rozglądał się wokół, niepewny, skąd to wrażenie, aż w końcu to zobaczył, a dokładniej rzecz biorąc, tego nie zobaczył.

– Cholera.

– Co?

– Nie ma tego jego cholernego samochodu.

– Czyjego? Daniela? – Carmen obróciła się dookoła. Nigdzie nie było czarnego bmw. – Czy wróciłby do Melbourne, jeśli nadal nie wiadomo, co z Alice?

– Nie wiem. Może. – Falk zmarszczył brew. – Może zwłaszcza jeśli wie, że to jeszcze potrwa.

Znów zaczęło padać i kiedy doszli do recepcji, ich ubrania nosiły ślady ciężkich kropli. Przed wejściem Falk wytarł buty i przeczesał dłonią mokre włosy.

– Hej, zobacz – powiedziała cicho Carmen, wykonując dyskretny ruch głową w kierunku części wypoczynkowej.

Jill Bailey siedziała sama z kubkiem kawy w ręce i zmartwiałym wyrazem twarzy. Spojrzała na nich najpierw zaskoczona, a po chwili lekko zirytowana, kiedy zajęli miejsca naprzeciwko niej. Z bliska widać było, że siniak na jej szczęce zaczyna nieprzyjemnie żółknąć, a jej usta były spuchnięte od skaleczenia.

– Jeśli chodzi o postępowanie, to musicie rozmawiać z naszymi prawnikami – powiedziała.

– Proszę? – Falk za późno zorientował się, że usiadł na starej kanapie, która zapadła się pod nim tak bardzo, że z trudem utrzymywał stopy na ziemi. Złapał się podłokietnika, aby zupełnie nie zatonać.

– Nie jesteście z Executive Adventures? – Jej słowa zabrzmiały odrobinę niewyraźnie. Dotknęła rozcięcia wargi koniuszkiem języka.

– Nie. Jesteśmy z policji. – Falk przedstawił ich tylko z imienia. – Pomagamy sierżantowi Kingowi.

– Och, przepraszam, wydawało mi się, że widziałam was wczoraj z Ianem Chase'em, i odruchowo założyłam... – urwała.

Carmen spojrzała na nią.

– Wszczynacie postępowanie przeciw Executive Adventures?

Jill obróciła kubek w dłoniach. Nie unosiła się nad nim para. Wyglądało na to, że kobieta siedzi z nim już od dłuższego czasu.

– Nie BaileyTennants bezpośrednio, ale firma ubezpieczeniowa wysłała list intencyjny. Nie mogę powiedzieć, że ich winię. – Spojrzała na Carmen i Falka. – Poza tym Alice lub jej rodzina również mogą podjąć inne kroki

prawne.

– Czy rodzina Alice Russell przyjechała tutaj? – zapytał Falk.

– Nie. Alice ma nastoletnią córkę, która jest u swojego ojca. Alice jest rozwiedziona. Zaoferowaliśmy im oczywiście pomoc – cokolwiek, czego potrzebują. Ale dla Margot – tak się nazywa córka Alice – lepiej jest przebywać w znanym środowisku, niż siedzieć tutaj i załamywać ręce. –

Spojrzała na własne dłonie. Falk zauważył, że paznokcie jej prawej ręki są połamane. Jak u Bree.

– Czy twój brat nadal tu jest? – zapytała Carmen. – Nie ma jego auta na parkingu.

Jill specjalnie upiła łyk, zanim odpowiedziała. Z wyrazu jej twarzy Falk wywnioskował, że kawa ponad wszelką wątpliwość jest zimna.

– Nie. Obawiam się, że się z nim minęliście.

– Dokąd pojechał? – dociekał Falk.

– Z powrotem do Melbourne.

– Interesy?

– Sprawy rodzinne.

– To musi być coś ważnego, żeby odwoływać go stąd w takiej sytuacji?

Ciężka sprawa.

Zanim Jill zdążyła się opanować, na jej twarzy pojawiła się złość, więc Falk zrozumiał, że się z nim zgadza.

– Nie przyszło mu to z łatwością.

– Ty nie musiałaś pojechać z nim?

– To dotyczy jego najbliższej rodziny. Nie mojej. – Jill upiła kolejny łyk i po namyśle rzekła: – Przepraszam, powiedzcie jeszcze raz, skąd jesteście.

– Z Australijskiej Policji Federalnej.

– Myślałam, że sprawą zajmuje się policja stanowa? Już z nimi rozmawiałam.

– Tą sprawą zajmuje się kilka agencji – odparł Falk, patrząc jej w oczy. – Bylibyśmy wdzięczni, gdybyś mogła wyjaśnić nam kilka spraw.

Krótką chwilą wahania.

– Oczywiście. Wszystko, żeby pomóc.

Jill odłożyła kubek na stół obok swojej komórki. Spojrzała na pusty ekran telefonu i z westchnieniem odwróciła go do blatu.

– Zupełnie jak z urojoną kończyną, prawda? – zauważyła Carmen.

– Wydaje mi się, że kiedy byliśmy w buszu, jedną z najtrudniejszych spraw było to, że miałyśmy ten telefon, ale nigdzie nie było zasięgu – powiedziała Jill. – To żalosne, prawda? Lepiej byłoby, żebyśmy go w ogóle nie miały. Przynajmniej by nas nie rozpraszał.

– Wiedziałas, że Alice wzięła ze sobą telefon? – zapytał Falk.

– Nie, aż do pierwszego wieczoru. Nie byłam jednak zaskoczona. Alice właśnie taka jest.

– Taka, czyli jaka?

Jill spojrzała na niego.

– Alice jest osobą, która zabiera ze sobą telefon na wyprawę, choć jest to zabronione.

– Jasne – powiedział Falk. – Wiesz, gdzie usiłowała się dodzwonić?

– Pod numer ratunkowy, oczywiście.

– Do nikogo innego?

Zmarszczyła brew.

– Nic mi o tym nie wiadomo. Musiałyśmy oszczędzać baterię. Nie żeby to cokolwiek zmieniało. Nigdy nigdzie się nie dodzwoniłyśmy.

– W ogóle? – upewnił się.

– Tak. – Jill westchnęła. – Boże, byłam taka zła, kiedy Alice zniknęła z telefonem. Polegałyśmy na nim, chociaż był zupełnie bezużyteczny. Z obecnej perspektywy wydaje się to śmieszne. Cieszę się, że ma go ze sobą. Mam nadzieję, że jej pomoże.

– Zostajesz tutaj na czas poszukiwań? – zapytała Carmen. – Czy również wracasz do Melbourne?

– Nie. Zostaję do czasu, aż się znajdzie – cała i zdrowa, mam nadzieję.

Daniel też by został, ale... – Jill przesunęła dłonią po twarzy, krzywiąc się nieznacznie, kiedy natrafiła na siniaka. – Przepraszam. Dla nas wszystkich jest to nowość. Pracuję w firmie od dwudziestu dziewięciu lat i nigdy wcześniej nic takiego się nie wydarzyło. Naprawdę, te cholerne wyjazdy integracyjne.

– Więcej problemów, niż są tego warte? – zapytał Falk, a Jill zdobyła się na cień uśmiechu.

– Nawet jeśli wszystko idzie dobrze. Osobiście uważam, że ludzie powinni raczej przykładać się do pracy, za którą otrzymują pensję, ale w dzisiejszych czasach jest to odosobnione przekonanie. Teraz liczy się podejście całościowe. – Potrząsnęła głową. – Ale, na Boga, jest to koszmar.

Za jej plecami załomotało duże okno, odciągając ich uwagę. Krople deszczu zniekształcały widok.

– Od jak dawna znasz Alice Russell? – zapytał Falk.

– Od pięciu lat. To ja ją zatrudniłam.

– Jest dobrym pracownikiem? – Patrzył na Jill uważnie, ale ona śmiało odwzajemniła jego spojrzenie.

– Tak. Jest dobrym pracownikiem. Ciężko pracuje. Wykonuje swoje zadania.

– Była zadowolona z wyjazdu?

– Nie bardziej i nie mniej niż cała reszta. Nie sądzę, żeby dla kogokolwiek był to wymarzony sposób spędzenia weekendu.

– Słyszeliśmy, że po pierwszej nocy Alice prosiła cię o pozwolenie na opuszczenie wycieczki, ale ty ją przekonałaś, żeby została – powiedziała Carmen.

– To prawda, ale szczerze mówiąc, nie mogłam jej przecież pozwolić wrócić samej, prawda? Musiałybyśmy zawrócić całą grupą, odpowiedzieć na różne pytania, poza tym jest jeszcze sprawa kosztów, a i tak musiałybyśmy odbyć wycieczkę w innym terminie. Oczywiście, teraz żałuję, że wtedy się nie zgodziłam. To by nam tego wszystkiego oszczędziło. – Jill potrząsnęła

głową. – Alice powiedziała mi, że źle się czuje, a ja jej nie uwierzyłam. Jej córka miała jakieś wydarzenie w szkole i myślałam, że Alice dlatego chce wrócić. Chciała się również wycofać z wycieczki na tydzień przed, ale uważałam, że po prostu musi przez to przejść, jak my wszyscy. Nikt z nas tak naprawdę nie chciał tu być.

– Nawet ty? – zapytała Carmen.

– Zwłaszcza ja. Alice i Lauren przynajmniej robiły coś takiego w szkole. A Bree McKenzie jest bardzo sprawna. Jej siostra – no cóż, myślę, że jej też nieszczęśliwie się to podobało.

W przedpokoju rozległ się dźwięk wielu par butów i oczy wszystkich skierowały się w tamtą stronę. Wróciła jedna z grup poszukiwaczy. W drodze do kuchni ich zmęczone twarze mówiły wszystko.

– W jaki sposób wybrano waszą piątkę na tę wycieczkę? – zapytał Falk.

– To przypadkowy wybór odzwierciedlający wszystkie szczeble płac i doświadczenia w naszej firmie, mający na celu rozwój pracy zespołowej.

– A jaki był prawdziwy powód?

Jill uśmiechnęła się nieznacznie.

– Zarząd wybiera pracowników, którzy potrzebują zawodowego lub osobistego rozwoju poprzez wyzwanie.

– Zarząd to w tym wypadku kto? Ty? Daniel?

– Ja nie. Daniel. I przede wszystkim kierownicy działów.

– Jakie cele miała osiągnąć wasza grupa?

– Bree McKenzie jest na drodze do awansu, więc dla niej to część drogi zawodowej. Jej siostra... – Jill urwała. – Poznaliście Beth?

Falk i Carmen pokiwali głowami.

– Czyli nie muszę mówić nic więcej. Ona nie za bardzo pasuje do... korporacji. Ktoś pewnie pomyślał, że jej to pomoże, że będzie z siostrą, ale nie wiedział, że nie są one ze sobą zbyt blisko. – Jill zacisnęła usta. –

Lauren... To nie pójdzie nigdzie dalej, dobrze? Nie pracuje tak dobrze, jak powinna. Wiem, że ma problemy w domu, ale one wpływają na jej

efektywność.

– A Alice?

Cisza.

– Została złożona przeciw niej skarga.

– Z jakiego powodu?

– Czy to ważne?

– Nie wiem – odparł Falk. – Ale ona nadal się nie znalazła, więc wszystko jest istotne.

Jill westchnęła.

– Za znęcanie się. Technicznie. Ale możliwe, że chodzi jedynie o ostrą wymianę słów. Alice potrafi być dosadna. Wszystko to, co mówię, jest ściśle poufne. Pozostałe kobiety o tym nie wiedzą.

– Czy ta skarga jest uzasadniona? – dociekała Carmen.

– Trudno powiedzieć. Złożyła ją jedna z asystentek administracyjnych, więc może to być starcie osobiste lub cokolwiek innego, ale... – urwała. –

To się zdarza nie po raz pierwszy. Podobna sprawa miała miejsce dwa lata temu. Rozeszła się po kościach, jednak zarząd doszedł do wniosku, że Alice musi poćwiczyć pracę zespołową. To kolejny powód, dla którego nie mogłam pozwolić jej odejść po pierwszej nocy.

Falk zastanawiał się.

– A ty? – zapytał. – Dlaczego wysłano ciebie?

– Na ostatnim spotkaniu zarządu ustaliliśmy, że co roku każdy z nas weźmie w czymś udział. Jeśli jest jakiś inny, głębszy powód, musiałabym zapytać resztę.

– Czy tak samo jest w przypadku twojego brata?

– Wierzcie lub nie, ale Daniel naprawdę lubi te wyjazdy. Jednak ma rację. To ważne dla firmy, żebyśmy oboje angażowali się w różne sprawy.

– Brudzili sobie ręce.

Jill nie mrugnęła.

– Tak sędzę.

W przedpokoju rozległ się huk otwieranych z impetem drzwi, dźwięk kroków i ponowny trzask, oznaczający tym razem zamknięcie.

– Podejrzewam, że praca w rodzinnej firmie wiąże się z licznymi zobowiązaniami – stwierdziła Carmen. – Nie można się po prostu schować. Twój brat powiedział coś podobnego.

– Naprawdę? – zdziwiła się Jill. – No cóż, to z całą pewnością prawda. Studiowałam literaturę angielską i historię sztuki, chciałam być nauczycielką.

– Co się stało?

– Nic. To firma rodzinna i od członków rodziny wymaga się, żeby w niej pracowali. Pod tym względem nie różnimy się od rodzinnego gospodarstwa rolnego czy przekazywanego z pokolenia na pokolenie sklepiku na rogu. Potrzebni są ludzie, którym można zaufać. Ja pracuję w firmie, Daniel też, nasz ojciec nadal jest zaangażowany. Joel, syn Daniela, będzie w niej pracował po skończeniu uniwersytetu.

– A ty masz dzieci?

– Mam. Dwójkę. Już dorosłą – odparła. – Ale moje dzieci stanowią wyjątek. Praca w firmie nigdy ich nie interesowała, a ja nigdy bym ich do tego nie zmusiła. Tata nie był zachwycony, ale dostał całą resztę rodziny, więc myślę, że to uczciwy układ. – Jill odrobinę złagodniała. – Moje dzieci są nauczycielami.

– To wspaniale – odrzekła Carmen. – Musisz być z nich dumna.

– Dziękuję. Jestem z nich bardzo dumna.

Falk spojrzął na swoją rozmówczynię.

– Wracając do waszej wyprawy... Twój brat przyszedł wraz z grupą mężczyzn w odwiedziny pierwszego wieczoru. Wiedziałaś, że to zrobią?

– Nie. – Jill potrząsnęła głową. – Gdybym o tym wiedziała, odradzałabym to Danielowi. To było... niepotrzebne. Nie chciałam, żeby kobiety myślały, że mężczyźni nas sprawdzają.

– Twój brat rozmawiał tamtego wieczoru z Alice Russell.

– Było nas tylko dziesięcioro. Myślę, że wszyscy rozmawiali ze wszystkimi.

– Wygląda na to, że Daniel i Alice rozmawiali na osobności – uściślił Falk.

– To nie jest zabronione.

– Wiesz, o czym rozmawiali?

– Nie jestem pewna. Musiałbyś go sam zapytać.

– Bardzo byśmy chcieli – wtrąciła Carmen. – Ale go tu nie ma.

Jill nic nie odpowiedziała, tylko koniuszkiem języka znów dotknęła rozciętej wargi.

– Rozumiem, że nie zauważyłaś, żeby po tej rozmowie Alice była jakoś szczególnie rozdrażniona lub podenerwowana?

– Nie, oczywiście, że nie. Dlaczego miałyby być?

– Ponieważ poprosiła cię o zgodę na powrót – powiedziała Carmen. – Przynajmniej dwukrotnie.

– Jak już mówiłam, gdybym pozwoliła odejść każdemu, kto nie miał ochoty tam być, nikt by nie został.

– Z tego powodu między wami dwiema powstało pewne napięcie, prawda?

– Kto wam to powiedział? Wszystkie byłyśmy spięte. To była bardzo trudna sytuacja.

Jill podniosła kubek z zimną kawą. Falkowi wydawało się, że jej dłonie się trzęsą.

– Skąd masz ten siniak na twarzy? – zapytał. – Wygląda źle.

– Na litość boską! – Jill odstawiła kubek z taką siłą, że kawa niemal się z niego wylała. – Co znaczy to pytanie?

– Nic. To tylko pytanie.

Jill patrzyła to na Falka, to na Carmen. Westchnęła.

– To był wypadek. Podczas ostatniej nocy w chacie usiłowałam przerwać tę głupią kłótnię.

– Jaką kłótnię?

– Dużo hałasu o nic. Już mówiłam o tym policji stanowej. Strach i frustracja wzięły górę. Przez kilka sekund przepychaliśmy się i ciągnęliśmy za włosy. Bójka ze szkolnego podwórka. Skończyła się tak szybko, jak się zaczęła.

– Nie wygląda na to.

– Miałam pecha. Znalazłam się w złym miejscu w złym czasie i trochę oberwałam. To nie było zamierzone.

– Między kim a kim była ta bójka? – Falk nie spuszczał z Jill oka. – Wszystkie się biłyście?

– Boże, nie. – Na opuchniętej twarzy Jill odmalowało się głębokie zaskoczenie. – Biły się Beth i Alice. Wszystkie byłyśmy zmarznięte i głodne, a Alice zagroziła, że nas zostawi, i wtedy napięcie sięgnęło zenitu. Winę za to siebie, powinnam była to przewidzieć. Te dwie nigdy się nie dogadywały.

Dzień 2: Piątek po południu

Jill szczękała zębami. Jeszcze nad potokiem przebrała się w suche ubrania – wszystkie to zrobiły, odwrócone do siebie plecami – ale po zaledwie dwudziestu minutach spadł na nie deszcz. Wolałaby iść trochę szybciej, żeby się rozgrzać, jednak widziała, że Lauren nadal porusza się z niejakim trudem. Plaster z podróźnej apteczki cały czas odklejał się z jej czoła, ukazując krwawą ranę.

Na przedzie szła Alice z mapą w ręku. Bree oddała ją bez słowa sprzeciwu. Beth jak zwykle szła na końcu.

Jill myślała o tym, jakie to dziwne, że w buszu wszystko tak szybko zaczyna wyglądać jednakowo. Dwukrotnie zwróciła uwagę na coś – za

pierwszym razem był to pniak, za drugim – powalone drzewo – co na pewno już wcześniej widziała. Jakby poruszały się przez obszar, na którym rządzi déjà vu. Poprawiła plecak na ramionach: bez stelaża powinien być znacznie lżejszy, ale ten brak również ciążył.

– Czy wszystko jest w porządku? – zapytała, kiedy zwolniły, żeby obejść błotnistą kałużę.

Alice wyjęła kompas. Obróciła się w drugą stronę i znów spojrzała na urządzenie.

– W porządku? – zapytała ponownie Jill.

– Tak, w porządku. To dlatego, że ścieżka tam zakręciła. Ale wszystko się zgadza.

– Wydawało mi się, że powinniśmy iść w górę. – Ziemia pod ich stopami była zarośnięta, ale uporczywie płaska.

Zza pleców Jill dobiegł głos:

– Powinniśmy częściej sprawdzać kompas, Alice. – Lauren przyciskała plaster do czoła.

– Przecież właśnie to zrobiłam. Sama widziałas.

– Ale trzeba to robić częściej.

– Wiem o tym, Lauren. Dzięki. Możesz przejąć prowadzenie, kiedy tylko chcesz. Zapraszam. – Alice wyciągnęła do niej kompas na otwartej dłoni. Lauren spojrzała na niego i po chwili wahania potrząsnęła głową.

– Ruszajmy się – powiedziała Alice. – Niedługo zacznie się podejście.

Szły dalej, ale teren nadal pozostawał płaski. Jill już prawie miała zapytać, co dokładnie znaczy „niedługo”, kiedy poczuła ból w udach. Zaczynało się podejście. Prawie popłakała się z ulgi. Dzięki Bogu. Może będą miały szczęście i na szczycie złapią sygnał. Zadzwonią po kogoś. Wybrną z tej sytuacji.

Nad strumieniem poczuła, że zaczyna się w niej krystalizować taki strach, jaki wcześniej czuła dwa lub trzy razy w życiu. Świadomość: *Jest bardzo źle*. Tamten wypadek samochodowy, kiedy miała dziewiętnaście lat

i widziała, jak oczy kierowcy z naprzeciwka stją się coraz większe, podczas gdy ich samochody parły ku sobie w makabrycznym tańcu stali i szkła. Kolejny raz trzy lata później, podczas drugiej w jej karierze firmowej imprezy bożonarodzeniowej. Za dużo alkoholu, flirt z niewłaściwym mężczyzną i powrót do domu, co o mały włos skończyłoby się źle.

Był jeszcze ten szczególny dzień, kiedy ojciec przyjął ją i Daniela w swoim prywatnym gabinecie – w domu, nie w biurze – i dokładnie wyjaśnił, jak działa ich rodzinna firma.

Jill powiedziała „nie”. W ciągu następnych lat czasem się tym pocieszała. Daniel zgodził się od razu, ale ona trzymała się mocno przez kolejne półtora roku. Zapisła się na kurs nauczycielski i wymigiwała się ze spotkań rodzinnych.

Przez chwilę łudziła się, że jej decyzja została zaakceptowana. Dopiero znacznie później zrozumiała, że po prostu dano jej przestrzeń, w której trwał jej powolny marsz ku temu, co nieuniknione. Ale musiało stać się coś, co przyspieszyło bieg spraw – nigdy nie spytała, co to było – ponieważ po upływie osiemnastu miesięcy została ponownie wezwana do gabinetu ojca. Tym razem sama.

Poprosił, żeby usiadła.

– Jesteś nam potrzebna. Ja cię potrzebuję.

– Masz Daniela.

– On robi, co w jego mocy. Ale... – Jej ojciec, którego kochała i któremu ufała najbardziej na świecie, spojrzał na nią i nieznacznie potrząsnął głową.

– To przestań.

– Nie możemy. – Czyli my, a nie ja.

– Ty możesz.

– Jill. – Ujął jej dłoń. Nigdy nie widziała, żeby był taki smutny. – Nie możemy.

W tym momencie poczuła w gardle łyzy. Z powodu ojca i łatwej przysługi, którą wyświadczył lata wcześniej niewłaściwym ludziom. Z powodu kilku

dolarów, na które się połasił, a które nadal spłacał kilkadziesiąt lat później. Z powodu siebie samej, z powodu kursu nauczycielskiego, którego nigdy nie skończy, i z powodu „nie”, które musiało zmienić się w „tak”. Ale przynajmniej przez jakiś czas – będzie sobie przypominać jeszcze wiele lat później – wybrzmiewała jej niezgoda.

Teraz, kiedy Jill czuła pieczenie w płucach i ból w nogach, starała się skupić jedynie na tym, co było tuż przed nią. Każdy krok w górę przybliżał ją do miejsca, w którym powinny być. Patrzyła na plecy Alice, która niestrudzenie je prowadziła.

Pięć lat wcześniej Jill była dyrektorem finansowym firmy, a Alice ubiegała się o pracę w trzeciej rundzie rozmów kwalifikacyjnych. Została tylko ona i jeszcze jeden kandydat – mężczyzna, z podobnymi kwalifikacjami, ale większym doświadczeniem. Pod koniec rozmowy Alice popatrzyła na każdego z członków komisji rekrutacyjnej i powiedziała, że może przyjąć ofertę pracy, ale tylko w przypadku czteroprocentowej podwyżki początkowo oferowanej jej pensji. Jill uśmiechnęła się do siebie. Powiedziała pozostałym, żeby ją zatrudnili. I znaleźli te dodatkowe cztery procent wynagrodzenia.

Ścieżka skręcała, więc Alice zatrzymała się i spojrzała na mapę. Poczekala, aż Jill się z nią zrówna. Pozostałe koleżanki były jeszcze w tyle.

– Niedługo powinniśmy być na szczycie – powiedziała Alice. – Chcesz zrobić tutaj krótką przerwę?

Jill potrząsnęła głową, ponieważ nadal pamiętała wczorajsze poszukiwanie obozu w ciemnościach. Zapomniała, o której godzinie jest zachód słońca, ale wiedziała, że dość wcześnie.

– Lepiej chodźmy, dopóki jest jasno. Sprawdzająś kompas?

Alice wyjęła go i spojrzała na wskazówkę.

– W porządku?

– Tak. To znaczy, ścieżka trochę zakręca, więc to zależy od tego, w którą stronę jesteśmy zwrócone, ale nadal jesteśmy na właściwej drodze.

– Dobrze, skoro jesteś tego pewna.

Alice znów sprawdziła urządzenie.

– Tak, jestem.

Ruszyły dalej.

Jill nie żałowała, że zatrudniła Alice. Z pewnością nie żałowała tych czterech procent. W ciągu kilku lat Alice udowodniła, że jest warta zdecydowanie więcej. Była inteligentna, szybciej od innych orientowała się, jak się sprawy mają, i dobrze rozumiała interesy. Wiedziała, kiedy się odezwać, a kiedy trzymać język za zębami, a to jest bardzo ważne w firmie, która raczej przypomina rozrośniętą rodzinę. Kiedy bratanek Jill – siedemnastoletni Joel, będący dokładnie taki sam jak Daniel w jego wieku – który z ponurą miną uczestniczył w jednym z firmowych pikników, cały aż pojaśniał na widok pięknej córki Alice, obie kobiety wymieniły znaczące spojrzenia. Niekiedy Jill myślała, że w innej sytuacji i w innym czasie ona i Alice mogłyby być przyjaciółkami. A innym razem wydawało się jej to niedorzeczne. Przebywanie z Alice miało w sobie coś z posiadania psa agresywnej rasy. Można było nauczyć go lojalności, ale nie można było spuścić go z oka.

– Daleko jeszcze?

Jill usłyszała głos Lauren. Plaster na jej czole znów się odkleił, a po skroni i policzku spływały krople deszczu zmieszane z krwią i osadzały się w kąciку ust.

– Już prawie jesteśmy. Tak mi się wydaje.

– Czy mamy jakąś wodę?

Jill wyjęła swoją butelkę i podała Lauren, która piła zachłannie, idąc. Lauren dotknęła językiem kąciку ust i skrzywiła się, czując smak krwi. Nalała sobie trochę wody na dłoń i przemyła policzek.

– Może powinniśmy... – Jill zaczęła mówić, kiedy Lauren powtórzyła czynność, rozlewając sporo wody, ale zabrakło jej słów.

– Może co?

– Nieważne. – Chciała powiedzieć, że może powinny oszczędzać wodę pitną. Ale przecież nie było potrzeby. W obozowisku czekały na nie zapasy, a Jill nie była gotowa zmierzyć się z myślą, że mogą nie dotrzeć tam przed nocą.

Ścieżka pięła się coraz bardziej w górę. Wszystkie oddychały ciężko. Spadzisty teren po prawej stronie przechodził we wzgórze, a następnie w ostry klif. Jill patrzyła przed siebie, idąc krok po kroku. Straciła orientację, jak wysoko już się wspięły, kiedy nagle, zupełnie bez ostrzeżenia, ścieżka się wyrównała.

Eukaliptusy ustąpiły miejsca zapierającemu dech w piersiach widokowi na wzgórze i doliny ciągnące się aż po horyzont. Cienie rzucone przez chmury stworzyły wrażenie falującego oceanu zieleni. Były na szczycie.

Jill zrzuciła plecak na ziemię. Pięć kobiet stanęło obok siebie z rękami na biodrach, z obolałymi nogami i łapało oddech, podziwiając widok.

– Niesamowite.

Jakby czekając na sygnał, chmury rozstały się, odsłaniając słońce wiszące nisko w oddali tuż nad wierzchołkami najwyższych drzew. Jill zmrużyła oczy przed oślepiającym ją złotym światłem i niemal mogła sobie wyobrazić jego ciepło na twarzy. Po raz pierwszy tego dnia poczuła, że ciężar spadł jej z piersi.

Alice wyciągnęła telefon z kieszeni i patrzyła na ekran. Marszczyła brew, ale to nic, mówiła sobie Jill. Nawet jeśli nie było tutaj zasięgu, wszystko będzie dobrze. Dotrą do drugiego obozowiska, wysuszą ubrania i zbudują jakieś schronienie. Prześpią się, a rano będzie lepiej.

Jill usłyszała za sobą suche kasznięcie.

– Przepraszam – powiedziała Beth. – Ale w którym kierunku idziemy?

– Na zachód – odparła Jill.

– Jesteś pewna?

– Tak. Idziemy do obozowiska. – Jill zwróciła się do Alice. – Prawda? Idziemy na zachód?

– Tak. Na zachód.

– Czyli szliśmy na zachód przez cały ten czas? – upewniała się Beth. – Odkąd ruszyliśmy znad potoku?

– Chryste, ile razy mam to powtórzyć? – Alice spojrzała znad telefonu.

– Czyli... – urwała. – Przepraszam. Po prostu chodzi mi o to, że skoro w tamtą stronę jest zachód, to dlaczego słońce zachodzi na południu?

Wszystkie twarze obróciły się ku słońcu, które powoli zachodziło za drzewami.

To kolejna rzecz, która wyróżniała Alice, pomyślała Jill. Niekiedy można się było poczuć przez nią cholernie zdradzoną.

Rozdział 12

Kiedy Falk i Carmen zostawili Jill jej własnym myślom, słońce zaczęło już zachodzić. Zawrócili ścieżką do swoich kwater wśród dźwięków zapadającego wieczoru.

– Tak wcześnie tutaj zapada zmierzch – powiedziała Carmen, patrząc na zegarek. Wiatr rozwiewał jej włosy. – Pewnie drzewa zasłaniają słońce.

Widzieli zatrzymujące się przed recepcją samochody, z których wysiadali zmęczeni poszukiwacze. Para szła im z ust. Sądząc po wyrazach ich twarzy, nadal żadnych wieści. Niebo było puste, helikopter musiał wylądować. Nadzieja gasła razem z dniem.

Śledczy doszli do swojego domku i zatrzymali się przed drzwiami.

– Wezmę prysznic, żeby się trochę rozgrzać – powiedziała Carmen, przeciągając się tak, że Falk usłyszał, jak strzeliło jej w stawach mimo wszystkich warstw ubrań. Mieli za sobą długi dzień. – Kolacja za godzinę?

Pomachała mu i zniknęła za drzwiami. Falk otworzył drzwi swojego pokoju i włączył światło.

Zza ściany dobiegł go odgłos lejącej się wody.

Usiadł na łóżku i przemyślał rozmowę z Jill Bailey. Miała w sobie czujność, której brakowało jej bratu, a która sprawiała, że Falk czuł się niespokojny.

Wyciągnął z plecaka zeszyt ze swoimi notatkami o Alice Russell. Przejrzał je pobieżnie. Znał je prawie na pamięć. Z początku nie był pewny, czego szuka, ale kiedy przewracał strony, powoli się to wyjaśniało. Zrozumiał, że szuka czegoś, co zwolniłoby go z poczucia winy. Szukał potwierdzenia, że zaginięcie Alice nie ma nic wspólnego z ich sprawą. Że on i Carmen nie postawili jej w sytuacji bez wyjścia, zmuszając do popełnienia błędu. Że sami go nie popełnili. Że nie narazili Alice na niebezpieczeństwo.

Skrzywdzić ją.

Falk westchnął i oparł się o łóżko. Kiedy skończył przeglądać jej akta, wrócił na początek i spojrzał na wyciąg z jej konta bankowego. Udostępniła im go dobrowolnie, choć niechętnie, i jak wszystko inne Falk znał go już na wskroś. Ale równe kolumny cyfr i dat, dokumentujące codzienne życie Alice Amelii Russell, wpływały na niego kojąco.

Raporty obejmowały okresy miesięczne: najwcześniejsza transakcja była sprzed prawie dwunastu miesięcy, a ostatnia – z czwartku, kiedy Alice wyruszyła z wszystkimi na wycieczkę. Wydała cztery dolary w sklepie przy autostradzie. To był ostatni raz, kiedy jej karta bankowa była w użyciu.

Falk przyglądał się wpływom i wydatkom, starając się, żeby jego obraz Alice nabrał szczegółów. Zauważył, że cztery razy do roku Alice wydawała kilka tysięcy dolarów w sklepie Davida Jonesa – kilka tygodni przed zmianą pory roku. Że płaciła swojej sprzątacze sumę, która jest podejrzanie niższa od płacy minimalnej.

Falk zawsze uważał za interesujące, co dla ludzi ma wartość. Pamiętał swoje zdziwienie, kiedy pierwszy raz zobaczył pięciocyfrową sumę, z którą Alice chętnie rozstawiała się każdego roku, aby zapewnić córce edukację w tej samej szkole, którą sama skończyła. Wyglądało również na to, że cena za pierwszorzędną edukację nie kończyła się wcale na opłatach: pół roku wcześniej Alice przekazała szkole hojną darowiznę.

Kiedy cyfry zaczęły się zlewać, Falk przetarł oczy i zamknął notatnik. Podszedł do okna i popatrzył na busz, poruszając swoją uszkodzoną ręką. W zapadającym zmierzchu nadal widoczny był początek szlaku wiodącego nad wodospad. Kątem oka dostrzegł mapy ojca leżące koło łóżka.

Wyszukał mapę Giralang Ranges i rozłożył ją na szlaku do Mirror Falls. Nie zdziwił się, że początek szlaku został zakreślony – wiedział, że ojciec tutaj był, a to jedna z najpopularniejszych tras. Ale mimo wszystko nadal robiło to na nim wrażenie. Kiedy jego ojciec tutaj był? Kiedy nanosił te znaczki ołówkiem? Siedząc przy kuchennym stole w domu? A może stojąc

na szlaku, dwieście metrów dalej i dziesięć lat wcześniej od miejsca, w którym teraz znajdował się jego syn?

Niewiele myśląc, Falk chwycił kurtkę i włożył mapę do kieszeni. Zawahał się, ale w końcu zabrał ze sobą też latarkę. Za ścianą nadal lała się woda. Dobrze. Nie miał ochoty się z tego tłumaczyć. Zamknął drzwi i ruszył przez parking w kierunku szlaku, zostawiając za sobą światło przyjemnie sączące się z domków.

Zatrzymał się na początku szlaku i rozejrzał dookoła. Skoro Erik Falk szedł kiedyś tędy, pewnie też tutaj przystanął. Falk próbował sobie wyobrazić, co jego ojciec zobaczył. Drzewa wokół miały kilkadziesiąt lat. Możliwe, że i ojciec, i syn patrzyli na niemal identyczny widok.

Ruszył przed siebie. Na początku słyszał tylko swój własny oddech, ale powoli zaczęły docierać do niego różne wieczorne dźwięki. Gęsto rosnące drzewa wywarły na nim lekko klaustrofobiczne wrażenie obłąkania. Ręka, którą trzymał w kieszeni, bolała go, ale to zignorował. Wiedział, że to psychosomatyczne. Padało, mówił sobie, nie będzie ognia. Powtarzał to sobie po cichu niczym mantrę, aż poczuł się lepiej.

Zastanawiał się, ile razy ojciec tędy szedł. Sądząc po znaczkach na mapie, przynajmniej kilkakrotnie. Z daleka od miasta, którego nienawidził. Sam, ponieważ jego syn nie chciał z nim przyjechać. Chociaż Falk podejrzewał, że samotność ojcu nie przeszkadzała. Pod tym jednym względem zawsze byli do siebie podobni.

Gdzieś w buszu coś się poruszyło i Falk podskoczył, śmiejąc się cicho z tego, jak bardzo jego serce przyspieszyło. Czy jego ojciec przejmował się w ogóle sprawą Kovaca? Łatwo było się poczuć tutaj odciętym od wszystkiego. Poza tym sprawa ta była aktualna w czasach młodości jego ojca. Ale Falk nie sądził, żeby jego ojciec zbytnio się nią martwił. Zawsze był bardzo praktyczny. I zawsze czuł się lepiej na łonie natury niż wśród ludzi.

Falk poczuł na twarzy kilka kropel deszczu i włożył kaptur kurtki na

głową. Gdzieś z oddali dobiegł go huk, ale nie potrafił stwierdzić, czy był to grzmot czy dźwięk wodospadu. Powinien zawrócić. Sam nie był pewien, co tam robi sam w ciemnościach. Był na szlaku po raz drugi, ale niczego nie poznawał. Wydawało się, że krajobraz ulega ciągłym zmianom, kiedy tylko spuści się z niego wzrok. Mógł być gdziekolwiek. Obrócił się i spojrzał w kierunku schroniska.

Zrobił zaledwie dwa kroki i zamarł w bezruchu. Wyteżył słuch. Nic. Tylko wiatr i tupot niewidocznych łap. Ścieżka była pusta w obu kierunkach. Gdzie mógł być najbliższy człowiek? Falk nie zaszedł zbyt daleko, wiedział o tym, ale wydawało mu się, że w promieniu wielu kilometrów nikogo nie ma. Stanął, patrzył i słuchał. Znow ten dźwięk.

Kroki. Były ciche, ale i tak włosy stanęły mu dęba. Obrócił się, usiłując odgadnąć, skąd dochodziły. Dostrzegł światło między drzewami, chwilę przed tym, jak poświeciło mu prosto w oczy. Usłyszał, jak ktoś gwałtownie nabiera powietrza, i dźwięk przedmiotu upuszczonego na ziemię. Nic nie widząc, Falk sięgnął do kieszeni po latarkę i zgrabiętymi z zimna palcami niezgrabnie usiłował ją włączyć. W końcu mu się udało i strumień światła zalał zniekształcone cienie. Po obu stronach busz był niczym czarna zasłona, pośrodku biegła ścieżka, na której stała postać, osłaniając sobie twarz.

Falk zmrużył oczy, czekając, aż jego wzrok się przyzwyczai.

– Policja – powiedział, pokazując odznakę. – Wszystko w porządku? Nie chciałem cię przestraszyć.

Kobieta stała do niego bokiem, ale poznał ją z fotografii. Lauren. Trzęsąc się, schyliła się, żeby podnieść latarkę. Kiedy Falk podszedł do niej bliżej, zobaczył, że ma paskudnie skaleczone czoło. Rana goiła się, ale była dość mocno spuchnięta, a skóra wokół boleśnie napięta.

– Jesteś z policji? – zapytała czujnie, patrząc na jego odznakę.

– Tak. Pomagam przy poszukiwaniach Alice Russell. Ty jesteś Lauren Shaw, prawda? Z BaileyTennants?

– Tak, przepraszam. Myślałam... – Wzięła głęboki oddech. – Przez

chwilę myślałam – wiem, że to głupie – widząc samotną sylwetkę na ścieżce, że to Alice.

Falk przez ułamek sekundy myślał dokładnie to samo.

– Przykro mi, że cię przestraszyłem. Wszystko w porządku?

– Tak. – Nadal oddychała ciężko, jej chude ramiona unosiły się i opadały pod kurtką. – Po prostu przeżyłam wstrząs.

– Co robisz sama w ciemnościach? – zapytał Falk, chociaż ona równie dobrze mogła zapytać go o to samo. Lauren tylko potrząsnęła głową. Musiała wyjść już jakiś czas temu. Falk czuł chłód wiejący od jej ubrań.

– Nic mądrego. Wybrałam się w dzień do wodospadu. Chciałam wrócić wcześniej, ale tutaj zmrok tak szybko zapada.

Falk przypomniał sobie postać, którą zobaczył na szlaku poprzedniego dnia.

– Wczoraj też tu byłaś?

Pokiwała głową.

– Wiem, że to zabrzmiało głupio, ale pomyślałam, że może Alice znalazła drogę po szlaku z powrotem. Pierwszego dnia mijałyśmy wodospad – to naprawdę charakterystyczne miejsce. Odchodziłam od zmysłów, siedząc w schronisku, więc zamiast tego siedzę nad wodospadem.

– Jasne. – Falk po raz pierwszy zauważył jej czapkę. – Widzieliśmy cię tam wczoraj po południu.

– To możliwe.

Dał się słyszeć grzmot i oboje spojrzeli na niebo.

– Chodź – powiedział Falk. – Jesteśmy prawie w schronisku. Odprowadzę cię.

Szli wolno, ich latarki oświetlały nierówny teren pod ich stopami.

– Jak długo pracujesz w BaileyTennants? – zapytał Falk.

– Prawie dwa lata. Jestem kierowniczką strategiczną w dziale planowania.

– Czym się zajmujesz?

Ciężkie westchnienie.

– Moja praca polega na identyfikowaniu przyszłych strategicznych potrzeb firmy i tworzeniu planu... – urwała. – Przepraszam. To wszystko wydaje się bez znaczenia po tym, co spotkało Alice.

– Z tego, co słyszałem, wszystkie miałyście ciężkie kilka dni.

Lauren nie odpowiedziała od razu.

– To prawda. Nie chodzi o to, że coś poszło nie tak. Setki małych rzeczy zawiodły. To się nawarstwiało, aż w końcu było za późno. Mam tylko nadzieję, że Alice nic nie jest.

– Czy często pracujecie razem?

– Nie bezpośrednio. Ale znam ją od lat. Chodziłyśmy do tego samego liceum, trafiłyśmy do tej samej branży, więc nasze ścieżki przecinały się od czasu do czasu. Nasze córki są w tym samym wieku. Obie chodzą do tej samej szkoły co my. Kiedy Alice dowiedziała się, że odeszłam ze swojej starej firmy, zarekomendowała mnie w BaileyTennants i od tej pory tam pracuję.

– Słyszałem, że to tobie udało się doprowadzić waszą grupę do drogi. Wydostać was stamtąd.

– To za dużo powiedziane. W szkole nauczyłam się trochę o orientowaniu się w terenie, ale my po prostu szłyśmy na azymut i modliłyśmy się, żeby się udało – westchnęła. – To był zresztą pomysł Alice, żeby iść tą ścieżką. Kiedy zorientowałyśmy się, że jej nie ma, pomyślałam, że dotrzemy po prostu kilka godzin później niż ona. Nie mogłam uwierzyć, kiedy w końcu doszłyśmy, że jej nie ma na miejscu.

Wyszli z zakrętu i ich oczom ukazał się początek szlaku. Byli z powrotem. Lauren zadrżała i objęła się ramionami. W powietrzu unosiła się groźba burzy, a światła domków na terenie schroniska wyglądały zachęcająco.

– Wejdziemy do środka? – zaproponował, ale Lauren się zawahała.

– Nie możemy tu zostać? Masz coś przeciwko? Lubię Jill, ale dziś po

prostu nie mam siły z nią przebywać.

– Zgoda. – Falk czuł zimno skradające się do jego butów i poruszył palcami, żeby je rozgrzać. – Opowiedz mi o tym obozie, na którym byliście z Alice w szkole.

– McAllaster? To było w miejscu, gdzie diabeł mówi dobranoc. Miałyśmy normalne szkolne przedmioty, ale nacisk położony był na aktywność na świeżym powietrzu. Piesze wycieczki, kempingi. Żadnej telewizji, telefonów, jedyny kontakt z domem był przez pisane ręcznie listy. Nadal tak jest. Moja córka była na obozie dwa lata temu. Córka Alice też. Wiele prywatnych szkół ma coś takiego w swoim programie. – Lauren zamilkła na chwilę. – Ale to nie jest łatwe.

Nawet do bezdzietnego świata Falka przenikały niekiedy wiadomości o znienawidzonych rocznych obozach. Od czasu do czasu jakiś kolega, który mógł poszczycić się prestiżowym wykształceniem, opowiadał historyjkę. Zazwyczaj przyciszonym tonem kogoś, kto przeżył atak niedźwiedzia lub wyszedł cało z katastrofy lotniczej. *Przetrwałem.*

– Wygląda na to, że trochę ci to pomogło – zauważył Falk.

– Może trochę. Ale wydaje mi się, że posiadanie na wpół zapomnianych umiejętności może być gorsze niż nieposiadanie ich w ogóle. Gdybyśmy nie spędziły roku na obozie, może Alice nie przyszłoby do głowy, żeby pójść w busz samej.

– Uważasz, że była na to gotowa?

– Żadna z nas nie była. Ja chciałam zostać w jednym miejscu i poczekać na pomoc – westchnęła. – Sama nie wiem. Może powinnyśmy były pójść z nią i przynajmniej się nie rozdzielać. Wiedziałam już, kiedy Alice została przegłosowana, że może próbować czegoś na własną rękę. Ona zawsze...

Falk czekał.

– Alice zawsze przeceniała swoje umiejętności. Na obozie często była przewodniczką grupy, ale nie wybierano jej dlatego, że się wybijała. Oczywiście, była dobra. Jednak nie tak dobra, jak sama o sobie myślała.

– Zwyciężała popularność?

– Zgadza się. Wybierano ją, ponieważ była popularna. Każdy chciał się z nią przyjaźnić, każdy chciał być w jej grupie. Nie winię jej za to, że dała się zwieść. Kiedy wszyscy wokół mówią ci, że jesteś fantastyczny, w końcu sam zaczynasz w to wierzyć.

Lauren spojrzała przez ramię na drzewa.

– Ale myślę, że przynajmniej pod jednym względem wyświadczyła nam ogromną przysługę. Gdybyśmy zostały w chacie i czekały na pomoc, nadal byśmy tam tkwiły. Cały czas nie wiedzą, gdzie to jest.

– To prawda.

Lauren popatrzyła na niego.

– Ale z tego, co się orientuję, szukają tego miejsca naprawdę intensywnie. Niektórzy policjanci nie chcą rozmawiać o niczym innym.

– Pewnie dlatego, że tam widziano Alice po raz ostatni – odparł Falk. Pamiętał, co powiedział King. *Nie powiedzieliśmy im o Samie Kovacu*. Falk nie był pewien, czy to najlepsze posunięcie w tych okolicznościach.

– Może. – Lauren nadal przyglądała się mu uważnie. – Jednak wygląda na to, że chodzi o coś więcej. Chata stała pusta od dłuższego czasu, ale wcześniej ktoś tam był. Mówiłam to tamtym policjantom. Przynajmniej ktoś o niej wiedział, bo ktoś tam był.

– Skąd wiesz?

– Bo pochowali psa.

Cisza. Szelest liści pod ich stopami.

– Psa.

– Przynajmniej jednego. – Lauren skubała paznokcie. Jej dłonie miały w sobie coś ptasiego, kości jej nadgarstków odznaczały się pod skórą. – Policjanci cały czas pytali, czy widziałyśmy kogoś w buszu.

– A widziałyście?

– Nie. Nie po pierwszej nocy, kiedy odwiedzili nas koledzy z pracy. Ale... – Lauren znów spojrzała na busz. – To było dziwne. Czasem

wydawało mi się, że ktoś nas obserwuje. Tak oczywiście nie było. Nie ma takiej możliwości. Jednak w buszu człowiek dostaje paranoi, umysł zaczyna płatać figle.

– Jesteś pewna, że nie widziałyście żadnego innego mężczyzny?

– Nie, a szkoda. Ale byliśmy za daleko od szlaku. Można było nas spotkać, tylko idąc za nami. – Potrząsnęła głową, odrzucając ten pomysł, zanim zdążył się przyjąć. – Nie rozumiem, co się stało z Alice. Wiem, że poszłaby ścieżką na północ. Szłyśmy nią zaledwie kilka godzin po niej. A Alice zawsze była twarda. Fizycznie i mentalnie. Jeśli nam udało się wydostać, to jej tym bardziej powinno. – Lauren zamrugnęła. – Dlatego teraz chodzę nad wodospad i czekam, aż wyjdzie z buszu, rozzłoszczona i strasząc wszystkich sądem.

Falk skinął w stronę rany na jej czole.

– To wygląda okropnie. Jak to się stało?

Lauren odruchowo podniosła rękę do rany i roześmiała się gorzko.

– Udało się nam za jednym razem stracić pojemnik na gaz i żerdki namiotu w wodach wezbranego strumienia. Staralam się coś uratować i przepływająca kłoda uderzyła mnie w głowę.

– Czyli nie stało się to podczas szarpaniny w chacie? – rzucił lekko.

Lauren przyglądała się mu przez ułamek sekundy.

– Nie.

– Pytam tylko dlatego, że Jill Bailey powiedziała, że jej siniak na szczęce powstał wtedy, gdy chciała rozdzielić kłótnię.

– Naprawdę?

Falk musiał przyznać, że z twarzy Lauren nie dało się nic wyczytać.

– A nie?

Wyglądało na to, że Lauren się nad czymś zastanawia.

– Jill oberwała podczas kłótni. Czy próbowała ją zakończyć, czy nie, to już kwestia sporna.

– Czyli Jill brała w niej udział?

– To ona ją zaczęła. Kiedy Alice chciała odejść. Kłóciły się o to, która z nich weźmie telefon. Nie trwało to długo. A czemu pytasz? Co powiedziała Jill?

Falk potrząsnął głową.

– Nieważne. Może źle ją zrozumiałem.

– No cóż, cokolwiek ci powiedziała, ona brała czynny udział w bójce. – Lauren spuściła wzrok. – Nie jestem z tego dumna, ale podobnie jak my wszystkie. Alice też. Dlatego nie zdziwiłam się, kiedy sobie poszła.

Niebo nad ich głowami przecięła błyskawica, oświetlając sylwetki eukaliptusów. Po niej nastąpił pomruk grzmotu i z chmur lunął deszcz. Nie mogli dłużej stać na zewnątrz. Naciągając kaptury na głowy, pobiegli do budynku recepcji.

– Wchodzisz do środka? – zapytał Falk, usiłując przekrzyczeć burzę.

– Nie, pobiegnę do swojego pokoju – odparła Lauren. – Będę tam, jakbyś chciał o coś jeszcze zapytać.

Falk pomachał jej i wbiegł na schodki recepcji, gdzie deszcz dudnił o dach ganku. Podskoczył, kiedy w ciemności poruszył się jakiś kształt tuż obok drzwi.

– Hej.

Poznał głos Beth. Siedziała na ganku, paląc papierosa i wpatrując się w deszcz. Falk zastanawiał się, czy widziała, że rozmawiał z Lauren. Zastanawiał się też, czy miało to jakiegokolwiek znaczenie. W jednej ręce trzymała papierosa, a w drugiej coś, czego nie widział. Na jej twarzy odmalowywało się poczucie winy.

– Zanim cokolwiek powiesz, wiem, że nie powinnam – rzekła.

Falk otarł twarz wilgotnym rękawem.

– Czego nie powinnaś?

Beth z głupim wyrazem twarzy podniosła do góry butelkę słabego piwa.

– To wbrew warunkom mojego zwolnienia. Ale ostatnie dni były naprawdę ciężkie. Przepraszam. – W jej głosie brzmiała szczerość.

Falk nie miał siły przejmować się jednym piwem. Kiedy był nastolatkiem, takie coś uważano za niewiele mocniejsze od wody.

– Tylko nie przekrocz ilości dozwolonej dla kierowców. – To było zrozumiałe rozwiązanie, ale Beth wyglądała na zaskoczoną. Uśmiechnęła się.

– Nie powinnam też palić na terenie schroniska, ale, na miłość boską, przecież jestem na zewnątrz.

– To prawda – przyznał Falk i razem patrzyli na ulewę.

– Każdy opad deszczu utrudnia znalezienie zaginionej osoby. Tak mi powiedziano. – Upiła łyk piwa. – Tutaj dużo pada.

– Zgadza się.

Falk spojrzał na nią. Nawet w tym słabym świetle wyglądała na wykończoną.

– Dlaczego nie wspomniałaś o bójce w chacie?

Beth spojrzała na butelkę z piwem.

– Z tego samego powodu, dla którego nie powinnam pić. Przez zwolnienie warunkowe. Poza tym to naprawdę nie było nic takiego. Wszystkie się bałyśmy. Wszystkie przesadziłyśmy.

– Ale to ty pokłóciłaś się z Alice?

– Tak słyszałeś? – Trudno było odczytać wyraz jej oczu w ciemnościach.

– Wszystkie pokłóciłyśmy się z Alice. Jeśli któraś twierdzi inaczej, to kłamie.

Sprawiła wrażenie zdenerwowanej. Falk pozwolił, żeby jej słowa wybrzmiały, zanim znów się odezwał.

– A co poza tym?

Westchnięcie.

– W porządku. Pewnie wypiszą ją ze szpitala jutro lub pojutrze.

Falk zrozumiał, że mówi o swojej siostrze.

– Pytałem o ciebie. Czy u ciebie wszystko gra?

Beth zamrugęła.

– Och. – Nie wiedziała, co odpowiedzieć. – Tak, chyba tak. Dzięki.

Falk dostrzegł przez okno Carmen zwiniętą w starym fotelu. Czytała coś, a jej włosy były wilgotne i rozpuszczone. W całym pomieszczeniu poszukiwacze rozmawiali lub grali w karty, lub siedzieli z zamkniętymi oczami przy ogniu kominka. Carmen podniosła głowę i też go zobaczyła.

– Nie chcę cię zatrzymywać – powiedziała Beth.

Falk otworzył usta, żeby odpowiedzieć, ale zagłuszył go kolejny grzmot. Niebo rozświetliła błyskawica, lecz już po chwili znów było zupełnie ciemno. Usłyszał zbiorowy pomruk zdziwienia i jęk rozczarowania. Wysiadła elektryczność.

Falk mrugał, czekając, aż jego wzrok przyzwyczai się do ciemności. Za oknem blask ognia z kominka oświetlał twarze zebranych na pomarańczowo. Kąty były niewidoczne. Usłyszał ruch w przedpokoju i na zewnątrz wyszła Carmen. Trzymała pod pachą coś, co wyglądało jak ogromna książka.

– Cześć – powiedziała do Beth, a następnie zwróciła się do swojego partnera: – Jesteś przemoczony.

– Ulewa mnie zaskoczyła. Wszystko dobrze?

– Tak. – Ledwo dostrzegalnie potrząsnęła głową. *Nie rozmawiajmy tutaj.*

Beth zabrała butelkę piwa z pola widzenia i siedziała z rękami na kolanach.

– Ciemno tu. Chcesz, żebyśmy cię odprowadzili do twojego pokoju? – zapytał Falk.

Beth potrząsnęła głową.

– Zostanę tu jeszcze chwilę. Ciemności mi nie przeszkadzają.

– Jasne. Uważaj na siebie.

Falk i Carmen naciągnęli kaptury i wyszli z bezpiecznego schronienia ganku. Deszcz uderzył ich w twarze. Na terenie schroniska paliło się kilka świateł – może zasilanych energią słoneczną, a może przez generator awaryjny – dzięki którym bez problemu trafili do siebie.

Kolejna błyskawica przecięła niebo, podświetlając krople deszczu na biało. Falk dostrzegł postać biegnącą przez parking. Ian Chase w swoim nieodłącznym czerwonym polarze. Nie sposób było odgadnąć, skąd przyszedł, ale ponieważ jego włosy były zupełnie mokre, można było wnioskować, że był na deszczu już jakiś czas. Niebo znów pociemniało i Falk stracił go z oczu.

Wytarł twarz i skupił się na ścieżce przed sobą. Była śliska od wody i błota, więc kiedy skręcili i znaleźli się pod zadaszeniem domku, odetchnął z ulgą. Zatrzymali się pod pokojem Carmen. Niosła księgę pod zasuniętą na zamek kurtką. Teraz ją wydobyła i podała Falkowi, a sama zaczęła szukać kluczy. Falk zobaczył, że to album z laminowaną okładką. Jego rogi były trochę wilgotne, a z przodu znajdowała się duża naklejka: „Własność schroniska Giralang. Nie wynosić”. Carmen zobaczyła, jak uniósł brwi, i się roześmiała.

– Daj spokój. Wyniosłam go na odległość pięćdziesięciu metrów. Zamierzam go oddać. – Otworzyła drzwi i wpuściła go do środka. Obojgu brakowało trochę tchu z zimna i z przemoczenia. – Ale najpierw muszę ci coś koniecznie pokazać.

Dzień 2: Piątek w nocy

Tak długo kłóciły się o to, co zrobić, że było już za późno, aby zrobić cokolwiek.

W końcu, kiedy słońce zaszło na południu, zeszyły trochę niżej w poszukiwaniu schronienia. Tuż przed nastaniem ciemności rozbiły obóz tam, gdzie stały, tak, jak umiały najlepiej.

Rozłożyły na ziemi wszystko, co im zostało, i stały nad tym, patrząc w świetle latarek. Trzy namioty bez stelażu, mniej niż litr wody w pięciu

butelkach, sześć batoników musli.

Beth spojrzała na tę smętną stertę rzeczy i poczuła pierwszy głód. Chciało się jej też pić. W jej butelce było najmniej wody. Przełknęła. Język zasychał jej w ustach.

– Powinnyśmy spróbować nałapać deszczówki w nocy – powiedziała Lauren. Patrzyła nerwowo na niemal puste butelki.

– Wiesz, jak to zrobić? – zapytała błagalnym tonem Jill.

– Mogę spróbować.

– A gdzie reszta batoników? – zapytała Jill. – Myślałam, że jest ich więcej.

Beth poczuła, że Bree na nią patrzy. Nie odwzajemniła spojrzenia. *Wypchaj się, Bree*. Sumienie Beth, przynajmniej tym razem, było czyste.

– Powinno być przynajmniej kilka więcej. – Twarz Jill przybrała niezdrowy szary odcień w świetle latarki. Cały czas też mrugała oczami. Beth nie była pewna, czy coś wpadło jej do oczu, czy po prostu nie może w to wszystko uwierzyć.

– Jeśli któraś je zjadła, niech po prostu się przyzna.

Beth czuła na sobie spojrzenia wszystkich, sama wpatrywała się w ziemię.

– W porządku. – Jill potrząsnęła głową i zwróciła się do Alice: – Idź i zobacz, czy znajdziesz gdzieś sygnał.

Alice poszła, przynajmniej raz nie mając nic do powiedzenia. Najpierw była w szoku, później przyjęła postawę obronną i z powrotem zaczęła wpatrywać się w mapę i stukać w kompas. Była pewna, że szły na zachód. W odpowiedzi na jej protesty najczęściej zalegała cisza. Trudno jest się kłócić z zachodzącym słońcem.

Wszystkie patrzyły za nią, jak idzie, ściskając telefon w dłoni. Jill otworzyła usta, jakby chciała coś powiedzieć, ale nie wiedziała co. Kopnęła namioty czubkiem buta.

– Zobacz, czy da się coś z tym zrobić – powiedziała do Lauren, a sama

poszła za Alice.

Beth słuchała sugestii Lauren, żeby użyć linek odciągowych do rozpięcia namiotów między drzewami, w celu utworzenia zadaszienia. Lauren próbowała to zademonstrować, jedną ręką naciągając linki, a drugą przytrzymując plaster na czole, ale w końcu się poddała. Cofnęła się, jej włosy były zmatowione i skleione od krwi, i wskazywała Beth i Bree pnie drzew. Palce Beth szybko zeszywniały na nocnym powietrzu. Nawet w dzień byłoby to trudne zadanie i była wdzięczna samej sobie, że wzięła mocną latarkę.

W końcu udało się im rozciągnąć namioty między drzewami, choć na środku nie były naprężone tak jak trzeba. Nie padało, ale Beth wydawało się, że deszcz wisi w powietrzu. Ta próba była jeszcze przed nimi.

Alice co pewien czas pojawiała się i znikła w różnych miejscach na ścieżce. Otaczała ją sztuczna niebieska poświata, w której zataczała kręgi i wyciągała ręce do góry w swoistym tańcu desperacji.

Beth wyciągnęła z plecaka śpiwór, wzdychając na widok mokrego miejsca przy stopach. Próbowała znaleźć najbardziej osłonięte miejsce, ale było to bezsensowne. Nie było w czym wybierać. Rozłożyła śpiwór pod najbliższym namiotem, potem wstała i przyglądała się, jak jej siostra szuka dla siebie miejsca. Zazwyczaj Bree chciała być jak najbliżej Alice. Beth pomyślała, że to ciekawe, jak szybko obraca się koło fortuny.

Lauren siedziała obok na plecaku i patrzyła na kompas.

– Jest zepsuty? – zapytała Beth.

Z początku odpowiedziała jej cisza, później westchnienie.

– Nie sądzę. Ale trzeba umieć go używać, żeby był pomocny. Idąc, każdy zbacza z obranego kierunku – to naturalne. Wiedziałam, że Alice nie patrzy na niego wystarczająco często.

Beth objęła się ramionami i kołysała się na stopach. Drżała z zimna.

– Może powinniśmy spróbować rozpalić ogień? Moja zapalniczka wyschła.

Lauren spojrzała na nią w ciemnościach. Świeży plaster już zaczął się odklejać od jej czoła. Beth wiedziała, że w apteczce został już tylko jeden.

- Nie powinniśmy tego tutaj robić.
- Czy ktoś się o tym dowie?
- My, zwłaszcza jeśli ogień wymknie się spod kontroli.
- Przy tej pogodzie?

Zobaczyła, jak Lauren wzrusza ramionami.

– Beth, to jest decyzja, która musi zapaść na stanowisku wyższym niż moje. Zapytaj Jill.

Beth dostrzegła sylwetkę Jill w nikłej poświacie telefonu Alice. Były daleko, co nie wróżyło dobrze.

Włożyła papierosa do ust i odeszła na bok. Niewielki płomyk z zapalniczki sprawił, że znów nie widziała w ciemnościach, ale nic jej to nie obchodziło. Znajomy smak zalał jej usta, kiedy się zaciągnęła, i po raz pierwszy od wielu godzin czuła, że naprawdę oddycha.

Stała i paliła, czując ciepło wypełniające jej płuca, a jej oczy i uszy przyzwyczajały się do nocnych warunków w buszu. Za szarymi pniami najbliższych eukaliptusów zaczynała się nieprzebrana ciemność. Nic nie widziała, ale poczuła dreszcz, uświadamiając sobie, że ją przecież było widać. Żarzący się papieros, a za nią w obozowisku światła latarek. Z buszu były bardzo dobrze widoczne. W ciemnościach rozległ się trzask. *Nie bądź głupia*. To zwierzę. Pewnie jakieś nocne. I niegroźne. Najprawdopodobniej opos.

Cokolwiek to było, szybko skończyła palić i wróciła do obozowiska. Trzy twarze natychmiast zwróciły się w jej kierunku. Jill, Alice i Lauren. Bree nie było nigdzie widać. Trzy kobiety stały razem i coś trzymały. Beth myślała, że to kompas, ale kiedy podeszła bliżej, okazało się, że nie. Była to kanapka z serem w folii. Jill trzymała w ręce jabłko.

– Gdzie to znalazłyście? Czy to z lunchu? – zapytała Beth. Głośno zaburczało jej w brzuchu.

– Były w plecaku – powiedziała Jill.

– W czym? – Beth spojrzała na stertę plecaków. Leżały w nieładzie, wysypywały się z nich rzeczy – tak je zostawiły, kiedy sprawdzały stan zapasów. Teraz dostrzegła wyraz ich twarzy i prawda zaczęła do niej powoli docierać.

– No cóż, to nie jest moje.

Żadnej reakcji.

– To nie jest moje. Ja zjadłam swój lunch. Same widziałyście.

– Ja nie – powiedziała Alice. – Odeszłaś od nas, żeby zapalić.

Beth patrzyła na nią w ciemnościach.

– To, że zrzucisz na mnie winę, nie sprawi, że sama staniesz się niewinna, dobrze o tym wiesz.

– Obie przestańcie – przerwała im Jill. – Beth, jeśli nie zjadłaś lunchu, to jest nadal twoje jedzenie. Ale mówiłyśmy przecież, że musimy podzielić się wszystkim...

– To nie jest moje. Nie rozumiecie, co mówię?

– No cóż, dobrze. – Nie było żadnych wątpliwości, że Jill jej nie wierzy.

– Przyznałabym się, gdyby to było moje jedzenie. – Beth czuła, że się zaraz rozpłacze. Czekwała. Brak odpowiedzi. – To nie jest moje.

– Jedzenie jest moje. – Wszystkie się odwróciły; za nimi stała Bree. – Przepraszam. Poszłam się wysikać. To moje. Ja nie zjadłam lunchu.

Jill zmarszczyła brew.

– Dlaczego nie przyniosłaś tego do wspólnego podziału?

– Bo o tym zapomniałam. Przepraszam.

Kiedy Beth była młodsza, naprawdę wierzyła w telepatię. Patrzyła Bree głęboko w oczy i z rytualną precyzją kładła palce na jej skroniach. *O czym myślisz?* Bree pierwszej znudziła się ta zabawa. Nigdy nie była w niej dobra, co zdaniem Beth tłumaczyło jej brak zainteresowania. Kiedy Bree zaczęła odtrącać jej ręce i odmawiać utrzymywania kontaktu wzrokowego, Beth zaczęła przyglądać się jej i wylapywać subtelności tonu jej głosu i ruchów.

Szukając wskazówek. *O czym myślisz?* Później Beth zorientowała się, że to nie była telepatia, ale raczej zdolność do odczytywania zachowań. A teraz ten niemy język, w którym Beth była niegdyś biegła, znów do niej przemawiał. *Bree kłamie.* Jakikolwiek powód miała jej siostra, żeby się nie podzielić, nie było to z pewnością zapominalstwo.

– Nie musisz jej bronić, Bree. – W tonie głosu Alice pobrzmiwało rozczarowanie.

– Nie bronię jej. – Beth usłyszała drzenie w głosie siostry.

– Nikt cię nie wini. Nie kłam dla niej.

– Wiem. Nie kłamię.

– Naprawdę? Bo to nie w twoim stylu.

– Wiem. Przykro mi.

Nawet przyznając się do winy, Bree była perfekcyjna. Beth niemal się roześmiała. Nie zrobiła tego, ponieważ słyszała, że Bree jest na granicy płaczu. Westchnęła.

– No dobra. – Usiłowała brzmieć, jakby była skruszona. – To moje jedzenie.

– Wiedziałam.

– Tak, Alice. Miałaś rację, jak zawsze. Przepraszam, Bree...

– To nie... – Bree próbowała się wtrącić.

– Dzięki, że chciałaś mi pomóc, ale naprawdę nie trzeba. Przepraszam was wszystkie.

To było dziwne. Czuła niemal namacalną ulgę. Bree była tą dobrą, Beth – tą złą. Naturalny porządek został przywrócony, wszyscy mogli się odprężyć.

– W porządku – powiedziała w końcu Jill. – Podzielmy się tym, co jest, i po sprawie.

– Dobra – zgodziła się Beth i odwróciła się, zanim dała się wciągnąć w rozmowę o sankcjach i karnych racjach. – Róbcie, co chcecie, ja idę spać.

Czuła na sobie ich spojrzenia, kiedy ściągała buty i w pełni ubrana wchodziła do śpiwora. Zakopała się w nim głęboko i naciągnęła na głowę.

W środku było niewiele cieplej niż na zewnątrz, a twarda ziemia gniotła ją przez cienki materiał.

Zamknęła oczy, ale nadal docierały do niej urywane fragmenty rozmowy. Było jej niewygodnie, jednak ogromne zmęczenie popychało ją w kierunku snu. Już miała odpłynąć, kiedy poczuła czyjąś dłoń na śpiworze.

– Dziękuję. – Ledwo słyszalny szept.

Nie zareagowała i chwilę później nacisk zniknął. Leżała z zamkniętymi oczami, ignorując dźwięki kłótni, najpierw o jedzenie, później o ogień.

Kiedy następnym razem je otworzyła, zrobiła to gwałtownie. Nie wiedziała, jak długo spała, ale w którymś momencie musiał spaść deszcz. Ziemia wokół niej była mokra, a jej ciało zdrętwiało z zimna.

Leżała, trzęsąc się i nasłuchując. Czy coś wyrwało ją ze snu? Mrugnęła, ale wzrok na nic się zdawał w absolutnych ciemnościach. Nie słyszała nic oprócz szelestu materiału przy jej uszach, kiedy oddychała. Coś było w śpiworze na wysokości jej szyi. Najpierw się odsunęła, a później dotknęła tego palcem. Kawalek kanapki z serem i plasterk jabłka owinięte w mokry plastik. Beth nie wiedziała, czy to jest jej jedna piąta, czy też jedna czwarta jej siostry. Przez chwilę myślała, żeby tego nie zjeść, ale głód był silniejszy niż zasady. Poza tym tutaj było inaczej.

Beth nie wiedziała, czy jej towarzyszki też to poczuły, ale dla niej atmosfera uległa zmianie. Pojawiło się w niej coś atawistycznego, niemal pierwotnego, co sprawiało, że kawałek chleba z serem wydawał się nagrodą wartą stoczenia małej bitwy.

Coś poruszyło się niedaleko i Beth cała zeszywniała. Nie potrafiła stwierdzić, czy była to któraś z jej koleżanek czy też jakieś zwierzę. Leżała bez ruchu, czekając, aż to uczucie minie. Słowo, którego jej brakowało, pojawiło się na końcu języka. To była dzikość.

Rozdział 13

W pokoju Carmen panowała ciemność. Falk podał jej latarkę. Zakłęła cicho pod nosem, potykając się w drodze do okna, żeby je odsłonić. Światła awaryjne na zewnątrz wystarczały, żeby nadać sprzętom zarysy.

– Siadaj – powiedziała.

Podobnie jak w jego pokoju, nie było tu krzeseł. Falk usiadł na brzegu łóżka. Pokój Carmen był taki sam jak jego: mały i skromnie urządzone, ale powietrze miało trochę inny zapach. Delikatnie świeży i subtelny, kojarzący się z ciepłym latem. Zastanawiał się, czy Carmen zawsze tak pachnie, czy po prostu on nigdy nie zwrócił na to uwagi.

– Spotkałem Lauren – powiedział.

– Tak? – Podała mu ręcznik i usiadła naprzeciw niego z nogami podwiniętymi pod siebie. Przerzuciła włosy na jedną stronę i zaczęła je wycierać, a Falk przekazywał jej szczegóły rozmowy. O chacie, o kłótni, o Alice. Na zewnątrz deszcz dudnił o szyby.

– Mam nadzieję, że Lauren nie docenia Alice – rzekła Carmen, kiedy skończył. – Jeden ze strażników parku powiedział mi, że przy tej pogodzie nawet on miałby poważne trudności. Zakładając oczywiście, że Alice odłączyła się od grupy z własnej woli.

Falk wrócił myślami do nagrania na poczcie głosowej. *Skrzywdzić ją.*

– Skłaniasz się ku temu, że musiało stać się coś innego?

– Nie wiem. – Położyła między nimi album i obróciła kilka stron. Były wypełnione wycinkami z gazet pomarszczonymi od zaschniętego kleju. –

Przeglądałam to, czekając na ciebie. To historia miejscowej społeczności dla turystów.

Znalazła stronę, której szukała, i pokazała mu ją.

Był to wycinek z gazety informujący o skazaniu Martina Kovaca.

Nagłówek informował o dożywociu. Nietrudno było się domyślić, dlaczego w albumie znalazł się ten artykuł, a nie inny. To było zakończenie sprawy, kropka nad i. Był to główny artykuł tego wydania gazety, streszczający przebieg śledztwa i procesu. Na dole strony widniały trzy zdjęcia uśmiechniętych kobiet, które zostały zamordowane. Eliza. Victoria. Gail. Była również fotografia czwartej, nigdy nieodnalezionej, Sarah Sondenberg.

Falk widział zdjęcia ofiar Kovaca wiele razy wcześniej, ale nie ostatnio i nie w takim zestawieniu. Siedział w ciemności obok Carmen i świecił latarką na każdą twarz. Włosy blond, regularne rysy twarzy, szczupłe. Zdecydowanie ładne. Natychmiast dostrzegł, co chciała mu pokazać Carmen.

Eliza. Victoria. Gail. Sarah.

Alice?

Falk spojrzał każdej z nieżyjących kobiet w oczy i pokręcił głową.

– Jest za stara. Każda z nich miała około dwudziestu lat.

– Alice jest za stara teraz. Ale nie wtedy, kiedy się to działo. Ile mogła mieć wówczas lat? Około dwudziestu? – Carmen przechyliła album, żeby lepiej zobaczyć drobny druk. – Gdyby żyły, wszystkie byłyby w podobnym wieku.

Falk nic nie mówił. Obok zdjęć ofiar umieszczono duże zdjęcie Martina Kovaca wykonane niedługo przed jego aresztowaniem. Była to zwykła fotografia, zrobiona przez przyjaciela lub sąsiada. Przedrukowano ją potem setki razy w gazetach, pokazywano w telewizji. Kovac stał na niej obok grilla. Australijczyk do szpiku kości w białym podkoszulku, szortach i butach. Obowiązkowy trzydniowy zarost na twarzy i krzywy uśmiech, oczy zmrużone przed słońcem i potargane kręcone włosy. Był szczupły, ale wyglądał na silnego – nawet na zdjęciu widoczne były mięśnie na jego ramionach.

Falk dobrze znał to ujęcie, ale tym razem zobaczył na nim coś, na co nigdy wcześniej nie zwrócił uwagi. W tle ucięty w połowie przez

kadrowanie widoczny był dziecięcy rowerek. Niewiele było widać. Mała goła nóżka, chłopięcy sandał na pedale, tył podkoszulka w paski, kilka kosmyków ciemnych włosów. Nie można było zidentyfikować tego dziecka, ale Falk poczuł, że skóra mu cierpnie. Odwrócił wzrok od chłopca, od Martina Kovaca, od dawno zmarłych czterech kobiet.

– Sama nie wiem – powiedziała Carmen. – To może i jest naciągane, ale mnie uderzyło.

– Tak. Rozumiem dlaczego.

Wyjrzała przez okno na busz.

– Cokolwiek się stało, przynajmniej wiemy, że Alice gdzieś tam jest. To duży obszar, ale nie nieskończony. W końcu ją znajdą.

– Sarah Sondenberg nie znaleźli.

– Nie, ale Alice musi gdzieś tam być. Nie wróciła przecież pieszo do Melbourne.

Myśl o mieście poruszyła coś w umyśle Falka. Popatrzył przez okno w kierunku, gdzie jeszcze wczoraj stało zaparkowane czarne bmw Daniela Baileya. Przestronne. Z przyciemnianymi szybami. Z dużym bagażnikiem.

– Musimy porozmawiać z Danielem Baileyem – powiedział. – Jedźmy za nim do Melbourne. Dowiedzmy się, o czym rozmawiał z Alice tamtego wieczoru.

Carmen pokiwała głową.

– Zadzwońię do biura i poinformuję ich o tym.

– Chcesz, żebym ja...

– Nie, w porządku. Ty dzwoniłeś poprzednio. Teraz moja kolej. Dowiem się, co mają do powiedzenia.

Obojgu udało się uśmiechnąć na te słowa. Doskonale wiedzieli, co Carmen usłyszy. *Zdobądźcie umowy. To najważniejsze. Zrozumcie, że najważniejsze w tym wszystkim są te umowy.* Uśmiech zgasł na twarzy Falka. Dobrze to rozumiał, ale nie miał pojęcia, jak to zrobić.

Wiatr szalał za oknem, a Falk dopuścił do siebie pytanie, które cały czas

go gnębiło: czy Alice nadal znajdowała się przez nich w buszu? Czy to było tego warte? Żałował, że nie znał szerszego kontekstu całej operacji, ale wiedział też, że szczegóły nie są tak naprawdę istotne. Szerszy kontekst, niezależnie od tego, jak bywał odmalowywany, zawsze wyglądał tak samo: kilku bogaczy wyzyskujących całą resztę.

Spojrzał na Carmen.

– Dlaczego wstąpiłaś do tego wydziału?

– Finansowego? – Uśmiechnęła się w ciemności. – To pytanie zwykle zadaje mi na służbowej wigilii jakiś podpity gość o zmieszanej minie. – Poprawiła się na łóżku. – Kiedy zaczynałam, przypisano mnie do wydziału ochrony nieletnich. Dużo tam załatwiają teraz algorytmy i programy. Szukałam domów dla dzieci, ale – w jej głosie brzmiało napięcie – nie radziłam sobie na pierwszej linii.

Falk nie pytał o szczegóły. Znał policjantów, którzy zajmowali się zawodowo dziećmi. Od czasu do czasu każdy z nich mówił właśnie takim tonem.

– Zostałam tam jeszcze jakiś czas, ale zajmowałam się głównie sprawami technicznymi – mówiła. – Znajdowałam przestępców poprzez transakcje. Okazało się, że jestem w tym dobra, i tak trafiłam tutaj. Jest znacznie lepiej. Pod koniec w ogóle nie sypiałam. – Milczała przez chwilę. – A ty?

Falk westchnął.

– To było niedługo po śmierci mojego ojca. Na początku przez kilka lat byłem w wydziale antynarkotykowym. Sama wiesz: jak jesteś młody, to wydaje ci się, że tam jest prawdziwe policyjne życie.

– Tak słyszałam na wigilii służbowej.

– W każdym razie dostaliśmy cynk, że jeden z domów w północnym Melbourne jest używany jako magazyn.

Falk pamiętał, jak zaparkowali przed domkiem jednorodzinny na podupadłej ulicy. Odchodziła z niego farba, a trawa była pożółkła i nierówna, ale na końcu podjazdu stała ręcznie zrobiona skrzynka na listy

w kształcie łódki. Wtedy pomyślał, że kiedyś komuś zależało na tym domu tak bardzo, że ją zrobił lub kupił.

Jeden z jego kolegów zapukał do drzwi, a kiedy nie było odpowiedzi, wyważył je. Nie było to trudne, bo drewno miało już swoje lata. Falk zobaczył swoje odbicie w zakurzonej lustrze w przedpokoju – ledwo się rozpoznał w policyjnym rynsztunku szturmowym. Weszli do salonu, krzycząc, gotowi do strzału, ponieważ nie wiedzieli, czego się spodziewać.

– Mieszkał tam starszy gość z demencją. – Falk nadal pamiętał go siedzącego w starym fotelu. Był zbyt skołowany, żeby się przestraszyć, jego brudne ubrania wisiały na nim. – W domu nie było jedzenia. Odcięto mu prąd, a w szafkach przetrzymywano narkotyki. Jego bratanek, a raczej gość, który się za niego podawał, przewodził jednemu z okolicznych gangów. On i jego kolesie przejęli ten dom.

W środku śmierdziało, tapety w kwiatowe wzory pokrywało graffiti, na dywanie walały się spleśniałe opakowania z jedzeniem na wynos. Falk usiadł przy starszym mężczyźnie i rozmawiał z nim o krykicie, podczas gdy reszta przeszukiwała dom. Staruszek myślał, że rozmawia z wnukiem. Falk, który zaledwie kilka miesięcy wcześniej pochował ojca, nie wyprowadził go z błędu.

– Rzecz w tym, że goście z gangu wyczyścili jego konta, również to emerytalne. Założyli karty kredytowe na niego i nakupowali rzeczy, których on nigdy by nie potrzebował. To był stary, schorowany człowiek, a oni nic mu nie zostawili. Wszystko to było w historii jego bankowości i tylko czekało, żeby ktoś to odkrył. Wszystko, co mu się przytrafiło, mogło zostać wykryte całe miesiące wcześniej, gdyby ktoś dostrzegł nieprawidłowości na jego koncie.

Falk napisał dokładnie to samo w swoim raporcie. Kilka tygodni później wpadł do niego funkcjonariusz z działu finansowego na przyjacielską pogawędkę. Po pewnym czasie Falk odwiedził staruszka w domu opieki. Wyglądało na to, że ma się lepiej. Znowu rozmawiali trochę o krykicie.

Kiedy Falk wrócił do biura, sprawdził, co jest potrzebne, żeby mógł przenieść się ze swojego wydziału.

Jego decyzja wywołała pewne zdziwienie w tamtym czasie, ale on wiedział, że po prostu przestał się łudzić. Naloty policyjne przynosiły krótkotrwałe efekty: były jak gaszenie pożarów, a nie zapobieganie podpaleniom. Dla przestępców najważniejsze są pieniądze. Odetnij ich od źródła, a całe organizacje uschną.

Przynajmniej tak to widział Falk za każdym razem, kiedy namierzał kogoś, kto uważał, że jego uniwersytecka edukacja czyni go na tyle mądrym, żeby uszło mu to na sucho. Jak Daniel i Jill, i Leo Baileyowie, którzy, jak podejrzewał, naprawdę nie sądzili, że robią coś złego. Ale kiedy Falk patrzył na takich jak oni, widział takich właśnie starszków, kobiety walczące o przetrwanie, smutne dzieci. Miał nadzieję, że uda się mu powstrzymać zło, zanim ich osiągnie.

– Nie martw się – pocieszyła go Carmen. – Coś wymyślimy. Wiem, że Baileyowie myślą, że po tylu latach są naprawdę dobrzy w tym, co robią, ale to tylko dlatego, że jeszcze nas nie znają.

– Nie?

– Nie. – Uśmiechnęła się. Nawet gdy siedziała, była tak wysoka jak on. Nie musiała podnosić głowy, żeby spojrzeć mu w oczy. – Chociażby dlatego, że my wiemy, jak ukryć pranie pieniędzy.

Falk nie mógł powstrzymać uśmiechu.

– Masz jakiś pomysł?

– Nieruchomości inwestycyjne. Proste. A ty?

Falk, który kiedyś napisał pogłębione studium tematu, wiedział dokładnie, jak by to zrobił. Miał również w pogotowiu dwa solidne plany awaryjne. Jeden z nich opierał się właśnie na nieruchomościach inwestycyjnych.

– Nie wiem. Może kasyno.

– Bzdury. Wymyśliłbyś coś bardziej wyrafinowanego.

Uśmiechnął się krzywo.

– Nigdy nie lekceważ klasyki.

Carmen się roześmiała.

– Może jednak nie jesteś taki mądry. Musiałbyś cały czas przebierać nogami pod stołem, każdy, kogo byś spotkał, przejrzałby cię na wylot. Wiem o tym dobrze. Mój narzeczony spędza tam dużo czasu, a on zupełnie cię nie przypomina.

Prawdę powiedziawszy, właśnie dlatego Falk nie brał na poważnie tej możliwości. Za dużo dreptania w miejscu. Uśmiechnął się tylko.

– Działalbym cierpliwie. Stworzyłbym wzór zachowania. Potrafię być cierpliwy.

– Z pewnością. – Zmieniła pozę, wyciągając nogi przed siebie. Zapadła cisza, w której tylko na siebie patrzyli.

Coś zadudniło i zabuczało i nagle na terenie całego schroniska zapaliły się światła. Nastrój odpowiedni do zwierzeń ulotnił się wraz z ciemnością. Oboje poruszyli się w tym samym momencie. Jej nogi zawadziły o jego kolano, kiedy wstawał.

Falk stanął i zawahał się.

– Lepiej, żebym poszedł do siebie, zanim znów światło wysiądzie.

Ułamek sekundy zastanowienia.

– Chyba tak.

Carmen wstała i odprowadziła go do drzwi. Kiedy je otworzył, uderzył go zimny podmuch. Czuł na sobie jej spojrzenie, gdy szedł do pokoju obok.

Odwrócił się.

– Dobranoc.

Znów sekunda niepewności.

– Dobranoc.

Falk zamknął za sobą drzwi.

Nie od razu włączył światło. Podeszedł do okna, pozwalając, żeby myśli szalejące w jego głowie uspokoiły się i wyciszyły.

Deszcz przestał padać i można było dostrzec kilka gwiazd między chmurami. Były lata w życiu Falka, kiedy w ogóle nie patrzył na nocne niebo. Wielkomiejskie światła były zbyt jaskrawe. Teraz pamiętał, żeby podnieść głowę, kiedy tylko miał ku temu sposobność. Zastanawiał się, co – jeśli coś w ogóle – widziała teraz Alice, jeśli też patrzyła na niebo.

Księżyc połyskiwał, chmury zawieszane w jego blasku wyglądały niczym srebrna przędza. Falk wiedział, że gdzieś za nimi musi być Krzyż Południa. Jako dziecko często na niego patrzył. Jedno z najwcześniejszych jego wspomnień dotyczyło tego, jak ojciec wyniósł go na rękach przed dom i pokazał mu gwiazdozbiór. Niebo roilo się od gwiazd, a ramiona ojca mocno go obejmowały, kiedy pokazywał mu wzór, który był tam od zawsze. Falk mu wierzył, nawet jeśli nie mógł dostrzec gwiazd.

Dzień 3: Sobota rano

Z południa wiał lodowaty wiatr. Szły mozolnie bez słowa z pochylonymi głowami. Znalazły coś przypominającego ścieżkę, coś, co przynajmniej – być może – było używane jako ścieżka przez zwierzęta. Za niemą zgodą żadna z nich nie wszczyniała alarmu, kiedy od czasu do czasu znikwała pod ich stopami. Po prostu podnosiły nogi wyżej i bacznie wpatrywały się w ziemię, aż ponownie natrafiały na coś na kształt ścieżki.

Bree obudziła się kilka godzin wcześniej w złym humorze i przemarznięta. Nie była pewna, jak długo spała. Obok siebie słyszała chrapanie Jill. Ta to miała twardy sen. A może po prostu była wyczerpana. Nie obudziła się nawet wtedy, kiedy ich zrobione naprędce zadaszanie rozpadło się w nocy.

Bree leżała na ziemi, wpatrując się w blade niebo poranka. Kości ją bolały, a usta były zupełnie zaschnięte. Widziała, że butelki, rozłożone przez

Lauren, żeby nałapać wody, przewróciły się. Będą miały szczęście, jeśli znajdzie się chociaż po łyku dla każdej z nich. Przynajmniej jedzenie, które położyła koło głowy Beth, zniknęło. Była w równym stopniu zadowolona, co rozczarowana.

Nadal nie rozumiała, dlaczego nie powiedziała koleżankom o niezjedzonym posiłku. Otworzyła nawet usta, ale coś – jakaś pierwotna część jej mózgu – powstrzymało jej słowa. Przerazało ją to trochę. Konieczność przetrwania. Cały tydzień, aż do piątkowych drinków, żartowała, że musi przetrwać w pracy. W każdym innym kontekście było to obce i straszne.

Usiłowała porozmawiać z siostrą, kiedy zwijały swoje przemoczone śpiwory.

– Dziękuję.

Tym razem to Beth wykorzystała szansę, żeby utrzyć jej nosa.

– Zapomnij. Ale nie wiem, dlaczego się ich tak boisz.

– Kogo?

– Ich wszystkich. Alice. Jill. Daniela.

– Nie boję się. Po prostu zależy mi na ich opinii. To moi szefowie, Beth.

I twój też.

– I co z tego? Jesteś równie dobra jak oni. – Beth przestała się pakować i spojrzała na nią. – Na twoim miejscu nie czepiałabym się tak Alice.

– O czym ty mówisz?

– Nieważne, ale uważaj na nią. Lepiej by ci zrobiło, jakbyś znalazła sobie kogoś innego, żeby się podlizywać.

– Na litość boską, ja po prostu poważnie traktuję moją karierę. Powinnaś tego spróbować.

– A ty lepiej nabierz dystansu. To tylko cholerna robota.

Bree nic nie powiedziała, ponieważ wiedziała, że nie zostanie zrozumiana.

Spakowanie obozu zajęło im dwadzieścia minut, a przez kolejną godzinę

zastanawiały się, co zrobić. Zostać czy iść. Zostać. Iść.

Alice chciała się ruszyć. Znaleźć obozowisko, wydostać się stąd, zrobić cokolwiek. Nie, oponowała Lauren, powinny zostać na wyższym terenie. Tu było bezpieczniej. Ale też wiało mocniej – ich twarze były już czerwone i obolałe od zimnych podmuchów. Kiedy znów zaczęło mżyć, nawet Jill przestała uprzejmie potakiwać Lauren. Schroniły się pod materiałem namiotów, starając się przy okazji napełnić butelki, podczas gdy Alice chodziła tam i z powrotem, wymachując telefonem. Kiedy zostało tylko trzydzieści procent baterii, Jill kazała jej go wyłączyć.

Powinny zostać na miejscu, znów zaczęła przekonywać Lauren, ale Alice już rozłożyła mapę. Zgromadziły się wokół niej, poszukując charakterystycznych miejsc, podczas gdy wiatr usiłował wydrzeć im ten kawałek papieru. Wzgórze, rzeka, pochyłość terenu. Nic nie pasowało idealnie. Nie mogły ustalić między sobą, na którym szczycie się znajdują.

Na skraju mapy, na północy, zaznaczono drogę dla pojazdów. Gdyby udało im się przedrzeć przez busz i do niej dotrzeć, mogłyby iść wzdłuż niej, powiedziała Alice. Lauren niemal parsknęła śmiechem. To było niebezpieczne. Podobnie jak hipotermia, odparła Alice, patrząc na nią, dopóki nie spuściła wzroku. Koniec końców to chłód pomógł podjąć decyzję. Jill powiedziała, że nie jest w stanie stać w miejscu ani chwili dłużej.

– Znajdźmy tę drogę. – Podała mapę Alice, zawahała się i wręczyła kompas Lauren. – Wiem, że się ze sobą nie zgadzacie, ale jesteśmy w tym wszystkie razem.

Podzieliły się odrobiną wody, którą złapały do butelki. Bree czuła, że to tylko zwiększyło jej pragnienie. I zaczęły iść, ignorując swoje puste żołądki i obolałe kończyny.

Bree wpatrywała się w ziemię, stawiając krok za krokiem. Szły niemal od trzech godzin, kiedy poczuła, że coś miękko wylądowało koło jej buta. Zatrzymała się. Małe jajeczko leżało na ziemi roztrzaskane, jego

wnętrze, przejrzyste i galaretowate, wylewało się. Bree spojrzała w górę. Wysoko wiatr potrząsał gałęziami, wśród których siedział mały brązowy ptaszek i patrzył w dół. Bree nie wiedziała, czy rozumiał, co zaszło. Czy jest mu przykro z powodu jajka, czy już o tym zapomniał?

Bree słyszała za sobą Beth – wydał ją oddech palacza.

Nabierz dystansu. To tylko cholerna robota.

To nie była prawda. Bree miała dwadzieścia jeden lat i tylko cztery dni dzieliły ją od ukończenia studiów z wyróżnieniem, kiedy zorientowała się, że jest w ciąży. Jej chłopak, z którym była od półtora roku, a który – wiedziała o tym – w tajemnicy przeglądał pierścionki zaręczynowe na stronie Tiffany’ego, przez dziesięć minut nie mówił nic, tylko chodził po kuchni ich studenckiego mieszkania. To zapamiętała najlepiej z całej sytuacji: tak bardzo chciała, żeby usiadł. W końcu to zrobił i położył swoją dłoń na jej.

– Tak ciężko pracowałaś – powiedział. – Co z twoim stażem? – Jego własny staż miał się zacząć za cztery tygodnie w Nowym Jorku, a później czekało na niego miejsce na podyplomowym kursie z prawa. – Ilu stażystów przyjmują w BaileyTennants każdego roku?

Jednego. BaileyTennants przyjmowało tylko jednego stażystę co roku. Dobrze o tym wiedział. W tym roku miała to być Bree McKenzie.

– Byłaś taka podekscytowana. – To prawda. Wprost nie mogła się doczekać. W tym momencie trzymał jej dłoń w obu swoich. – To szaleństwo. To prawda. Kocham cię tak bardzo. To po prostu – w jego oczach błysnął czysty strach – zły moment.

W końcu mu przytaknęła i rano była już umówiona na wizytę u lekarza.

– Któregoś dnia nasze dzieci będą z nas dumne – powiedział. Bree doskonale pamiętała, że powiedział „nasze”. – Ale najpierw musimy zadbać o nasze kariery. Zasługujesz na to, żeby jak najlepiej wykorzystać swoją szansę.

Tak, powtarzała to sobie później wielokrotnie. Zrobiła to dla swojej

kariery i dla wszystkich wspaniałych szans rozwoju zawodowego, które na nią czekały. Nie zrobiła tego przecież dla niego. Całe szczęście, bo odkąd wyjechał do Nowego Jorku, nie zadzwonił już do niej ani razu.

Bree spojrzała na roztrzaskane jajko. Na górze jego ptasia mama już zniknęła. Czubkiem buta narzuciła na nie trochę suchych liści. Nie wiedziała, co zrobić więcej.

– Przerwa – dobiegł z tyłu głos Jill. – Odpocznijmy przez kilka minut.

– Tutaj? – Alice obróciła się i spojrzała do tyłu. Drzewa nadal rosły gęsto, ale ścieżka zrobiła się szersza i już nie zanikała.

Jill ściągnęła plecak, nie odpowiadając jej. Była czerwona na twarzy, a jej włosy zwisały w strąkach. Sięgnęła po coś do kieszeni, ale zamarła w pół ruchu, jej wzrok zatrzymał się na złamanym pniu drzewa przy ścieżce.

Bez słowa ruszyła ku niemu. W zagłębieniu pnia zebrała się deszczówka. Jill, która kiedyś na oczach Bree odmówiła wypicia ziołowej herbaty, ponieważ za długo się parzyła, nabrała wody w złożone ręce i napiła się łapczywie. Po chwili wyjęła coś z ust i znów nabrała wody w dłoń.

Bree usiłowała przełknąć, ale miała zbyt sucho w ustach, i natychmiast pospieszyła do pnia. Zanurzyła ręce. Pierwsza porcja wody się jej rozlała, ponieważ zderzyła się z Jill. Zaczepnęła wody ponownie i podniosła ją do ust, tym razem szybciej. Deszczówka była stęchła i niezbyt czysta, ale to jej nie zniechęciło. Ktoś odepchnął jej ręce, lecz Bree nie poddawała się tak łatwo. Walczyła o swój przydział wśród głośnych dźwięków mlaskania i przełykania. Trzymała głowę nisko, zdeterminowana wypić jak najwięcej. Zanim się zorientowała, wody już nie było, a jej paznokcie zahaczyły o omszone dno.

Odsunęła się szybko. W ustach miała brud i czuła się wytrącona z równowagi, przekroczywszy granicę, o której istnieniu wcześniej nie wiedziała. Nie była jedyna: jej wstyd i zaskoczenie odbijały się na pozostałych twarzach. Woda przelewała się w jej pustym żołądku i musiała przygryźć usta, żeby jej nie zwrócić.

Jedna po drugiej oddalały się od pnia, unikając kontaktu wzrokowego. Bree usiadła na swoim plecaku i przyglądała się, jak Jill zdejmuje but i skarpetkę. Jej pięta była obtarta do żywego i krwawiła. Obok Lauren po raz tysięczny sprawdzała kompas. Bree miała nadzieję, że coś jej to mówi.

Pstryk zapalniczki i w powietrzu uniósł się nieznaczny zapach papierosa.

– Czy naprawdę musisz to robić teraz? – zapytała Alice.

– Tak. Dlatego to się nazywa uzależnienie. – Beth nie podniosła wzroku, ale Bree poczuła niepokój narastający w grupie.

– To jest po prostu obrzydliwe. Zgaś go.

Bree ledwo czuła zapach dymu.

– Zgaś go – powtórzyła Alice.

Beth tym razem spojrzała na nią i wydmuchnęła okazały obłok dymu, który zawisł w powietrzu wyzywająco. W jednej chwili Alice złapała paczkę papierosów Beth i wyrzuciła ją do buszu.

– Hej! – Beth zerwała się na równe nogi.

Alice również wstała.

– Koniec przerwy. Chodźmy.

Beth zignorowała ją i nie oglądając się za siebie, znikła między drzewami.

– Nie będziemy na ciebie czekać! – zawołała Alice. Nie było odpowiedzi, tylko dźwięk kropel spływających na liście. Znow zaczęło padać. – Na miłość boską, Jill, chodźmy. Ona nas dogoni.

Bree poczuła, jak wzbiera w niej gniew, utemperowany tylko dlatego, że Jill potrząsnęła głową.

– Nikogo nie zostawiamy, Alice – powiedziała tak ostrym tonem, jakiego Bree jeszcze u niej nie słyszała. – Więc lepiej ją znajdź. I przeproś, oczywiście.

– Chyba żartujesz.

– Zdecydowanie nie.

– Ale... – zaczęła Alice, lecz przerwał jej krzyk dochodzący zza gęstej

zasłony roślinności.

– Hej! – Głos Beth był przytłumiony. Musiała być daleko. – Tu coś jest.

Rozdział 14

Kiedy Falk zapukał do drzwi Carmen, poranne niebo było ciemnoszare. Czekala już na niego spakowana. Zanieśli torby na parking, idąc ostrożnie, ponieważ ścieżka po deszczu była śliska.

– Co ci powiedziało biuro? – Falk sięgnął, żeby wyjąć zza wycieraczek zeschnięte liście.

– To co zwykle. – Carmen nie musiała mówić nic więcej, Falk wiedział, że była to niemal taka sama rozmowa, jaką on przeprowadził wcześniej. *Zdobądźcie umowy. Zdobądźcie umowy.* Wrzuciła swoją torbę do bagażnika. – Powiedziałaś Kingowi, że wyjeżdżamy?

Kiwnął głową. Po tym jak wyszedł zeszłej nocy od Carmen, zostawił wiadomość dla sierżanta, który oddzwonił do niego na telefon stacjonarny w pokoju godzinę później. Wymienili się nowinami – była to przygnębiająco krótka rozmowa. Brak postępów zbierał swoje żniwo.

– Straciłeś już nadzieję? – zapytał Falk.

– Jeszcze nie całkiem. Ale to coraz bardziej przypomina poszukiwanie igły w stogu siana.

– Jak długo będziecie szukać?

– Dopóki będzie jakikolwiek sens – odparł King, nie precyzując. – Ale jeśli niczego szybko nie znajdziemy, będziemy musieli zmniejszyć skalę operacji. Zachowaj to jednak dla siebie.

Teraz, w świetle poranka, Falk dostrzegał napięcie malujące się na twarzach poszukiwaczy wsiadających do minibusa. Wrzucił swoją torbę obok torby Carmen i poszli do recepcji.

Za ladą stał inny strażnik i instruował kobietę pochyloną nad starym komputerem do użytku gości.

– Spróbuj ponownie się zalogować – powiedział.

– Już to robiłam. Dwukrotnie! Nie da się.

Była to Lauren. Brzmiała, jakby miała się rozpłakać. Spojrzała na nich, kiedy położyli swoje klucze na ladzie.

– Wymeldowujecie się? Wracacie do Melbourne? – Zerwała się z krzesła.

– Możecie mnie zabrać ze sobą, proszę? Muszę wrócić do domu. Cały ranek szukam jakiejś możliwości wyjazdu stąd.

W surowym świetle poranka jej oczy były zaczerwienione, a skóra pod nimi pokryta zmarszczkami. Falk nie był pewien, czy to z niewyspania czy od płaczu. Może z obu powodów naraz.

– Sierżant King zezwolił ci na wyjazd?

– Tak, powiedział, że mogę wrócić do domu. – Już stała przy drzwiach. – Nie odjeżdżajcie beze mnie. Proszę. Pójdę po plecak. Dajcie mi pięć minut.

Zniknęła, zanim mógł coś odpowiedzieć. Na ladzie leżała sterta świeżo wydrukowanych ulotek. „Zaginęła” – informował napis nad zdjęciem uśmiechniętej Alice Russell. Poniżej umieszczono szczegóły i opis oraz ostatnie zdjęcie poszukiwanej, czyli to, które zrobił Ian Chase w dniu wycieczki.

Falk przyjrzał się mu uważnie. Jill znajdowała się w środku, po jej lewej stały Alice i Lauren. Bree znajdowała się po jej prawej, a Beth stała o pół kroku od całej reszty. Łatwiej było dostrzec szczegóły na ulotce niż na telefonie Chase’a. Każda twarz się uśmiechała, ale w sposób raczej wymuszony. Z westchnięciem złożył ulotkę i włożył ją do kieszeni kurtki.

Carmen użyła radia strażnika, żeby potwierdzić słowa Lauren. Kiedy uzyskała potwierdzenie, Lauren zjawiała się w drzwiach. Miała ze sobą brudny plecak. Do Falka dotarło, że to przecież ten, z którym wyruszyła na feralną wycieczkę.

– Bardzo wam dziękuję – powiedziała, idąc za nimi i wsiadając na tylne siedzenie. Zapięła pas, usiadła prosto i położyła dłonie na kolanach. Falk zrozumiał, jak bardzo zależało jej, żeby wyjechać.

– Wszystko w porządku u ciebie w domu? – zapytał, przekręcając

kluczyk w stacyjce.

– Nie wiem. – Twarz Lauren się zmarszczyła. – Któreś z was ma dzieci?
Oboje pokręcili głowami.

– Nie. No cóż, za każdym razem, kiedy tylko się odwracacie, coś się musi stać – powiedziała, jakby to wszystko wyjaśniało. Falk czekał, ale nie dodała już nic więcej.

Minęli znak informujący o tym, że oficjalnie opuścili teren parku, i wjechali do miasteczka. Falk zauważył znany mu już symbol stacji benzynowej. Sprawdził ilość paliwa i skręcił. Za ladą stał ten sam mężczyzna co ostatnio.

– Czyli jeszcze jej nie znaleźli – powiedział na widok Falka. Nie było to pytanie.

– Jeszcze nie. – Falk przyjrzał się mu uważnie po raz pierwszy. Czapka skrywała jego włosy, ale brwi i zarost były ciemne.

– Nie znaleźli żadnej jej rzeczy? Jej schronienia? Plecaka? – dopytywał i Falk pokręcił głową. – To pewnie lepiej – mówił dalej. – Jak znajdują plecak lub schronienie, następne może być już tylko ciało. Zawsze tak jest. Nie da się tam przetrwać bez sprzętu. Chociaż pewnie i tak jej już nie znajdą. Nie, jeśli do tej pory nie trafili na żaden ślad.

– Obyś się mylił – odparł Falk.

– Nie myślę się. – Sprzedawca wyjrzał na zewnątrz. Carmen i Lauren wysiadły z samochodu i stały na zimnym powietrzu ze skrzyżowanymi na piersiach rękoma. – Zamierzasz tutaj wrócić?

– Nie wiem – odparł Falk. – Jeśli ją znajdą, to może tak.

– W takim razie mam nadzieję, że wkrótce znów się zobaczymy.

Jego słowa zabrzmiały grobowo.

Falk wrócił do samochodu. Park i miasteczko były już jakieś dziesięć kilometrów za nimi, kiedy uświadomił sobie, że znacznie przekracza dopuszczalną prędkość. Ani Carmen, ani Lauren nie miały mu tego za złe.

Kiedy wzgórze zaczęły nikać na horyzoncie, Lauren poprawiła się na

siedzeniu.

– Wszystko wskazuje na to, że policja uważa, że chata, którą znalazłyśmy, była używana przez Martina Kovaca – powiedziała. – Wiecie o tym?

Falk spojrział na nią w lusterku. Patrzyła przez okno, obgryzając paznokiec kciuka.

– Kto ci to powiedział?

– Jill. Dowiedziała się od któregoś z poszukiwaczy.

– Wydaje mi się, że na tym etapie to tylko podejrzenie. Nic pewnego.

Lauren skrzywiła się i wyjęła palec z ust. Leciała z niego krew. Spojrzała na niego i zaczęła płakać.

Carmen obróciła się, żeby podać jej chusteczkę.

– Chcesz, żebyśmy się zatrzymali? Potrzebujesz przerwy, żeby odetchnąć?

Falk zjechał na pobocze. Droga w obu kierunkach była pusta. Lasy ustąpiły miejsca gruntom rolnym i Falkowi przypomniała się ich podróż do Giralang Ranges. To było zaledwie dwa dni temu, ale wydawało się, że minęło znacznie więcej czasu. Jutro minie tydzień, odkąd Alice wraz z koleżankami ruszyły na wyprawę. *Dopóki będzie jakikolwiek sens.*

Falk wysiadł i wyjął z bagażnika butelkę wody dla Lauren. Stali w trójkę przy drodze, a ona upiła łyk.

– Przepraszam. – Lauren oblizwała blade i spierzchnięte usta. – Jest mi źle, że ja mogę wrócić, a Alice cały czas gdzieś tam jest.

– Dadzą ci znać, jeśli będzie coś, co możesz zrobić – zapewnił ją Falk.

– Wiem. I wiem też... – Uśmiechnęła się hardo. – Wiem też, że na moim miejscu Alice zrobiłaby dokładnie to samo. Ale to nic nie ułatwia. – Upiła kolejny łyk, ręce już jej się tak nie trzęsły. – Zadzwoił do mnie mój mąż. Szkoła naszej córki zawiadamia rodziców. Jakies zdjęcia uczennic wyciekły do internetu. Jednoznaczne zdjęcia, cokolwiek to oznacza.

– Czy sprawa dotyczy też twojej córki? – zapytała Carmen.

– Nie. Rebecca nie zrobiłaby nic takiego. Ale... Przepraszam, dziękuję. – Lauren wzięła świeżą chusteczkę, podaną jej przez Carmen, żeby wytarła sobie oczy. – Ale w zeszłym roku miała trochę podobnych problemów. Na szczęście zdjęcia nie były tego rodzaju: dziewczyny w szkole prześladowały ją, robiąc jej zdjęcia, kiedy się przebierała lub jadła lunch. Głupoty. Ale wysyłały je sobie na telefony i publikowały w mediach społecznościowych, zachęcając uczniów z męskiej szkoły do komentowania. Rebecca... – Lauren urwała. – Bardzo to przeżyła.

– Przykro mi to słyszeć – powiedziała Carmen.

– Byliśmy zdruzgotani, zwłaszcza gdy braliśmy pod uwagę wysokość chesnego. Szkoła napisała do nas, że ukarała dziewczyny, które były odpowiedzialne za tę sytuację, i urządziła pogadankę o szacunku. – Lauren otarła oczy po raz ostatni. – Przepraszam. Kiedy słyszę takie wiadomości, przykre wspomnienia wracają.

– Dziewczyny potrafią być naprawdę wredne w tym wieku – zauważyła Carmen. – Dobrze pamiętam. A w szkole zawsze było ciężko, nawet w czasach przed internetem.

– Teraz dzieciaki żyją w zupełnie innym świecie – odparła Lauren. – Nie wiem, co mam zrobić. Skasować jej konta? Zabrać telefon? Ona patrzy na mnie w taki sposób, jakbym żądała, żeby odcięła sobie rękę. – Wypiła wodę do końca i uśmiechnęła się słabo. – Przepraszam. Ja po prostu naprawdę chcę już wrócić do domu.

Wsiadli z powrotem do samochodu. Lauren oparła głowę o okno, kiedy Falk ruszał. Po jakimś czasie jej oddech się wyrównał – zasnęła. Patrząc na nią w lusterku, Falk pomyślał, że wygląda, jakby busz wyssał z niej całe życie.

Falk i Carmen prowadzili i odpoczywali na zmianę. Im dalej jechali, tym krople deszczu na szybie stawały się rzadsze i lżejsze. Razem z buszem pożegnali złą pogodę. Radio trzeszczało delikatnie, odbierając coraz więcej stacji.

– Alleluja! – wykrzyknęła Carmen, kiedy jej telefon zawibrował. – Mamy zasięg.

Pochyliła się nad ekranem, żeby przejrzeć wiadomości.

– Jamie nie może się ciebie doczekać? – zapytał Falk i natychmiast sam się zdziwił, dlaczego go to interesuje.

– Wyjechał na kurs na kilka dni. – Nieświadomie dotknęła palcem swojego pierścionka zaręczynowego, a Falk wrócił myślą do poprzedniego wieczoru. Jej długie nogi na łóżku obok niego. Odkasznął i spojrzał w lusterko. Lauren nadal spała, pionowa zmarszczka niepokoju wciąż była widoczna między jej oczami.

– Wygląda na to, że powrót dobrze jej zrobi – powiedział.

– Tak. – Carmen obróciła się na siedzeniu, żeby na nią spojrzeć. – Po tym wszystkim, przez co przeszła.

– Byłaś kiedykolwiek na wyjeździe integracyjnym?

– Nie, dzięki Bogu. A ty?

Potrząsnął głową.

– Nie, to chyba charakterystyczne dla firm prywatnego sektora.

– Jamie za to był na kilku.

– Z tej firmy produkującej napoje izotoniczne?

– To w pełni zintegrowana firma lifestyle’owa, ale dzięki. – Carmen się uśmiechała. – Tak, oni bardzo sobie cenią tego typu inicjatywy.

– Jamie był kiedyś na podobnej wyprawie?

– Nie wydaje mi się. Oni głównie zacieśniają więzi poprzez uprawianie sportów. Chociaż kiedyś jego grupa miała za zadanie położyć flizy w łazience w opuszczonym magazynie.

– Naprawdę? – Falk się roześmiał. – A mieli o tym jakiegokolwiek pojęcie?

– Raczej nie. Byli przekonani, że następnego dnia kolejna grupa dostała za zadanie demontaż kafelków. Czyli chyba poszło im tak, jak możesz sobie wyobrazić. Jamie do tej pory nie odzywa się do jednego z tych gości.

Uśmiechnął się, nie spuszczając wzroku z drogi.

– A jak przygotowania do ślubu?

– W zasadzie jesteśmy już gotowi. Choć ten dzień zbliża się coraz szybciej. Mamy już księdza, a Jamie wie, kiedy i gdzie ma się zjawić, więc damy radę. – Spojrzała na niego. – Hej, ty też powinieneś przyjść.

– Co? Nie. Nie próbowałem się wprosić. – Naprawdę. Nawet nie pamiętałem, kiedy ostatnio był na jakimś ślubie.

– Wiem. Ale powinieneś przyjść. Będzie fajnie. I dobrze ci to zrobi. Mam kilka wolnych przyjaciółek.

– To w Sydney!

– Zaledwie godzinę lotu samolotem.

– Poza tym to już za trzy tygodnie. Czy to nie za późno na zmiany w układzie gości przy stole?

– Przecież poznałeś mojego narzeczonego. Na zaproszeniach dla jego rodziny musiałam dosłownie zabronić przyjścia w dżinsach. Czy wydaje ci się, że mam jakiś plan rozmieszczenia gości? – Zdławiła ziewnięcie. – Tak czy siak, zastanów się, jesteś zaproszony.

Falk spojrział w lusterko, ponieważ Lauren się obudziła i rozglądała się szeroko otwartymi ze zdziwienia oczami, jakby nie wiedziała gdzie jest. Wydawała się zaskoczona mijającymi ich samochodami. Falk nie dziwił się jej – spędził znacznie mniej czasu w buszu niż ona, a sam był dość skołowany. Zamienili się z Carmen za kierownicą i oboje siedzieli pogrążeni we własnych myślach.

Miasto było coraz bliżej, a radio grało w tle. O pełnej godzinie nadawano wiadomości. Falk pogłośnił, ale natychmiast tego pożałował.

To była wiadomość dnia. Policja bada potencjalny związek między niesławnym Martinem Kovakiem a chatą, w której zaginiona Alice Russell była widziana po raz ostatni.

Falk nie był zaskoczony, że te szczegóły przeciekły do mediów. Przy takiej liczbie poszukiwaczy była to tylko kwestia czasu. Obrócił się, żeby spojrzeć na Lauren. Wyglądała na przerażoną.

– Chcesz, żebym wyłączył radio?

Potrząsnęła głową i wszyscy słuchali, jak spiker przypomina szczegóły wydarzeń, które wstrząsnęły opinią publiczną dwadzieścia lat wcześniej. Trzy ofiary, czwarta nigdy nieodnaleziona. Następnie wypowiedział się sierżant King, podkreślając, że zbrodnie Kovaca to stara i zamknięta sprawa. Zapewnił, że policja dokłada wszelkich starań, ponowił prośbę, żeby wszystkie osoby, które wiedzą o lokalizacji chaty, zgłosiły się na policję.

Falk wymienił spojrzenia z Carmen. Nie było mowy o synu Kovaca. Wyglądało na to, że tę kwestię udało się sierżantowi Kingowi zachować w tajemnicy.

Lauren pokierowała ich na jedno z bardziej zielonych przedmieść, które agenci nieruchomości określali jako „z ambicjami”. Carmen zatrzymała się przed domem, który z pewnością był zadbany, ale najwyraźniej od niedawna w mniejszym niż zazwyczaj stopniu. Trawnik przed drzwiami nie był skoszony i nikomu nie chciało się usunąć graffiti szpecącego ogrodzenie.

– Jeszcze raz dziękuję – powiedziała Lauren, odpinając pas; na jej twarzy malowała się widoczna ulga. – Ktoś mnie natychmiast powiadomi, jak będą jakieś wieści o Alice, prawda?

– Oczywiście – zapewnił Falk. – Mam nadzieję, że z twoją córką wszystko w porządku.

– Ja też. – W jej głosie pobrzmiwała niepewność. Patrzyli, jak zabiera torbę z bagażnika i znika we wnętrzu domu.

Carmen obróciła się do Falka.

– I co teraz? Poinformujemy Daniela Baileya, że do niego jedziemy, czy zrobimy mu niespodziankę?

Falk zastanowił się przez chwilę.

– Uprzedźmy go. Z pewnością będzie chciał wszystkim pokazać, że pomaga w poszukiwaniach.

Carmen zadzwoniła do BaileyTennants. Po krótkiej rozmowie rozłączyła się, marszcząc brew.

– Nie ma go w pracy.

– Naprawdę?

– Jego sekretarka była nieprzejednana. Jest na kilkudniowym zwolnieniu.

Z powodów osobistych.

– Podczas gdy jedna z jego pracownic zaginęła?

– Jill powiedziała nam, że wyjechał z powodów rodzinnych, prawda?

– Wiem, ale jej nie uwierzyłem – odparł. – Pojedziemy do niego do domu?

Carmen włączyła silnik, ale nagle zamyśliła się.

– Wiesz, stąd nie jest daleko do domu Alice. Może będziemy mieć szczęście i trafimy na pomocnego sąsiada z zapasowym kluczem?

– A na kuchennym blacie będą na nas czekały świeżutkie kopie potrzebnych nam dokumentów?

– Byłoby idealnie.

Zdobądźcie umowy. Zdobądźcie umowy.

Uśmiech Falka zbladł.

– No dobra, spróbujmy.

Dwadzieścia minut później Carmen skręciła w zieloną ulicę i zwolniła. Nigdy nie odwiedzali Alice Russell w domu i Falk przyglądał się okolicy z zainteresowaniem. Była obrazem luksusowej ciszy i spokoju. Chodniki i ogrodzenia były idealnie czyste, a kilka samochodów zaparkowanych przy ulicy wręcz lśniło. Falk podejrzewał, że większość pojazdów znajdowała się w zamkniętych garażach. Elegancko przycięte drzewka na przystrzyżonym trawniku wyglądały jak plastikowe modele w porównaniu z bujną roślinnością buszu.

Carmen jechała powoli, odczytując numery na skrzynkach pocztowych.

– Chryste, dlaczego ci ludzie nie mogą wyraźnie ponumerować swoich domów?

– Nie wiem. Może żeby opędzić się od hołoty? – Jakiś ruch przed nimi zwrócił jego uwagę. – Hej, zobacz!

Wskazał na duży pomalowany na beżowo dom na końcu ulicy. Carmen spojrzała w tamtą stronę i oczy otwarły się jej szerzej ze zdziwienia. Postać z opuszczoną głową szła po podjeździe do samochodu. Ruch nadgarstka i zaparkowane przy ulicy czarne bmw wydało cichy dźwięk odblokowywanych drzwi. Daniel Bailey.

– Chyba żartujesz – powiedziała Carmen. Daniel miał na sobie dzinsy i niewłożoną do spodni koszulę. Wsiadając do samochodu, przeczesał dłonią włosy. Kiedy zajechali pod dom, zniknął im z pola widzenia. – Nie czuję się na siłach, żeby za nim jechać – dodała. Falk potrząsnął głową.

– Ja też nie. Nie wiem, co tutaj robił, ale nic nie wskazywało na to, żeby uciekał.

– Przynajmniej znaleźliśmy dom Alice.

Zgasiła silnik i wyszła z samochodu. Falk zwrócił uwagę, że miejskie powietrze miało jakąś powłokę, która pokrywała jego płuca z każdym oddechem. Stał na chodniku – cement był dziwnie twardy pod jego stopami – i spojrzał na dwupiętrowy dom. Trawnik przed nim był duży i starannie przycięty, a drzwi frontowe pomalowano błyszczącą granatową farbą. Gruba wycieraczka leżąca przed nimi głosiła, że goście są mile widziani.

Falk czuł zapach przekwitających ciemierników w powietrzu i słyszał w oddali ruch uliczny. Na drugim piętrze domu Alice Russell przez pozbawione smug okno widział pięć palców przytkniętych do szyby. Blond włosy i twarz z otwartymi ustami.

Dzień 3: Sobota po południu

– Coś tam jest.

Głos Beth był przytłumiony. Chwilę później rozległ się trzask i szelest

i wyszła zza krzaków.

– Tam. Tam jest schronienie.

Jill spojrzała w stronę, którą wskazywała Beth, ale roślinność po obu stronach ścieżki była zbyt gęsta, żeby mogła cokolwiek dostrzec.

– Jakie schronienie? – Jill wyciągnęła szyję i zrobiła krok do przodu, przy czym jej ranna pięta natychmiast zaprotestowała.

– Jakaś chata lub coś w tym stylu. Chodźcie i zobaczcie.

Beth zniknęła ponownie. Deszcz się nasilał. Bree podążyła bez ostrzeżenia za swoją siostrą.

– Zaczekajcie! – krzyknęła Jill, ale było już za późno. Bliźniaczki zniknęły z pola widzenia. Odwróciła się do Alice i Lauren, mówiąc: – Chodźcie, musimy trzymać się razem.

Zeszła ze ścieżki, zanim ktokolwiek zdołał ją powstrzymać. Gałęzie czepiały się jej ubrania i musiała wysoko podnosić nogi. Jedyne, co widziała, to plamy kolorów kurtek bliźniaczek, które pojawiały się i znikwały. W końcu stanęły. Jill doszła do nich, ciężko oddychając.

Na niewielkiej polance stała równie mała chatka, jej kąty proste odcinały się zdecydowanie od krętych linii dominujących w buszu. W gnijących framugach okiennych brakowało szyb, a drzwi stały otworem. Jill spojrzała w górę. Może i te ściany były krzywe, ale przynajmniej wieńczył je dach.

Beth podeszła bliżej i zajrzała przez okno do środka.

– Nikogo nie ma – rzuciła przez ramię. – Wchodzę do środka.

Pchnęła drzwi i znikła w ciemnościach. Zanim Jill zdążyła zaprotestować, Bree poszła w ślad za siostrą.

Jill stała sama, w uszach słyszała tylko swój głośny oddech. Nagle twarz Beth wyjrzała przez okno.

– Tu jest sucho – zawołała. – Sama zobacz.

Jill ruszyła przez wysoką trawę do chaty. Przy drzwiach poczuła ukłucie niepokoju, a raczej ogromną potrzebę, żeby obrócić się na pięcie i uciec jak najdalej stąd, ale nie miała innego wyjścia. Tylko busz i busz. Wzięła

głęboki oddech i weszła do środka.

Wewnątrz było ciemno i musiała minąć chwila, zanim wzrok Jill się przyzwyczał. Nad sobą słyszała ciche stukanie – dach spełniał swoją funkcję. Zrobiła kolejny krok, czując, jak deski podłogi skrzypią i się uginają. W drzwiach stanęła Lauren, strzepując z kurtki krople deszczu. Za nią stała Alice i przyglądała się bez słowa.

Jill rozejrzała się po izbie. Miała dziwny kształt i była zupełnie pusta, nie licząc koślawego stołu stojącego pod jedną ze ścian. W kątach było białe od pajęczyn, a w niewielkiej dziurze w deskach podłogi jakieś stworzonko zbudowało sobie gniazdo z gałązek i liści. Na stole stał samotny metalowy kubek. Podniosła go, zwracając uwagę na idealne kółko, które zostawił na zakurzonym i brudnym stole.

Pokój był przedzielony konstrukcją z taniej dykty. Bliźniaczki już tam weszły i w ciszy się czemuś przyglądały. Jill poszła za nimi, czego natychmiast pożałowała.

Materac stał oparty o ścianę. Jego materiał był pokryty zielonkawą pleśnią, oprócz samego środka, gdzie jego kwiatowy wzór całkowicie zasłaniała duża ciemna plama. Nie można było stwierdzić, jakiego koloru była początkowo.

– To mi się nie podoba – powiedziała Alice, stając za Jill, która aż podskoczyła ze strachu. – Powinniśmy iść dalej.

Bliźniaczki obróciły się, wyraz ich twarzy był enigmatyczny. Jill zobaczyła, że obie się trzęsą, i dotarło do niej, że z nią dzieje się to samo. Teraz już nie mogła tego powstrzymać.

– Poczekaj – powiedziała Beth, obejmując się rękoma. – Powinniśmy to przynajmniej przemyśleć. Tu jest sucho i odrobinę cieplej niż na zewnątrz. I pewnie jest to bezpieczniejszy wariant niż błąkanie się w buszu przez całą noc.

– Naprawdę? – rzuciła Alice, wskazując materac.

– Oczywiście. Ludzie umierają z wychłodzenia, Alice – odcięła się Beth.

– Nie mamy namiotów, nie mamy jedzenia. Musimy gdzieś się schronić. Nie spisuj tego miejsca na straty tylko dlatego, że to ja je znalazłam.

– Spisuję je na straty, ponieważ jest przerażające.

Obie zwróciły się do Jill, która poczuła, jak zalewa ją fala ogromnego zmęczenia.

– No dalej, Jill – odezwała się Alice. – Nic nie wiemy o tym miejscu. Każdy może mieć tutaj bazę, nie mamy pojęcia, kto o nim wie...

Jill poczuła kurz między palcami.

– Nie wygląda na używane – powiedziała. Celowo unikała patrzenia na materac.

– Ale nikt nie wie, że tu jesteśmy – odparła Alice. – Musimy wrócić.

– Jak?

– Znajdując drogę! Idąc na północ, tak jak to ustaliłyśmy. Nie możemy zostać tu na zawsze.

– Nie zostaniemy. Tylko dopóki...

– Dopóki co? Mogą minąć tygodnie, zanim ktoś nas tutaj znajdzie. Musimy przynajmniej spróbować wrócić.

Ramiona Jill bolały tam, gdzie wbijały się w nie szelki plecaka. Każda z wielu warstw ubrań, które miała na sobie, była przemoczona. Stan jej pięty był bardzo zły. Słuchała dudnienia deszczu o dach i wiedziała, że nie jest w stanie dłużej moknąć.

– Beth ma rację. Powinnyśmy tutaj zostać.

– Naprawdę? – Alice ze zdziwienia otworzyła usta.

Beth nie kryła tryumfu na swojej twarzy.

– Słyszałaś.

– Nikt cię nie pyta, do cholery. – Alice zwróciła się do Lauren. – Pomóż mi. Wiesz, że jesteśmy w stanie się stąd wydostać.

Lauren dotknęła czoła. Brudny plaster znów się odklejał.

– Też myślę, że powinnyśmy zostać. Przynajmniej na tę noc.

Alice zwróciła się bez słowa do Bree, która zawahała się, lecz po chwili

skinęła głową z oczami wbitymi w ziemię.

Alice prychnęła, nie dowierzając.

– Chryste. – Potrząsnęła głową. – Dobra, zostanę.

– Świetnie. – Jill zdjęła plecak z ramion.

– Ale tylko dopóki pada. Później się stąd wynoszę.

– Na litość boską! – Mimo chłodu Jill poczuła gorący przypływ złości od obolałych ramion do obtartej pięty. – Dlaczego musisz być taka trudna? Już to przerabialiśmy. Nikt nie odłącza się od grupy. Zostaniesz tu, dopóki wszystkie nie zdecydujemy się ruszyć dalej. Jesteśmy w tym razem.

Alice spojrzała na drzwi chaty wiszące na wypaczonych zawiasach i na prostokąt zimowego światła, które przez nie wpadało. Nabrała powietrza, chcąc coś powiedzieć, ale się rozmyśliła.

– Zgoda? – dopytywała się Jill. W jej głowie zaczynał pulsować ból.

Alice nieznacznie wzruszyła ramionami. Nic nie powiedziała, ale nie musiała. Gest był czytelny. Nie powstrzymasz mnie.

Jill spojrzała na Alice, na otwarte drzwi i na busz i zastanawiała się, czy to prawda.

Rozdział 15

Falk pukał do granatowych drzwi Alice Russell, nasłuchując, jak dźwięk niesie się echem po domu. Czekali. Po drugiej stronie panowała cisza, ale nie pustka. Falk przyłapał się na tym, że wstrzymał oddech.

Twarz zniknęła z okna w momencie, kiedy ją zobaczył. Szturchnął Carmen, ale gdy ona podniosła wzrok, nikogo już tam nie było. Twarz, wyjaśnił jej. Kobiety.

Znów zastukał i Carmen przekrzywiła głowę, wyteżając słuch.

– Słyszałeś? – wyszeptała. – Chyba masz rację. Ktoś tam jest. Zostanę tutaj, a ty sprawdź, czy możemy dostać się od tyłu.

– Zgoda.

Z boku domu Falk natrafił na wysoką bramę, więc podsunął sobie stojący obok śmietnik i – ciesząc się, że nadal jest ubrany na sportowo – wspiął się na niego, po czym przeskoczył na drugą stronę. Słyszał, jak Carmen ponownie puka do drzwi, a sam szedł ścieżką przez obszerny ogród, w którym znajdował się drewniany taras i basen z wodą o tak niebieskim kolorze, jakiego nie spotyka się w naturze. Bluszcz porastający ściany dawał wrażenie ustronności.

Tył domu składał się niemal wyłącznie z okien, za którymi znajdowała się przestronna kuchnia. Wypolerowane szyby tak bardzo odbijały otoczenie, że niemal nie zauważył znajdującej się w środku jasnowłosej kobiety. Stała w drzwiach bez ruchu, plecami zwrócona do niego. Falk usłyszał, jak Carmen ponowiła pukanie, i ujrzał, że kobieta aż podskoczyła na ten dźwięk. W tym samym momencie musiała wyczuć ruch za sobą, ponieważ odwróciła się i krzyknęła na jego widok. Jej twarz wyrażała całkowite zaskoczenie.

Alice.

Przez ułamek sekundy Falk czuł euforyczną ulgę. Przez sekundę adrenalina pulsowała w jego ciele, po czym zadając mu niemal fizyczny ból, zniknęła. Zamrugał, a jego umysł przepracowywał to, co widziały oczy.

Twarz wyglądała znajomo, ale nie należała do kobiety, którą znał. Uświadomił sobie z jękiem, że „kobieta” to nie było nawet właściwe słowo. W kuchni stała dziewczyna patrząca na niego z lękiem w oczach. To nie była Alice. Prawie, ale jednak nie.

Falk wyjął legitymację, zanim córka Alice znów zdążyła krzyknąć. Wyciągnął ją do niej, nie ruszając się z miejsca.

– Policja. Nie bój się – zawołał. Próbował przypomnieć sobie jej imię. – Margot? Pomagamy w poszukiwaniach twojej mamy.

Margot Russell zrobiła pół kroku w kierunku okna. Kiedy przyglądała się odznace, widać było, że jej oczy są podkrążone od płaczu.

– Czego chcecie? – Jej głos, choć drżący, zrobił na Falku dziwne wrażenie, tak bardzo podobny był do głosu jej matki.

– Możemy z tobą porozmawiać? – zapytał. – Do drzwi frontowych puka moja koleżanka. Może najpierw ją wpuścisz?

Margot zawahała się i ponownie spojrzała na odznakę, następnie skinęła głową i zniknęła. Falk czekał. Po chwili dziewczyna wróciła, już z Carmen. Margot otworzyła drzwi i wpuściła go do środka. Wchodząc, przyjrzał się jej dokładnie. Podobnie jak Alice była niemal piękna, ale ostrość jej rysów sprawiała, że to nie było właściwe określenie. Może raczej: uderzająca. Wiedział, że ma szesnaście lat, ale w dzinsach, skarpetkach i bez makijażu wyglądała nawet młodziej.

– Myślałem, że jesteś u swojego taty – powiedział.

Margot nieznacznie wzruszyła ramionami, patrząc w podłogę.

– Chciałam wrócić do domu. – W rękę trzymała telefon komórkowy i obracała go jak koraliki antystresowe.

– Od jak dawna tutaj jesteś?

– Od rana.

– Nie możesz być tutaj sama – zauważył Falk. – Czy twój tata o tym wie?
– Jest w pracy. – Łzy stanęły jej w oczach, ale nie popłynęły. –
Znaleźliście moją mamę?

– Nie. Ale szukamy jej z całych sił.

– Szukajcie lepiej. – Głos jej się załamał, więc Carmen posadziła ją na krześle.

– Gdzie są szklanki? Naleję ci trochę wody.

Margot wskazała jej szafkę, nie przestając bawić się telefonem.

Falk usiadł naprzeciwko niej.

– Margot, znasz tego mężczyznę, który był tu przed nami? – zapytał.

– Daniela? Oczywiście. – W jej głosie pobrzmiwało napięcie. – To tata Joela.

– Kim jest Joel?

– Moim byłym chłopakiem. – Położyła nacisk na słowo „byłym”.

– Rozmawiałaś teraz z Danielem Baileyem? Powiedział, dlaczego tu przyjechał?

– Nie. Nie chcę mieć z nim nic do czynienia. Wiem, czego chciał.

– Czyli czego?

– Szuka Joela.

– Jesteś pewna? – zapytał. – Nie przyjechał tu w sprawie twojej mamy?

– Mamy? – Spojrzała na niego jak na idiotę. – Mamy tu nie ma. Zaginęła.

– Wiem o tym, ale skąd możesz być pewna, po co Daniel Bailey tutaj przyjechał?

– Skąd mogę być pewna? – Margot zaśmiała się dziwnie. – Z powodu tego, co zrobił Joel. Miał pełne ręce roboty w internecie. – Ścisnęła telefon tak mocno, że skóra na jej palcach zbielała. Wzięła głęboki oddech, a następnie podała telefon Falkowi, żeby zobaczył. – Myślę, że może pan to obejrzeć. Wszyscy i tak już to widzieli.

Margot na ekranie wyglądała na starszą. Miała makijaż, a jej włosy były rozpuszczone i lśniące. Była bez dzinsów. Zdjęcia były zdumiewająco

wyraźne jak na tak słabe oświetlenie. Szkoła miała rację, pomyślał Falk. Fotografie były zdecydowanie jednoznaczne.

Margot patrzyła na ekran, jej oczy były czerwone, podobnie jak jej twarz.

– Jak długo te zdjęcia są online? – zapytał Falk.

– Wydaje mi się, że od wczorajszego popołudnia. Są też dwa filmiki.

Mają już ponad tysiąc wyświetleń.

Carmen postawiła przed Margot szklanę wody.

– Sądziś, że to Joel Bailey je opublikował?

– Tylko on je ma. A przynajmniej miał.

– Czy to on jest z tobą na tych zdjęciach?

– Uważa, że są zabawne. Ale przysiągł mi, że je skasował. Zmusiłam go, żeby pokazał mi na dowód swój telefon. Sama nie wiem, musiał je gdzieś zapisać. – Zaczęła mówić chaotycznie. – Zrobiliśmy je w zeszłym roku, zanim zerwaliśmy. Tylko dla zabawy. Taki przynajmniej był zamiar. Po naszym rozstaniu długo się do siebie nie odzywaliśmy, ale w zeszłym tygodniu Joel do mnie napisał. Chciał, żebym wysłała mu więcej zdjęć.

– Powiedziałaś o tym komuś? Na przykład swojej mamie? – dopytywał Falk.

– Nie. – Margot patrzyła na niego z niedowierzaniem. – Nie jestem głupia. Napisałam Joelowi, żeby spadał. Ale on pisał do mnie nadal. Że powinnam mu przysłać nowe zdjęcia, bo inaczej pokaże swoim kolegom te stare. Powiedziałam mu, że jest obrzydliwym kłamcą. – Potrząsnęła głową. – Zapewniał mnie przecież, że je skasował.

Podniosła rękę do twarzy, a z jej oczu w końcu trysnęły łzy. Nie mogła mówić przez dłuższą chwilę.

– Ale kłamał. – Trudno było zrozumieć jej słowa. – A teraz one są w internecie i wszyscy je widzieli.

Płakała, zakrywając twarz, a Carmen poklepywała ją po plecach. Falk sprawdził adres internetowy na jej telefonie i wysłał szczegóły koledze z oddziału do spraw cyberprzemocy.

Opublikowane bez zgody. Lat szesnaście. Postaraj się Re: usuń.

Nie miał zbyt wiele nadziei. Pewnie będą w stanie usunąć zdjęcia z pierwotnej strony, ale nie rozwiąże to kwestii udostępnień. Szukaj wiatru w polu.

Po dłuższej chwili Margot wytarła oczy i wyszeptwała:

– Bardzo chcę porozmawiać z moją mamą.

– Wiem – odparł Falk. – Trwają poszukiwania, ale, Margot, nie możesz zostać tutaj sama. Musimy zadzwonić do twojego taty, żeby po ciebie przyjechał.

Pokręciła głową.

– Nie, proszę, nie dzwońcie do taty.

– Musimy.

– Proszę. Nie chcę go widzieć. Nie mogę zostać dziś u niego na noc.

– Margot...

– Nie.

– Dlaczego?

Dziewczyna wyciągnęła dłoń i ku zdziwieniu Falka chwyciła go za nadgarstek. Spojrzała mu w oczy i powiedziała przez zaciśnięte zęby:

– Proszę mnie posłuchać. Nie mogę pojechać do taty, bo nie mogę spojrzeć mu w twarz. Rozumie pan?

W ciszy słychać było jedynie tykanie kuchennego zegara. *Wszyscy je widzieli.*

Falk pokiwał głową.

– Rozumiem.

Obiecali, że znajdą jej inny nocleg, zanim zgodziła się spakować kilka najpotrzebniejszych rzeczy.

– Gdzie mogę pojechać? – zapytała i było to dobre pytanie. Pokręciła tylko głową, kiedy poprosili ją o wskazanie krewnych lub przyjaciół, u których mogłaby się zatrzymać. – Nie chcę nikogo widzieć.

– Moglibyśmy pewnie znaleźć jakąś opiekę zastępczą – powiedział Falk

ściszym głosem. – Stali w przedpokoju, Margot pakowała się na górze, a jej płacz wypełniał cały dom. – Ale nie wydaje mi się, żeby oddawanie jej w takim stanie w ręce kogoś obcego było dobrym pomysłem.

Carmen trzymała w ręku telefon. Próbowwała dodzwonić się do ojca Margot.

– A może Lauren? – powiedziała w końcu. – Tak mi przyszło do głowy. To tylko jedna noc. Ona przynajmniej jest wtajemniczona w tę sytuację ze zdjęciami.

– No może.

– Okej. – Carmen spojrzała na schody. – Ty zadzwoń do Lauren, a ja zapytam z Margot, gdzie jej mama trzyma ważne dokumenty.

– Teraz?

– Tak, teraz. To może być nasza jedyna szansa.

Zdobądźcie umowy. Zdobądźcie umowy.

– Jasne, zgoda.

Carmen zniknęła na piętrze, a Falk wyjął telefon i z powrotem poszedł do kuchni. Za dużymi oknami już zaczął zapadać zmierzch. Na gładkiej powierzchni basenu odbijały się chmury.

Oparł się o blat kuchenny i patrząc na tablicę korkową, czekał, aż Lauren odbierze. Na tablicy znajdował się numer telefonu złotej rączki oraz przepis zapisany ręką Alice na coś, co nazywało się „kulki mocy z komosy ryżowej”. Wisiało tam również nadal zaproszenie na wieczór rozdania nagród Endeavour Ladies' College, który odbył się w zeszłą niedzielę, czyli tego samego dnia, gdy Alice została uznana za zaginioną. Rachunek za buty. Ulotka Executive Adventures z zapisaną na górze datą wyprawy.

Falk nachylił się bliżej. Na pierwszej stronie ulotki dojrzał Iana Chase'a w tylnym rzędzie grupowego zdjęcia pracowników. Odwracał się od obiektywu, częściowo zasłaniany przez kolegę po prawej. Podczas gdy wciąż próbował się połączyć z Lauren, jego wzrok przesunął się na oprawione kolaże ze zdjęć wiszące na kuchennych ścianach. Na wszystkich

zdjęciach była Alice z córką – razem lub osobno. Wiele ujęć stanowiło swoje lustrzane odbicia: Alice i Margot jako niemowlęta, podczas pierwszego dnia w szkole, na tańcach lub w bikini nad basenem.

W końcu Falk usłyszał dźwięk poczty głosowej. Zaklął pod nosem i zostawił wiadomość z prośbą, aby Lauren oddzwoniła do niego jak najszybciej.

Rozłączył się i pochylił z uwagą nad najbliższym kolażem. Jego wzrok przyciągnęło szczególnie jedno wyblakłe zdjęcie. Zostało wykonane na świeżym powietrzu, w otoczeniu przypominającym Giralang Ranges. Alice ubrana w szorty i podkoszulek z logo Endeavour Ladies' College stała nad rwącą rzeką z uniesioną głową i wiosłem w ręce. Za nią grupa zmokniętych i zaczerwienionych dziewczyn kucała przy kajaku. Falk spojrzał na dziewczynę stojącą na końcu i wydał pomruk zdziwienia. To była Lauren. Mimo że jej dzisiaj wychudzona twarz skrywała się pod warstwą dziecięcego tłuszczu, podobnie jak Alice była łatwo rozpoznawalna. To zdjęcie musiało mieć ze trzydzieści lat. Ciekawe, jak obie niewiele się od tego czasu zmieniły.

Telefon rozdzwonił się w jego dłoni, wyrrywając go z zamyślenia. Spojrzał na ekran – Lauren – i zmusił się do powrotu do tu i teraz.

– Czy coś się stało? – zapytała natychmiast, jak tylko odebrał. – Znaleźli ją?

– Nie, cholera, przepraszam. Nie chodzi o Alice – odparł Falk, ganiąc się w duchu. Powinien był to wyraźnie zaznaczyć w wiadomości. – Mamy problem z jej córką. Musimy znaleźć jej miejsce do spania na dzisiaj – powiedział i w skrócie wyjaśnił jej sytuację.

Nastąpiła tak długa cisza, że Falk myślał, że ich rozłączyło. Zdawał sobie sprawę, że dynamika relacji szkolnych jest mu obca, ale mimo to zachodził w głowę, na jak wiele są w stanie zdobyć się matki pozostałych uczennic, aby odizolować je od Margot.

– Nie radzi sobie najlepiej w tej sytuacji – powiedział w końcu. –

Zwłaszcza że nie ma przy niej mamy.

Znów milczenie, tym razem krótsze.

– Lepiej ją do mnie przywieźcie – poleciła. – Jezu, te dziewczyny, przysięgam, kiedyś zagryzą się nawzajem.

– Dziękuję – odparł Falk, rozłączył się i poszedł do przedpokoju. Naprzeciwko schodów znajdowały się drzwi do gabinetu. Carmen stała za biurkiem, patrząc na ekran domowego komputera. Kiedy Falk wszedł, spojrzała na niego.

– Margot dała mi hasło – powiedziała cicho, a on zamknął za sobą drzwi.

– Masz coś?

Pokręciła głową.

– Nic nie mogę znaleźć, ale robię to na ślepo. Nawet jeśli Alice zapisała tu coś użytecznego dla nas, mogła nazwać ten plik jakkolwiek. Będziemy musieli postarać się o pozwolenie zabrania tego sprzętu, żeby go dokładnie przeszukać – westchnęła. – Co powiedziała Lauren?

– Zgodziła się. Koniec końców. Nie była jednak zachwycona.

– Dlaczego? Z powodu tych zdjęć?

– Nie wiem. Może po części. Chociaż może nie. Już wcześniej wyglądało na to, że ma dość kłopotów z własną pociechą.

– To prawda. Ale zobaczysz, nie ona pierwsza i nie ostatnia osądzi Margot za te zdjęcia. – Rzuciła szybkie spojrzenie na drzwi. – Tylko nie mów jej, że tak powiedziałam.

Pokręcił głową.

– Pójdę na górę i wtajemniczę ją w plan działania.

Drzwi do pokoju Margot były otwarte i zobaczył ją siedzącą na różowym dywanie. Przed nią leżała otwarta mała walizka. Zupełnie pusta. Dziewczyna wpatrywała się w ekran telefonu i kiedy Falk zastukał we framugę, aż podskoczyła.

– Załatwiliśmy, żebyś mogła przenocować dziś u Lauren Shaw – powiedział, a Margot spojrzała na niego zdziwiona.

– Naprawdę?

– Tylko dziś. Lauren wie o sprawie.

– A będzie też Rebecca?

– Jej córka? Pewnie tak. Czy to w porządku?

Margot zaczęła skubać róg walizki.

– Chodzi o to, że nie widziałam jej od dłuższego czasu. Czy ona też o wszystkim wie?

– Podejrzewam, że jej mama mogła jej przekazać.

Wyglądało na to, że Margot chce coś powiedzieć, ale potrząsnęła głową.

– W porządku.

Było coś w sposobie, w jaki to powiedziała. Usta córki, głos matki. Falk mrugnął, czując się dziwnie wytrącony z równowagi.

– No dobrze, to i tak tylko na jedną noc. – Wskazał na pustą walizkę. – Pakuj się, żebyśmy mogli cię zawieźć.

Roztargnionym gestem Margot sięgnęła po dwa jaskrawe koronkowe staniki leżące w stercie na podłodze. Trzymając je, spojrzała na Falka, który się jej przyglądał. Coś przemknęło przez jej twarz. To był test.

Falk nie spuszczał spojrzenia z jej oczu, zachowując pusty wyraz twarzy.

– Poczekał w kuchni – powiedział i z ulgą zamknął drzwi do opresyjnie różowego pokoju. Kiedy nastolatki stały się tak seksualnie wyzywające? Czy w jego czasach też takie były? Pewnie tak, pomyślał, choć wtedy z pewnością nie miał nic przeciwko temu. W takim wieku bardzo wiele wydaje się bez troską zabawą.

Dzień 3: Sobota po południu

Po raz pierwszy Beth było przykro, że deszcz przestał padać.

Kiedy dudnił o dach, nie dało się rozmawiać. Pięć kobiet rozlokowało się

w większym pomieszczeniu i przeczekało popołudnie, podczas którego wiatr świstał przez wybite okna. Beth przyznała przed sobą, że wewnątrz nie było o wiele cieplej niż na zewnątrz, ale przynajmniej było raczej sucho. Cieszyła się, że zostały. Wraz z ustaniem deszczu cisza panująca w chacie zaczęła wszystkim ciążyć.

Beth poczuła się trochę osaczona. W zasięgu jej wzroku znajdował się róg materaca stojącego w drugim pomieszczeniu.

– Rozejrzę się na zewnątrz – powiedziała.

– Pójdę z tobą – zaproponowała Bree. – Muszę skorzystać z toalety.

Lauren się poruszyła.

– Ja też.

Na zewnątrz powietrze było rześkie i wilgotne. Kiedy Beth zamykała za sobą drzwi chaty, usłyszała jeszcze, jak Alice mówi coś do Jill. Cokolwiek to było, Jill nie odpowiedziała.

Bree wskazywała coś po drugiej stronie niewielkiej polany.

– O mój Boże, czy to jest naprawdę wychodek?

Była to niewielka szopa z przegniłym dachem, otwarta z jednej strony na działanie czynników pogodowych.

– Nie miej złudzeń – powiedziała Lauren. – W najlepszym razie będzie to dziura w ziemi.

Beth patrzyła, jak jej siostra toruje sobie drogę przez wysoką trawę, ale wystarczyło jej zerknięcie do środka, aby odskoczyć z piskiem. Spojrzenia siostr się spotkały i obie roześmiały się po raz pierwszy od dłuższego czasu. Beth wydawało się, że od tamtej pory minęły całe dni, a nawet lata.

– O Boże, po prostu nie dam rady – zawołała Bree.

– Gówno?

– Pajaki. Nie rób tego sobie. Pewnych rzeczy nie da się później wymazać z pamięci. Wolę iść w busz.

Obróciła się i zniknęła za drzewami. Lauren zdobyła się na uśmiech i odeszła w przeciwnym kierunku, zostawiając Beth samą. Światło dnia

zaczynało przygasać, niebo przybierało głębszy odcień szarości.

Miały szczęście, że w ogóle znalazły tę chatę. Beth zrozumiała to teraz, kiedy przestało padać. Między drzewami znajdowały się dwa lub trzy prześwity, które kiedyś mogły być częścią ścieżki, ale nic poza tym nie świadczyło o istnieniu polanki. Beth nagle poczuła się nieswojo i rozejrzała dookoła. Nigdzie nie było widać jej towarzyszek. Gdzieś w górze ptaki nawoływały się nawzajem piskliwymi i ponagłającymi głosami, ale kiedy podniosła głowę, nic nie zobaczyła.

Sięgnęła do kieszeni w poszukiwaniu papierosów. Udało się jej odnaleźć paczkę, którą wyrzuciła Alice, na wpeł zanurzoną w kałuży. Papierosy były do niczego: przesiąknięte brudną, błotnistą wodą, ale Beth nie chciała dawać Alice satysfakcji.

Jej palce natrafiły na brzeg paczki – niegdyś ostry, teraz rozmoknięty – i poczuła nęcący zew nikotyny. Otworzyła ją, ale po raz kolejny dotarło do niej, że nic już nie da się uratować. Wilgotny zapach tytoniu sprawił, że coś w niej drgnęło i myśl, że jednocześnie ma papierosy i ich nie ma, stała się nie do zniesienia. Chciało się jej płakać. Oczywiście, że nie chce być uzależniona. Ani od papierosów, ani od niczego innego.

Beth nawet nie wiedziała, że była w ciąży, kiedy poroniła. Siedziała w sterylnym pomieszczeniu kliniki uniwersyteckiej, a doktor tłumaczył jej, że samoistne poronienia są częste w ciągu pierwszych dwunastu tygodni ciąży. Pewnie była w odmiennym stanie od niedawna. Takich sytuacji praktycznie nie da się uniknąć. Czasem tak po prostu się zdarza.

Beth przytaknęła. Sęk w tym, wyjaśniła cichym głosem, że piła. We wszystkie weekendy. I w ciągu tygodnia też. Była jedyną dziewczyną na swoim roku i dobrze bawiła się z kolegami. Wszyscy byli młodzi i inteligentni i planowali kolejny przełom w świecie internetu, żeby zarobić miliony i po trzydziestce przejść na emeryturę. Ale zanim to miało nastąpić, lubili się napić, potańczyć, brać lekkie narkotyki, chodzić późno spać i flirtować z dziewczyną, która w wieku dwudziestu lat nadal wyglądała jak

jej urzekająca siostra bliźniaczka. Beth też się to wszystko podobało. Patrząc z perspektywy czasu, może nawet trochę za bardzo.

Tamtego dnia w ostrym szpitalnym świetle przyznała się do wszystkich swoich występków. Lekarz pokręcił głową. To pewnie nie miało znaczenia. Pewnie? Prawie na pewno. Ale nie na sto procent? Niemal na sto procent jej zachowanie nie spowodowało poronienia, powiedział i wręczył jej ulotkę informacyjną.

Pewnie lepiej, że tak się stało, pomyślała, wychodząc z kliniki z ulotką w ręku. Wyrzuciła ją do pierwszego napotkanego śmietnika. Nie będzie o tym myśleć. Nie było sensu mówić o tym nikomu. Nie teraz. Bree i tak by nie zrozumiała. Wszystko było dobrze. Przecież nie można tęsknić za czymś, o czym się nawet nie wiedziało.

Zamierzała wrócić do domu, ale myśl o jej studenckim mieszkaniu napawała ją uczuciem samotności. Wsiadła więc do autobusu, pojechała do baru spotkać się z chłopakami. Na jednego drinka, później na więcej, bo nie musiała przecież unikać alkoholu ani narkotyków, prawda? Było już na to za późno, zgadza się? I kiedy następnego ranka obudziła się z bolącą głową i zaschniętymi ustami, właściwie jej to nie przeszkadzało. To była jedyna pozytywna cecha porządnego kaca: nie było już miejsca, żeby myśleć o czymkolwiek innym.

Beth patrzyła na otaczający ją busz, ściskając w ręce zamkniętą paczkę papierosów. Wiedziała, że mają przesrane. Wszystkie zdawały sobie z tego sprawę. Ale tak długo, jak Beth miała papierosy, coś łączyło ją z cywilizacją. A teraz Alice zabrała jej nawet to. W przypiływie gniewu Beth zamknęła oczy i cisnęła zniszczoną paczką przed siebie. Kiedy znów je otworzyła, paczki już nie było. Nie wiedziała, gdzie upadła.

Na polanie zawiął wiatr i Beth przeszył dreszcz. Gałązki i liście koło jej stóp były mokre. Trudno byłoby tu rozpalić ognisko. Wróciła myślą do pierwszego wieczoru, jak Lauren musiała się naszukać, żeby znaleźć coś na podpałkę. Beth podrapała się po wewnętrznej części dłoni, która nie ścisnęła

już paczki papierosów, i spojrzała na chatę. Była przechylona w jedną stronę. Blasowany dach sterczał na jednym końcu bardziej niż na drugim. Pewnie nie dawał idealnej ochrony, ale nie miały nic lepszego.

Beth szła do chaty, skąd zaczęły dobiegać do niej głosy.

– Już ci mówiłam, że nie. – W głosie Jill pobrzmiwało zdenerwowanie.

– Nie proszę cię o pozwolenie.

– Opamiętaj się, paniusiu.

– Nie, Jill, to ty powinnaś przejrzeć na oczy. Nie jesteśmy w pracy.

Cisza.

– Ja zawsze jestem w pracy.

Beth zrobiła krok i nagle ziemia usunęła się jej spod nóg. Upadła na ręce, wykręcając sobie przy tym kostkę. Spojrzała w dół i jęk przerodził się w krzyk, kiedy zobaczyła, na co upadła.

Głośny dźwięk przeszył powietrze, aż ptaki zamilkły. W chacie zapadła cisza, dwie twarze pojawiły się w oknie. Beth usłyszała, że za nią ktoś nadbiega. Jej kostka pulsowała boleśnie.

– Nic ci nie jest? – zapytała Lauren, za którą stała Bree. Twarze w oknie zniknęły i chwilę później Jill i Alice pojawiły się nad nią. Beth z trudem stanęła na nogach. Jej upadek rozproszył stertę liści i gałązek, odsłaniając płytkie, lecz wyraźne zagłębienie.

– Coś tu jest – powiedziała Beth łamiącym się głosem.

– Co? – zapytała Alice.

– Nie wiem.

Alice, wyraźnie zniecierpliwiona, podeszła i odsunęła butem resztę liści. Wszystkie nachyliły się i niemal natychmiast odsunęły. Tylko Alice nie ruszyła się, spoglądając w dół. Niewielkie i pożółkłe, pokryte błotem – nawet niewprawne oko rozpoznałoby, co to jest. Kości.

– Co to? – wyszeptała Bree. – Proszę, powiedzcie, że to nie dziecko.

Beth sięgnęła i ujęła dłoń siostry. Ulżyło jej, kiedy Bree się nie odsunęła.

Alice ponownie odsunęła więcej liści i ziemi butem. Tym razem jej ruch

nie był tak zdecydowany, zauważyła Beth. Natrafiła na coś twardego, co poleciało na liście obok. Alice wyraźnie zeszywniała, następnie powoli się pochyliła i podniosła to. Jej twarz zamarła, ale po chwili wydała westchnienie ulgi.

– Jezu – powiedziała. – W porządku. To tylko pies.

Trzymała w ręce niewielki przegniły krzyż, niezdarnie zbity z dwóch nierównych kawałków drewna. Na środku znajdowały się ledwo widoczne ze starości litery. „Butch”.

– Skąd pewność, że to pies? – Głos Beth brzmiał nieswojo.

– Nazwałabyś dziecko Butch? – Alice rzuciła jej niechętnie spojrzenie. – Ty może faktycznie tak. W każdym razie te kości nie wyglądają na ludzkie. – Mówiąc to, wskazała butem na częściowo odsłoniętą czaszkę. Beth spojrzała. Wyglądała na psią. Tak jej się przynajmniej wydawało. Zastanawiała się, jaka śmierć spotkała to zwierzę, ale nie zadała tego pytania na głos.

– Dlaczego nie pochowali go porządnie? – zapytała zamiast tego.

Alice kucnęła nad dziurą.

– Pewnie podmyło ziemię. Dół wygląda na płytki.

Beth marzyła o papierosie. Spojrzała na linię drzew. Wszystko wyglądało dokładnie tak samo jak chwilę temu, ale czuła, jakby ktoś je obserwował. Spróbowała skupić myśli na czymś innym. Na liściach, na chacie, na polanie...

– Co to?

Beth wskazała ponad płytkim psim grobem. Pozostałe spojrzały posłusznie, a Alice się podniosła.

Obok chaty widniało kolejne zagłębienie. Było tak łagodne, że niemal niewidoczne. Porastająca je trawa był mokra, potargana przez wiatr i różniła się odcieniem od reszty roślinności. Ta różnica wystarczyła, żeby Beth nabrała przekonania, że ziemia w tym miejscu była ruszana. Tym razem nie było tam krzyża.

– To jest większe. – Bree brzmiała, jakby miała się rozpląkać. – Dlaczego to jest większe?

– Nie jest większe. To nic takiego – próbowała uspokoić ją Beth. Myśli w jej głowie wirowały. To zwykłe, naturalne zagłębienie terenu, pewnie erozja albo ruch ziemi lub jeszcze coś innego, co da się naukowo wytłumaczyć. Co ona mogła wiedzieć o rośnięciu trawy? Absolutnie nic.

Alice nadal trzymała drewniany krzyż. Na jej twarzy malował się dziwny wyraz.

– Nie chcę przysparzać nam kłopotów – powiedziała dziwnie ściszone głosem. – Ale jak się nazywał pies Martina Kovaca?

Beth aż zatkąło.

– Nie żartuj, do cholery!

– Nie żartuję. Zamknij się, Beth, nie żartuję, tylko pomyślcie. Pamiętacie? Kiedy to wszystko się działo, miał psa, którego używał do zwabiania ofiar i...

– Zamknij się! Wystarczy! – Głos Jill brzmiał piskliwie.

– Ale... – Alice odwróciła się do Lauren. – Ty pamiętasz, prawda? Mówili o tym w wiadomościach. Byłyśmy wtedy w szkole. Jak się nazywał ten pies? Nie Butch właśnie?

Lauren patrzyła na nią, jakby widziała ją po raz pierwszy w życiu.

– Nie pamiętam. Możliwe, że miał psa. Dużo ludzi je ma. Nie pamiętam. – Była zupełnie blada na twarzy.

Beth, nadal trzymając siostrę za rękę, poczuła, jak ciepła łza spłynęła jej na nadgarstek. Obróciła się do Alice i poczuła przyływ emocji. Gniew, nie strach, powiedziała sobie.

– Jesteś wstrętną manipulatką. Jak śmiesz? Straszysz nas wszystkie, ponieważ raz nie robimy tego, co sobie życzysz! Wstydz się!

– Wcale nie! Ja...

– Ależ tak!

Słowa wypełniły busz.

– On miał psa – mówiła spokojnie Alice. – Nie powinniśmy tu zostawać.

Beth nabrała powietrza, w jej piersi wzbierał gniew. Zmusiła się, żeby wziąć jeszcze jeden oddech, zanim się odezwała.

– Bzdury. To było dwadzieścia lat temu. A za półtorej godziny zapadnie noc. Jill? Już się zgodziłaś, pamiętasz? Błąkanie się po nocy może być dla nas wszystkich zgubne.

– Beth ma rację... – zaczęła Lauren, ale Alice ją zaatakowała.

– Nikt cię nie pytał! Mogłabyś pomóc mi nas stąd wydostać, ale zbyt się boisz, żeby chociaż spróbować. Lepiej się nie mieszaj.

– Alice! Przestań. – Jill patrzyła to na kości, to na drzewa. Beth wiedziała, że była rozdarta. – Dobra – powiedziała w końcu. – Zrozumcie, mnie też się to nie podoba, ale straszne opowieści nie są w stanie wyrządzić nam krzywdy. Co innego wychłódzenie.

Alice potrząsnęła głową.

– Naprawdę? Zamierzacie tu zostać?

– Tak. – Twarz Jill pociemniała z gniewu. Jej mokre włosy oblepiały jej głowę, ukazując siwe odrosty przy przedziałku. – Rozumiem, że ci się to nie podoba, ale choć raz zachowaj to dla siebie, Alice. Mam dość wysłuchiwania cię.

Obie stały twarzą w twarz, z ustami zsiniałymi z zimna i ciałami napiętymi do niemożliwości. Coś poruszyło się nieopodal i obie podskoczyły. Jill się odsunęła.

– Wystarczy. Decyzja zapadła. Niech ktoś rozpali ogień, na litość boską.

Eukaliptusy drżały na wietrze, kiedy kobiety szukały czegoś na podpałkę, drząc przy każdym niezidentyfikowanym dźwięku, aż w końcu zrobiło się zbyt ciemno, żeby coś dostrzec. Alice nie pomagała.

Rozdział 16

Margot Russell w samochodzie nie mówiła zbyt dużo.

Siedziała, wpatrując się w telefon, podczas gdy Carmen i Falk po raz drugi tego dnia jechali do domu Lauren. Obsesyjnie oglądała filmiki, z ekranem tuż przy oczach, ale nikłe dźwięki nastoletniego seksu docierały do pasażerów siedzących z przodu. Falk i Carmen wymienili spojrzenia. Kiedy Margot zaczęła oglądać wszystko po raz kolejny, Carmen delikatnie zasugerowała, żeby zajęła się czymś innym. Dziewczyna jednak tylko wyłączyła dźwięk i oglądała nadal.

– Zadbamy o to, żeby policjanci, którzy prowadzą poszukiwania, wiedzieli, gdzie dziś nocujesz, gdyby były jakieś wieści – powiedziała Carmen.

– Dziękuję – padła cicha odpowiedź.

– Pewnie ktoś ze szkoły może chcieć z tobą porozmawiać, ale oni mają dane Lauren. Może jej córka przyniesie ci z szafki wszystko, czego potrzebujesz, jeśli na razie nie będziesz chciała wrócić.

– Ale przecież... – Margot spojrzała na nich zaskoczona. – Rebecca już nie chodzi do mojej szkoły.

– Naprawdę? – Falk zerknął na nią w lusterku.

– Tak. Przestała jakieś pół roku temu.

– Tak zupełnie?

– No raczej. Czy wy ją w ogóle widzieliście?

– Nie.

– Och. No cóż, nie chodzi do szkoły od dawna. Trochę jej dokuczano. Nic poważnego, jakieś głupie zdjęcia. Ale pewnie czuła się... – urwała. Znów spojrzała na telefon z zaciśniętymi ustami. Nie skończyła już myśli na głos.

Lauren czekała na nich w otwartych drzwiach, kiedy wjechali na podjazd.

– Wejdźcie – powiedziała.

Na widok spuchniętej od łez twarzy Margot wyciągnęła rękę, żeby dotknąć jej policzka, ale w ostatniej chwili się powstrzymała.

– Przepraszam. Zapomniałam, jak bardzo... – Nie dokończyła. Falk doskonale wiedział, co chciała powiedzieć. *Jak bardzo jesteś podobna do swojej mamy.* Lauren odkaszlnęła. – Jak sobie radzisz z tym wszystkim, Margot? Bardzo mi przykro, że to cię spotkało.

– Dziękuję – powiedziała Margot, wpatrując się w rozcięcie na czole Lauren, aż w końcu ta zasłoniła je ręką.

– Chodź, daj mi swoją torbę, zaprowadzę cię do twojego pokoju. – Lauren spojrzała na Falka i Carmen. – Salon jest na końcu korytarza. Przyjdę do was za chwilę.

– Czy Rebecca jest w domu? – Falk usłyszał jeszcze pytanie Margot, gdy ta odchodziła z Lauren.

– Chyba teraz śpi.

Korytarz prowadził do salonu, w którym panował zaskakujący nieład. Kubki z niedopitą kawą stały na stole i obok kanapy, wszędzie walały się pootwierane magazyny. Na podłodze leżał kudłaty dywan, a na każdej możliwej powierzchni stały oprawione fotografie. Na pierwszy rzut oka Falk stwierdził, że w większości przedstawiały Lauren i jej córkę. Wszystko wskazywało na to, że jakiś czas temu odbył się mały rodzinny ślub i od tej pory na zdjęciach zaczął pojawiać się również mężczyzna – nowy mąż i przybrany ojciec.

Falk zdziwił się, że pulchne kształty Lauren pojawiały się i znikwały w ciągu tych wszystkich lat, jej ciało puchło i kurczyło się niemal ze zmianą pór roku. Zmianie nie ulegało natomiast napięcie zawsze widoczne na jej twarzy. Uśmiechała się na każdym zdjęciu, ale na żadnym nie była szczęśliwa.

Nie dostrzegł żadnego zdjęcia, na którym córka miałaby więcej niż

kilkanaście lat. Ostatnie było podpisane „dziewiąty rok nauki”. Uwieczniona na nim Rebecca w szkolnym mundurku musiała mieć czternaście lat.

Była ładna w nienarzucający się sposób, z nieśmiałym uśmiechem, okrągłymi policzkami i lśniącymi brązowymi włosami.

– Wolałabym, żeby mama ściągnęła te zdjęcia – dobiegł ich głos zza pleców. Falk obrócił się i tylko siłą woli powstrzymał się od jakiegokolwiek reakcji. Zrozumiał, co Margot miała na myśli. *Czy wy ją w ogóle widzieliście?*

Oczy dziewczyny były duże i głęboko zapadnięte w głąb czaszki. Jedyny kolor na jej twarzy stanowiły fioletowe cienie pod oczami i drobna siateczka niebieskich żyłek widoczna pod cienką jak papier skórą. Nawet z dużej odległości Falk widział wszystkie kości na jej twarzy i szyi. Był to wstrząsający widok.

Rak, pomyślał natychmiast. Jego ojciec tuż przed śmiercią wyglądał podobnie. Ale natychmiast odrzucił tę możliwość. To było coś innego, coś, co Rebecca zrobiła sobie sama.

– Cześć. Rebecca, prawda? Jesteśmy z policji.

– Znaleźliście mamę Margot?

– Jeszcze nie.

– Och. – Dziewczyna była tak wątła, że zdawała się unosić w powietrzu.

– To beznadziejnie. Ja raz zgubiłam się w buszu i naprawdę nie było mi wesoło.

– Na obozie McAllaster? – zapytała Carmen, a Rebecca spojrzała na nią zdziwiona.

– Tak. Słyszeliście o tym miejscu? Ale to była inna sytuacja niż ta, która przytrafiła się mamie Margot. Odłączyłam się od grupy na jakieś dwie godziny. – Zamilkła. – Chociaż właściwie to moja grupa zgubiła mnie. Wróciły po mnie, kiedy im się znudziło.

Bawiła się czymś w rękach, jej palce cały czas się poruszały. Spojrzała na pusty korytarz.

– Jak to się stało, że Margot chciała tutaj przyjść?

– My to zaproponowaliśmy – powiedziała Carmen. – Nie miała ochoty pojechać do swojego taty.

– Och. To pewnie przez te zdjęcia. Ja też miałam z tym trochę problemów. Tylko bez seksu – dodała szybko. – Chodziło o jedzenie i takie tam.

Powiedziała to, jakby było to coś wstydlivego. Jej palce przebiegały szybciej. Falk zauważył, że coś nimi robiła. Splatała srebrną i czerwoną nić.

Rebecca popatrzyła na drzwi.

– Widzieliście zdjęcia Margot? – zapytała ściszym głosem.

– Te, które sama zdecydowała się nam pokazać – odparła Carmen. – A ty?

– Wszyscy je widzieli. – Nie powiedziała tego, przechwalając się, ale po prostu ustalając fakty. Jej palce ani na chwilę się nie zatrzymywały.

– Co robisz? – zapytał Falk.

– Och. – Rebecca roześmiała się zawstydzona. – Nic takiego. Głupota. – Wyciągnęła na dłoni kolorową plecioną bransoletkę, czerwone i srebrne nici tworzyły skomplikowany wzór.

– Bransoletki przyjaźni? – zgała Carmen.

Rebecca zrobiła minę.

– Chyba tak. Nie żebym je komukolwiek dawała. To ma być ćwiczenie z uważności. Moja terapeutka mnie do tego zmusza. Za każdym razem, kiedy czuję potrzebę samookaleczania się, mam skupić się na robieniu bransoletek.

– Ta jest naprawdę dobra – pochwaliła Carmen, pochylając się, aby lepiej przyjrzeć się plecionce.

Rebecca związała nici i podała jej.

– Proszę sobie wziąć, ja mam ich całe mnóstwo.

Wskazała na skrzyneczkę stojącą na stoliku kawowym. W środku znajdowała się płatanina srebrnych i czerwonych nici. Falk nie potrafił

zliczyć, ile w środku było bransoletek. Kilkadziesiąt. Zastanawiał się z niepokojem, ile czasu musiało pochłonąć ich zrobienie, ile czasu chude palce Rebekki plotły je, aby rozproszyć ciemne myśli kłębiące się w jej głowie.

– Dzięki – powiedziała Carmen, wkładając ozdobę do kieszeni. – Bardzo podoba mi się ten wzór.

Rebecca wyglądała na zadowoloną, jej wychudzone policzki zapadły się jeszcze bardziej w twarz, kiedy uśmiechnęła się nieśmiało.

– Sama go wymyśliłam.

– Jest naprawdę piękny.

– Co jest piękne? – W drzwiach stanęła Lauren. W porównaniu z wychudzoną córką jej własna drobna sylwetka wydawała się znacznie większa.

– Rozmawialiśmy o tym nowym wzorze. Mama też go ma na swojej bransoletce.

Rebecca spojrzała na nadgarstki matki. Na lewym miała zegarek, ale na prawym nie miała nic oprócz cienkiego czerwonego śladu na skórze. Twarz Rebekki spochmurniała.

Lauren spojrzała na swoją rękę w przerażeniu.

– Kochanie, przykro mi. Zgubiłam ją na wyjeździe. Chciałam ci powiedzieć.

– W porządku.

– Nie, to nie w porządku. Bardzo mi się podobała.

– Nic nie szkodzi.

– Przykro mi.

– Mamo – warknęła Rebecca. – Zapomnij. Jakbym nie miała tysiąca innych.

Lauren spojrzała na otwartą skrzyneczkę na stoliku i Falk wiedział z całą pewnością, że wprost nienawidzi jej zawartości. Wydawało się, że Lauren odetchnęła z ulgą, kiedy w salonie zjawiała się Margot. Jej oczy były

zaczerwienione, ale już suche.

– Cześć, Margot. – Rebecca wyglądała na zawstydzoną. Sięgnęła ręką i zatrzasnęła wieko skrzyneczki.

Nastąpiła chwila niezręcznego milczenia.

– Widziałaś zdjęcia? – Margot nie potrafiła spojrzeć jej w oczy, jej wzrok przesuwał się po pokoju.

Rebecca się zawahała.

– Nie.

Margot parsknęła niewesołym śmiechem.

– Jasne. Chyba byłabyś jedyna.

Lauren klasnęła w ręce.

– No dobra, dziewczyny, idźcie do kuchni i zdecydujcie, co chcecie zjeść na kolację – obie, Rebecco, proszę.

– Nie jestem głodna.

– Nie zamierzam się kłócić. Nie, naprawdę, nie dziś.

– Ale...

– Rebecco, na litość boską! – Głos Lauren zabrzmiał głośniejsz, niż zamierzała, i ugryzła się w język. Wzięła głęboki oddech. – Przepraszam. Proszę, po prostu idźcie stąd.

Córka rzuciła jej zbuntowane spojrzenie, a następnie obróciła się na pięcie i wyszła, a za nią ruszyła Margot. Lauren poczekała, aż odgłosy ich kroków ucichły.

– Dopilnuję, żeby Margot dobrze się tutaj czuła. Postaram się trzymać ją z daleka od internetu.

– Bardzo dziękujemy – powiedziała Carmen, kiedy szli do drzwi. – Funkcjonariusz zajmujący się kontaktem z rodziną zadzwonił do ojca Margot. Odbierze ją jutro, jak się trochę uspokoi.

– W porządku. Przynajmniej tyle mogę zrobić dla Alice. – Lauren spojrzała na swój dom. Z kuchni nie dobiegał żaden dźwięk. – Ostatnio nie było tu łatwo, ale mnie chociaż udało się wrócić.

Dzień 3: Sobota wieczór

Ognisko to naprawdę było coś.

Rzucało ciepły blask na całą polanę przed chatą. Płomienie były za słabe, żeby dawać prawdziwe ciepło, lecz kiedy Lauren przy nich stała, czuła się trochę lepiej niż w ciągu ostatnich dwóch dni. Nie dobrze, ale trochę lepiej.

Rozpalenie ogniska zajęło ponad godzinę intensywnych starań. Lauren, obrócona plecami do wiatru, przykładła zapalniczkę Beth do sterty wilgotnej podpałki. Po dwudziestu minutach Alice rozplotła skrzyżowane na piersiach ręce i podeszła jej pomóc. Najwyraźniej była bardziej zziębnięta niż zła. Jill i bliźniaczki poszły schronić się w chacie. W końcu Alice odkasznęła.

– Przepraszam za to, co powiedziałam wcześniej. – Kiedy Alice przepraszała, jeśli w ogóle, zawsze brzmiała, jakby tego żałowała.

– W porządku. Wszystkie jesteśmy zmęczone. – Lauren przygotowała się na następną kłótnię, ale Alice nadal zajmowała się kwestią ognia. Wydawała się rozkojarzona; układała patyczki w małe kupki, a następnie burzyła je i układała od nowa.

– Lauren, jak się miewa Rebecca?

To pytanie zjawilo się znikąd i Lauren nie była na nie przygotowana.

– Proszę?

– Zastanawiałam się, jak sobie radzi po tej aferze ze zdjęciami w zeszłym roku.

Po aferze ze zdjęciami – takie ujęcie sprawy mocno ją trywializowało.

– Dobrze – odparła w końcu.

– Naprawdę? – Alice brzmiała, jakby naprawdę ją to interesowało. – Wraca do szkoły?

– Nie. – Lauren wzięła do ręki zapalniczkę. – Nie wiem.

Skupiła się na zadaniu, które miała przed sobą. Nie chciała rozmawiać o swoim dziecku z Alice, której córka była zdrowa i która wybierała się w niedzielę na wręczenie Margot nagrody.

Lauren nadal pamiętała pierwszy raz, kiedy zobaczyła Margot Russell szesnaście lat wcześniej na oddziale szczepień noworodków. Był to zaledwie drugi raz, kiedy Lauren zobaczyła Alice od skończenia szkoły, ale poznała ją natychmiast. Przyglądała się, jak Alice wiezie różowe zawiniątko w droгим wózku do pokoju pielęgniarek. Jej włosy wyglądały na wymyte, a dzinsy nie opinały się w talii. Jej dziecko nie płakało. Alice uśmiechała się do pielęgniarek. Sprawiała wrażenie wypoczętej, dumnej i szczęśliwej. Lauren wymknęła się i przeczekała całą sytuację w toalecie, wpatrując się w reklamę środków antykoncepcyjnych umieszczoną na drzwiach, podczas gdy Rebecca darła się wniebogłosy. Nie chciała porównywać swojej córki z córką Alice Russell ani wtedy, ani tym bardziej teraz.

– Dlaczego pytasz? – Lauren skupiła się z całych sił na wykrzesaniu ognia z zapalniczki.

– Dawno powinnam była spytać.

Tak, to prawda, pomyślała Lauren, ale nic nie powiedziała.

– Sądzę... – zaczęła Alice, ale urwała. Nadal zajmowała się podpałką, nie spuszczać z niej oczu. – Margot...

– Hej, udało się! – krzyknęła Lauren, kiedy iskra przeskoczyła i zaczęła się powiększać. Osłoniła ją dłońmi, chroniąc płomyczek, zanim drewnianka zajęły się na dobre. Zdążyły tuż przed nocą.

Jill i bliźniaczki wyszły z chaty, na ich twarzach malowała się ulga i wszystkie stanęły wokół ogniska. Lauren spojrzała na Alice, ale cokolwiek chciała wtedy powiedzieć, ulotniło się wraz z tamtą chwilą. Patrzyły przez moment na płomienie, po czym rozłożyły na ziemi swoje nieprzemakalne kurtki i usiadły na nich.

Lauren poczuła, że jej ubrania zaczynają trochę schnąć. Sposób, w jaki płomienie oświetlały twarze jej towarzyszek, przypominał jej pierwszy wieczór na wyprawie, kiedy przyszli mężczyźni i przynieśli alkohol. Było też wtedy jedzenie. Wydawało się, że to wszystko wydarzyło się bardzo dawno temu. Jakby przydarzyło się komuś innemu.

– Jak myślicie, kiedy się zorientują, że się zgubiłyśmy? – zapytała Bree.

Jill wpatrywała się szklistym wzrokiem w płomienie.

– Mam nadzieję, że niedługo. Może już nas szukają, bo zorientowali się, że nie trafiłyśmy do drugiego obozowiska.

– Oni nie wiedzą. – Głos Alice przeciął te gdybania. Wskazała palcem w górę. – Nie słyszałyśmy helikoptera. Nikt nas nie szuka.

Odpowiedział jej jedynie trzask ognia. Lauren chciała wierzyć, że Alice się myli, ale nie miała siły się kłócić. Pragnęła siedzieć tam i wpatrywać się w płomienie, aż ktoś przyjdzie po nią zza drzew. Aż poszukiwacze przyjdą po nią zza drzew, poprawiła się w myślach, ale było już za późno. Ta myśl zasiała niedobre ziarno w jej sercu i Lauren rozejrzała się dookoła.

Znajdujące się najbliżej krzaki i drzewa połyskiwały na czerwono, w świetle ogniska sprawiały wrażenie, jakby się poruszały. Dalej była już tylko ciemność. Potrząsnęła głową. To było śmieszne. Mimo to nadal unikała patrzenia w kierunku tego przerażającego zagłębienia w ziemi, które oczywiście najprawdopodobniej było wynikiem niczego innego jak erozji. Alice ma rację, jakiś głos szeptał jej jednak do ucha. Nie słyszać helikoptera.

Lauren wzięła kilka głębokich oddechów i zmusiła się, żeby przestać wpatrywać się w busz. Zamiast tego spojrzała w niebo. Kiedy jej wzrok się przyzwyczaił, poczuła się zaskoczona. Chmury się rozwiały, a nad nimi gwiazdy błyszczały na czarnym jak atrament niebie, jakiego nie widziała już od wielu lat.

– Spójrzcie w górę.

Jej koleżanki odchyliły się, osłaniając oczy przed światłem płonącego nisko ogniska.

Lauren zastanawiała się, czy w poprzednie noce też tak było. Pamiętała tylko przytłaczającą powłokę z chmur, ale może po prostu nie zauważyła gwiazd.

– Czy któraś z was zna jakieś konstelacje? – zapytała Alice, oparta na łokciach.

– Tam jest Krzyż Południa, oczywiście – powiedziała Bree. – Czasem można dostrzec główne gwiazdy Panny o tej porze roku. Strzelec jest za nisko nad horyzontem, żebyśmy mogły go tutaj zobaczyć. – Zauważyła, że przyglądają się jej z zainteresowaniem, i wzruszyła ramionami. – Mężczyźni lubią pokazywać mi gwiazdy. Myślą, że to romantyczne, co się po części przynajmniej zgadza, i oryginalne, co absolutnie nie jest prawdą.

Lauren poczuła, że się uśmiecha.

– To niesamowite – rzekła Jill. – Można zrozumieć, dlaczego ludzie kiedyś sądzili, że ich los jest zapisany w gwiazdach.

Alice parsknęła śmiechem.

– Niektórzy nadal tak uważają.

– Ale nie ty.

– Nie, ja nie. Ja uważam, że sami podejmujemy decyzje.

– Też tak sądzę – odparła Jill. – Ale czasem się zastanawiam. Mam na myśli to, że jestem w BaileyTennants z urodzenia. Poszłam w ślady ojca, jak mi powiedziano, pracuję z bratem, jak powinnam. – Westchnęła. – Każdego dnia robię to, co muszę, dla dobra firmy, dla naszej rodziny i dla tego wszystkiego, na co ojciec ciężko pracował. Bo muszę to robić.

– Jill, masz przecież wybór – powiedziała Alice, a w jej głosie brzmiało coś, czego Lauren nie potrafiła zidentyfikować. – Jak wszyscy.

– Wiem. Ale czasem czuję, jakby coś mnie... – Jill wrzuciła do ognia coś, co rozbłysło i zasyczało. – Jakby coś mnie zmuszało.

W ciemnościach Lauren nie potrafiła stwierdzić na pewno, czy Jill ma w oczach łzy. Nigdy nie pomyślała o tym, że Jill może czuć się nieszczęśliwa w swojej rodzinnej firmie. Zorientowała się, że się w nią wpatruje, i odwróciła wzrok.

– Wiem, co masz na myśli – powiedziała, bo poczuła, że tak powinna. –

Wszyscy lubią czuć, że kontrolują sytuację, ale może... – Przed oczami stanęła jej Rebecca, która tak bardzo kontrolowała wszystko, co zjada, ale zupełnie nie kontrolowała wyniszczającej ją choroby. To było coś, czego

żadna liczba godzin poświęconych na terapię, uściski czy groźby nie były w stanie zmienić. Lauren dotknęła palcem bransoletki na swoim nadgarstku.

– Sama nie wiem. Może nie mamy wpływu na to, jacy jesteśmy. Może rodzimy się jacyś i później nic nie możemy na to poradzić.

– Ale ludzie się zmieniają – odezwała się po raz pierwszy Beth. – Ja na pewno. I na lepsze, i na gorsze. – Siedziała pochylona do przodu, wkładając do ogniska długie źdźbło trawy. – To wszystko bzdury, cała ta astrologia i przeznaczenie. Bree i ja urodziłyśmy się w odstępie trzech minut pod tym samym znakiem. To powinno dać wam odpowiedź na pytanie, czy doświadczenie jest zapisane w gwiazdach.

Wszystkie cicho się roześmiały. Później Lauren przypomniała sobie, że był to ostatni raz, kiedy to zrobiły.

Zamilkły. Jedne patrzyły w gwiazdy, inne – w ognisko. Komuś głośno zaburczało w brzuchu. Żadna tego nie skomentowała. Nie było sensu. Udało się im napełnić deszczówką butelki do połowy, ale po jedzeniu dawno nie został żaden ślad. Zimny podmuch wiatru sprawił, że płomienie zakołysały się jak w tańcu, a niewidoczne drzewa zatrzeszczały i zaskrzypiały chóralnie.

– Jak myślicie, co się z nami tutaj stanie? – zapytała cicho Bree.

Lauren czekała, aż któraś ją zapewni, że wszystko będzie dobrze. Żadna się nie odezwała.

– Czy wszystko będzie z nami dobrze? – Bree nie dawała za wygraną.

– Oczywiście, że tak – odezwała się Beth. – Jutro po południu zaczną nas szukać.

– A jeśli nas nie znajdą?

– Znajdą.

– Ale co, jeśli nie? – Bree miała szeroko otwarte oczy. – Naprawdę, co, jeśli Alice ma rację? Zapomnijcie o posiadaniu kontroli i wolnym wyborze. Co, jeśli to wszystko bzdura? Ja wcale nie czuję, że bym o czymś tutaj decydowała. Co, jeśli na nic nie mamy wpływu i naszym przeznaczeniem

jest zostać tutaj na zawsze? Samotne, wystraszone i na zawsze zgubione?

Nikt nie odpowiedział. Nad ich głowami gwiazdy otulały ziemię zimnym blaskiem.

– Bree, zostanie tutaj nie jest z całą pewnością naszym przeznaczeniem. – Alice zdobyła się na nikły uśmiech. – Chyba że któraś z nas ma na sumieniu coś naprawdę strasznego.

Lauren pomyślała, że to prawie śmieszne, jak względna intymność pełgającego ogniska sprawiła, że na każdej twarzy odmalowała się wina.

Rozdział 17

– To było niezręczne – powiedziała Carmen.

– Co konkretnie?

– Cała ta sytuacja.

Siedzieli w samochodzie przed domem Lauren. Kiedy byli w środku, zapadł zmierzch i światło latarni ulicznych nadawało kropkom na szybie samochodu pomarańczowy poblask.

– Nie wiedziałam, co powiedzieć Margot, kiedy byliśmy u niej w domu – ciągnęła Carmen. – Chodzi mi o to, że ma rację. Co ona ma zrobić teraz, kiedy te zdjęcia są online? Nie można tego cofnąć. A do tego jeszcze Rebecca. To było wstrząsające. Nic dziwnego, że Lauren jest na krawędzi.

Falk pomyślał o wychudzonej nastolatce i plątaniu srebrno-czerwonych bransoletek. Ile zmartwień i stresu było wplątanych w ich nitki? Pokręcił głową.

– Co teraz? – Popatrzył na zegarek. Było wcześniej, niż się wydawało.

Carmen sprawdziła telefon.

– Biuro dało nam pozwolenie, żebyśmy złożyli wizytę Danielowi Baileyowi w domu, zakładając, że tam teraz jest. Proszą, żebyśmy byli ostrożni.

– Cudowna rada. – Falk odpalił silnik. – Coś jeszcze?

– To co zwykle. – Carmen popatrzyła z ukosa z bladym uśmiechem na ustach. *Zdobądźcie umowy.* Oparła się o siedzenie. – Ciekawe, czy jego syn wrócił już do domu.

– Możliwe – powiedział Falk, ale wątpił w to. Widział wyraz twarzy Daniela Baileya, kiedy wyjeżdżał spod domu Alice. Nie musiał znać Joela Baileya, żeby wiedzieć, że gdzieś się dobrze przyczaił.

Dom Baileyów był schowany za misternie kutą bramą i żywopłotem tak

gęstym, że z drogi nic nie było widać.

– W sprawie Alice Russell – powiedział Falk przez interkom. Czerwone światelko kamery błysnęło i brama otwarła się bezszelestnie, wpuszczając ich na długi, wygodny podjazd. Wzdłuż niego rosły japońskie wiśnie, tak doskonale przystrzyżone, że wyglądały, jakby nie były prawdziwe.

Drzwi otworzył im Bailey we własnej osobie. Spojrzał na Falka i Carmen zaskoczony i zmarszczył brwi, próbując ich umiejscowić.

– Poznaliśmy się już? – zapytał.

– Wczoraj. W schronisku. Byliśmy z Ianem Chase'em.

– Zgadza się. – Oczy Daniela były zaczerwienione, wyglądał starzej niż poprzedniego dnia. – Znaleźli Alice? Powiedzieli, że ktoś zadzwoni, jak ją znajdą.

– Jeszcze niestety nie – odparł Falk. – Ale i tak musimy porozmawiać.

– Znów? O czym?

– Na początek o tym, czemu kilka godzin temu dobijałeś się do domu zaginionej.

Bailey zamarł.

– Byliście u niej w domu?

– Alice zaginęła – powiedziała Carmen. – Nie chciałbyś, żebyśmy coś pominęli, prawda?

– Oczywiście – odparł ostro, ale się zmiękczył. Przetarł oczy dłonią, otworzył drzwi szerzej i cofnął się do środka. – Przepraszam. Proszę, wejdźcie.

Poszli za nim przez nieskazitelnie czysty korytarz do dużego, luksusowego słonecznego pokoju. Drewniane podłogi świeciły pod skórzanymi sofami, podczas gdy ogień w kominku dawał przyjemne ciepło. Wszystko było jak z obrazka. Falk musiał zwalczyć chęć zdjęcia butów. Bailey zaprosił ich gestem, żeby usiedli.

Nad kominkiem wisiał oficjalny portret rodzinny. Bailey uśmiechał się z niego szeroko, stojąc obok atrakcyjnej ciemnowłosej kobiety. Jego ręka

spoczywała na ramieniu nastoletniego chłopca o idealnie gładkiej skórze, białych zębach i w starannie wyprasowanej koszuli. Joel Bailey, zgadywał Falk. Na ekranie telefonu Margot wyglądał zgoła inaczej.

Bailey podążył za jego spojrzeniem.

– Pojechałem do domu Alice, żeby zobaczyć, czy nie ma tam mojego syna Joela. Nie było go, przynajmniej tak myślę, więc odjechałem.

– Próbowalesz porozmawiać z Margot? – zapytała Carmen.

– Była w domu, prawda? Tak mi się wydawało. Nie, nie otworzyła mi drzwi. – Spojrzał na nich. – Rozmawialiście z nią? Czy wie, gdzie jest Joel?

– Co z Joelem? Znalazł się? – odezwał się czyjś głos.

W drzwiach stała ciemnowłosa kobieta z portretu i przyglądała się im. Podobnie jak jej mąż wyglądała na postarzałą ze zmartwienia. Była starannie ubrana, złota biżuteria pobłyskiwała w jej uszach i na jej szyi, ale w oczach świeciły łzy.

– Moja żona Michelle – przedstawił ją Bailey. – Mówiłem, że pojechałem do Margot Russell, zobaczyć, czy nie ma tam Joela.

– Dlaczego miałby z nią być? – Michelle nie kryła zdziwienia. – On nie chce mieć z nią nic do czynienia.

– Nie było go tam – powiedział jej mąż. – Ukrywa się u któregoś ze swoich przyjaciół.

– Czy przynajmniej powiedziałaś Margot, żeby zostawiła go w spokoju? Jeśli nie przestanie bombardować go tymi zdjęciami i filmikami, sama zgłoszę to na policję.

Falk odkaslnął.

– Nie sędzę, żeby istniało ryzyko, że Margot kiedykolwiek cokolwiek mu jeszcze prześle. Jest bardzo zdenerwowana tym, że te materiały znalazły się w sieci.

– A Joel może nie jest? On się denerwuje ze wszystkich najbardziej. Do tego stopnia, że nie może spojrzeć nam w twarz. Nie prosił się o nic z tego.

– Prosił o te zdjęcia – powiedziała Carmen. – Rzekomo.

– Nie. Nie prosił – odparła ostro. – Mój syn nigdy by czegoś takiego nie zrobił. Rozumiecie mnie?

Bailey zaczął coś mówić, ale żona nie dopuściła go do słowa.

– Nawet jeśli nastąpiła jakiegoś rodzaju pomyłka... – Wzrok Michelle poszybował do rodzinnego portretu. – Nawet jeśli flirtowali, na przykład, i Joel powiedział coś, co Margot źle zrozumiała, to czemu miałyby mu wysyłać takie zdjęcia? Czy ona nie ma żadnego poczucia własnej godności? Jeśli nie chciała, żeby te zdjęcia wylądowały w internecie, może powinna była pomyśleć o tym, zanim zaczęła się zachowywać jak mała dziwka.

Ledwie te słowa zdążyły wybrzmieć, Bailey skoczył na równe nogi i wyprowadził żonę z pokoju. Nie było go przez kilka minut. Falk słyszał stłumione dźwięki stanowczego, niskiego głosu i piskliwe odpowiedzi. Kiedy Bailey wrócił, był jeszcze bardziej spięty.

– Bardzo przepraszam za moją żonę, jest wstrząśnięta – westchnął. – To ona odkryła te zdjęcia i nagrania. Mamy nowy tablet w pokoju rodzinnym i telefon Joela musiał się z nim jakoś zsynchronizować. Pewnie przypadkowo, kiedy pobierał jakieś pliki, zapisał zawartość jego aparatu. Michelle wszystko zobaczyła i zadzwoniła do mnie. Byłem już w drodze, żeby wsiąść do busa i pojechać na tę cholerną wycieczkę – musiałem zawrócić. Joel był tu z kolegami. Odesłałem ich do domów i oczywiście zmusiłem syna do skasowania wszystkiego. Zrobiłem mu wykład.

– To dlatego spóźniłeś się na wycieczkę? – zapytał Falk, a Bailey skinął głową.

– W ogóle nie chciałem jechać, ale było już za późno, żeby się wycofać. To źle wygląda, jeśli szef się wycofuje. Poza tym... – zawahał się. – Pomyślałem, że będzie lepiej, jeśli ostrzegę Alice.

Falk zobaczył, że Carmen uniosła brwi.

– Mimo że zdjęcia zostały skasowane? – zapytała.

– Czułem, że to ważne. – W jego głosie pobrzmiwała cierpiętnicza nuta.

– I udało ci się to? Przestrzegłeś ją?

– Tak. Tamtej pierwszej nocy, kiedy wybraliśmy się do obozowiska kobiet. Dzwoniłem do Alice z drogi, ale nie udało mi się połączyć. Gdy dojechałem na miejsce, grupa kobiet była już na szlaku.

Falk przypomniał sobie, jak sam stracił kontakt ze światem, kiedy dojeżdżali do parku.

– Ale skąd ten pośpiech? – dopytywał. – Powiedziałeś, że zdjęcia zostały skasowane, więc czemu nie mogłeś poczekać do końca wycieczki? Albo w ogóle to przemilczeć?

– No tak. Osobiście też bym wolał, żeby z usunięciem zdjęć skończyła się cała ta sprawa, ale... – Spojrzał w kierunku drzwi, gdzie wcześniej stała jego żona. – Michelle była – jest – bardzo wzburzona. Zna numer telefonu Margot Russell. Kiedy jechałem, zacząłem się martwić, że mogłaby, sam nie wiem, chcieć powiedzieć, co ma do powiedzenia. Nie chciałem, żeby trzy dni później po powrocie z wycieczki na Alice czekały wiadomości od Margot ze skargami na moją żonę, podczas gdy ona wcześniej o niczym by nie wiedziała. Miałaby wtedy pełne prawo do pretensji.

Falk i Carmen popatrzyli na niego.

– Co powiedziałeś Alice? – zapytał Falk.

– Podejrzewałem, że nie chciałyby, żeby wszyscy się o tym dowiedzieli, więc wziąłem ją na stronę. – Cień bladego uśmiechu. – Prawdę powiedziawszy, to ja nie chciałem, żeby ktokolwiek się o tym dowiedział. Powiedziałem jej, że Joel miał pewne zdjęcia Margot, ale że zostały one już skasowane.

– Jak zareagowała?

– Na początku w ogóle nie chciała uwierzyć w te zdjęcia. Albo nie chciała uwierzyć mnie. – Znów spojrzął na drzwi. – Ale pewnie tego można się było spodziewać. Zapewniała mnie, że Margot nic takiego by nie zrobiła, ale kiedy powiedziałem, że widziałem ją na tych zdjęciach na własne oczy, jej reakcja uległa zmianie. Zaczęło to do niej docierać, pytała, czy komuś je pokazałem albo czy miałem taki zamiar. Powiedziałem, że nie, oczywiście,

że nie. Nadal starała się dobrze zrozumieć sytuację. Nie mogłem jej winić. Sam miałem z tym problemy. – Spojrzał na swoje dłonie.

Falk przypomniał sobie, jak Jill Bailey zapewniła go, że jej brata pochłaniają sprawy rodzinne.

– Czy powiedziałeś siostrze, co się stało?

– Podczas wycieczki? – Bailey potrząsnął głową. – Nie wszystko. Powiedziałem jej, że się spóźniłem, ponieważ przyłapaliśmy Joela na oglądaniu niestosownych zdjęć. Nie wspomniałem o Margot. Uważałem, że ta decyzja należy do Alice, jako jej matki. – Westchnął. – Musiałem jednak sam jej to powiedzieć, kiedy okazało się, że Alice zaginęła.

– Jak zareagowała?

– Była zła. Uważała, że powinienem był powiedzieć jej wszystko tamtego pierwszego wieczoru. I pewnie miała rację.

Carmen oparła się na krześle.

– Jak więc te zdjęcia trafiły do internetu? Margot powiedziała nam, że są tam od wczoraj.

– Szczerze mówiąc, nie wiem. Przyjechałem do domu jak najszybciej, gdy tylko dowiedziałem się o tym od żony. Ona dowiedziała się od innej mamy. – Pokręcił głową. – Nie wiem, czy to coś zmienia, ale naprawdę nie sądzę, żeby to Joel je rozpowszechnił. Długo rozmawialiśmy o szacunku i prywatności i naprawdę wyglądało na to, że to zrozumiał.

Falk pomyślał, że w tym momencie Daniel Bailey brzmiał zupełnie jak jego żona.

– U Joela było kilku przyjaciół, kiedy żona odkryła te zdjęcia – mówił dalej. – Myślę, że w zamieszaniu, które nastąpiło, jeden z nich mógł je skopiować. – Obrócił w dłoni swój telefon komórkowy. – Bardzo bym chciał, żeby Joel odebrał swój cholerny telefon i wszystko nam wyjaśnił.

Przez chwilę było słyhać tylko trzask drewna w kominku.

– Dlaczego nie wspomniałeś o tym, kiedy rozmawialiśmy po raz pierwszy?

– Staralem się uszanować prywatność dzieciaków, nie pogarszać ich sytuacji.

Falk spojrział na niego i po raz pierwszy Bailey nie był w stanie spojrzeć mu w oczy. Musiało być coś jeszcze. Falk pomyślał o Margot, tak młodej i samotnej, stojącej w kuchni swojej matki.

– Ile lat ma Margot na tych zdjęciach?

Bailey zamruął i Falk wiedział, że trafił w sedno.

– Jeśli ktoś sprawdzi daty, kiedy te zdjęcia zostały zrobione, to okaże się, że Margot miała wówczas piętnaście lat, prawda?

Bailey pokręcił głową.

– Nie wiem.

Falk był pewien, że to nieprawda.

– Ile lat ma teraz twój syn?

Długie milczenie.

– Dopiero co skończył osiemnaście. Ale kiedy się spotykali, miał zaledwie siedemnaście.

– Ale teraz już nie – wtrąciła się Carmen. – Teraz jest z punktu widzenia prawa dorosłym, który mógł rozpowszechnić zdjęcia osoby nieletniej o treści seksualnej. Mam nadzieję, że macie dobrego adwokata.

Bailey siedział na swojej drogiej kanapie obok kominka i podniósł wzrok na swojego uśmiechniętego syna na portrecie rodzinnym. Pokiwał głową, ale nie był zadowolony.

– Mamy.

Dzień 3: Sobotnia noc

Alice nie było od dłuższego czasu, zanim któraś z nich się zorientowała.

Bree nie była pewna, jak długo wpatrywała się w płomienie, kiedy

dotarło do niej, że przy ognisku siedzą tylko we cztery. Rozejrzała się po polanie, ale nie było za dużo widać. Front chaty był podświetlony na pomarańczowo, jego kąty tworzyły głębokie cienie w świetle ogniska. Wszystko inne spowijała zupełna ciemność.

– Gdzie jest Alice?

Lauren podniosła wzrok.

– Wydaje mi się, że poszła za potrzebą.

Po drugiej stronie ogniska Jill zmarszczyła brew.

– To było już dość dawno, prawda?

– Naprawdę? Sama nie wiem.

Bree też nie wiedziała. Czas płynął tutaj inaczej. Przyglądała się płomieniom przez kolejne kilka minut, a może przez wiele minut, zanim Jill się poruszyła.

– Gdzie ona właściwie jest? Niemożliwe, żeby odeszła tak daleko, żeby nie widziała ogniska, prawda? – Wyprostowała się i zawołała: – Alice!

Nasłuchiwały. Bree usłyszała za sobą jakiś szelest. Opos, powiedziała sobie. Poza tym cisza.

– Może nie słyszała – powiedziała Jill. Po czym dodała ciszej: – Jej plecak nadal jest w chacie, prawda?

Bree wstała, żeby sprawdzić. W środku mogła tylko rozróżnić kształty pięciu plecaków. Nie potrafiła stwierdzić, który jest Alice, więc dla pewności przeliczyła je jeszcze raz. Pięć. Wszystko się zgadza. Kiedy obróciła się, żeby wrócić do ogniska, przez boczne okno zauważyła jakiś ruch. Sylwetka idąca tuż przy drzewach. Alice.

Co ona tam robiła? Trudno powiedzieć. Aż nagle Bree dostrzegła poświatę. Westchnęła i wróciła do pozostałych koleżanek.

– Alice jest tam, z boku chaty. – Wskazała. – Sprawdza telefon.

– Ale jej plecak nadal jest w środku? – upewniła się Jill.

– Tak.

– Możesz ją tu sprowadzić? – Jill popatrzyła w ciemność. – Proszę. Tak

bardzo się boję, żeby któraś nie zgubiła się po ciemku.

Bree rozejrzała się, bo znów coś zaszeleściło między drzewami. To naprawdę oposy, zganiła sama siebie.

– Dobrze.

Z dala od ogniska było znacznie ciemniej i Bree potykała się na nierównym terenie, płomienie tańczyły jej przed oczami, czy miała je otwarte czy zamknięte. Nabrała powietrza i zatrzymała się, żeby przyzwyczać wzrok do ciemności. Po chwili zaczęła lepiej rozróżniać otoczenie. Dostrzegła postać przy drzewach.

– Alice!

Alice podskoczyła i obróciła się na dźwięk swojego imienia. Telefon świecił w jej dłoni.

– Hej – powiedziała Bree. – Nie słyszałaś, jak cię wołałyśmy?

– Nie, przepraszam, kiedy?

Alice miała dziwny wyraz twarzy, gdy Bree podeszła bliżej, wydawało się jej, że ma łzy w oczach.

– Przed chwilą. Wszystko dobrze?

– Tak. Myślałam... Przez chwilę myślałam, że znalazłam sygnał.

– O Boże, naprawdę? – Bree niemal wyrwała jej telefon. Powstrzymała się w ostatniej chwili. – Udało ci się do kogoś zadzwonić?

– Nie. Znikł zaraz, jak się pojawił. I już go więcej nie znalazłam. – Spuściła wzrok. – Sama już nie wiem, może mi się tylko wydawało.

– Mogę zobaczyć? – zapytała Bree, ale Alice stała w bezpiecznej odległości.

– Nic tu nie ma. Pewnie zobaczyłam to, co chciałam.

Na ekranie Bree dostrzegła kawałek imienia. Margot. Ostatni wybrany numer. Zawahała się. To był telefon Alice, ale wszystkie tkwiły tu po uszy. To zmieniało zasady. Bree nabrała powietrza.

– Powinnyśmy używać telefonu tylko po to, żeby dzwonić pod numer ratunkowy.

– Wiem.

– Rozumiem, że jest ci ciężko. Wszystkie tęsknimy za swoimi domami i bliskimi, ale...

– Bree. Wiem o tym. I tak się nie połączyłam.

– Ale nawet kiedy tylko próbujesz się dodzwonić, zużywasz baterię, a nie wiemy, jak długo...

– Jezu, wiem o tym! – W oczach Alice połyskiwały łzy. – Po prostu chciałam z nią porozmawiać. Tylko tyle.

– Jasne. – Bree poklepała Alice po plecach. Było jej trochę niezręcznie, uświadomiła sobie, że nigdy nie dotykała swojej szefowej poza uściskiem dłoni.

– Wiem, że ona dorasta. – Alice otarła oczy rękawem. – Ale to nadal moje małeństwo. Nie zrozumiesz tego.

Nie, pomyślała Bree, widząc przed oczami to stłuczone ptasie jajko. Nadal trzymała dłoń na plecach Alice.

– Nie mów nic pozostałym. – Alice patrzyła teraz na nią. – Proszę.

– Przecież trzeba powiedzieć im o sygnale.

– Nie było sygnału. Pomyliłam się...

– Nadal...

– To tylko robi im nadzieję. Będą chciały zadzwonić do kogoś. A przecież bateria jest na wyczerpaniu.

Bree nic nie powiedziała.

– Zgoda?

Bree opuściła rękę z pleców Alice, ale ona złapała ją w mocny, niemal bolesny uścisk.

– Bree? No dalej, jesteś przecież na tyle mądra, żeby wiedzieć, że mam rację.

Długa cisza.

– Chyba tak.

– Dobra dziewczynka. Dziękuję. Tak będzie najlepiej.

Kiedy Bree pokiwała głową, Alice puściła jej dłoń.

Rozdział 18

Daniel Bailey wydawał się mały na tle swojego domu. Falk widział go w lusterku, jak patrzył za nimi, kiedy odjeżdżali. Brama z kutego żelaza otwarła się bezszelestnie, aby ich wypuścić.

– Ciekawe, kiedy Joel Bailey zamierza wrócić do domu i stawić czoła sytuacji – zastanawiał się Falk.

– Pewnie wtedy, kiedy będzie potrzebował, żeby mamusia zrobiła mu pranie. Co pewnie uczyni z przyjemnością – powiedziała Carmen, której zaburczało w brzuchu tak głośno, że było to słychać mimo pracy silnika. – Chciałbyś coś zjeść? Jamie nic mi pewnie nie zostawił w domu do jedzenia, jak wyjeżdżał. – Wyjrzała przez okno, kiedy mijali kilka luksusowych sklepów. – Ale nie wiem, gdzie tutaj można coś zjeść bez konieczności brania kredytu hipotecznego.

Falk zastanawiał się przez chwilę, ważąc w myślach różne możliwości.

– Możesz wpaść do mnie – powiedział, zanim się jeszcze na dobre zdecydował. – Coś ugotuję. – Zauważył, że wstrzymywał oddech, więc go wypuścił.

– Co na przykład?

W myślach przejrzał zawartość swoich szafek i zamrażarki.

– Spaghetti bolognese?

Falk dostrzegł w ciemności, że skinęła głową, wydawało mu się, że również się uśmiechnęła.

– Spaghetti bolognese u ciebie. – Z całą pewnością się uśmiechnęła, słychać to było w jej głosie. – Jakże mogłabym odmówić. Jedźmy.

Falk włączył kierunkowskaz.

Pół godziny później zajechali pod jego mieszkanie w dzielnicy St Kilda. Kiedy przejeżdżali obok zatoki, fale były wysokie i groźne, ich białe grzywy

połyskiwały w świetle księżyca.

Falk otworzył drzwi.

– Zapraszam.

W mieszkaniu panował chłód charakterystyczny dla miejsc zostawionych na kilka dni. Zapalił światło. Jego buty leżały nadal tam, gdzie je zdjął, żeby włożyć mocniejsze obuwie. Kiedy to było? Niecałe trzy dni temu. Wydawało się, że dużo więcej.

Carmen szła za nim i rozglądała się dookoła bezwstydnie. Czuł jej spojrzenie, kiedy zapalał wszystkie lampy w salonie. Grzejnik zabrzączał i niemal natychmiast zrobiło się cieplej. Pokój pomalowany był na neutralną biel, jedynym źródłem koloru były półki z książkami stojące pod ścianą. Oprócz nich na umeblowanie pokoju składały się stół stojący w rogu i kanapa naprzeciwko telewizora. Falkowi przyszło do głowy, że pomieszczenie wydaje się mniejsze, kiedy jest z nim jeszcze jedna osoba, ale nie w nieprzyjemny sposób. Próbował przypomnieć sobie, kiedy ostatnio ktoś u niego był. W każdym razie było to dawno.

Nie czekając na zaproszenie, Carmen usiadła na stołku przy blacie oddzielającym skromną kuchnię od pokoju.

– Jakie ładne – powiedziała, podnosząc jedną z dwóch zrobionych na drutach lalek leżących na kopertach bąbelkowych. – To na prezent czy zaczynasz jakąś dziwną kolekcję?

Falk roześmiał się.

– Dzięki, to prezenty. Miałem wysłać je w tym tygodniu, ale nie udało mi się przy tym wszystkim. Są dla dzieci moich przyjaciół.

– Ach tak? – Podniosła koperty. – Czyli nie dla kogoś stąd?

– Nie. Jeden mieszka w Kiewarze, gdzie się urodziłem. – Otworzył drzwi szafki i skoncentrował się na jej zawartości, żeby nie musieć patrzeć jej w oczy. – A drugi nie żyje.

– Och, przykro mi.

– W porządku. – Starał się, żeby zabrzmiało to, jakby było prawdą. – Ale

jego mała córeczka dobrze sobie radzi. Nadal mieszka w Kiewarze z dziadkami. Te zabawki to spóźniony prezent urodzinowy. Musiałem poczekać dłużej, żeby wyszyli imiona dziewczynek. – Wskazał na napisy na sukienkach lalek. Eva Raco. Charlotte Hadler. Słyszał, że obie rosną jak na drożdżach. Sam ich jeszcze nie odwiedził i nagle poczuł z tego powodu wyrzuty sumienia. – Czy takie prezenty są w porządku? No wiesz, dla dzieci?

– Aaron, one są przepiękne. Jestem pewna, że dziewczynki je pokochają. – Carmen delikatnie włożyła je do kopert, podczas gdy Falk nadal przeglądał szafki.

– Chcesz się czegoś napić? – Wydobył z zakamarków butelkę wina i dyskretnie otarł ją z kurzu. Nawet w towarzystwie nie pił za dużo, a co dopiero w samotności. – Może być czerwone? Wydawało mi się, że gdzieś mam jeszcze butelkę białego, ale...

– Czerwone będzie idealne, dzięki. Daj, ja otworzę – powiedziała, sięgając po butelkę i dwa kieliszki. – Masz bardzo ładne mieszkanie. Schludne. Ja muszę dwa tygodnie sprzątać, żeby kogoś zaprosić. Jeśli mogę coś powiedzieć, to wydaje mi się tylko, że twój minimalizm osiągnął poziom zakonny.

– Nie ty pierwsza mi to mówisz. – Wsadził głowę do kolejnej szafki i wyciągnął z niej dwa duże garnki. Mięso mielone wyjął z zamrażarki i włożył do mikrofalówki, żeby się rozmroziło, a Carmen napełniła ich kieliszki winem.

– Nigdy nie miałam cierpliwości do zaleceń typu „pozwól winu pooddychać” – powiedziała, trącając jego kieliszek swoim. – Na zdrowie.

– Na zdrowie.

Falk czuł, jak przypatrywała mu się, kiedy nalewał olej i podsmażał na nim cebulę i czosnek, a gdy się zeszkliły, dodał do nich pomidory z puszki. Uśmiech nie schodził jej z twarzy.

– Co? – zapytał.

– Nic. – Popatrzyła na niego znad kieliszka, upijając łyk wina. – Po prostu przy całym tym twoim urządzonym po kawalersku mieszkaniu spodziewałam się sosu ze słoika.

– Nie rób sobie zbyt dużych nadziei, jeszcze go nie spróbowałam.

– Nie, ale pachnie dobrze. Nie wiedziałam, że umiesz gotować.

Uśmiechnął się.

– To pewnie za dużo powiedziane. Umieć zrobić to i kilka innych dań. Ale z gotowaniem jest tak jak z grą na pianinie, prawda? Wystarczy, że umiesz dobrze pięć kawałków, żeby przechwalać się w towarzystwie.

– Czyli to jest twoje popisowe danie, jak mówią w programach telewizyjnych?

– Jedno z nich. Są jeszcze cztery inne.

– Pięć dań to o cztery więcej, niż potrafi zrobić większość mężczyzn, zapewniam cię. – Zeskoczyła ze stołka. – Mogę włączyć wiadomości na chwilę?

Carmen wzięła pilota, nie czekając na odpowiedź. Dźwięk był przyciszony, ale Falk widział ekran kątem oka. Nie musiał długo czekać na interesujące ich wieści. Pasek na dole ekranu informował:

POWAŻNE OBAWY W SPRAWIE ZAGINIONEJ TURYSTKI Z MELBOURNE.

Na ekranie pojawiły się zdjęcia: najpierw Alice Russell sama, później z koleżankami, Martin Kovac, stare ujęcia jego ofiar, widok na Giralang Ranges.

– Mówią coś o jego synu? – zawołał Falk z kuchni, ale Carmen zaprzeczyła ruchem głowy.

– Jeszcze nie. Wszystko to załedwie spekulacje.

Wyłączyła telewizor i zaczęła oglądać książki.

– Niezły księgozbiór.

– Jeśli chcesz, możesz jakąś pożyczyć – zaproponował. Dużo czytał, w większości beletrystykę, od obsypanych nagrodami pozycji aż po bezwstydną komercję. Zamieszał sos, pokój wypełnił się aromatem, a Carmen przyglądała się dalej. Przesuwała palcami po grzbietach książek, zawieszając spojrzenie na jakiejś od czasu do czasu. W połowie półki zatrzymała się i wyciągnęła coś spomiędzy powieści.

– Czy to twój tata?

Falk zamarł przy kuchence. Nie musiał patrzeć, żeby wiedzieć, o co pytała. Zamieszał energicznie w jednym z gotujących się garnków, zanim w końcu obrócił się do niej. Carmen podnosiła do góry fotografię, drugą trzymała w opuszczonej ręce.

– Tak, to on. – Falk wytarł ręce w ściereczkę i wziął od niej zdjęcie. Nie było oprawione, więc trzymał je za rogi.

– Jak miał na imię?

– Erik.

Falk nie widział go od czasu, kiedy pielęgniarka wydrukowała je i wręczyła mu po pogrzebie ojca. Fotografia przedstawiała go stojącego obok kruchego mężczyzny na wózku inwalidzkim. Twarz jego ojca była ściągnięta i blada. Obaj uśmiechali się, ale sztywno, jakby wykonywali polecenia osoby za obiektywem.

Carmen patrzyła na drugie zdjęcie.

– To jest naprawdę ładne. Kiedy zostało zrobione?

– Nie wiem, ale na pewno dawno temu.

Falk poczuł falę wzruszenia, kiedy na nie spojrzął. Nie było tak ostre jak tamto, ale uśmiechy na nim uwiecznione z pewnością nie były sztuczne. Musiał mieć na nim jakieś trzy lata i siedział tacie na barana, z obu stron trzymając się rękami jego twarzy i opierając brodę o jego głowę.

Szli ścieżką należącą do ich gospodarstwa, a jego tata wskazywał na coś w oddali. Falk wielokrotnie i bez powodzenia starał się przypomnieć sobie, co to mogło być. Cokolwiek to było, sprawiło, że obaj się śmiali. Scena była

skapana w złotym świetle – czy była to kwestia pogody czy procesu wywoływania zdjęcia, nie wiadomo – robiąc wrażenie nigdy niekończącego się lata.

Falk nie widział tej fotografii przez całe lata, kiedy znalazł ją w plecaku ojca przyniesionym z hospicjum. Nie wiedział nawet, że ojciec ją miał cały czas przy sobie. Spośród wszystkich rzeczy, które w jego życiu poszły nie tak, Falk najbardziej żałował, że ojciec nie pokazał mu tego zdjęcia za życia.

Nie wiedząc, jak zachować się w całej tej sytuacji – śmierć ojca, jego pogrzeb, konieczność rozdysponowania jego rzeczy – Falk schował na dno szafy jego plecak z mapami, a zdjęcia wsunął między ulubione książki.

– Wyglądasz jak on – powiedziała Carmen, przyglądając się zdjęciu z bardzo bliska. – Oczywiście nie chodzi mi o to zdjęcie ze szpitala.

– Wiem, wtedy był już bardzo chory. Niedługo później zmarł. Kiedyś byliśmy do siebie bardziej podobni.

– Tak, to naprawdę widać na tym zdjęciu z twojego dzieciństwa.

– Wiem. – Miała rację.

– Nawet jeśli nie zawsze się między wami układało, musisz za nim tęsknić.

– Oczywiście. Bardzo mi go brakuje. Był w końcu moim tatą.

– Ale nie powiesiłeś tego zdjęcia.

– Nie. Nie jestem zbyt dobry w dekorowaniu przestrzeni. – Spróbował zażartować, ale ona się nie roześmiała. Patrzyła na niego uważnie znad kieliszka.

– To naturalne, że możesz żałować.

– Czego?

– Tego, że nie byliście sobie bardziej bliscy.

Nic nie odpowiedział.

– Nie ty pierwszy byś się tak czuł po śmierci rodzica.

– Wiem.

– Zwłaszcza że pewnie obwiniasz się, że mogłeś postarać się bardziej.

– Carmen. Dziękuję. Wiem o tym. – Odłożył drewnianą łyżkę i spojrzał na nią.

– To dobrze. Tak tylko mówiłam, na wypadek gdybyś nie wiedział.

Nie mógł powstrzymać uśmiechu.

– Przypomnij mi, jesteś po psychologii czy...

– Mam naturalne wyczucie. – Uśmiech na jej ustach zbladł. – Naprawdę szkoda, że wasze drogi się rozeszły, bo wygląda na to, że byliście ze sobą szczęśliwi, kiedy byłeś młodszy.

– No tak. Ale on zawsze był trochę trudny i zdecydowanie zbyt skryty.

– Trochę jak ty?

– Nie. Zdecydowanie bardziej. Zawsze trzymał ludzi na dystans. Nawet tych, których dobrze znał. Był też małomówny, więc trudno było wywnioskować, co myślał przez większość czasu.

– Co ty powiesz?

– Tak. Chodzi mi o to, że pod koniec życia został zupełnie sam...

– Jasne.

– Czyli nie potrafił nawiązać żadnych bliskich relacji.

– O mój Boże, Aaron, czy ty słyszysz, co mówisz?

Musiał się uśmiechnąć.

– Wiem, jak to brzmi, ale to wcale nie tak. Gdybyśmy byli do siebie aż tak podobni, układałoby się między nami znacznie lepiej. Zwłaszcza po tym, jak przeprowadziliśmy się do miasta. Potrzebowaliśmy się nawzajem. Trudno było nam się przyzwyczaić przez pierwszych kilka lat. Tęskniłem za naszym gospodarstwem, za naszym starym życiem, ale on zdawał się tego nie rozumieć.

Carmen przechyliła głowę.

– A może właśnie rozumiał, bo jemu też było ciężko, i dlatego zapraszał cię na wycieczki w weekendy.

Falk przestał mieszać i patrzył na nią intensywnie.

– Nie patrz tak na mnie – powiedziała. – Wiesz lepiej. Ja nigdy nawet nie

widziałam twojego ojca. Chodzi mi tylko o to, że większość rodziców naprawdę chce dla swoich dzieci jak najlepiej. – Wzruszyła ramionami. – Tylko spójrz na Baileyów i ich niewydarzonego potomka. W ich oczach nie może zrobić nic złego, nawet jeśli zobaczą to na zdjęciach. Wygląda na to, że nawet taki psychol jak Martin Kovac spędził ostatnie lata swojego życia, martwiąc się o to, że jego syn zaginął.

Falk wrócił do mieszania, zastanawiając się, co na to wszystko odpowiedzieć. W ciągu ostatnich kilku dni obraz ojca, który miał w głowie, zaczął się zmieniać.

– Pewnie tak – powiedział w końcu. – I tak, żałuję, że lepiej sobie pewnych spraw nie wyjaśniliśmy. Oczywiście, że tak. Wiem, że powinienem był starać się bardziej. Po prostu zawsze miałem wrażenie, że ojciec nie chciał w niczym wyjść mi naprzeciw.

– Ty wiesz najlepiej. Ale to ty zostałeś z ostatnim zdjęciem ojca wciśniętym między książki. Wydaje mi się, że zrobiłeś dla niego dużo więcej, niż ci się wydaje. – Wstała i wsunęła zdjęcia tam, skąd je wzięła. – Nie rób min. Obiecuję, że od tej pory nie będę wtykać nosa w twoje sprawy.

– Aha, to dobrze. Kolacja gotowa.

– Świetnie. To powinno przynajmniej na chwilę zamknąć mi usta. – Uśmiechała się do niego, dopóki się jej nie odwzajemnił.

Falk nałożył na talerze makaron i sos i zaniósł je na stolik w rogu.

– Tego właśnie było mi trzeba – powiedziała Carmen z pełnymi ustami. – Dzięki. – Zmiotła jedną czwartą zawartości talerza, zanim oparła się na krześle i otarła usta serwetką. – Chcesz porozmawiać o Alice Russell?

– Nie bardzo – odparł. – A ty?

Pokręciła głową.

– Pomówmy o czymś innym. – Upiła kolejny łyk wina. – Na przykład o tym, kiedy twoja dziewczyna się stąd wyprowadziła?

Falk spojrział na nią zaskoczony z widelcem w pół drogi do ust.

– Skąd wiesz?

Roześmiała się cicho.

– Skąd wiem? Aaron, mam oczy. – Wskazała na dużą pustą przestrzeń obok kanapy, gdzie kiedyś stał fotel. – Albo jest to najagresywniej minimalistyczne mieszkanie, w jakim kiedykolwiek byłam, albo nie postawiłeś nic w miejscu, gdzie kiedyś stały jej rzeczy.

Wzruszył ramionami.

– Wyprowadziła się jakieś cztery lata temu.

– Cztery lata! – Carmen odstawiła kieliszek. – Myślałam, że powiesz: miesiące. Bóg mi świadkiem, że nie dbam o swój dom jakoś szczególnie, ale to jest przesada. Cztery lata. Na co czekasz? Potrzebujesz, żeby cię podwieźć do Ikei?

Roześmiał się.

– Nie. Po prostu nigdy się do tego nie zabrałem. Nie mam potrzeby. Mogę siedzieć tylko na jednej kanapie naraz.

– Tak, wiem. Ale chodzi o to, żeby zapraszać do siebie ludzi – i oni wtedy siedzą na innych twoich meblach. To jest naprawdę dziwne. Nie masz fotela, ale za to masz – wskazała na drewnianą konstrukcję kurzącą się w kącie – to. Co to w ogóle jest?

– Stojak na magazyny.

– Nie widzę na nim żadnych gazet.

– Nie, bo ich nie czytam.

– Czyli zabrała fotel, ale zostawiła stojak.

– Zgadza się.

– Nie do wiary! – Carmen pokręciła głową w udawanym niedowierzaniu.

– Jeśli kiedyś potrzebowałeś potwierdzenia, że lepiej ci bez niej, to stoi ono tam w rogu. Jak miała na imię?

– Rachel.

– Co poszło nie tak?

Falk spuścił wzrok na talerz. Starał się nie myśleć o tym zbyt często. Kiedy myślał o niej w ogóle, wspominał, jak się do niego uśmiechała. Na

samym początku, kiedy wszystko było takie obiecujące. Napełnił ich kieliszki.

– To co zwykle. Po prostu się rozeszliśmy. Wyprowadziła się. To była moja wina.

– No, jestem w stanie w to uwierzyć. Zdrowie. – Podniosła swój kieliszek.

– Proszę? – Niemal parsknął śmiechem. – Jestem prawie pewien, że nie powinnaś tak mówić.

Spojrzała na niego.

– Przepraszam, ale jesteś dorosły, dasz sobie z tym radę. Chodzi o to, że równy z ciebie gość, Aaron. Słuchasz, wydaje się, że ci zależy, i starasz się być w porządku wobec innych. Jeśli doprowadziłeś ją do stanu, w którym się wyprowadziła, to mogłeś to zrobić tylko celowo.

Już miał zaprotestować, ale się rozmyślił. Może to była prawda?

– Ona nie zrobiła nic złego – powiedział w końcu. – Chciała tego, czego nie potrafiłem jej dać.

– Czego na przykład?

– Chciała, żebym trochę mniej pracował, trochę więcej z nią rozmawiał, pojechał czasem na wakacje, może się z nią ożenił, sam nie wiem. Chciała, żebym poprawił stosunki z ojcem.

– Tęsknisz za nią?

Pokręcił głową.

– Już nie – powiedział szczerze. – Ale czasem myślę, że powinienem był jej słuchać.

– Może nie jest za późno.

– Jeśli chodzi o nią, to tak. Wyszła już za męża.

– Wygląda na to, że dobrze by ci zrobiło, gdybyście zostali razem – powiedziała Carmen. Wyciągnęła rękę i dotknęła lekko jego dłoni. Spojrzała mu w oczy. – Ale nie robiłabym sobie na twoim miejscu wyrzutów. Ona do ciebie nie pasowała.

– Nie?

– Nie, Aaronie Falk, nie jesteś człowiekiem, którego druga połówka powinna mieć stojak na magazyny.

– Bądźmy wobec niej uczciwi: nie zabrała go ze sobą.

Carmen roześmiała się.

– I od tej pory z nikim się nie spotykałeś?

Nie odpowiedział od razu. Pół roku wcześniej, w jego rodzinnym miasteczku. Dziewczyna, teraz już kobieta, z jego przeszłości.

– Ostatnio prawie do czegoś doszło.

– Ale się nie udało?

– Ona była... – zawahał się. Gretchen. Co mógł o niej powiedzieć? Jej oczy, jej blond włosy. Jej tajemnice. – Bardzo skomplikowana.

Tak bardzo zanurzył się w myślach o przeszłości, że niemal nie usłyszał swojego telefonu. Zanim po niego sięgnął, przestał już dzwonić.

Natychmiast odezwał się telefon Carmen. Wyciągnęła go z torebki, podczas gdy Falk sprawdzał, kto do niego dzwonił. Ich spojrzenia spotkały się, kiedy oboje podnieśli wzrok znad ekranów.

– Sierżant King?

Pokiwała głową, nacisnęła przycisk i przyłożyła telefon do ucha. Dzwonek telefonu nadal odbijał się echem w głowie Falka niczym odległe, ale zdecydowane ostrzeżenie.

Carmen słuchała. Po chwili zakryła słuchawkę dłonią i nadal słuchając swojego rozmówcy, powiedziała do Falka:

– Znaleźli chatę.

Poczuł przypływ adrenaliny.

– A Alice?

Zdecydowany ruch głową.

Nie.

Dzień 3: Sobotnia noc

Deszcz spadł nagle, przesłaniając gwiazdy i redukując ognisko do dymiących się zgliszczy. Wróciły do chaty, do swoich śpiworów i plecaków, które wyznaczały ich niewielką przestrzeń. Łomot deszczu o blaszany dach sprawiał, że chata wydawała się mniejsza. Jill miała wrażenie, że nic porozumienia, jaka nawiązała się między nimi przy ognisku, natychmiast się zerwała.

Trzęsa się. Nie była pewna, co było gorsze: ciemność czy chłód. Rozległ się głośny trzask i podskoczyła przerażona. Ciemność była zdecydowanie gorsza, uznała natychmiast. Nie była w tym odosobniona, ponieważ któraś z jej towarzyszek poruszyła się, żeby włączyć latarkę, którą położyła następnie na ziemi.

– Powinnyśmy oszczędzać baterie – zauważyła Alice.

Nikt się nie poruszył. Zirytowana sięgnęła po latarkę.

– Musimy oszczędzać baterie – powiedziała i wyłączyła światło.

– Czy telefon coś odbiera? – zapytała Jill, wstrzymując oddech.

Dźwięk poszukiwania i nagle nikłe niebieskie światełko.

– Nie.

– Jaki jest stan baterii?

– Piętnaście procent.

– Wyłącz go.

Światełko zniknęło.

– Może jak deszcz przestanie padać, coś się pojawi.

Jill nie miała pojęcia, jaki wpływ ma pogoda na sygnał, ale uczepliła się tej myśli. Może jak deszcz przestanie padać. Tak, to jest dobra myśl.

Po drugiej stronie izby pojawiło się inne światło. Tym razem silniejsze i Jill rozpoznała latarkę Beth.

– Jesteś głucha? – odezwała się Alice. – Musimy oszczędzać baterie.

– Dlaczego? – Głos Beth dotarł z jej zacisznego kąta. – Jutro zaczną nas szukać, to nasza ostatnia noc tutaj.

Alice roześmiała się.

– Oszukujesz sama siebie, jeśli sądzisz, że jutro uda się im nas znaleźć. Jesteśmy tak daleko od szlaku, że jutro nawet nie zaczną przeszukiwać tych okolic. Jedyna szansa, że jutro się znajdziemy, jest taka, że same na nich natrafimy.

Po chwili latarka zgasła. Beth wyszeptała coś pod nosem.

– Chcesz coś powiedzieć? – Alice nie dawała za wygraną.

Brak odpowiedzi.

Jill czuła zbliżający się ból głowy, kiedy usiłowała zastanowić się, co jeszcze mogą zrobić. Nie podobała się jej ta chata – ani trochę – ale przynajmniej stanowiła dla nich bazę. Nie chciała znów iść przez busz, gdzie drzewa konkurowały ze sobą o przestrzeń, a gałęzie ją szarpały i gdzie musiała wyteżać wzrok, żeby odnaleźć ścieżkę. Jednak kątem oka widziała ten nieszczęsny materac i myślała o tej dziwnej ciemnej plamie. Robiło się jej niedobrze na myśl, że trzeba będzie znów iść, ale myśl o pozostaniu tutaj również ją przerażała. Trzęsa się z zimna lub głodu, więc zmusiła się do wzięcia głębokiego oddechu.

– Sprawdźmy jeszcze raz plecaki. – Jej głos nawet w jej własnych uszach brzmiał dziwnie.

– Po co? – Jill nie była pewna, która się odezwała.

– Może znajdziemy jakieś jedzenie. Jesteśmy głodne i to nam nie pomaga. Sprawdźmy plecaki, kieszenie, cokolwiek. Starannie. Musi się przecież znaleźć choć jeden batonik lub paczka orzeszków.

– Już to robiłyśmy.

– To zróbmy jeszcze raz.

Jill zrozumiała, że wstrzymywała oddech. Usłyszała szelest materiału i dźwięk rozpinanych zamków.

– Alice, czy możemy włączyć latarkę? – Beth nie czekała na odpowiedź. Przynajmniej raz Alice się nie sprzeczała, za co Jill zmówiła w myślach modlitwę dziękczynną. *Proszę, niech któraś coś znajdzie.* Potrzebowały

jednego małego zwycięstwa, żeby podnieść morale. Poczwała, że któraś przysunęła się bliżej niej.

– Powinnyśmy sprawdzić plecak Beth – szepnęła jej Alice prosto do ucha.

– Hej! Słyszę cię, Alice. I nie, nie mam nic w plecaku.

– To samo mówiłaś wczoraj.

Beth poświeciła latarką prosto w oczy Alice.

– O co ci chodzi? – Alice drgnęła, ale nie cofnęła się. – Tak właśnie było, prawda? Skłamałaś, mówiąc wczoraj, że nie masz jedzenia. A miałaś.

Dźwięk nabieranego powietrza.

– Ale teraz nie mam.

– Więc nie będzie ci przeszkadzało, jeśli sprawdzimy. – Alice rzuciła się do przodu i wyszarpała Beth plecak z ręki.

– Hej!

– Alice! – wtrąciła się Bree. – Zostaw ją. Ona nic nie ma.

Alice zignorowała je obie, otwierając plecak i wkładając do niego głowę. Beth złapała go i pociągnęła tak mocno, że wykręciła Alice rękę.

– Jezu! Uważaj! – wrzasnęła Alice.

W świetle latarki oczy Beth były duże i czarne.

– To ty uważaj. Mam cię powyżej uszu.

– To masz szczęście, bo ja mam dość tego wszystkiego. Jutro o świcie idę stąd. Jeśli ktoś chce się przyłączyć, to zapraszam. Reszta może zostać tutaj i czekać na Bóg wie co.

Ból pulsował w głowie Jill. Odkasznąła. Zabrzmiało to dziwnie nienaturalnie.

– Już mówiłam, że się nie rozdzielamy.

– Jak już ja mówiłam, Jill – Alice obróciła się do niej – w tym momencie nie obchodzi mnie twoje zdanie. Ja idę.

Jill chciała nabrać powietrza, ale jej klatka piersiowa była spięta. Czuła, jakby nic nie zostało jej w płucach. Pokręciła głową. Naprawdę miała

nadzieję, że do tego nie dojdzie.

– Możesz odejść, ale nie z telefonem.

Rozdział 19

Przed świtem Falk znów siedział za kierownicą. Zaparkował przed mieszkaniem Carmen. Było już ciemno, kiedy siedem godzin wcześniej wyszła od niego, i nadal nie było jasno. Czekala na niego na chodniku, gotowa do drogi. Wsiadła, nie mówiąc dużo. Powiedzieli sobie już wszystko wczoraj, po telefonie sierżanta Kinga.

– Jak znaleźli chatę? – zapytał Falk, kiedy Carmen się rozłączyła.

– Najwyraźniej dostali cynk. Nie zdradził mi szczegółów. Powiedział, że do czasu, kiedy przyjedziemy, będzie wiedział więcej.

Kiedy Falk zadzwonił do biura, po drugiej stronie była cisza.

Nadal mają nadzieję, że znajdą ją żywą? Falk nie wiedział. *Jeśli ją znajdą żywą, może zacząć mówić najróżniejsze rzeczy.* Tak, to prawda. *To lepiej tam jedźcie. I nie zapomnijcie, że potrzebujemy tych umów.* Nie, raczej trudno byłoby mu o tym zapomnieć.

Znów jechali na zmianę. Podobnie jak poprzednio drogi były w większości puste. Mijali dobrze już im znany krajobraz, ale tym razem Falkowi bardzo się dłużyło.

Kiedy w końcu byli tuż przy parku, Falk zobaczył zielone światło neonu nad stacją paliw i skręcił. Myślał o tym, co ostatnio powiedział mu sprzedawca. *Jak znajdują plecak lub schronienie, następne może być już tylko ciało.* Mrugając, wszedł do budynku stacji. Za ladą stała kobieta.

– A gdzie tamten gość? – zapytał Falk, podając jej swoją kartę.

– Steve? Zachorował.

– Kiedy?

– Dziś rano.

– Co mu jest?

Kobieta spojrzała na niego podejrzliwie.

– Skąd mam wiedzieć?

Oddała mu kartę i odwróciła się plecami. Kolejny miejski dupek.

Falk zabrał kartę. Idąc do samochodu, cały czas czuł na sobie spojrzenie sprzedawczyni. Oko kamery śledziło wszystko bez emocji.

Jeśli wcześniej w schronisku panował rozgardiasz, to brakowało słowa, by określić to, co działo się teraz. Wszędzie kręcili się ludzie w kamizelkach odblaskowych oraz dziennikarze. Nie było gdzie zaparkować.

Falk wysadził Carmen przy wejściu do budynku recepcji, a sam ruszył na poszukiwanie miejsca. Sierżant King powiedział, że zostawi im instrukcje na recepcji. Falk w końcu był zmuszony zaparkować, blokując samochód jakiegoś strażnika.

Wysiadł, czekając na powrót partnerki, i zasunął kurtkę. Było zimniej, niż pamiętał. Po drugiej stronie parkingu wejście na szlak do wodospadu było zupełnie puste.

– Hej.

Falk obrócił się. Przez chwilę nie mógł rozpoznać tej kobiety. Wyciągnięta z kontekstu wyglądała inaczej.

– Bree. Wyszłaś ze szpitala.

– Tak, już wczoraj. Dzięki Bogu. Potrzebowałam powietrza. – Włosy miała schowane pod czapką, chłód zaróżowił jej policzki. Falk pomyślał, że wygląda całkiem ładnie.

– Jak twoja ręka?

– W porządku, dziękuję. Nadal trochę boli. – Spojrzała na bandaż wystający z rękawa kurtki. – Bardziej mnie martwi wszystko inne. Beth i ja mamy wyjechać dzisiaj. Jutro rano mam wizytę u specjalisty w Melbourne, ale... – Spojrzała na poszukiwaczy wsiadających do busa. Odsunęła kosmyk włosów, który wpadł jej do oka. Jej połamane paznokcie zostały elegancko spiłowane. – Ta chata nie była używana przez Martina Kovaca, prawda? – Nie starała się ukryć strachu w swoim głosie.

– Nie wiem – powiedział szczerze. – Policja będzie to ustalać.

Bree zaczęła obgryzać paznokcie.

– Co teraz będzie?

– Podejrzewam, że skoncentrują poszukiwania na terenie wokół chaty, by znaleźć ślad Alice.

Bree nie odzywała się przez minutę.

– Wiem, że sprawa Kovaca jest stara, ale ktoś jeszcze musiał wiedzieć o tej chacie, bo przecież powiadomił policję. Jeden z poszukiwaczy powiedział mi, że dlatego ją w ogóle znaleźli.

– Pewnie tak. W tej chwili nie wiem wiele więcej niż ty.

– Ale skoro ktoś wiedział o tej chacie, to mógł też wiedzieć, że tam byliśmy?

– Nie jestem pewien, czy o to w tym chodzi.

– Nie było cię tam. W niektórych miejscach drzewa rosną tak gęsto, że nic nie widać. Nie wiesz, jak to jest.

– Nie – przyznał. – Masz rację.

Patrzyli, jak grupa poszukiwaczy odjeżdża do parku.

– Przyszłam, bo chciałam ci podziękować – powiedziała Bree po jakiejś minucie.

– Za co?

– Za to, że zachowałeś się w porządku wobec Beth. Powiedziała mi, że przyznała się przed tobą, że jest na zwolnieniu. Niektórzy ludzie wyciągają z tego pochopne wnioski. Często traktują ją bardzo źle.

– Nie zrobiłem nic wielkiego. A jak ona się ma? Kiedy ostatnio rozmawialiśmy, wyglądała na trochę tym wszystkim przygniecioną.

Bree spojrzała na niego.

– Kiedy to było?

– Kilka nocy temu. Spotkałem ją przed schroniskiem. Patrzyła na deszcz.

– Och. Nie wspominała mi o tym. – Bree zmarszczyła brwi. – Piła?

Falk wahał się zbyt długo i zmarszczka Bree pogłębiła się.

– W porządku. Miałam swoje podejrzenia. Jest zestresowana.

Spodziewałam się tego.

– Myślę, że to naprawdę było to jedno piwo.

Bree pokręciła głową.

– Tylko jedno. Tylko dziesięć. Jej nie wolno i kropka. Ale to właśnie jest cała Beth. Zawsze chce być dobra, ale nigdy jej to nie wychodzi. – Bree urwała i spojrzała nad jego ramieniem w kierunku schroniska. Falk się obrócił. Na schodach, poza zasięgiem słuchu, stała postać i przyglądała się im. Za ciasna kurtka, krótkie włosy. Beth. Zastanawiał się, jak długo tam stała.

Falk uniósł rękę. Po chwili Beth odwzajemniła gest. Nawet z tej odległości widział, że się nie uśmiechała.

– Lepiej już wróć. Dzięki raz jeszcze – powiedziała Bree.

Falk oparł się o samochód i patrzył, jak Bree idzie przez parking. Beth obserwowała ją ze schodów schroniska. Nie ruszyła się, dopóki jej siostra nie stanęła obok niej.

Dzień 3: Sobotnia noc

Bree słyszała w uszach swój własny oddech. Alice stała pod ścianą.

Jill wyciągała rękę.

– Daj mi telefon.

– Nie.

– Gdzie on jest? W plecaku? Pokaż mi.

– Nie.

– To nie jest prośba! – Jill wyrwała jej plecak.

– Hej! – Alice próbowała go odzyskać, ale wymusnęła się jej z palców.

– Jeśli tak bardzo chcesz iść, Alice, to idź, do cholery! – Jill wsunęła rękę do środka, a po chwili, z pomrukiem sfrustrowania, wysypała jego zawartość

na ziemię. – Jesteś teraz zdana tylko na siebie i zasługujesz na to, żeby zdechnąć w jakimś rowie. Ale nie zabierzesz ze sobą telefonu.

– Jezu. – Alice przykucnęła, zbierając swoje rzeczy, a Jill przeszukiwała je. Mokry polar, kompas, butelka wody. Ale nie telefon.

– Nie ma go tu.

– Musi być w jej kurtce. – Głos Beth pojawił się znikąd i Bree aż podskoczyła.

Alice była przyparta do ściany w swoim kącie i przyciskała do piersi swoje rzeczy. Jill poświeciła jej latarką w oczy.

– Masz go w kurtce? Nie utrudniaj tego.

Alice drgnęła i odsunęła się.

– Nie dotykaj mnie.

– Ostatnia szansa.

Alice nic nie powiedziała. Beth rzuciła się na nią, chwytając ją za kurtkę obiema rękami.

– Pieprzysz od rzeczy, Alice. Z przyjemnością przeszukiwałam moje rzeczy, kiedy myślałam, że coś ukrywam.

Bree próbowała odciągnąć siostrę, podczas gdy Alice wykręcała się i piszcziała.

– Puszczaj mnie!

Beth wymacała jej kieszenie i z tryumfalnym okrzykiem wyciągnęła z jednej z nich swoją zdobycz. Telefon. Wolną ręką odepchnęła Alice.

Alice potknęła się, a następnie rzuciła na nią, żeby odzyskać komórkę. Mocowały się, aż w końcu wylądowały na stole pod ścianą, zrzucając z niego latarkę. Zapanowała ciemność. Bree słyszała dźwięki szamotaniny.

– Jest mój!

– Puszczaj!

Bree usłyszała swój własny krzyk.

– Przestańcie! – Nie była pewna, do kogo to mówiła. Coś ciężkiego przetoczyło się przez jej stopę. Latarka. Podniosła ją, potrząsnęła nią

i strumień światła ją oślepił. Skierowała go w kierunku odgłosów walki.

Alice i Beth leżały na ziemi w ciasnym uścisku. Bree niemal nie mogła ich rozróżnić w plątaninie kończyn, aż w pewnym momencie któraś z nich podniosła rękę. Bree zaczęła krzyczeć, ale było już za późno. Na ścianie pojawił się cień ręki Beth opadającej szybko i mocno. Trzask, jaki wydała, stykając się z policzkiem Alice, zatrzęsł całą chatą.

Rozdział 20

Carmen wyszła z budynku recepcji z mapą, na której znajdował się krzyżyk.

– Jedziemy tam – powiedziała, wsiadając do samochodu. – To dość daleko, jakieś czterdzieści minut. Najłatwiej dotrzeć tam Drogą Północną.

Falk spojrział na mapę. Krzyżyk znajdował się głęboko w buszu. Kilka kilometrów na północ, wąska droga przecinała zieleń.

Carmen zapięła pas.

– Sierżant King jest już na miejscu. Wszystko wskazuje na to, że jest tutaj Margot Russell.

– Chyba nie sama? – zapytał Falk.

– Nie. Widziałam Lauren w schronisku. Funkcjonariusz zajmujący się rodziną Margot przywiózł je tu dzisiaj rano. Margot nadal nie chce widzieć się ze swoim tatą, który zresztą też tutaj jedzie.

Kiedy wyjeżdżali z parkingu, Falk dostrzegł postać przypatrującą się im z wejścia do schroniska. Jedna z bliźniaczek, pomyślał. Z tej perspektywy nie wiedział która.

Wiatr świstał w koronach drzew, a Carmen odzywała się tylko, żeby nimi pokierować. Drogi stawały się coraz węższe, aż w końcu znaleźli się na ubitej ziemi, zmierzając w stronę tymczasowej bazy policyjnej.

Na miejscu dało się wyczuć dziwną mieszaninę zmartwienia i ulgi. W końcu jakiś przełom, choć nie taki, na jaki liczone. Kiedy wysiadali z samochodu, Falkowi mignęła przed oczami czerwona kurtka. Ian Chase stał obok grupy strażników parku. Kiedy ich zobaczył, skinął im głową i ruszył w ich kierunku.

– Hej, wiadomo coś? Znaleźli ją? Dlatego tu jesteście? – Jego wzrok cały czas uciekał w stronę buszu.

Falk spojrział na Carmen.

– Nic takiego nam nie wiadomo.

– Znaleźli chatę. – Ian nadal nie mógł skupić na nich wzroku. – Jej ciało może być niedaleko.

– No chyba że żyje.

Chase zamrugał, nie będąc w stanie zmienić głupiego wyrazu twarzy.

– Tak, oczywiście. Miejmy nadzieję, że tak jest.

Falk nie mógł go winić. Szanse były naprawdę znikome.

Oficer w schronisku powiadomił sierżanta Kinga, który teraz na nich czekał na skraju buszu. Jego twarz była szara, ale jego ruchy napędzała adrenalina. Pomachał im, kiedy się zbliżali, i spojrzał z uznaniem na ich buty.

– Dobrze. Przydadzą się wam. Chodźcie.

Prowadził ich przez busz. W ciągu minuty cały harmider za ich plecami ustąpił dziwnej ciszy przyrody. Falk zauważył kawałek taśmy policyjnej przyklejonej do drzewa, która wskazywała im drogę. Pod jego stopami ścieżka była ledwie widoczna, wyznaczały ją głównie ślady policyjnych butów.

– Jak się wam udało znaleźć w końcu to miejsce? – zapytał Falk.

Byli sami, ale King mówił ściszym głosem.

– Zadzwoił do nas osadzony z więzienia w Barwon. Jest byłym członkiem gangu motocyklowego, odsiaduje długi wyrok za napad i najwyraźniej ma już dość. Kiedy usłyszał w wiadomościach, że szukamy chaty, pomyślał, że może coś ugrać. Powiedział, że miał znajomych, którzy czasem sprzedawali narkotyki Samowi Kovacowi.

– Ach tak?

– Powiedział, że Sam lubił się przechwalać swoim ojcem, że wiedział więcej niż policja. Sam zabrał ich do chaty dwukrotnie. – King wskazał na nikłą ścieżynkę pod ich stopami. Gość nie był pewien, gdzie dokładnie jest chata, ale wiedział o Drodze Północnej i kilku innych charakterystycznych elementach krajobrazu – tam dalej jest na przykład wąwóz – dzięki którym

udało się nam zawęzić poszukiwania. Wydaje się, że ma jeszcze coś do powiedzenia. W tej chwili wypracowuje ze swoim prawnikiem szczegóły ugody.

– Wierzysz mi w sprawie Kovaca? – zapytała Carmen. – Nie sądzisz, że sam mógł się kiedyś natknąć na to miejsce i teraz koloryzuje?

– Oj, wierzymy mu jak najbardziej. – King westchnął. – Znaleźliśmy ludzkie szczątki.

Cisza.

– Czyje? – odezwał się w końcu Falk.

– Dobre pytanie.

– Ale nie Alice?

– Nie. – King pokręcił głową. – Zdecydowanie nie. Są stare. Znaleźliśmy też kilka innych interesujących rzeczy – sami zobaczycie – ale ani śladu Alice.

– Chryste – westchnęła Carmen. – Co się tam stało?

Gdzieś głęboko w buszu niewidoczne kukabury chichotały histerycznie.

– Kolejne dobre pytanie.

Dzień 3: Sobotnia noc

Do uszu Beth dotarł dźwięk jej dłoni zderzającej się z policzkiem Alice, a po chwili poczuła pieczenie. Odgłos niósł się po chacie, a jej gorąca teraz dłoń pulsowała i parzyła.

Beth wydawało się przez chwilę, że balansują na ostrzu noża, ale ona, one nadal mogły się z tej sytuacji wycofać. Przeprosić. Uścisnąć sobie ręce. Po powrocie zgłosić zażalenie do działu zasobów ludzkich. Ale nagle na zewnątrz zawiął wiatr, a Alice wydała cichy, rozzłoszczony dźwięk i wszystko przepadło. Kiedy podniósł się krzyk, dobiegał z każdej strony

izby.

Beth poczuła, jak Alice łapie ją za włosy i ciągnie jej głowę w dół. Straciła równowagę i wylądowała barkami na podłodze. Pod jej własnym ciężarem z płuc uszło całe powietrze. Czyjeś dłonie trzymały jej głowę w dole i czuła, jak brud obciera jej policzki, a w ustach – zgniliznę. Ktoś położył się na niej całym ciężarem. Alice. To musiała być ona. Będąc tak blisko, poczuła zapach jej ciała i jakaś część jej umysłu zdążyła się zdziwić. Alice nie wyglądała na kogoś, kto się w ogóle poci. Beth próbowała się wyrwać, ale jej ramiona były wygięte pod dziwnym kątem, więc tylko próbowała złapać Alice za ubranie, ale drogi wodoodporny materiał wymykał się jej palcom.

Poczuła inną parę rąk, która próbowała je rozdzielić. Bree.

– Zejdź z niej! – krzyczała Bree.

Beth nie była pewna, do kogo zwracała się jej siostra. Próbowała się uwolnić, ale nagle Bree straciła równowagę i upadła na nie. Wszystkie trzy przetoczyły się z trudem na bok, uderzając o nogę stołu, który się przewrócił. Beth usłyszała uderzenie i ktoś krzyknął z bólu. Chciała wstać, ale ktoś pociągnął ją za włosy. Uderzyła głową o podłogę na tyle mocno, że poczuła falę nudności wzbierającą w jej żołądku i wdzierającą się do gardła. Przed jej oczami białe plamki tańczyły w ciemności i Beth poczuła, jak pod ciężarem szarpiących i drapiących dłoni dziwnie się rozluźnia.

Rozdział 21

Ścieżka stawała się coraz trudniejsza, im dalej szli. Po godzinie niemal zupełnie znikła i znalazła się ponownie dopiero po tym, jak przekroczyli strumień. Wiła się, prowadząc do stromego spadku na jednej ze ścian wąwozu, o którym wspomniał King. Rzędy identycznych drzew zaczęły płatać Falkowi figle i tym większą czuł wdzięczność, widząc od czasu do czasu kawałek taśmy policyjnej na jakimś drzewie. Za nic nie chciałby szukać tego miejsca sam. Dziwna pokusa, żeby zboczyć ze ścieżki, nie opuszczała go ani na chwilę.

Coraz częściej dostrzegał z ulgą pomarańczowe kamizelki poszukiwaczy prześwitujące przez roślinność. Musieli zbliżyć się do chaty. Jakby czytając w jego myślach, drzewa powoli zaczęły ustępować i kilka kroków później Falk stanął na małej polance.

Na jej środku, otoczona policyjną taśmą, okrążona przez policjantów w odblaskowych kamizelkach, znajdowała się chatka.

Była dobrze zakamuflowana, w kolorach otaczającego ją buszu, i całkowicie opuszczona. Brakujące okna i wypaczone drzwi zionęły desperacją. Falk słyszał obok siebie oddech Carmen, a drzewa wokół nich zdawały się szeptać i wzdrygać. Wiatr powiał na polanie, a chatka zaskrzypiała.

Falk obrócił się powoli. Busz napierał z każdej strony. Poszukiwacze, mimo swoich kamizelek, byli ledwo widoczni pomiędzy drzewami. Pod nieodpowiednim kątem chatka musiała być zupełnie niewidoczna. Kobiety miały szczęście, że ją w ogóle znalazły. Szczęście albo pecha, poprawił się w myślach.

Jeden funkcjonariusz stał na straży z boku chaty, a drugi trochę dalej. U ich stóp plastikowe płachty coś zakrywały. Obie były trochę wklęsłe na

środku, ale poza tym nie można było się domyślić, co się pod nimi znajdowało.

Falk spojrzął na Kinga.

– Lauren powiedziała nam, że znalazły szczątki psa.

– Zgadza się, są tam. – King wskazał na leżącą bliżej, mniejszą płachtę i westchnął. – A jeśli chodzi o drugie znalezisko, to specjalista jest już w drodze.

Kiedy patrzyli, róg bliższej płachty uniósł się na wietrze i funkcjonariusz przykucnął, aby go poprawić. Falk zdołał dojrzeć płytki dół. Próbował sobie wyobrazić, jak musiały się czuć kobiety, które były tu same w ciemnościach. Podejrzewał, że nie jest w stanie.

Uświadomił sobie, że od zawsze miał niepokojące wrażenie, że pozostałe cztery kobiety szybko porzuciły Alice, kiedy uświadomiły sobie, że zniknęła. Ale teraz, gdy stał przed tą opuszczoną chatą, niemal sam słyszał niecierpliwy szept: *Odejdź stąd. Uciekaj*. Potrząsnął głową.

Carmen przyglądała się większej płachcie.

– Nigdy nie znaleźli ciała czwartej ofiary, Sarah Sondenbeg – powiedziała.

– To prawda – zgodził się King. – Nigdy jej nie znaleźli.

– Nic na to nie wskazuje na tym etapie? Sam pewnie musisz tak myśleć.

King wyglądał, jakby chciał coś powiedzieć, ale się rozmyślił.

– Musi na to popatrzeć specjalista. Wtedy będziemy wiedzieć więcej. – Podniósł taśmę zagrządzającą wejście do chaty. – Chodźcie, oprowadzę was wewnątrz.

Przeszli pod taśmą. Zapach zgnilizny i rozkładu przebijał się przez wszechogarniający zapach eukaliptusów. Wewnątrz było ciemno, przez okna wpadało niewiele światła. Stanęli na środku i po chwili Falk zaczął rozróżniać kształty, a następnie szczegóły. Kurz, który jeszcze niedawno zalegał wszędzie grubą warstwą, w wielu miejscach był poruszony. Stół stał pod ścianą pod dziwnym kątem, a wszędzie wały się liście i patyczki.

W drugim pomieszczeniu znajdował się materac naznaczony dziwną, niepokojącą plamą. A nieopodal stóp Falka, pod oknem na podłodze, widniał mokry jeszcze czarny ślad świeżej krwi.

Dzień 3: Sobotnia noc

Lauren nie mogła znaleźć latarki. Jej paznokcie drapały brudną podłogę, kiedy usłyszała uderzenie i skrzypnięcie stołu sunącego po ziemi. Dostrzegła, że sunie prosto na nią, ułamek sekundy przed tym, jak jego róg zahaczył o jej twarz.

Szok sprawił, że nie mogła złapać tchu i przewróciła się do tyłu, upadając całym ciężarem na kość ogonową. Jęknęła i oszołomiona leżała bez ruchu tuż pod oknem. Skaleczenie na jej czole znów zaczęło boleśnie pulsować i kiedy go dotknęła, jej palce były mokre. Myślała, że płacze, ale płyn pod jej oczami był zbyt gęsty. Kiedy to sobie uświadomiła, zwymiotowała.

Przeciągnęła palcami po oczach, żeby je oczyścić. Kiedy znów mogła widzieć, strzepnęła krew z dłoni na podłogę. Przez okno dostrzegła tylko chmury. Jakby nigdy nie było tam żadnych gwiazd.

– Pomocy! – krzyczała któraś, ale Lauren nie potrafiła stwierdzić która. Niemal zupełnie jej to nie obchodziło, ale znów usłyszała huk i zawodzenie. Latarka potoczyła się po podłodze, strumień światła odbijał się pod dziwnymi kątami, po czym uderzyła o ścianę i zgasła.

Lauren stanęła na nogi, z trudem podeszła do trójki leżącej na ziemi i próbowała rozdzielić zakrwawionymi rękami ten nienawistny uścisk. Nie miała pojęcia, którą z nich złapała. Obok niej ktoś usiłował zrobić to samo. Jill.

Palce Lauren natrafiły na ciało, w które wbiła paznokcie i mocno nimi przejechała, nie dbając o to, kogo drapie, chcąc tylko wpuścić między te

ciała trochę zimnego nocnego powietrza. Znikąd zamachnęła się na nią jakaś ręka i Lauren uchyliła się. Cios spadł na szczękę Jill, która stęknęła i zatoczyła się do tyłu, z rękami przyłożonymi do ust.

Ruch zachwiał równowagą grupy, jeszcze tylko jedno pociągnięcie Lauren i rozpadła się ona na trzy odrębne osoby. Nie było słychać nic oprócz przerywanych oddechów, a następnie szurania, kiedy każda z nich wróciła do swojego kąta.

Lauren oparła się o ścianę. Czoło ją piekło i bolał ją nadgarstek, który w szamotaninie jedna z kobiet wygięła jej do tyłu. Zastanawiała się, czy zaczął puchnąć, więc wsunęła palce pod plecioną bransoletkę od córki. Na razie wydawało się, że nic mu nie jest, był tylko obolały. Bransoletka zawsze była trochę luźna, Lauren nie musiała zdejmować jej nawet na wszelki wypadek.

Usiadła prościej i natrafiła na coś czubkiem buta. Sięgnęła i jej palce dotknęły gładkiego plastiku latarki. Włączyła ją. Nic się nie stało. Potrząsnęła nią. Nadal nic. Była zepsuta. Lauren poczuła, jak lęk wzbiera w jej piersi. Nie mogła znieść ani chwili dłużej w ciemnościach. Poruszając się na czworakach, macała na ślepo podłogę, aż w końcu jej dłoń zamknęła się na metalowym cylindrze. Latarka Beth.

Trzęsąc się, Lauren włączyła ją i zalała ją fala ulgi, kiedy ostre światło przeszło powietrze. Spojrzała na dół i zobaczyła na butach własną krew, czerwoną i rozmazaną, kolejna plama widniała na podłodze pod oknem. Odwróciła się z obrzydzeniem i rozejrzała po izbie.

– Czy wszyscy są cali?

Światło padło na Jill skuloną niedaleko przegrody z dykty. Jej usta były spuchnięte i we krwi. Cały czas trzymała się za szczękę. Wzdrygnęła się pod strumieniem światła i Lauren przesunęła go dalej. Usłyszała jeszcze, jak Jill splotuwa. Dalej na podłodze leżała Beth, pocierając tył głowy. Jej siostra siedziała pod ścianą wyprostowana jak struna, z oczami szeroko otwartymi z niedowierzania.

Dopiero po chwili Lauren znalazła Alice.

Stała przy drzwiach do chaty rozczochrana i zgrzana. I pierwszy raz od trzydziestu lat, odkąd się znały, Lauren zobaczyła, że Alice płacze.

Rozdział 22

Falk spojrział na krew rozbryzganą na podłodze.

– Wiemy, czyja to?

King pokręcił głową.

– Sprawdź to, ale ta jest świeża.

– A co z tą? – Falk wskazał na materac oparty o ścianę, który również został przykryty plastikową folią, jednak plama nadal była widoczna.

– Powiedziano mi, że to prawdopodobnie pleśń w zaawansowanym stadium, więc nie jest tak źle, jak to wygląda.

– Gdybyś tu utknął, wyglądałoby to bardzo źle – powiedziała Carmen.

– Tak, mogę to sobie dobrze wyobrazić – westchnął. – Jak już mówiłem, nie ma nic, co by wskazywało na to, co stało się z Alice. Kobiety powiedziały, że wzięła swój plecak, i faktycznie tutaj go nie ma, więc przynajmniej ma go ze sobą. Ale nie wygląda również na to, żeby tutaj wróciła, albo, jeśli jej się to udało, nie zostawiła dla nas żadnej wiadomości.

Falk rozejrzał się dookoła i pomyślał o wiadomości na swojej poczcie głosowej. *Skrzydźić ją*. Wyciągnął komórkę z kieszeni. Brak sygnału.

– Czy jest tu gdzieś sygnał? – zapytał.

– Nie. – King pokręcił głową.

Falk zrobił kilka kroków po izbie, słuchając skrzypienia i trzeszczenia desek. Nie ulegało wątpliwości, że było to nieprzyjemne miejsce, ale przynajmniej zapewniało dach nad głową. Noce za oknami schroniska były wystarczająco dzikie. Nie chciał myśleć, co musi przechodzić Alice wystawiona na działanie żywiołów.

– Co teraz? – zapytał.

– Przeszukujemy okolice, ale sam widziałeś, jak trudny to teren – powiedział King. – Busz w każdym kierunku wygląda tak samo. Mogą

minąć dni, zanim przeczemy najbliższe otoczenie. Jeśli pogoda będzie zła, zajmie to oczywiście więcej czasu.

– Którędy kobiety się stąd wydostały? – zapytała Carmen. – Tą drogą, którą przyszliśmy?

– Nie. My przyszliśmy najprostszą trasą od drogi. Za chatą znajduje się ścieżka biegnąca na północ. Trzeba się przeciskać między drzewami, żeby ją znaleźć, ale gdy już się na nią trafi, wszystko jest jasne. One szły tą właśnie drogą, kiedy natknęły się na chatę. Jeśli Alice próbowała się stąd wydostać, najprościej byłoby właśnie tamtędy.

Falk starał się skupić na słowach Kinga, ale nawet gdy go słuchał, wiedział, że jakaś część niego uczepiła się nadziei, że kiedy odnajdą chatę, odnajdą też Alice Russell. Że udało się jej do niej wrócić i że czeka w niej, przestraszona, może zła, ale żywa. Kiedy jednak przegniłe ściany skrzypiały, myśl o gęsto rosnących drzewach i grobach na zewnątrz, plamach krwi na podłodze sprawiała, że resztki nadziei go opuszczały.

Chata była pusta. Cokolwiek stało się Alice, była gdzieś na otwartym terenie. Mimo zawodzenia wiatru i trzeszczenia drzew Falk niemal słyszał dzwony bijące na pogrzeb.

Dzień 3: Sobotnia noc

Zapadła cisza, w której słyhać było tylko poszarpane oddechy. Drobinki kurzu unosiły się w świetle latarki. Jill dotknęła językiem ust. Wydawały się obrzmiałe i nadwrażliwe, a ząb na dole z prawej strony nieznacznie się chwiał. Było to dziwne uczucie, którego nie doświadczyła od dzieciństwa. Nagle przypomniały się jej dzieci, kiedy były małe. Wróżka zębuszka i dolarowe monety. Do oczu napłynęły jej łzy, a gardło się ścisnęło. Powinna zadzwonić do dzieci. Jak tylko się stąd wydostanie, zrobi to.

Jill poruszyła się i poczuła coś przy stopie. Latarka. Pochyliła się, żeby ją podnieść, i usiłowała włączyć. Bez skutku.

– Ta jest zepsuta. – Jej słowa były zniekształcone przez uszkodzone usta.

– Ta też – powiedziała któraś z sióstr.

– Ile nadal działa? – zapytała Jill.

– Tylko ta. – Strumień żółtego światła zalał ją, kiedy Lauren podała jej latarkę, którą sama trzymała. Jill poczuła konkretny ciężar w ręce i uświadomiła sobie, że to była ta należąca do Beth. Może to był najlepszy pomysł, żeby wziąć ją na wycieczkę.

– Jeszcze jakaś? – Brak odzewu. – Cholera.

Po drugiej stronie izby Jill zobaczyła, jak Alice wyciera sobie oczy. Jej włosy były splątane, a na policzkach miała brudne ślady. Już nie płakała.

Jill czekała, aż coś powie. Zażąda przeprosin. Zagrozi pozwem. Ale zamiast tego Alice po prostu usiadła i podciągnęła kolana pod brodę. Siedziała blisko drzwi skulona i bez ruchu. Z jakiegoś powodu wydało się to Jill jeszcze bardziej niepokojące.

– Alice? – odezwała się Bree z odległego kąta.

Brak odpowiedzi.

– Alice. – Bree spróbowała raz jeszcze. – Posłuchaj, Beth nadal jest na zwolnieniu warunkowym.

Wciąż cisza.

– Chodzi o to, że znów będzie musiała stawić się u sędziego, jeśli ty... – Nie dokończyła. Czekala. Żadnej reakcji. – Alice? Słuchasz mnie? Wiem, że cię uderzyła, ale ona będzie miała dużo kłopotów, jeśli to się rozniesie.

– I co z tego? – zapytała Alice pewnym głosem. Jej usta niemal się nie poruszały. Nadal nie podniosła wzroku.

– Nie rób z tym nic, dobrze? Proszę. – W głosie Bree pobrzmiwała nuta, której Jill wcześniej u niej nie słyszała. – Nasza mama jest chora. Ostatnio bardzo to przeżyła.

Żadnej odpowiedzi.

– Alice, proszę.

– Bree. – Głos Alice zabrzmiał naprawdę dziwnie. – Nie ma sensu prosić mnie o przysługę. Będziesz szczęściarą, jeśli za miesiąc wciąż będziesz miała pracę.

– Hej! – odezwała się hardo Beth. – Ani się waż jej grozić. Ona nie zrobiła nic poza ciężką pracą dla ciebie.

Alice spojrzała na nią. Jej słowa padły powoli i precyzyjnie, tnąc powietrze niczym nóż:

– Zamknij się, ty tłusta suko.

– Alice, wystarczy! – warknęła Jill. – Nie tylko Beth stąpa po cienkim lodzie, więc pilnuj się albo będziesz miała kłopoty, kiedy...

– Kiedy co? – Alice była szczerze zaintrygowana. – Kiedy przybędzie twoja wyimaginowana ekipa ratunkowa?

Jill już otwierała usta, żeby odpowiedzieć, kiedy nagle w przypływie paniki przypomniała sobie o telefonie. Zanim zaczęła się bójka, włożyła go do kieszeni kurtki i teraz zaczęła go gorączkowo szukać. Gdzie się podział? W głowie jej się zakręciło z poczucia ulgi, kiedy jej dłoń natrafiła na jego opływowy kształt. Wyjęła go z kieszeni i sprawdziła ekran, upewniając się, że nic mu się nie stało.

Alice się jej przyglądała.

– Wiesz, że to należy do mnie.

Jill nie odpowiedziała, tylko włożyła telefon z powrotem do kieszeni.

– Co teraz zrobimy? – zapytała Bree.

Jill westchnęła. Czowała się zupełnie wykończona. Była mokra, głodna i obolała. Jej brudne ciało napełniała ją obrzydzeniem. Czowała, że pozostałe kobiety naruszyły jej granice.

– No dobra – powiedziała tak wyważonym tonem, na jaki tylko mogła się zebrać. – Teraz się uspokojmy. Później wszystkie wyciągniemy śpiwory i uznamy całą tę sprawę za zakończoną. Przynajmniej na razie. Prześpijmy się trochę, a rano, kiedy rozjaśni się nam w głowach, ustalimy nowy plan

działania.

Nikt się nie poruszył.

– Proszę, zróbcie to teraz.

Jill pochyliła się, żeby otworzyć plecak. Wyciągnęła swój śpiwór i odetchnęła z ulgą, że pozostałe kobiety poszły w jej ślady.

– Alice, rozłóż swój śpiwór obok mojego – powiedziała.

Alice zmarszczyła brwi, ale choć raz nic nie powiedziała. Rozłożyła śpiwór we wskazanym miejscu i weszła do niego. Tylko Bree wyszła na zewnątrz, aby umyć zęby przy użyciu deszczówki. Jill była zadowolona, że Alice nie przyszło to do głowy, bo nie wiedziała, czy powinna spuszczać ją z oka.

Jill weszła do śpiwora, krzywiąc się, kiedy jego materiał przywarł do niej niczym mokry worek foliowy. Wyczuła telefon w kieszeni kurtki i zawahała się. Nie chciała jej zdejmować, ale wiedziała też, że w niej się nie wyśpi. Kaptur i zamki plątały się i przeszkadzały jej zeszłej nocy, a teraz będzie jej jeszcze trudniej wypocząć. Po chwili ściągnęła ją tak cicho, jak tylko potrafiła, i położyła ją obok głowy w śpiworze. Wydawało się jej, że Alice ją obserwuje, ale kiedy na nią popatrzyła, ta leżała na plecach i wpatrywała się w blaszany dach.

Jill zdawała sobie sprawę z tego, że wszystkie są zmęczone do granic możliwości. Potrzebowały odpoczynku, ale atmosfera w chacie była toksyczna. Jej głowa leżąca na twardych deskach podłogi pulsowała od bólu, wokół niej rozlegało się skrzypienie, kiedy każda z nich starała się znaleźć mniej niewygodną pozycję. Poczula jakiś ruch tuż obok.

– Wszyscy do spania – powiedziała. – Alice, jeśli w nocy będziesz musiała wyjść, obudź mnie.

Brak odpowiedzi.

Obróciła głowę. W ciemnościach prawie nic nie widziała.

– Dobrze?

– Czyżbyś mi nie ufała, Jill?

Jill nie chciało się nawet odpowiadać. Zamiast tego położyła dłoń na kurtce, upewniając się, że pod palcami wyczuwa kształt telefonu, i zamknęła oczy.

Rozdział 23

Falk odetchnął z ulgą, kiedy wyszli z chaty. Stali z Carmen za Kingiem na polanie i mrugali oczami.

– Ścieżka, którą poszły kobiety, wiedzie tamtędy. – King wskazał za chatę i Falk wyciągnął szyję, żeby zobaczyć. Nie widział żadnej ścieżki, tylko ściany drzew, między którymi od czasu do czasu przeświecała pomarańczowa kamizelka.

– Przeszukujemy to miejsce najszybciej, jak się da, ale... – King nie musiał kończyć. Busz rósł tu gęsto, postęp był więc powolny i łatwo było coś przeoczyć. Co oznaczało, że niektórych rzeczy nigdy się nie znajdzie.

Falk słyszał głosy nawołujące Alice i ciszę, kiedy poszukiwacze nasłuchiwali odpowiedzi, ale wydawało się, że sami nie wierzyli, że może nadejść. Falk się temu nie dziwił. Minęły już cztery dni. Jeden z poszukiwaczy wychylił się zza drzew i skinął na Kinga.

– Przepraszam na chwilę – powiedział King i odszedł z mężczyzną.

Falk i Carmen wymienili spojrzenia; plastikowa płachta u stóp funkcjonariusza powiewała na wietrze.

– Naprawdę mam nadzieję, że pod tamtym drzewem leży Sarah Sondenberg – powiedziała Carmen. – Dla dobra jej rodziców. Błaganie Kovaca o jakąkolwiek informację może złamać człowieka na całe życie. Pozostałe rodziny mogły przynajmniej wyprawić pogrzeb.

Falk podzielał nadzieję Carmen. Nie wiedział, na co liczyć, jeśli to nie była Sarah.

Obrócił się i przyjrzał chacie. Została solidnie zbudowana, ale teraz to, że w ogóle stała, zakrawało na cud. Sądząc po stanie drewna, była dużo starsza niż sprawa Kovaca. Kto ją zbudował? Jakiś strażnik w ramach dawno zapomnianego programu? Miłośnik przyrody w czasach, kiedy prawo nie

regulowało jeszcze kwestii parku narodowego? Zastanawiał się, czy zawsze tchnęło od niej takim osamotnieniem.

Podszedł do drzwi, otworzył je i zamknął parę razy. Zawiasy były tak przegniłe, że niemal nie skrzypiały. Podobnie jak drewniana framuga.

– Nie hałasuj. Pewnie dałoby się wymknąć przez nie, nie budząc nikogo. Albo wśliznąć do środka.

Carmen sprawdziła to sama.

– Na tył chaty nie wychodzą żadne okna, więc ze środka kobiety nie mogłyby zobaczyć Alice kierującej się na północną ścieżkę.

Falk przypominał sobie wszystko, co powiedziały mu kobiety, i starał się wyobrazić, jak mogło to wyglądać. Powiedziały, że obudziły się, a Alice już nie było. Jeśli poszła sama, zakradłaby się na tył chaty i zniknęła w ciemności. Wiadomość na jego poczcie głosowej została nagrana o 4.26 nad ranem. *Skrzydź ję*. Cokolwiek przydarzyło się Alice Russell, prawie na pewno stało się pod osłoną nocy.

Spojrzał na drugą stronę polanki. King nadal był zajęty rozmową. Gdzieś za chatą znajdowała się ścieżka na północ.

– Przespacerujemy się? – zapytał Carmen.

Ruszyli przez wysoką trawę w kierunku drzew. Falk oglądał się za siebie co parę kroków. Nie uszli za daleko, kiedy chata zniknęła im z oczu. Obawiał się trochę, że nie znajdą ścieżki w ogóle, ale jak się okazało, niepotrzebnie. Kiedy ją zobaczyli, nie mieli wątpliwości. Była wąska, ale konkretna. Kamieniste podłoże sprawiło, że deszcz nie zamienił jej w strugę błota.

Carmen stanęła na jej środku i popatrzyła to w jedną, to w drugą stronę.

– Północ jest chyba tam. – Wskazała, lekko marszcząc brwi. – Musi tak być, choć niełatwo to stwierdzić.

Falk obrócił się lekko zdezorientowany. Busz był identyczny po obu stronach. Popatrzył w kierunku, skąd przyszli, ale nie mógł dostrzec żadnych pomarańczowych kamizelek.

– Tak, masz rację. Tam musi być północ.

Ruszyli. Na ścieżce było tylko tyle miejsca, żeby mogli iść ramię w ramię.

– Co byś zrobiła na ich miejscu? – zapytał. – Zostałabyś czy starała się stąd wydostać?

– Uwzględniając fakt, że jedną z nich ukąsił wąż, starałabym się dotrzeć do cywilizacji. Nie ma innego wyboru. A gdyby do tego nie doszło? –

Zastanowiła się przez chwilę. – Chyba bym została. Sama nie wiem. Nie miałabym na to ochoty ze względu na stan chaty, ale chyba bym została. Zabunkrowałabym się i miała nadzieję, że ekipa ratunkowa do mnie dotrze. A ty?

Falk sam zadawał sobie to pytanie. Zostać na miejscu, nie wiedząc, kiedy i czy w ogóle ktoś tutaj dotrze? Iść, nie wiedząc właściwie gdzie? Otworzył usta, żeby coś powiedzieć, sam nie wiedział co, kiedy coś usłyszał.

Ciche piknięcie.

Zatrzymał się.

– Co to było?

Carmen, o pół kroku przed nim, odwróciła się.

– Co?

Nie odpowiedział. Słuchał. Nie docierało do niego nic oprócz szumu wiatru w koronach drzew. Czy się przesłyszał?

Bardzo chciał, żeby dźwięk się powtórzył. Nie stało się tak, ale był w stanie odtworzyć go dokładnie w swojej pamięci. Krótki, cichy i z całą pewnością elektroniczny. Zajęło mu ułamek sekundy, zanim go zidentyfikował. Włożył rękę do kieszeni, wiedząc, że ma rację. Zazwyczaj słyszał ten dźwięk kilkanaście razy w ciągu dnia. Tak często, że prawie go nie zauważał. Wśród buszu, poza swoim zwykłym kontekstem, zabrzmiał on tak dziwnie i nienaturalnie, że Falk się wzdrygnął.

Ekran jego komórki był podświetlony. Wiadomość tekstowa. Nie zawracał sobie głowy sprawdzaniem, co w niej jest, sam dźwięk

powiadomienia powiedział mu wszystko, co chciał wiedzieć. Miał zasięg.

Falk wyciągnął telefon do Carmen, żeby zobaczyła na własne oczy. Sygnał był słaby, ale był. Zrobił krok w jej kierunku. Sygnał zniknął. Cofnął się z powrotem i znów się pojawił. Zrobił krok w przeciwnym kierunku. Znów nic. Sygnał był tylko w tym jednym małym miejscu. Słaby i zanikający, ale być może wystarczył do nagrania jednej przerywanej wiadomości.

Carmen odwróciła się i zaczęła biec. Z powrotem między drzewami do chaty, podczas gdy Falk stał bez ruchu w tym konkretnym miejscu. Wpatrywał się w ekran, na którym ikonka sygnału pojawiała się i znikła, nie ważąc się spuścić jej z oka. Po chwili wróciła Carmen, a za nią biegł bez tchu sierżant King. Spojrzał na ekran Falka, wyciągnął radio i wezwał poszukiwaczy. Zaczęli przeszukiwać busz po obu stronach ścieżki, pomarańczowe kamizelki nikły w mroku przyrody.

Skrzywdzić ją.

Nie minęło piętnaście minut, a znaleźli plecak Alice Russell.

Dzień 4: Niedziela rano

Chmury rozstały się, ukazując księżyc w pełni.

Blond włosy Alice Russell wyglądały jak srebrzysta aureola, kiedy zamykała za sobą drzwi do chaty. Przegniłe zawiasy zaskrzypiały nieznacznie. Zamarła, nasłuchując. Z jednego ramienia zwiisał jej plecak, drugą rękę miała czymś owiniętą. Nikt się nie poruszył w środku. Alice odetchnęła z ulgą.

Po cichu położyła plecak u swoich stóp i zajęła się tym, co miała w drugiej ręce. Była to kurtka przeciwdeszczowa. Droga, rozmiar L. Nie jej. Alice przesunęła dłońmi po materiale i odpięła kieszeń. Wyciągnęła z niej

coś gładkiego i prostokątnego i nacisnęła przycisk. Znajoma poświata, nikły uśmiech. Alice włożyła telefon do kieszeni dzinsów. Złożyła kurtkę i wrzuciła ją za powalone drzewo niedaleko wejścia do chaty.

Założyła plecak i włączyła latarkę, oświetlając sobie drogę. Szła, cicho stawiając kroki i kierując się na ścieżkę. Kiedy zniknęła za chatą, już się więcej nie obejrzała.

Daleko za nią, po drugiej stronie polanki zza pnia eukaliptusa przyglądała jej się jakaś para oczu...

Rozdział 24

Plecak Alice Russell leżał porzucony za drzewem w gęstych krzakach dziesięć metrów od ścieżki. Był zamknięty. Zupełnie jakby jego właścicielka zdjęła go z pleców, położyła i nigdy po niego nie wróciła, pomyślał Falk.

Sierżant King przykucnął i przez dłuższą chwilę przyglądał mu się, okrążając go metodycznie, jakby posuwał się zgodnie z wyuczonymi krokami tańca. Po chwili wstał z westchnięciem, odgrodził teren znaleziska, wybrał grupę poszukiwaczy i kazał wszystkim odejść.

Carmen i Falk nie protestowali. Wracali w stronę Drogi Północnej tą samą trasą, którą przyszli, kierując się policyjnymi oznaczeniami i towarzysząc grupie poszukiwaczy zmierzającej na zasłużony odpoczynek. Szli w ciszy gęsiego, od czasu do czasu wahając się na rozdrożach. Falk po raz kolejny podziękował losowi, że nie musi iść tędy sam.

Idąc za Carmen, myślał o plecaku. Leżał tam porzucony – ludzki wytwór zakłócający naturalny krajobraz. Nic nie wskazywało na to, żeby ktoś go przetrząsnął, i Falk zastanawiał się, co to może oznaczać. Zawartość nie stanowiła pewnie żadnej finansowej wartości, ale w tych okolicznościach nawet ubranie przeciwdeszczowe mogło decydować o życiu lub śmierci – więc jego wartość była względna. Falk czuł, że Alice Russell nigdy nie zostawiłaby plecaka z własnej woli, i na samą myśl o tym przechodził go dreszcz. *Jak znajdują plecak lub schronienie, następne może być już tylko ciało.* W głowie kołatały mu się słowa sprzedawcy ze stacji benzynowej. Przywołał obraz gościa, który zawsze był w pracy, oprócz dzisiejszego poranka. Następne może być już tylko ciało. Westchnął.

– O czym myślisz? – zapytała Carmen.

– Że to nie wygląda dobrze. Zwłaszcza jeśli w takich warunkach została bez sprzętu.

– Wiem. Podejrzewam, że niedługo ją znajdą. – Popatrzyła na gęstwinę buszu. – Jeśli tylko gdzieś tu jest.

Szli dalej, aż drzewa zaczęły się trochę bardziej rozstępować, a światło dnia wydało się im jaśniejsze. Kolejny zakręt doprowadził ich już do Drogi Północnej. Po obu jej stronach stali policjanci i poszukiwacze dyskutujący o kwestii plecaka – wieści niosły się szybko. Falk rozejrzał się. Nigdzie nie dostrzegł Iana Chase’a ani busa Executive Adventures. Na otwartej przestrzeni drogi wiał wiatr, więc Falk mocniej otulił się kurtką.

– Widziałeś Iana Chase’a? – zapytał jednego z funkcjonariuszy.

– Nie. Przykro mi. Nie zauważyłem nawet, że go nie ma. Mogę spróbować po niego zadzwonić, jeśli to pilne. Dziesięć minut drogi stąd jest chatka strażników, w której jest telefon alarmowy. – Wskazał na drogę.

Falk pokręcił głową.

– Nie trzeba. Dzięki.

Poszedł za Carmen do samochodu. Wsiadła za kierownicę.

– Do schroniska? – zapytała.

– Chyba tak.

Ruszyła. Baza poszukiwaczy nikła w tylnym lusterku, aż w końcu za zakrętem przestała być widoczna w ogóle. Po obu stronach drogi roślinność górowała nad nimi niczym gotycka katedra. Nic nie wskazywało na szaleństwo, które kryło się za jej ścianami. Busz dobrze strzegł swoich tajemnic.

– Ta chata jest dobrze schowana, ale ktoś przecież o niej wiedział – odezwał się w końcu Falk.

– Proszę? – Carmen nie spuszczała wzroku z drogi.

– Myślę o czymś, co wcześniej powiedziała mi Bree McKenzie. Tamten więzień wiedział o chacie. Mamy więc przynajmniej jeszcze jedną osobę. Ale kto powiedział, że ktoś inny nie mógł na nią trafić?

– Kogo masz na myśli? Naszego nieobecnego przyjaciela z Executive Adventures?

– Może. On spędza tutaj dużo czasu sam. – Falk myślał o tłumie poszukiwaczy, policjantów i pracowników parku. – Podobnie jak wielu innych.

Zaparkowali przed schroniskiem i wyciągnęli torby z bagażnika. W recepcji był strażnik, którego widzieli już wcześniej.

– Słyszałem, że coś się ruszyło – powiedział, patrząc na nich w nadziei na wieści, ale oni tylko pokiwali głowami. Nie do nich należało rozpowszechnianie tych informacji.

Drzwi do kuchni były uchylone i Falk dostrzegł Margot Russell. Siedziała przy stole i płakała bezgłośnie, jej ramiona drżały. Siedziała między Jill Bailey a kobietą, która wyglądała jak pracownik opieki społecznej. Za nimi stała Lauren.

Falk odwrócił się od tej sceny. Mogli porozmawiać z Margot później. Przez duże okna budynku recepcji zobaczył dwie osoby na parkingu. Bree i Beth szły od strony domków. Sprzeczały się. Falk nie słyszał słów, ale zobaczył, jak zatrzymują się, żeby przepuścić busa. Executive Adventures. Ian Chase wrócił. Trącił Carmen, która odwróciła się.

Strażnik zakończył formalności i podał im klucze do pokoiów.

– Te same co ostatnio – powiedział.

– Dzięki – odparł Falk roztargnionym głosem, ponieważ oboje z Carmen nie spuszczała oka z Chase'a. Byli już prawie przy drzwiach, kiedy strażnik ich zawołał.

– Hej! Poczekajcie. – W ręce trzymał słuchawkę telefonu i marszczył brwi. – Wy jesteście z policji, prawda? Telefon do was.

Falk spojrział na Carmen, która zdziwiona wzruszyła ramionami. Podeszli z powrotem do lady, Falk wziął słuchawkę i przedstawił się. Głos po drugiej stronie był cichy, ale rozpoznawalny. Sierżant King.

– Słyszysz mnie? – zapytał pośpiesznie.

– Ledwo.

– Cholera. Nadal jestem w buszu. W chacie strażników, gdzie mają

telefon alarmowy, ale połączenie jest do dupy. – Chwila ciszy. – Teraz lepiej?

– Nie.

– Trudno. Słuchaj, wracam. Czy są tam jacyś policjanci stanowi?

– Nie. – W recepcji byli tylko oni, a parking świecił pustkami. Większość funkcjonariuszy była nadal w bazie w buszu. – Tylko my.

– Dobra. Stary, potrzebuję... – Zakłócenia. Cisza.

– Czekaj, nic nie słyhać.

– Jezu, a teraz?

– Tak.

– Znalezliśmy ją.

Trzaski na linii. Falk skoncentrował się na oddechu.

– Słyszałeś? – pytał King.

– Tak. Żywą? – Falk znał odpowiedź, zanim jeszcze zapytał. Carmen stała obok niego bez ruchu.

– Nie.

Mimo wszystko był to cios.

– Słuchaj. – Głos Kinga zaczynał zanikać. – Jedziemy tak szybko, jak się da, ale musisz wyświadczyć mi przysługę. Kto tam jeszcze jest?

Falk rozejrzał się. Carmen. Strażnik. Margot Russell, pracowniczka opieki społecznej, Jill i Lauren. Bliźniaczki na parkingu. Ian Chase wysiadający z busa. Przekazał listę Kingowi.

– Dlaczego pytasz?

Znów zakłócenia.

– Znalezliśmy przy jej ciele coś jeszcze.

Dzień 4: Niedziela rano

Księżyc schował się za chmurą, skrywając Alice w cieniu, kiedy skręcała za chatę.

Po drugiej stronie polany postać wyszła zza ściany eukaliptusów, zasuwając rozporek w spodniach. Ledwo wyczuwalny zapach moczu na zimnej ziemi. Która to była godzina? Około 4.30, informowały podświetlane cyfry zegarka. W chacie nadal wszyscy spali.

– Cholera.

Postać wahała się, ale w końcu skręciła za chatę. Chmury rozstały się, lecz oprócz długiej trawy nic nie było widać w srebrzystym blasku. Alice zniknęła z pola widzenia.

Rozdział 25

Dwa plecaki leżały na ziemi obok wypożyczonego samochodu. Bagażnik był szeroko otwarty, a bliźniaczki kłóciły się ściszonymi głosami, pochylając głowy. Wiatr szarpał ich włosy, płacząc je ze sobą. Kiedy Falk i Carmen podeszli do nich, spojrzały na nich równocześnie.

– Przykro mi, moje panie – powiedziała Carmen, zachowując naturalny ton głosu. – Potrzebujemy, żebyście wróciły do schroniska.

– Dlaczego? – Beth spojrzała na nich z dziwnym wyrazem twarzy. Było to zaskoczenie, na pewno, ale nie tylko.

– Sierżant King chce z wami porozmawiać.

– Ale dlaczego? – zapytała ponownie Beth.

Bree stała obok siostry bez słowa, patrząc na nich szeroko otwartymi oczami. Przyciskała do piersi zabandażowaną rękę, a drugą trzymała na otwartych drzwiach samochodu.

– Bree ma jutro wizytę – kontynuowała Beth. – Dostałyśmy pozwolenie na wyjazd.

– Rozumiem, ale teraz jesteście proszone o pozostanie na miejscu. Przynajmniej w tym momencie. Chodźcie. – Carmen obróciła się w kierunku schroniska. – Weźcie ze sobą plecaki.

Falk zauważył, jak bliźniaczki wymieniły spojrzenia, których nie potrafił odczytać, i niechętnie zabrały plecaki. Dużo czasu upłynęło, zanim Bree zamknęła drzwi samochodu. Kiedy szli do schroniska, Falk zobaczył przez okno Jill i Lauren, ale nie chciał patrzeć im w oczy.

Carmen wyprosiła kilku poszukiwaczy ze wspólnej przestrzeni schroniska i umieściła tam bliźniaczki.

W drzwiach stanęły Jill i Lauren, umierając z ciekawości, ale Falk również je wyprosił i zamknął drzwi.

– Siadajcie – powiedział do Beth i Bree.

On i Carmen zajęli miejsca obok siebie na wiekowej kanapie. Bree zawahała się, po czym przycupnęła na krześle naprzeciwko i znów zaczęła skubać bandaż.

Beth stała.

– Zamierzacie nam powiedzieć, o co chodzi? – zapytała.

– Sierżant King wszystko wam wyjaśni, kiedy tu dotrze.

– Kiedy to będzie?

– Już jest w drodze.

Beth wyjrzała za okno. Na parkingu jeden z poszukiwaczy słuchał komunikatu w radiu. Krzyknął i zawołał pozostałych, którzy pakowali coś do samochodu. Wskazał na radio. Wieści się roznoszą, pomyślał Falk.

Beth spojrzała na niego.

– Znaleźli ją, prawda?

Deski podłogi zatrzeszczały.

– Nie żyje?

Falk nadal się nie odzywał, a Beth spojrzała z ukosa na siostrę. Bree siedziała przerażona.

– Gdzie? Blisko chaty? – Beth nie dawała za wygraną. – Na pewno. Nie minęło tyle czasu, odkąd ją znaleźli, żeby było to gdzieś dalej. Czyli była tam przez cały ten czas?

– Sierżant King...

– Tak, wiem, już to mówiłeś. Ale ja pytam ciebie. Proszę. – Beth przełknęła głośno. – Zaslugujemy na to, żeby wiedzieć.

Falk pokręcił głową.

– Przykro mi, musicie poczekać.

Beth podeszła do zamkniętych drzwi. Zatrzymała się przed nimi i gwałtownie odwróciła.

– Dlaczego nie ma z nami Lauren i Jill?

– Beth. Przestań. – Bree podniosła w końcu wzrok, ale nie przestawała

bawić się bandażem.

– Dlaczego? To rozsądne pytanie. Dlaczego tylko my tu jesteśmy?

– Naprawdę, Beth, po prostu się zamknij – uciszyła ją siostra. –
I poczekaj na sierżanta.

Falk cały czas słyszał głos Kinga, zanikający, ale wystarczająco dobrze słyszalny, kiedy było to istotne.

Znaleźliśmy przy jej ciele coś jeszcze.

Co?

Beth stanęła bez ruchu. Wpatrywała się w siostrę.

– Dlaczego jesteśmy tu tylko my? – zapytała ponownie.

– Przestań to wciąż powtarzać. – Bree siedziała sztywno.

Beth mrugnęła.

– Chyba że to nie chodzi o nas? – Spojrzała na Falka. – Nie o nas obie.

Falk nie mógł się powstrzymać, żeby nie rzucić spojrzenia na Bree, na jej brudny bandaż, pod którym znajdowała się zainfekowana rana.

Znaleźliśmy przy jej ciele coś jeszcze.

Co?

W martwym drzewie obok chował się cholernie duży pyton dywanowy.

Bree w końcu spojrzała bliźniaczo w oczy.

– Zamknij się, Beth. Nie gadaj.

– Ale... – Głos Beth drżał.

– Głucha jesteś?

– Ale... Co się dzieje? Czy ty coś zrobiłaś?

Bree wpatrywała się w nią. W końcu przestała szarpać bandaż.

– Czy ja coś zrobiłam? – Roześmiała się krótko i gorzko. – Nie zaczynaj.

– O co ci chodzi?

– Dobrze wiesz.

– Wcale nie.

– Naprawdę? Dobrze. Chodzi mi o to, Beth, że stoisz tutaj teraz przed policjantami i pytasz mnie, co zrobiłam, jakbyś nie miała o tym pojęcia. Jeśli

naprawdę chcesz tak to rozegrać, to może porozmawiamy o tym, co ty zrobiłaś.

– Ja? Ja nic nie zrobiłam.

– Naprawdę? Zamierzasz teraz udawać...

– Bree – przerwał im Falk. – Stanowczo radzę ci, żebyś poczekała.

– Udawać, że jesteś taka niewinna? Jakbyś nie miała z tym nic wspólnego?

– Wspólnego z czym?

– Jezu, Beth! Ty naprawdę to robisz? Naprawdę chcesz zrzucić na mnie winę? Przy nich? – Wskazała na Carmen i Falka. – Nic z tego by się nie wydarzyło, gdyby nie ty.

– Co by się nie wydarzyło?

– Hej! – Próby interwencji Falka i Carmen spełzły na niczym. Bree wstała i patrzyła siostrze prosto w oczy.

Beth odsunęła się.

– Posłuchaj mnie, nie wiem, o czym ty mówisz.

– Gówny prawda.

– Nie. Naprawdę.

– Gówny prawda, Beth! Nie mogę uwierzyć, że naprawdę to robisz.

– Ale co?

– Chcesz umyć ręce i zrzucić winę na mnie! W takim razie dlaczego w ogóle miałabym ci pomagać? Dlaczego nie miałabym zatroszczyć się o swój interes i nie powiedzieć im prawdy?

– Jakiej prawdy?

– Że ona już nie żyła! – zawołała Bree. – Wiesz o tym! Alice już nie żyła, kiedy ją znalazłam.

Beth cofnęła się o krok dalej.

– Bree, ja nie...

Bree wydała jęk frustracji i spojrzała błagalnie na Falka i Carmen.

– To nie było tak, jak ona twierdzi. Nie słuchajcie jej. – Bree trzęsącą się

ręką wskazywała na siostrę. – Proszę. Musicie przekonać sierżanta Kinga, że...

– Bree...

– Słuchajcie, Alice już nie żyła. – Piękne rysy Bree krzywiły się, a w oczach błyszczały łzy. – Ja ją znalazłam. Na ścieżce. Wczesnym rankiem w niedzielę. Wtedy ukąsił mnie wąż. Ale ja mam na sumieniu tylko tyle. Przysięgam. To prawda.

– Bree... – Carmen usiłowała jej przerwać, ale dziewczyna nie dopuściła do tego.

– Po prostu leżała tam. Nie oddychała. Nie wiedziałam, co zrobić. Przestraszyłam się, że ktoś inny przyjdzie i ją zobaczy, więc wzięłam ją. Zamierzałam schować ją w buszu tylko do momentu...

Bree urwała. Spojrzała na siostrę. Beth ścisnęła oparcie krzesła tak mocno, że knykcie jej rąk były białe.

– Do momentu, kiedy będę mogła porozmawiać z Beth. Ale wtedy przewróciłam się i poczułam węza koło mojej ręki.

– Ale dlaczego ją ukryłaś, Bree? – Beth miała łzy w oczach.

– Jezu. Przecież wiesz czemu.

– Nie.

– Bo... – Twarz Bree była cała czerwona. – Bo... – Nie mogła skończyć myśli. Wyciągnęła dłoń do siostry.

– Bo co?

– Bo chciałam cię chronić. – Tym razem mocno złapała rękę Beth. – Nie mogą znów cię odesłać. To zabije mamę. Nigdy ci się do tego nie przyznała, ale bardzo źle to zniosła. Tak bardzo się jej pogorszyło. To było straszne, patrzeć na jej smutek i wiedzieć, że to moja wina.

– Nie, Bree, to była moja wina.

– Nie, moja. – Bree ścisnęła ją jeszcze bardziej. – To nie mój sąsiad powiadomił policję, że mnie okradłaś, tylko ja. Zadzwoiłam do nich, bo byłam na ciebie taka zła. Nie zdawałam sobie sprawy z konsekwencji.

– To nie twoja wina.

– Ależ tak.

– Nie, to była moja wina. Ale to... – Beth odsunęła się, uwalniając swoją rękę. – To jest naprawdę złe, Bree. Dlaczego to zrobiłaś?

– Wiesz dlaczego. – Bree znów wyciągnęła do niej rękę, ale jej palce złapały tylko powietrze. – Oczywiście, że wiesz. Dlatego, że jesteś moją siostrą! Jesteśmy rodziną.

– Ale ty mi w ogóle nie ufasz! – Beth cofnęła się jeszcze dalej. – Naprawdę myślisz, że mogłam zrobić coś takiego?

Falk usłyszał na zewnątrz dźwięk podjeżdżającego samochodu, z którego wysiadł King.

– Ale co innego miałabym pomyśleć? Jak mam ci zaufać, po wszystkim, co zrobiłaś? – Bree płakała. – Nie mogę uwierzyć, że stoisz tu i kłamiesz. Powiedz im! Proszę, Beth. Zrób to dla mnie. Powiedz im prawdę!

– Bree... – Beth zamilkła. Otworzyła usta, jakby chciała powiedzieć coś więcej, ale zamknęła je i bez słowa odwróciła się plecami.

Płacz Bree wypełniał całe pomieszczenie, kiedy wszedł sierżant King.

– Jesteś kłamliwą suką! Nienawidzę cię, Beth! Nienawidzę cię za to! Przyznaj się! – Bree mówiła z trudem przez łzy. – Zrobiłam to dla ciebie.

Z twarzami wykrzywionymi przez gniew i zdradę bliźniaczki były tak do siebie podobne, jak Falk jeszcze nigdy nie widział.

Dzień 4: Niedziela rano

Alice Russell zatrzymała się jak wryta.

Ledwo było ją widać na ścieżce wiodącej na północ, księżyc oświetlał ją blaskiem. Chata dawno zniknęła jej z pola widzenia, schowana między drzewami.

Alice stała z pochyloną głową, a jej plecak leżał na ziemi, oparty o duży kamień. Jedną rękę przyciskała do ucha. Nawet z odległości widać było białoniebieską poświatę telefonu w jej drżącej dłoni.

Rozdział 26

Bliźniaczki zostały zabrane w dwóch oddzielnych radiowozach.

Falk i Carmen przyglądali się temu z wejścia. Lauren i Jill stały w recepcji ze zdumieniem malującym się na twarzach, dopóki sierżant King nie poinstruował ich, żeby wróciły do środka. Funkcjonariusz miał je wezwać do biura schroniska w celu odświeżenia zeznań. Pojedynczo. Muszą też być przygotowane na ewentualną wizytę na komisariacie w miasteczku. Bez słowa pokiwały głowami.

Lauren została wezwana jako pierwsza, jej twarz była blada i zapadnięta, kiedy szła do biura. Falk i Carmen zostali z Jill. Wyglądała, jakby się skurczyła w porównaniu z tą osobą, którą poznali kilka dni wcześniej.

– Powiedziałam Alice, że zasłużyła na to, żeby zdechnąć w rowie – odezwała się nagle. Wpatrywała się w ogień. – Mówiłam to poważnie. Wtedy tak myślałam.

Przez drzwi dochodziło do nich przeszywające zawrodoenie Margot Russell. Głos funkcjonariusza rodzinnego był ledwo słyszalny. Jill odwróciła umęczoną twarz.

– Kiedy dowiedziałas się, że twój bratanek miał zdjęcia Margot? – zapytała Carmen.

– Dopiero kiedy już było za późno. – Jill patrzyła na swoje dłonie. – Daniel wyjawiał mi w końcu całą tę historię we wtorek, ale tylko dlatego, że zdjęcia były już w internecie. Powinien był powiedzieć mi wcześniej. Gdyby był ze mną szczerzy podczas tego pierwszego wieczoru w obozowisku, może nic z tego by się nie wydarzyło. Pozwoliłabym Alice wrócić wtedy, kiedy o to prosiła.

– Co Daniel powiedział ci tamtego wieczoru?

– Tylko tyle, że jego żona przyłapała Joela na oglądaniu jakichś zdjęć i że

dlatego musiał zawrócić i spóźnił się. Może powinnam była wszystkiego się domyślić, ale nie przyszło mi do głowy, że to mogły być zdjęcia Margot. – Pokręciła głową. – Kiedy ja byłam w szkole, było zupełnie inaczej.

Za drzwiami nadal rozbrzmiewał płacz. Jill westchnęła.

– Szkoda, że Alice nie powiedziała mi wszystkiego sama. Gdyby to zrobiła, pozwoliłabym jej odejść po tej pierwszej nocy. Oczywiście, że tak. – Brzmiało to trochę, jakby Jill usiłowała przekonać samą siebie. – A Joel jest głupi. Nie uda mu się załatwić tego przeprosinami. Bardzo przypomina Daniela w tym wieku, robi, co chce, i nie wybiega myślą w przyszłość dalej niż na godzinę. Ale takie chyba są dzieci – nie rozumieją, prawda? Żyją chwilą. Nie dociera do nich, że mogą zrobić coś, co będzie je prześladować przez całe życie.

Zamilkła, ale jej dłonie drżały, więc złożyła je na kolanach. Stukanie do drzwi. Weszła Lauren.

– Teraz twoja kolej – powiedziała do Jill.

– O co pytali?

– O to samo, co poprzednio. Chcą wiedzieć, co się wydarzyło.

– I co powiedziałaś?

– Że nie mogłam uwierzyć, że Alice tak po prostu sobie poszła. – Lauren spojrzała na Jill, po czym spuściła wzrok na ziemię. – Idę spać. Nie radzę sobie z tym. – Nie czekając na odpowiedź, wyszła, zamykając za sobą drzwi.

Jill przez dłuższą chwilę wpatrywała się w zamknięte drzwi, aż ciężko wzdychając, w końcu wstała. Otworzyła drzwi i wyszła. Płacz Margot roznosił się echem po całym budynku.

Dzień 4: Niedziela rano

Alice niemal krzyczała do telefonu. Jej policzek tonął w niebieskiej

poświacie, a jej słowa niosły się nad ścieżką.

– Pogotowie? Słyszycie mnie?! Cholera. – Jej głos był pełen desperacji. Rozłączyła się. Ze spuszczoną głową sprawdziła telefon. Spróbowała jeszcze raz, wystukując trzy cyfry.

– Pogotowie? Pomocy. Czy ktoś mnie słyszy? Proszę. Zgubiłyśmy się. Czy ktoś... – Zamilkła. Odsunęła telefon od ucha. – Cholera.

Oddychała szybko. Tym razem wybrała inny numer, dłuższy. Jej głos był teraz zdecydowanie cichszy.

– Agencie federalny Falk, tu Alice Russell. Nie wiem, czy mnie słyszą.
– Jej głos drżał. – Jeśli dostaniesz tę wiadomość, proszę, błagam, nie przekazuj tych dokumentów jutro. Nie wiem, co robić. Daniel Bailey ma jakieś zdjęcia. Albo jego syn je ma. Zdjęcia mojej córki. Przepraszam, ale nie mogę teraz ryzykować, że go zdenerwuję. Usiłuję wrócić, żeby to wszystko wyjaśnić. Jeśli poczekaś, wymyślę inny sposób, żeby zdobyć te umowy. Przepraszam, ale tu chodzi o moją córkę. Proszę, nie mogę zrobić nic, co mogłoby ją skrzywdzić...

Szum i dźwięk kroków za nią. Głos w ciemnościach.

– Alice?

Rozdział 27

Falk i Carmen siedzieli sami, nie rozmawiając ze sobą zbyt wiele. Przez dłuższy czas towarzyszyły im stłumione dźwięki płaczu Margot, które skończyły się nagle i niespodziewanie, zapanowała więc dziwna cisza. Falk zastanawiał się, dokąd poszła.

Usłyszeli dźwięk samochodu na żwirze i Carmen podeszła do okna.

– King wrócił.

– Z bliźniaczkami?

– Nie.

Wyszli mu naprzeciw. Jego twarz była jeszcze bardziej szara.

– Jak poszło na komisariacie? – zapytał Falk.

Sierżant potrząsnął głową.

– Obie zasięgają rady prawników, ale na razie podtrzymują swoje historie. Bree upiera się, że Alice już nie żyła, kiedy ją znalazła, a Beth twierdzi, że o niczym nie ma pojęcia.

– Wierzysz im?

– Sam nie wiem. W każdym razie udowodnić coś w tej sprawie będzie prawdziwym koszmarem. Technicy z Melbourne są już na miejscu, ale ona leżała w deszczu i na wietrze całymi dniami. Wszędzie jest brud, błoto i liście.

– Czy w jej plecaku było coś interesującego? – zapytała Carmen.

– Jak na przykład raporty finansowe BaileyTennants? – King zdobył się na cień uśmiechu. – Niestety nie, przykro mi. Ale... – Poszperał w swoim plecaku i wyjął pendrive. – Zdjęcia z miejsca znalezienia ciała. Jeśli zobaczycie coś, czego potrzebujecie, możecie poprosić techników, żeby pokazali wam, jak to wszystko zwiozą.

– Dzięki. – Falk zabrał pendrive. – Oglądają też grób przy chacie?

– Tak, oczywiście. – King zawahał się.

– O co chodzi? – zapytała Carmen. – Potwierdzili, że to Sarah?

King pokręcił głową.

– To nie ona.

– Skąd to wiadomo?

– To mężczyzna.

Spojrzeni na niego

– Kto? – zapytał Falk.

– Godzinę temu odebraliśmy telefon – powiedział King. – To ten więzień. Najwyraźniej jest zadowolony z układu, który mu zaproponowali. Powiedział swojemu adwokatowi, że w tej dziurze jest nie kto inny, tylko Sam Kovac.

Falk zamrugał.

– Sam Kovac?

– Tak. Facet twierdzi, że członkowie gangu dostali pięć lat temu kasę, żeby się go pozbyć. Sam chciał dzięki związkowi ze swoim ojcem wkroczyć się do gangu, ale ten gość mówi, że Sam miał nierówno pod sufitem, nie można było mu ufać. Kiedy więc dostali ofertę, żeby się go pozbyć, skorzystali z niej. Zleceniodawca nie był zainteresowany tym, jak to zrobią, chodziło mu tylko o to, żeby ciało nigdy się nie znalazło. Sam po prostu rozpląnął się w powietrzu.

– Kto to zlecił? – chciała wiedzieć Carmen.

King spojrzał przez okno. Wiatr ustał i busz był dziwnie cichy.

– Działali przez pośrednika, ale wszystko wskazuje na to, że było to starsze małżeństwo. Dobrze sytuowane. Gotowe, żeby sownie ich opłacić. Ale dziwne. Jakby im również brakowało piątej klepki.

Umysł Falka znalazł tylko jedną możliwość.

– Czyżby rodzice Sarah Sondenberg? – zapytał. King nieznacznie wzruszył ramionami.

– Za wcześnie na to, ale przypuszczam, że znajdą się na pierwszym

miejscu listy podejrzanych. Biedaki. Domyślam się, że dwadzieścia lat rozpacz i niepewności może człowiekowi pomieszać rozum. – King pokręcił głową. – Cholerny Martin Kovac. Zrujnował to miejsce. Mógł dać im chociaż odrobinę spokoju. Sam by sobie oszczędził trosk. Kto wie? Macie dzieci?

Falk pokręcił głową. Przed oczami stała mu Sarah Sondenberg ze swoim uśmiechem prosto z gazety. Jej rodzice... Jakie musiało być dla nich ostatnie dwadzieścia lat?

– Ja mam dwóch synów – powiedział King. – Zawsze współczułem Sondenbergom. Tak między nami, jeśli to faktycznie oni, nie mogę za bardzo ich winić. – Westchnął. – Pewnie nigdy nie należy nie doceniać, co rodzic jest w stanie zrobić dla swojego dziecka.

Gdzieś w głębi budynku znów rozległ się rozziewający szloch Margot.

Dzień 4: Niedziela rano

– Alice?

Kobieta drgnęła. Jej palce pospiesznie starały się przerwać połączenie, kiedy obróciła się w kierunku głosu i z przerażeniem odkryła, że nie jest już sama na ścieżce. Zrobiła pół kroku w tył.

– Z kim rozmawiasz, Alice?

Rozdział 28

Falk czuł się przygnębiony. Gdy wracali z Carmen do swoich pokojów, na jej twarzy również malowało się zniechęcenie. Znowu zerwał się wiatr, szarpiąc ich włosy i ubrania. Kiedy doszli do drzwi, Falk przystanął i wyciągnął w stronę Carmen dłoń z pendrive'em od sierżanta Kinga.

– Obejrzymy zdjęcia? – zapytał.

– Lepiej tak. – W głosie Carmen brzmiał zupełny brak zapału. Miejsce spoczynku Alice Russell. Busz ją im w końcu oddał, ale nie tak, jak mieli na to nadzieję.

Falk otworzył drzwi, położył plecak na ziemi i zaczął wyciągać jego zawartość, żeby w końcu dotrzeć do laptopa. Carmen usiadła na łóżku i się temu przyglądała.

– Nadal masz ze sobą mapy ojca – powiedziała, kiedy położył je na łóżku obok niej.

– Tak. Nie miałem czasu w domu, żeby się porządnie rozpakować.

– Ani ja. Ale pewnie będziemy tam szybko z powrotem, żeby stawić czoła sytuacji, skoro Alice się znalazła. Biuro nadal będzie chciało, żebyśmy zdobyli te umowy. – Carmen była widocznie przygnębiona tą wizją. – Lepiej zabierzmy się do tego od razu. – Przesunęła się, żeby zrobić miejsce dla Falka.

Falk podłączył pendrive i ich oczom ukazała się galeria zdjęć.

Na ekranie pojawił się plecak Alice, ujęty z pewnej odległości. Był oparty o pień drzewa, jego materiał odcinał się od wszechobecnych zielono-brązowych barw. Zbliżenia potwierdziły pierwsze przypuszczenia Falka: plecak był przemoczony, ale poza tym nie był zniszczony ani otwarty. Było coś niepokojącego w sposobie, w jaki został oparty o drzewo – jakby czekał na właściciela, który nigdy po niego nie wrócił. Falk i Carmen bez

pośpiechu przejrzeni ujęcia plecaka z każdej możliwej strony, aż seria zdjęć dobiegła końca.

Drzewa uchroniły ciało Alice przed najgorszym, ale i tak natura zebrała swoje żniwo. Leżała płasko na plecach na kępie suchej trawy, jej nogi były wyprostowane, a ręce ułożone wzdłuż ciała. Znajdowała się nie dalej niż dwadzieścia metrów od ścieżki, ale ze zdjęć wynikało, że można było ją dostrzec jedynie z naprawdę bliska.

Skołtunione włosy okalały jej twarz, skóra zwisała z wysokich kości policzkowych. Poza tymi szczegółami można by pomyśleć, że śpi. Prawie. Ptaki i zwierzęta odkryły jej ciało na długo przed policją.

Busz zalał Alice niczym fala. Listki, gałązki i śmieci wplątały się w jej włosy i utkwily w fałdach ubrań. Poszarpany kawałek plastikowego opakowania, które wyglądało, jakby przebyło naprawdę długą drogę, utknął pod jej nogą.

Falk miał już przejść do następnego zdjęcia, kiedy coś przykuło jego uwagę. Co to było? Przyjrzał się zdjęciu po raz kolejny. Coś w sposobie, w jaki Alice leżała, z wyciągniętymi nogami, w otoczeniu śmieci. Coś nie dawało mu spokoju, ale nie mógł uchwycić tej myśli.

Falk zaczął przypominać sobie obraz kobiety, którą z Carmen znali. Jej szminka i buntownicze spojrzenie dawno zniknęły, a jej ciało wyglądało niczym pusta skorupa na tle lasu. Wyglądała na kruchą i bardzo osamotnioną. Falk miał nadzieję, że Margot nigdy nie zobaczy tych zdjęć. Nawet po śmierci podobieństwo między Alice i jej córką było uderzające.

Przesuwał zdjęcia, aż dotarł do końca galerii.

– No cóż, to było tak złe, jak można się było spodziewać – skwitowała Carmen.

Okno zatrzeszczało, a ona wyprostowała się, dotykając ręką map. Sięgnęła po tę leżącą na wierzchu i zaczęła ją przeglądać.

– Powinieneś z nich skorzystać. – Jej głos był smutny. – Przynajmniej wynikłoby z tego coś dobrego.

– Tak, wiem. – Falk wyszukał mapę Giralang Ranges.

Rozłożył ją na łóżku w poszukiwaniu Drogi Północnej. Znalazł ją przecinającą nieopisany kawałek buszu. Mniej więcej zidentyfikował miejsce, gdzie znajdowała się chata, następnie to, gdzie znaleziono ciało Alice.

W tym rejonie nie było żadnych śladów ołówka. Falk nie był pewien, czego się spodziewał, ale cokolwiek to było, nie znalazł tego. Jego ojciec nigdy nie był w tej okolicy.

Z westchnieniem odszukał szlak prowadzący do Mirror Falls. Zapiski były w tym miejscu dobrze widoczne. *Szlak letni. Uwaga na kamienie. Źródło wody pitnej.* Poprawki były naniesione energicznie. Punkt widokowy był oznaczony jako zamknięty, później znów otwarty, a następnie opisany słowami: *Nawracające niebezpieczeństwo.*

Falk długo patrzył na te słowa, nie wiedząc czemu. Coś drgnęło głęboko w nim. Już miał sięgnąć po laptop, kiedy Carmen spojrzała na niego.

– Musiał lubić to miejsce – powiedziała, trzymając w ręku mapę. – Tyle tu zapisków.

Natychmiast rozpoznał nazwę tego regionu.

– Tam się wychowałem.

– Naprawdę? Widzę, że nie żartowałeś. To naprawdę jest w samym środku niczego. – Carmen przyjrzała się uważniej. – Obaj chodziliście tam na wycieczki? Zanim się wyprowadziliście?

Pokręcił głową.

– Nic takiego nie pamiętam. Nie jestem pewien, czy on sam wtedy robił takie wyprawy. Miał dużo pracy w gospodarstwie. Świeżego powietrza było pod dostatkiem.

– Według tego, co tu jest napisane, wyprawiliście się razem. Przynajmniej raz. – Carmen podała mu mapę, wskazując na jakiś zapisek dokonany ręką Erika Falka.

Z Aaronem.

Słowa te znajdowały się obok letniego, łatwego szlaku. Falk nigdy nie przeszedł go w całości, ale wiedział, dokąd prowadził. Szedł wzdłuż pól, gdzie zwykł się bawić, kiedy jego ojciec pracował, nieopodal rzeki, gdzie ojciec nauczył go łowić ryby, wzdłuż ogrodzenia, przy którym trzyletni Aaron pewnego letniego dnia został sfotografowany, kiedy śmiał się, siedząc ojcu na barana.

Z Aaronem.

– Nie. – Łzy napłynęły mu do oczu. – Nie przeszliśmy nigdy tego szlaku wspólnie. Nie za jednym razem.

– No cóż, może chciał. Jest też kilka innych. – Carmen przeglądała stertę. Podała mu kilka innych map, wskazując wybrane zapiski. I jeszcze kilka.

Niemal na każdej mapie blaknącym z upływu czasu pismem pojawiały się słowa: *Z Aaronem. Z Aaronem.* Szlaki wybrane do przejścia razem. Jego ojciec uparty mimo zdecydowanej odmowy, słowa wyrażające życzenie, żeby było inaczej.

Falk oparł się o zagłówek. Czuł, że Carmen na niego patrzy, i potrząsnął głową. Bał się, że nie wydobędzie z siebie głosu.

Położyła swoją dłoń na jego.

– Aaron, wszystko dobrze. Jestem pewna, że wiedział.

Falk przełknął z trudem.

– Nie sędzę.

– Wiedział. – Uśmiechnęła się. – Oczywiście, że tak. Rodzice i dzieci są zaprogramowani, żeby kochać się nawzajem. Wiedział.

Falk spojrział na mapy.

– Udało mu się okazać to lepiej niż mnie.

– No cóż. Może. Ale nie tylko ty masz z tym problem. Wydaje mi się, że rodzice często bardziej kochają dzieci niż one ich.

– Może. – Falk pomyślał o rodzicach Sarah Sondenberg i tym, na co się dla niej zdobyli. Co powiedział King? *Nigdy nie należy nie doceniać, co rodzic jest w stanie zrobić dla swojego dziecka.*

Coś znów zaczęło go niepokoić. Zamrugął. O co mu chodzi? Za każdym razem, kiedy chciał pochwycić tę myśl, ona mu się wyrywała i znikła. Obok Carmen leżał nadal włączony komputer, na jego ekranie wciąż widniała galeria.

– Popatrzę raz jeszcze – powiedział Falk i przejrzał zdjęcia, przyglądając się im znacznie uważniej. Jakiś szczegół nie dawał mu spokoju. Patrzył na ziemistą skórę Alice, na zwisającą odrobinę szczękę. Jej twarz wyglądała na niemal odprężoną i na młodszą – w jakiś dziwny sposób. Podmuch wiatru przypomniawszy mu zawodzenie Margot.

Szukał nadal. Połamane paznokcie Alice, brudne dłonie, poszarpane włosy. Śmieci i leśne odpadki zebrane wokół niej. Znów to uczucie. Falk zatrzymał się nad ostatnim zdjęciem i przyjrzał mu się uważnie. Kawałek starego plastiku pod jej nogą. Brudne resztki opakowania po jedzeniu przy jej włosach. Przybliżył obraz.

Czerwono-srebrne pasmo wplątane w zamek kurtki.

Światło rozbłysło w jego głowie. Jeszcze raz popatrzył na tę nić i nagle już nie myślał ani o Alice, ani o Margot, ale o innej dziewczynie. Tak kruchej, że ledwo tu obecnej, ciągle przebierającej w palcach czerwoną i srebrną nić.

Pasmo przycięte zamkiem. Goły nadgarstek. Wystraszony wzrok córki. Poczucie winy jej matki.

Dzień 4: Niedziela rano

– Alice. – Lauren patrzyła na nią. – Z kim rozmawiasz?

– O Boże. – Alice przyłożyła rękę do piersi. Jej twarz nawet w ciemności była blada. – Ale mnie przestraszyłaś.

– Masz zasięg? Udało ci się do kogoś dodzwonić? – Lauren sięgnęła po

telefon, ale Alice cofnęła rękę.

– Jest za słaby. Nie sądzę, żeby ktoś mnie usłyszał.

– Zadzwoń pod numer ratunkowy. – Lauren znów sięgnęła po komórkę.

Alice zrobiła krok w tył.

– Już próbowałam. Rozłącza mnie.

– Cholera. To z kim rozmawiałaś?

– To była poczta głosowa. Nie sądzę, żeby udało mi się nagrać.

– Ale do kogo dzwoniłaś?

– Do nikogo. To dotyczyło Margot.

Lauren wpatrywała się w nią, dopóki Alice nie spojrzała jej w oczy.

– No co? – warknęła. – Mówiłam ci, nie dodzwoniłam się na ratunkowy.

– Prawie nie ma sygnału i bateria się kończy. Musimy ją oszczędzać.

– Wiem, ale to było ważne.

– Możesz mi wierzyć lub nie, ale są sprawy ważniejsze od twojej zakichanej córki.

Alice nic nie odpowiedziała, ale przycisnęła telefon mocniej do siebie.

– Dobra. – Lauren zmusiła się do wzięcia głębokiego oddechu. – Jak udało ci się zabrać telefon, nie budząc Jill?

Alice niemal parsknęła śmiechem.

– Ta kobieta przespała wczoraj burzę z piorunami. Nawet się nie obróciła, kiedy zabrałam jej kurtkę.

Lauren mogła w to uwierzyć. Jill zawsze spała najlepiej z nich wszystkich. Spojrzała na drugą rękę Alice.

– Widzę, że zabrałaś też latarkę Beth.

– Potrzebowałam jej.

– To jest jedyna działająca latarka, jaka nam została.

– Dlatego jej potrzebowałam. – Alice nie patrzyła jej w oczy. Światło latarki niknęło w mroku. Reszta ścieżki była pogrążona w ciemności.

Lauren dostrzegła plecak Alice oparty o kamień. Gotowy do drogi. Znów wzięła głęboki oddech.

– Słuchaj, musimy wrócić do pozostałych. Trzeba im powiedzieć o zasięgu. Nie powiem im, że zamierzałaś odejść.

Alice nic nie odpowiedziała. Włożyła telefon do kieszeni džinsów.

– Jezu, Alice. Ty naprawdę nadal zamierzasz odejść.

Schyliła się po swój plecak i przerzuciła go przez ramię. Lauren złapała ją za rękę.

– Puść mnie – powiedziała Alice.

– To niebezpieczne, a poza tym mamy sygnał. To im pomoże nas znaleźć.

– Nieprawda. Jest za słaby.

– Ale to już coś! Alice, to nasza najlepsza szansa.

– Mów ciszej, dobrze? Ja nie mam czasu czekać, aż ktoś nas znajdzie.

– Dlaczego nie?

Brak odpowiedzi.

– Na litość boską. – Lauren próbowała się uspokoić. Czowała przyspieszone bicie serca. – Jak chcesz to w ogóle zrobić?

– Pójść na północ, jak powinnyśmy były dzisiaj zrobić. Wiesz, że to się uda, Lauren, ale nie chcesz tego przyznać, bo musiałybyś to zrobić.

– Nie. Nie chcę tego robić, bo to niebezpieczne. Zwłaszcza w pojedynkę. Idziesz na ślepo. Nie masz nawet kompasu. – Lauren czuła plastikowy dysk w swojej kieszeni.

– Jeśli tak bardzo się o mnie martwisz, możesz mi go dać.

– Nie. – Lauren zacisnęła palce na kompasie. – Nie ma mowy.

– Tak myślałam. Dobrze wiemy, że ten szlak prowadzi na północ. Dam sobie radę, jeśli będę musiała. Robiłam to już w McAllaster.

Cholerny McAllaster. Lauren poczuła ucisk w klatce piersiowej, a krew zaczęła krążyć w jej żyłach trochę szybciej na sam dźwięk tej nazwy. Trzydzieści lat wcześniej obie stały pośrodku niczego tak blisko siebie jak teraz. Ćwiczenie na zaufanie. Lauren tęskniąca za domem, smutna i z zasłoniętymi oczami, była pełna wdzięczności, kiedy poczuła dłoń Alice na swoim ramieniu i usłyszała jej zdecydowany głos:

– Mam cię. Tędy.

– Dziękuję.

Alice prowadziła, a Lauren szła za nią. Wokół nich rozbrzmiewały odgłosy kroków. Śmiechy. Znów głos Alice. Tym razem ostrzegający: „Uważaj”.

Ręka puściła jej ramię i zniknęła. Lauren wyciągnęła ręce zdezorientowana, zawadziła o coś stopą i poczuła w żołądku mdlące uczucie spadania. Jedynym dźwiękiem, jaki słyszała, był stłumiony śmiech.

Upadając, złamała sobie nadgarstek. Była za to wdzięczna, ponieważ dzięki temu, kiedy zdjęła przepaskę z oczu i znalazła się zupełnie sama pośród buszu i ciemności, miała powód, żeby się rozpłakać. Nie żeby to miało jakieś znaczenie. Minęły cztery godziny, zanim dziewczyny po nią wróciły. Kiedy się w końcu zjawiły, Alice się śmiała.

– Mówiłam ci, żebyś uważała.

Rozdział 29

Falk uważnie patrzył na czerwono-srebrną nić przyciętą przez zamek w kurtce Alice, a następnie podsunął ekran Carmen. Mrugnęła.

– Cholera. – Sięgnęła do kieszeni kurtki i zanim Falk cokolwiek jej powiedział, wyjęła z niej plecioną bransoletkę od Rebekki. Srebrna nić połyskiwała w świetle.

– Wiem, że Lauren powiedziała, że zgubiła swoją, ale czy na pewno miała ją w ogóle na wycieczce?

Tym razem to Falk sięgnął do swojej kurtki i wyjął z niej zmiętą ulotkę informującą o zaginionej. Rozprostował ją, ignorując uśmiech Alice, i skupił wzrok na ostatnim wspólnym zdjęciu pięciu kobiet.

Stały przy wejściu na szlak. Alice obejmowała Lauren w talii. Uśmiechała się. Lauren położyła rękę na ramieniu Alice. Spod rękawa jej kurtki wyraźnie wystawała pleciona czerwono-srebrna bransoletka.

Carmen od razu sięgnęła po telefon stacjonarny, żeby zadzwonić do sierżanta Kinga. Po chwili pokręciła głową. Nikt nie odpowiadał. Wykręciła numer do recepcji. Falk ubrał się bez słowa i kiedy sprawdziła numer pokoju, był już gotowy do wyjścia. Późnopołudniowe słońce kryło się za drzewami i nadciągała ciemność.

Kiedy dotarli do pokoju Lauren, Falk zapukał. Czekali. Żadnej odpowiedzi. Znow zapukał i nacisnął klamkę. Drzwi otworzyły się. Pokój był pusty. Falk spojrzął na Carmen.

– Może jest w głównym budynku?

Falk zawahał się i spojrzął nad ramieniem Carmen w kierunku szlaku do wodospadu. Carmen podążyła za jego spojrzeniem i odczytała jego myśli. Zbladła.

– Ty idź, sprawdź, a ja sprowadzę Kinga i ruszymy za wami.

– Jasne.

Falk zaczął iść szybkim krokiem po żwirowej ścieżce. Na początku szlaku był sam, ale widział ślady butów na błocie.

Czy miał rację? Nie wiedział. Ale pomyślał o tej dziewczynie, czerwonej nitce i gołym nadgarstku jej matki.

Falk szedł szybciej i szybciej, a kiedy do jego uszu doleciał huk wodospadu, puścił się biegiem.

Dzień 4: Niedziela rano

– Znajdę drogę. Robiłam to na obozie.

Lauren popatrzyła na Alice.

– Dużo rzeczy tam robiłaś.

– O Boże, Lauren, nie zaczynaj. Przeprosiłam cię już za to, co się wtedy stało. I to tyle razy. – Alice odwróciła się. – Słuchaj, przykro mi, ale muszę już iść.

Lauren złapała Alice za kurtkę.

– Ale nie z telefonem.

– Z nim, bo to mój telefon. – Alice odepchnęła ją i Lauren lekko się zatoczyła. Poczowała przyływ gniewu.

– Nie odchodź.

– Na litość boską. – Tym razem Alice już się nie odwróciła. Lauren znów rzuciła się do przodu, czując się trochę niepewnie na nogach. Tym razem złapała plecak Alice, ciągnąc ją do tyłu.

– Nie zostawiaj nas.

– Jezu. Nie bądź żałosna.

– Hej! – Lauren poczuła, że coś w niej wezbrało i pękło. – Nie mów tak do mnie.

– Dobra. – Alice machnęła ręką. – Jak chcesz, to chodź ze mną. Albo zostań. Albo szukaj drogi na własny rachunek, kiedy dotrze do ciebie, że nikt was nie uratuje. Ale ja muszę już iść.

Usiłowała się uwolnić, ale Lauren zacisnęła uchwyt.

– Nie. – Ręka ją bolała. Czuła, że trochę kręci się jej w głowie. – Chociaż raz pomyśl o kimś poza samą sobą.

– Właśnie to robię! Muszę wrócić do Margot. Zrozum, coś się stało i...

– Boże uchroni, żeby coś mogło się przydarzyć naszej drogiej Margot Russell – przerwała jej Lauren. Usłyszała swój własny śmiech. Brzmiał dziwnie wśród nocy. – Nie wiem, która z was jest większą egoistką, ty czy ona.

– Proszę?

– Nie udawaj, że nie wiesz, o co mi chodzi. Jest tak zła jak ty. Udajesz, że ci przykro za to, jaka byłaś w szkole – jaka jesteś teraz – ale wychowałaś córkę na taką samą osobę. Chcesz, żeby poszła w twoje ślady? To ci się akurat udało.

Alice roześmiała się zimno.

– Och, naprawdę? Ale ty przecież wiesz o tym najlepiej.

Cisza.

– Co takiego? – Słowa uciekły Lauren.

– Zapomnij. Po prostu... – Alice ściszyła głos. – Nie mieszaj do tego Margot. Ona nie zrobiła nic złego.

– Naprawdę?

Brak odpowiedzi.

Lauren spojrzała na nią.

– Wiesz, że ona była w to zamieszana, Alice.

– W co? W problemy Rebekki? Wiesz dobrze, że to zostało ukrócone. Szkoła przeprowadziła śledztwo. Dziewczyny odpowiedzialne za te zdjęcia zostały zawieszane.

– Dziewczyny, którym można było coś udowodnić, zostały zawieszane.

Myślisz, że nie wiem, że to były przyjaciółki Margot? Ona była w to zamieszana, nie ma co do tego wątpliwości. Pewnie sama to wszystko wymyśliła.

– Gdyby tak było, szkoła by mnie o tym poinformowała.

– Naprawdę? Tak myślisz? Ile pieniędzy przekazałaś w tym roku na szkołę dodatkowo? Ile cię kosztowało, żeby dyrekcja przymknęła oko w sprawie mojej córki?

Cisza. Coś zaszeleściło w buszu.

– Tak myślałam. – Lauren trzęsa się tak bardzo, że niemal nie mogła oddychać.

– Hej, próbowałam zrobić wszystko, żeby ci pomóc, Lauren. Czy to nie ja poleciłam cię do tej pracy? I czy to nie ja cię kryłam – ile to razy ostatnio – kiedy byłaś rozkojarzona?

– Dlatego, że masz poczucie winy.

– Dlatego, że jesteśmy przyjaciółkami.

Lauren spojrzała na nią.

– Nie, nie jesteśmy.

Alice przez minutę nic nie mówiła.

– Okej, zrozum, obie jesteśmy zdenerwowane. To były naprawdę ciężkie dni. I ja dobrze rozumiem, jak ciężko jest ci z Rebeccą.

– Nie, nie rozumiesz. Nie masz pojęcia.

– Lauren, wręcz przeciwnie. – Oczy Alice błyszczały w świetle księżyca.

– Wszystko wskazuje na to, że są jakieś zdjęcia Margot i...

– I co?

– Więc muszę do niej wrócić.

– I spodziewasz się, że będę ci współczuć, bo teraz twoja córka, a nie moja znalazła się po złej stronie czyjś aparatu?

– O Chryste, Lauren, proszę. Twoja córka była cholernie nieszczęśliwa długo przed tym, jak te zdjęcia zostały rozesłane.

– Nieprawda.

– Prawda! Oczywiście, że była nieszczęśliwa! – Alice szeptała natarczywie. – Chcesz kogoś winić za problemy Rebekki, to czemu nie przyjrzyj się sobie? Serio. Naprawdę nie widzisz, po kim ona to ma?

Lauren słyszała puls w uszach. Alice stała tuż obok niej, ale jej słowa docierały z bardzo daleka.

– Nie? – Alice wpatrywała się w nią. – Nie masz pojęcia? A może przez szesnaście lat patrzyła, jak wszyscy tobą pomiatają? Jak pozwalasz ludziom się deptać. Nigdy nie jesteś z siebie zadowolona. Od lat albo dieta, albo efekt jo-jo. Założę się, że nigdy nie nauczyłaś jej stawiać się. Zastanawiałaś się kiedyś, dlaczego zawsze jesteś źle traktowana? W szkole sama się o to prosiłaś, a teraz nie jest inaczej. Wszystkie mogłybyśmy się stąd wydostać z twoją pomocą, ale za bardzo się boisz, żeby sobie zaufać.

– Nieprawda!

– Tak! Masz słaby charakter.

– Nie.

– A jeśli nie widzisz, jaką krzywdę wyrządzasz własnemu dziecku, to jesteś gorszą matką, niż myślałam, i prawdę mówiąc, uważam, że po prostu się rozpadasz.

Lauren dudniło w głowie tak głośno, że niemal nie słyszała swoich własnych słów.

– Nie, Alice. Ja się zmieniłam. To ty jesteś cały czas taka sama. W szkole byłaś suką, a teraz jesteś jeszcze gorsza.

Śmiech.

– Sama siebie oszukujesz. Nic się nie zmieniłaś. Jesteś, jaka jesteś. Taką masz naturę.

– A Rebecca... – Poczucie winy niemal udusiło Lauren. – Jej problemy są skomplikowane.

– Ile płacisz terapeutce, żeby ci tak mówiła? – Zakpiła Alice. – To nie jest takie trudne. Sposób, w jaki funkcjonuje świat. Naprawdę myślisz, że nie dostrzegam, że moja córka potrafi być małą przebiegłą suką? Agresywną

i manipulującą i co tam jeszcze chcesz? Nie jestem ślepa, widzę, jaka jest.

Alice pochyliła się, jej policzki pałały. Mimo chłodu pocila się, a włosy przylgnęły do jej czoła w strąkach. W oczach błyszczały jej łzy.

– I Bóg jeden wie, że robi głupie, głupie rzeczy, ale ja mogę to przyznać. Podnoszę rękę i akceptuję mój udział w tej sprawie. Chcesz wydawać tysiące dolarów na terapię, żeby dowiedzieć się, czemu twoja córka jest chora, smutna i się głodzi, Lauren? – Ich twarze były tak blisko siebie, że ich oddechy się mieszały. – Oszczędź pieniądze i kup sobie lustro. Ty jej to zrobiłaś. Myślisz, że moja córka jest taka jak ja? Twoja córka jest taka jak ty.

Rozdział 30

Ścieżka pod stopami Falka była śliska i mokra. Biegł tak szybko, jak mógł. Pierś mu falowała, a gałęzie przyczepiały się do niego. Grzmiący dźwięk wodospadu był coraz bliżej i kiedy w końcu Falk wypadł spośród drzew, dysząc, natychmiast zrobiło mu się chłodniej.

Woda spływała ścianą w dół. Zatrzymał się i rozejrzył. Jego oddech był urywany i mrużył oczy w ostatnim świetle dnia. Nic. Punkt widokowy był pusty. Zaklął pod nosem. Pomylił się. Albo się spóźnił, podszeptął mu jakiś głos.

Wszedł na mostek i zrobił krok, i następny, aż nagle zamarł.

Siedziała przycupnięta na skale na szczycie Mirror Falls, niemal niewidoczna na tle skał. Jej nogi zwisały w powietrzu, a głowa była spuszczone nisko, bo wpatrywała się w kotłującą się wodę.

Lauren – smutna, drżąca i osamotniona.

Dzień 4: Niedziela rano

Twoja córka jest taka jak ty.

Te słowa nadal dźwięczały wśród nocy, kiedy Lauren rzuciła się na Alice. Ten ruch zaskoczył nawet ją samą, gdy jej ciało staranowało tę drugą i obie zatoczyły się, wymachując rękami w powietrzu. Lauren poczuła ból, kiedy paznokcie rozorały jej prawy nadgarstek.

– Ty suko. – Lauren czuła ścisk w gardle i jej głos był stłumiony, kiedy upadły razem na kamień stojący przy ścieżce.

Rozległ się łomot i Lauren poczuła, jak powietrze uchodzi z jej płuc.

Usiłowała zaczerpnąć tchu i przewróciła się na plecy, czując, jak kamienista ścieżka wbija się jej w ciało.

Obok niej Alice wydała cichy jęk. Jej jedna ręka była przełożona przez Lauren i leżała tak blisko, że Lauren czuła ciepło jej ciała. Jej plecak upadł obok.

– Złaż ze mnie. – Lauren odepchnęła ją. – Kłamiesz.

Alice nie odpowiedziała i nadal leżała bez ruchu.

Lauren usiadła, starając się napełnić płuca powietrzem. Adrenalina wyparowała, zostawiając ją rozedrganą i zziębniętą. Spojrzała na dół. Alice nadal była na plecach, wpatrzona w niebo, jej powieki drgały, a usta były rozchylone. Znów jęknęła, podnosząc rękę do głowy. Lauren spojrzała na kamień przy ścieżce.

– Co? Uderzyłaś się w głowę?

Brak odpowiedzi. Alice zamruwała. Jej oczy zamykały się i otwierały powoli. Ręka przy głowie.

– Cholera. – Lauren nadal czuła gniew, ale już stłumiony. Zaczynała żałować całej sytuacji. Może i Alice posunęła się za daleko, ale ona też. Wszystkie były zmęczone i głodne i ona wybuchła. – Wszystko w porządku? Pozwól...

Lauren wstała i włożyła ręce pod pachy Alice, sadzając ją. Oparła jej plecy o kamień, przysunęła plecak. Alice mrugała powoli, jej wzrok nie był skupiony na niczym, a ręce stały się bezwładne. Lauren sprawdziła tył jej głowy. Nie było krwi.

– Nic ci nie jest. Nie krwawisz, pewnie kręci ci się w głowie. Daj sobie chwilę.

Brak odpowiedzi.

Lauren położyła rękę na piersi Alice, sprawdzając, czy się unosi. Podobnie robiła, kiedy Rebecca była mała, stając nad jej kołyską nad ranem, przerażona odpowiedzialnością, oszołomiona siłą ich więzi. *Nadal oddychasz? Jesteś ze mną?* Teraz, kiedy Lauren wstrzymywała swój własny

oddech, poczuła płytki ruch klatki piersiowej Alice. Odetchnęła z ulgą.

– Chryste, Alice. – Lauren wstała i cofnęła się. Co teraz?

Nagle poczuła się bardzo samotna i przerażona. Była wykończona. Wszystkim. Nie miała siły, żeby dalej walczyć.

– Alice, rób, co chcesz. Nie obudzę pozostałych. Nie powiem im, że cię widziałam, jeśli ty nie powiesz, że... – urwała. – Po prostu na chwilę przestałam nad sobą panować.

Brak odpowiedzi. Alice patrzyła na ziemię przez półprzymknięte powieki. Mrugnęła raz i jej pierś uniosła się i powoli opadła.

– Wracam do chaty. Ty też powinnaś. Nie znikaj.

Usta Alice poruszyły się nieznacznie. Cichy gardłowy dźwięk. Zaciekawiona Lauren przysunęła się bliżej. Kolejny cichy dźwięk. Zupełnie jak jęk, ale przy wietrze potrząsającym drzewami i krwi głośno tętniącej jej w żyłach, Lauren była pewna, że wie, co Alice chciała powiedzieć.

– W porządku. – Lauren odwróciła się. – Ja też przepraszam.

Ledwo pamiętała, jak wróciła do chaty. W środku jej koleżanki spały, oddychając spokojnie. Lauren znalazła swój śpiwór i wsunęła się do niego. Trzęsa się, kiedy położyła się na podłodze, wszystko wokół zdawało się wirować. Coś gniotło ją w piersi. Nie tylko gniew, pomyślała. Nie tylko smutek. Coś jeszcze.

Wina.

To słowo pojawiło się i podeszło do gardła, jakby zbierało się jej na wymioty. Przełknęła je z powrotem.

Powieki jej ciążyły i była bardzo zmęczona. Nasłuchiwała tak długo, jak dała radę, ale nic nie wskazywało na to, żeby Alice wróciła za nią do chaty. W końcu Lauren poddała się. Była już na krawędzi snu, kiedy dotarły do niej dwie sprawy. Po pierwsze: zapomniała zabrać telefon. Po drugie: jej nadgarstek był goły. Bransoletka, którą dostała od córki, przepadła.

Rozdział 31

Falk przeszedł przez barierkę i wspinał się po skalistej powierzchni. Popęknął błąd i spojrzał w dół; skała zachwiała się pod nim. Złapał się barierki i skupił na horyzoncie, czekając, aż uczucie minie. Trudno było stwierdzić, gdzie powietrze stykało się z ziemią, bo wierzchołki drzew rozmywały się na ciemniejącym niebie.

– Lauren! – Falk zawołał tak cicho, jak się dało przy huczącym wodospadzie.

Wzdrygnęła się na dźwięk swojego imienia, ale nie obejrzała się.

Miała na sobie tylko cienką bluzkę z długim rękawem i spodnie, które już widział. Bez kurtki. Jej włosy były mokre od bryzy i przylegały do głowy. Nawet w zapadającym zmroku jej twarz była sina. Falk zastanawiał się, od jak dawna tam siedzi. Możliwe, że od godziny. Przestraszył się, że może upaść z samego wyziębienia.

Spojrzał na szlak, nie wiedząc, co robić. Ścieżka nadal była pusta. Lauren siedziała tak blisko krawędzi, że aż jemu kręciło się w głowie. Nabrał powietrza w płuca i zaczął zbliżać się do niej centymetr po centymetrze. Przynajmniej chmury się rozwiały i wschodzący księżyc dawał trochę światła.

– Lauren – zawołał znów.

– Nie zbliżaj się.

Zatrzymał się i zaryzykował spojrzenie w dół. Próbował sobie przypomnieć, co pierwszego dnia powiedział im Chase. Piętnastometrowy spadek do czarnego basenu poniżej. Co jeszcze mówił? Że to nie upadek zabija, tylko szok i chłód. Lauren już teraz bardzo się trzęsła.

– Posłuchaj – powiedział. – Tu jest lodowato. Rzucę ci moją kurtkę, dobrze?

Na początku nie zareagowała, ale po chwili sztywno pokiwała głową. Potraktował to jako dobry znak.

– Trzymaj. – Rozpiął kurtkę i ściągnął ją, zostając w samym swetrze. Wilgoć znad wodospadu natychmiast na nim osiadła. Rzucił kurtkę Lauren. Dobrze wymierzył i kurtka doleciała blisko. Lauren spojrzała na nią, ale nie wykonała żadnego ruchu. – Jeśli nie zamierzasz jej włożyć, to oddaj mi ją – powiedział, szcękając zębami. Lauren zawahała się i włożyła ją. Kolejny dobry znak.

– Alice naprawdę nie żyje? – Trudno było dosłyszeć jej słowa ponad wodą.

– Tak. Przykro mi.

– Rano, kiedy przyszliśmy na ścieżkę i jej nie było, pomyślałam... – Lauren nadal trzęsa się, walcząc o każde słowo. – Pomyślałam, że to jej się uda.

Dzień 4: Niedziela rano

Bree nie wiedziała, co ją obudziło. Gdy otworzyła oczy, powitało ją zimne i szare światło wczesnego świtu. Przez okna dostawało się do środka niewiele światła i większość izby nadal była pogrążona w ciemności. Wokół siebie słyszała spokojny oddech koleżanek. Wszystkie jeszcze spały. Dobrze. Westchnęła cicho, zastanawiając się, czy uda jej się ponownie zasnąć, ale deski były twarde i miała pełny pęcherz.

Obróciła się na drugi bok i zobaczyła krew rozbryzganą na podłodze obok. Lauren, przypomniała sobie. Z obrzydzeniem zwinęła się w kłębek. Przypomniała się jej wczorajsza bijatyka i tym razem jęknęła głośniejsze. Zamknęła sobie dłonią usta i leżała bez ruchu. Nie chciała stawiać czoła swoim towarzyszkom ani trochę wcześniej, niż było to konieczne.

Wyśliznęła się ze swojego śpiwora i włożyła buty i kurtkę. Podeszła do drzwi, krzywiąc się za każdym skrzygnięciem podłogi, i wyszła na zimne poranne powietrze. Kiedy zamykała za sobą drzwi, usłyszała kroki na polance i zdusiła krzyk.

– Ciii, tylko nie obudź reszty, do cholery – szepnęła Beth. – To tylko ja.

– Boże, ale mnie przestraszyłaś. Myślałam, że jeszcze śpisz. – Bree upewniła się, że dobrze zamknęła drzwi do chaty, i odsunęła się od nich. – Co tu robisz tak wcześnie?

– To samo co ty. Tak sędzę. – Beth skinęła głową w stronę wychodka.

– Och, racja.

Nastąpiła chwila niezręcznej ciszy. Widmo poprzedniego wieczoru unosiło się nad nimi niczym dym.

– Słuchaj, jeśli chodzi o wczoraj... – szepnęła Beth.

– Nie chcę o tym...

– Wiem, ale musimy. – Głos Beth był zdecydowany. – Wiem, że przysporzyłam ci wiele problemów, ale wynagrodzę ci to.

– Nie, Beth. Proszę. Po prostu to zostaw.

– Nie mogę. To zaszło za daleko. Nie może być tak, że Alice ci grozi i nie ponosi za to żadnych konsekwencji. Zwłaszcza że tak ciężko pracujesz. Nie może pomiatać ludźmi i dziwić się, jak ktoś jej w końcu odda.

– Beth...

– Uwierz mi. Ty mi zawsze pomagałaś. Przez całe moje życie. Teraz moja kolej.

Bree już to słyszała. Dzień za późno, dolar za mało, pomyślała i natychmiast poczuła się jak jędza. Jej siostra się starała. Zawsze się starała. Bree przełknęła.

– Dobrze. Dziękuję. Tylko nie pogarszaj sytuacji.

Beth machnęła ręką w stronę buszu z dziwnym półśmiechem.

– A może być jeszcze gorzej?

Bree nie była pewna, która wykonała pierwszy ruch, ale objęły się

z siostrą po raz pierwszy od wielu lat. Było to trochę dziwne, że ciało niegdyś tak znajome jak jej własne teraz było zupełnie inne. Kiedy się od siebie odsunęły, Beth się uśmiechała.

– Wszystko będzie dobrze – powiedziała. – Obiecuję.

Bree patrzyła za siostrą, która z powrotem weszła do chaty. Nadal czuła ciepło jej ciała przy swoim.

Zignorowała wychodek – nie było szans, żeby tam weszła – i zamiast tego poszła na tył chaty. Zatrzymała się na widok okropnego psiego grobu. Niemal o nim zapomniała. Odwróciła się i zaczęła iść przez wysoką trawę, między drzewa, aż grób zupełnie zniknął jej z oczu. Już miała zdjąć spodnie, kiedy coś usłyszała.

Co to było? Ptak? Dźwięk dochodził ze ścieżki za nią. Był cichy, ale zdecydowanie nie należał do przyrody. Bree wstrzymała oddech, niemal dzwoniło jej w uszach z wysiłku nasłuchiwania. To nie był ptak. Bree rozpoznała go. Zaczęła biec w jego kierunku. Po ścieżce, niemal przewracając się na jej nierównej powierzchni.

Alice siedziała na ziemi z nogami wyciągniętymi przed siebie, oparta o głaz. Pasemka jej jasnych włosów unosiły się na wietrze, jej oczy były przymknięte. Jej głowa była nieznacznie odchyłona, jakby napawała się nieistniejącym promieniem światła, a kieszeń jej džinsów dzwoniła.

Bree upadła na kolana.

– Alice, telefon. Szybko! Telefon dzwoni!

Widziała go na jej udzie. Ekran był pęknięty, ale świecił. Bree pochwyciła go rękami tak drżącymi, że niemal jej wypadł. Teraz dzwonił w jej ręce, piskliwie domagając się uwagi.

Na ekranie wyświetlało się imię dzwoniącego. Dwie litery: A.F.

Bree nie wiedziała, kto to, ale nie miało to znaczenia. Nieporadnie próbowała odebrać, niemal przypadkowo się rozłączając. Przycisnęła telefon do ucha.

– Halo? O Boże. Czy mnie słychać?

Nic. Nawet żadnych zakłóceń.

– Proszę.

Odsunęła komórkę od twarzy. Ekran był pusty. Imię zniknęło. Bateria się rozładowała.

Potrząsnęła nim rękami mokrymi od potu. Nic. Nacisnęła przycisk ON i jeszcze raz, i jeszcze. Ekran był zupełnie czarny.

– Nie!

Jej żołądek ścisnął się, kiedy nadzieja bezpowrotnie wymknęła się jej z rąk. Odwróciła się i zwymiotowała żółcią, łzy cisnęły się jej do oczu, a rozczarowanie zgniatało pierś. Dlaczego cholerna Alice nie odebrała wcześniej? Baterii mogło wystarczyć nawet na jedną rozmowę. Co ta głupia suka sobie myślała, nie wyłączając telefonu? Marnując baterię?

Bree odwróciła się, żeby zadać te wszystkie pytania, gniew i wymiociny paliły ją w gardle, kiedy dotarło do niej, że Alice nadal jest w tej samej pozycji oparta o kamień. Ani drgnęła.

– Alice?

Brak odpowiedzi.

To, co na początku Bree uznała za odprężoną pozę ciała Alice, teraz zaczęło wyglądać nienaturalnie. Jej plecy były oparte pod dziwnym kątem, a głowa opadała bezwładnie. Nie wyglądała spokojnie – była nieobecna.

– Cholera. Alice?

Bree myślała, że oczy Alice były zamknięte, ale w rzeczywistości powieki nie opadły do końca. Małe białe półksiężycy patrzyły na szare niebo.

– Słyszysz mnie? – Bree sama ledwo słyszała swój głos.

Żadnego ruchu, żadnej reakcji. Bree zakręciło się w głowie. Chciała usiąść koło Alice bez ruchu i po prostu zniknąć.

Półprzymknięte oczy Alice patrzyły, aż Bree nie mogła już tego znieść. Odsunęła się tak, żeby nie widzieć jej twarzy. Tył głowy Alice wyglądał trochę dziwnie i Bree nachyliła się tak blisko, jak miała odwagę, żeby się

przyjrzeć. Nie było krwi, ale między włosami skóra była purpurowa. Odsunęła się ze wzrokiem wbitym w ziemię.

Mało brakowało, a nie dostrzegłaby przedmiotu wciśniętego między kamień a plecy Alice. Widoczna była tylko jego końcówka, okrągła i metalowa. Bree wpatrywała się w nią przez dłuższą chwilę. Nie chciała tego dotykać, nie chciała przyznać przed sobą, że to rozpoznaje, ale już wiedziała, że nie może tego tak zostawić.

W końcu przykucnęła i samymi opuszkami palców złapała, pociągnęła i wydestała ciężką metalową latarkę. Wiedziała, jakie imię będzie wykrobane z boku, ale i tak zaparło jej dech w piersiach, kiedy zobaczyła je połyskujące w słońcu. *Beth*.

To zaszło za daleko. Nie może być tak, że Alice ci grozi i nie ponosi za to żadnych konsekwencji.

Odruchowo Bree wyciągnęła rękę i rzuciła latarkę daleko w busz. Słysząc było, jak o coś uderza, i zniknęła. Bree czuła mrowienie w dłoni. Wytarła ją o spodnie. Napłuła na nią i znów wytarła. Spojrzała na Alice. Nadal siedziała, nadal bez ruchu.

W umyśle Bree otwarło się dwoje drzwi, jedno zatrzasknęła z całej siły. Po konsternacji nie było ani śladu, nagle zaczęła myśleć bardzo jasno. Musiała się ruszyć.

Ścieżka była pusta. Na razie. Nie wiedziała, jak długo tu była. Czy ktoś jeszcze usłyszał telefon? Nasłuchiwała. Nie docierał do niej żaden ruch, ale koleżanki i tak niedługo się obudzą, jeśli jeszcze śpią.

Najpierw zajęła się plecakiem. To było łatwiejsze. Sprawdziła ponownie, że telefon stał się bezużyteczny, i włożyła go do bocznej kieszeni plecaka. Następnie zniosła go w busz, tak daleko, że nie widziała już ścieżki, i oparła go o drzewo. Stała i przez jedną okropną chwilę nie pamiętała, jak wrócić.

Przerażona zmusiła się do wzięcia głębokiego oddechu i uspokojenia się. Nie panikuj, szeptała do siebie. Wiedziała, w którą stronę ma pójść. Ruszyła

prosto w stronę, skąd przysła, przez wysoką trawę, szybciej i szybciej, aż dostrzegła Alice opartą o głaz.

Niemal zatrzymała się na widok tyłu jej głowy, unoszących się na wietrze włosów, porażającego bezruchu. Jej puls bił tak szybko, że bała się, że zemdleje. Zmusiła się, żeby przebiec ostatnie kilka metrów, i zanim zdążyła zmienić zdanie, złapała Alice pod pachami i pociągnęła.

Szła tyłem, ciągnąc bezwładne ciało w busz. Wiatr nawiewał liście i śmieci, zacierając jej ślady. Bree szła, dopóki ręce nie zaczęły ją boleć, a płuca – piec. Zaczęła się potykać i zataczać.

Alice – a raczej jej ciało – upadła płasko na plecy, twarzą do nieba. Bree oparła się ciężko o pień uschniętego drzewa, w jej oczach były łzy i wściekłość. Przez chwilę zastanawiała się, czy płacze z powodu Alice, ale dobrze wiedziała, że nie. Przynajmniej nie w tym momencie. Wtedy miała łzy tylko dla siebie, dla swojej siostry i tego, co z nich wyrosło.

Jakby tego wszystkiego było mało, Bree poczuła, że coś ukłuło ją w rękę.

Rozdział 32

Coś przykuło spojrzenie Falka.

Daleko w dole mignęła mu kamizelka odblaskowa, kiedy ktoś wyszedł spomiędzy drzew dobrze znanym mu krokiem. Carmen. Stała obok wodospadu i Falk zobaczył, że zadarła głowę. Było za ciemno, żeby zobaczył jej twarz, ale po chwili uniosła jedną rękę. *Widzę cię*. Wokół niej policjanci zajmowali pozycje, starając się nie zwracać na siebie uwagi.

Lauren zdawała się tego wszystkiego nie zauważać, z czego Falk był zadowolony. Chciał, żeby jej uwaga nie koncentrowała się na dole. Falkowi wydawało się, że mimo huku wody usłyszał czyjeś kroki na drewnianym mostku. Dźwięk musiał dotrzeć również do Lauren, ponieważ odwróciła głowę w tamtym kierunku. Zobaczyli sierżanta Kinga z dwoma funkcjonariuszami. Nie zbliżał się, ale podniósł radio do ust i powiedział coś, czego Falk nie dosłyszał.

– Niech nie podchodzą bliżej – powiedziała Lauren. Jej twarz była mokra, ale oczy suche, a ich wyraz zaniepokoił Falka. Widział już kiedyś podobny. To wyraz oczu człowieka zrezygnowanego.

– W porządku – odparł. – Ale oni nie będą stać tam całą noc. Chcą z tobą porozmawiać, a ty powinnaś im na to pozwolić. Jeśli odsuniesz się od krawędzi, postaramy się jakoś to ogarnąć.

– Alice próbowała powiedzieć mi o tych zdjęciach Margot. Może gdybym jej wysłuchała, wszystko potoczyłoby się inaczej.

– Lauren...

– Co? – przerwała mu. – Myślisz, że możesz to naprawić?

– Możemy spróbować. Obiecuję. Proszę. Wróć do schroniska i porozmawiaj z nami. Jeśli nie dla siebie, to pomyśl o swojej córce. – Nie był pewien, czy zagrał właściwą kartą. – Jest jeszcze przecież twoja córka.

Ona cię potrzebuje.

Natychmiast dotarło do niego, że powiedział coś nie tak. Wyraz twarzy Lauren zmienił się i kobieta pochyliła się do przodu, a jej palce ściskające krawędź pobielwały.

– Rebecca mnie nie potrzebuje. Nie umiem jej pomóc. Tak bardzo się starałam przez całe jej życie. I, przysięgam na Boga, wiem, że popełniłam błędy, ale robiłam, co mogłam! – Patrzyła w przepaść. – Ale tylko wszystko pogorszyłam. Jak mogłam jej to zrobić? To jeszcze dziecko. Alice miała rację. – Pochyliła się. – To moja wina.

Dzień 4: Niedziela rano

Pierwsze, co Lauren usłyszała po otwarciu oczu, to krzyki na zewnątrz.

Czuła ruch wokół siebie, ktoś wstawał, dźwięk kroków na drewnianych deskach. Uderzenie, kiedy drzwi otwarły się na oścież. Powoli usiadła w swoim śpiworze. Głowa ją bolała, a powieki były ciężkie. Alice. Wspomnienia ze ścieżki pojawiły się natychmiast. Rozejrzała się. Była sama.

W przerażeniu wstała i podeszła do drzwi. Wyjrzała na zewnątrz, mrugając oczami. Na polance panowało zamieszanie. Próbowwała zrozumieć, co widzi. Nie Alice. Bree.

Bree leżała przy pozostałościach wczorajszego ogniska, ściskając rękę. Była bardzo blada.

– Podnieś ją! – krzyczała Beth, usiłując podnieść ramię siostry nad głowę.

Jill nerwowo wertowała cienką ulotkę. Nikt nie patrzył na Lauren.

– Piszą, że trzeba ją usztywnić – powiedziała. – Znajdźcie coś na łubki.

– Co? Co mamy znaleźć?

– Nie wiem! Skąd mam wiedzieć? Jakiś kij pewnie. Cokolwiek!

– Musimy iść! – krzyczała Beth, zgarniając naręcze gałązek. – Jill? Musimy zaprowadzić ją do lekarza natychmiast. Cholera, czy nikt nie był na kursie pierwszej pomocy?

– Tak, cholerna Alice! – Jill w końcu obróciła się w kierunku chaty i zobaczyła Lauren. – Gdzie ona jest? Obudź ją. Powiedz, że mamy ukąszenie przez węża.

Lauren miała przedziwne wrażenie, że Jill chce, żeby poszła na ścieżkę i obudziła Alice, ale jej szefowa wskazywała palcem na chatę. Jak we śnie, Lauren weszła do środka i się rozejrzała. Nadal była tam sama. Cztery śpiwory na podłodze. Sprawdziła każdy. Były puste. Alice nigdzie nie było. Nie wróciła.

W drzwiach pojawiła się Jill.

Lauren potrząsnęła głową.

– Nie ma jej.

Jill zamarła, a po chwili chwyciła swój śpiwór i plecak i zaczęła je przetrząsać.

– Gdzie moja kurtka? Miałam tam telefon. Cholera. Ta suka go wzięła.

Rzuciła swoje rzeczy i wybiegła z chaty, trzaskając drzwiami.

– Zostawiła nas i zabrała telefon.

Lauren usłyszała krzyk oburzenia, który wydała z siebie jedna z sióstr.

Włożyła buty i wyszła na zewnątrz. Wiedziała, gdzie jest kurtka Jill. Widziała, jak Alice wkładała ją za drzewo. Żałowała, że w ogóle wstała w nocy za potrzebą... Żałowała, że nie obudziła innych, tylko poszła za Alice sama. Żałowała, że nie udało się jej przekonać, żeby nie odchodziła. Żałowała wielu innych rzeczy.

Lauren zauważyła coś kolorowego za drzewem i sięgnęła po to.

– Tu jest kurtka.

Jill wyrwała ją i przeszukała kieszenie.

– Nie. Zabrała go.

Beth stała nad Bree, która nadal leżała na ziemi z ręką unieruchomioną

między dwoma kijkami.

– No dobra, co możemy zrobić? – Jill dyszała ciężko. – Zostać albo zostawić tutaj Bree i rozdzielić się...

– Nie! – zawołały razem siostry.

– No dobrze, dobrze. W takim razie musimy iść. Wszystkie pomożemy Bree, ale w którą stronę...

– Musimy iść na północ – powiedziała Lauren.

– Jesteś pewna?

– Tak. Idziemy zgodnie z planem. Tak prosto, jak się da, tak szybko, jak się da, i natrafimy na drogę. To nasza najlepsza szansa.

Jill zastanawiała się przez ułamek sekundy.

– No dobrze, ale najpierw musimy poszukać Alice. Na wszelki wypadek.

– Żartujesz? Na jaki wypadek? – Beth nie kryła zdziwienia.

– Na taki, że mogła pójść za potrzebą i skrócić sobie kostkę, sama nie wiem!

– Nie! Musimy iść!

– To zrobimy to szybko. My trzy. Niech Bree tu zostanie. – Zawahała się... – Nie odchodźcie za daleko.

Lauren już biegła przez trawę w kierunku ścieżki.

– Będzie lepiej dla Alice, jeśli znajdzie ją ktoś inny – mówiła Beth. – Jeśli ja na nią trafię, to ją zabiję.

Lauren biegła bez tchu. Nadal czuła ciężar Alice, kiedy się szarpały. Nadal czuła ukłucie jej słów.

Na to wspomnienie Lauren trochę zwolniła. Ścieżka wyglądała inaczej za dnia i niemal przegapiła to miejsce. Niemal. Zatrzymała się przy tym głazie, rozumiejąc natychmiast, co ma przed oczami. Nic. Nic przy nim nie było. Ścieżka była pusta.

Po Alice nie było ani śladu.

Lauren zakręciło się w głowie. Rozejrzała się, myśląc, jak daleko zaszła już Alice. Nie miała pojęcia.

Rozejrzała się po ziemi, lecz nigdzie nie zauważyła swojej bransoletki. Może zgubiła ją jednak w chacie? Nic nie było tam do oglądania, ale w powietrzu unosił się dziwny zapach i miało się wrażenie, że coś jest nie tak. Rozejrzała się jeszcze raz, nigdzie nie było śladów ich walki. Kiedy obróciła się, żeby odejść, jej nogi trzęsły się tylko nieznacznie.

Niedaleko chaty usłyszała głosy wołające Alice. Zastanawiała się, czy powinna zrobić to samo, ale kiedy otworzyła usta, nie mogła wypowiedzieć tego imienia.

Rozdział 33

Lauren patrzyła w dół na wodę. Nabrała powietrza przez zaciśnięte zęby, a Falk wykorzystał ten moment, żeby zrobić szybki krok w jej kierunku. Była tak skupiona, że nawet tego nie zauważyła.

Oboje trzęśli się z zimna i Falk obawiał się, że jej przemarznięte palce mogą się nawet mimowolnie puścić.

– Naprawdę nie chciałam jej zabić. – Głos Lauren był ledwo słyszalny przez huk wody.

– Wierzę ci – odparł. Pamiętał ich pierwszą rozmowę. Wydawało się, że było to tak dawno temu, nocą na szlaku. Nadal widział jej twarz – zagubioną i niepewną. *Nie chodzi o to, że coś poszło nie tak. Setki małych rzeczy zawiodły.*

Teraz wyglądała na zdeterminowaną.

– Ale chciałam zrobić jej krzywdę.

– Lauren...

– Nie za to, co zrobiła mnie. To była moja wina. Ale wiem, co Margot zrobiła Rebecce, że wystawiła ją na pośmiewisko. Może była wystarczająco sprytna, żeby to ukryć, a Alice zapłaciła szkole tyle, że jej darowali, ale ja wiem, co ta dziewczyna zrobiła. Jest taka sama jak jej matka.

Słowa wisiały nad nimi w marznącej mgle. Lauren nadal patrzyła w dół.

– Ale ponoszę winę za tyle innych spraw – powiedziała cicho. – Za to, że jestem słaba. O to nie mogę winić Alice i Margot. Rebecca też to zrozumie, jeśli jeszcze tego nie wie. I będzie mnie za to nienawidzić.

– Ona cię potrzebuje. I kocha cię. – Falk pomyślał o twarzy swojego ojca. O zapiskach na mapach. *Z Aaronem.* – Nawet jeśli nie zawsze zdaje sobie z tego sprawę.

– Ale co, jeśli nie uda mi się tego naprawić?

– Uda ci się. W rodzinie się wybacza.
– Nie wiem. Nie wszystko zasługuje na wybaczenie. – Znów patrzyła w dół. – Alice powiedziała, że jestem słaba.
– Myliła się.
– Też tak myślę. – Jej odpowiedź zaskoczyła go. – Zmieniłam się. Teraz robię to, co trzeba.

Falk poczuł, jak włosy na rękach stanęły mu dęba, w atmosferze nastąpiła zmiana. Przekroczyli niewidzialną granicę. Nie zauważył, żeby się poruszyła, ale nagle Lauren znalazła się znacznie bliżej krawędzi. Na dole Carmen patrzyła w górę. Podjął decyzję. Sprawy zaszły za daleko.

Zanim doprecyzował myśli, był już w ruchu. Dwa kroki po skałach, które pod podeszwami jego butów były śliskie niczym szkło. Wyciągał palce. Jego dłoń chwyciła jej kurtkę. Lauren spojrzała na niego spokojnym wzrokiem i jednym płynnym ruchem zrzuciła ją z ramion, niczym wąż skórę. Wymknęła się z jego uścisku i jeden zdecydowany, precyzyjny ruch wystarczył, żeby już jej nie było.

Krawędź była pusta, jakby nikt nigdy na niej nie stał.

Dzień 4: Niedziela rano

Jill widziała odbicie swojego strachu w oczach trzech towarzyszek. Jej serce waliło jak młotem, słyszała przyspieszone oddechy pozostałych. Skrawek nieba wyzierający spomiędzy koron drzew nad ich głowami był szary. Wiatr potrząsnął gałęziami, strącając na nie krople wody. Żadna się nawet nie wzdrygnęła. Za ich plecami zatrzeszczały przegniłe bale drewnianej chatki.

– Musimy się stąd wydostać. Natychmiast – powiedziała.

Obie osoby po jej lewej stronie skwapliwie pokiwały głowami – strach malujący się w ich oczach sprawił, że choć raz były zgodne. Towarzyszka

po prawej po krótkiej chwili wahania również na to przystała.

– A co z...

– Z czym?

– Co z Alice?

Zapanowała potworna cisza. Słyszeć było jedynie skrzypienie i szum drzew, w których cieniu stała cała czwórka.

– Alice sama jest sobie winna.

Cisza.

– Północ jest w tamtą stronę. – Wskazała Lauren.

Ruszyły, nie oglądając się za siebie, pozwalając, aby drzewa zakryły wszystko to, co zostawiły za sobą.

Rozdział 34

Falk krzyknął imię Lauren, ale było już za późno. Zwracał się do pustego powietrza. Już jej przy nim nie było.

Doczołgał się do krawędzi i zobaczył jeszcze, jak wpada do wody niczym kamień. Plusk wody został natychmiast zdławiony przez huk wodospadu. Falk policzył do trzech – za szybko – ale nie wypłynęła na powierzchnię. Ściągnął sweter i zrzucił buty. Próbował nabrać powietrza w płuca, lecz jego klatka piersiowa była ściśnięta, więc zrobił krok do przodu i skoczył. Gdy spadał, jedynym, co słyszał oprócz kotłującej się wody i świstu powietrza, był krzyk Carmen.

Uderzył o wodę nogami.

Pochłonęła go dziwna nicość, czuł się zawieszony w otchłani. Nagle zimno zaatakowało go z brutalną siłą. Zaczął machać rękami i nogami, zwalczając potrzebę nabrania oddechu, zanim nie wypłynął na powierzchnię. Kiedy w końcu zaczerpnął powietrza w płuca, jego klatka piersiowa paliła, zimno wody wypychało tlen z jego płuc szybciej, niż mógł go zaczerpywać.

Spływająca woda oslepiła go, kłując w twarz. Nie widział Lauren. Nie widział nic. Usłyszał cichy dźwięk ponad rykiem wody i obrócił się, przecierając oczy. Na brzegu stała Carmen. Obok niej dwaj funkcjonariusze szykowali linę. Carmen krzyczała do niego, wskazując coś.

Lauren.

Kurtyna spływającej z impetem wody mogła wciągnąć ją pod powierzchnię, podpowiadał mu instynkt. Pod stopami czuł prąd, grożący wciągnięciem go głębiej i głębiej. Nabrał powietrza, usiłując wtłoczyć je w swoje odporne płuca, i ruszył w jej kierunku.

Był niezłym pływakiem, wychował się przy rzece, ale nacisk wody z wodospadu utrudniał mu zrobienie jakiegokolwiek postępu. Ubrania go

obciążały i podziękował sobie w duchu, że miał na tyle zdrowego rozsądku, żeby ściągnąć buty.

Przed nim prąd znosił kobietę w niebezpiecznym kierunku. Nie walczyła z nurtem, ledwo się poruszała, a jej głowa co rusz ginęła pod wodą.

– Lauren! – krzyknął, ale jego głos zagłuszyła woda. – Tutaj!

Złapał ją zaledwie kilka metrów przed rwącym strumieniem spływającej z góry wody, jego palce były niezdarne i zgrabiałe.

– Zostaw mnie! – wrzasnęła. Jej usta były zsiniałe, ale teraz zaczęła walczyć, kopiąc go. Objął ją ramieniem, przycisnął jej plecy do swojej klatki piersiowej i zacieśnił uchwyt. Nie czuł od niej żadnego ciepła. Zaczął machać ociężałymi nogami tak mocno, jak mógł, zmuszając je do wysiłku. Słyszał Carmen wołającą go z brzegu. Starał się podążać za jej głosem, ale Lauren wyrywała mu się, drapiąc jego rękę.

– Puszczaj! – Rzuciła się, wciągając ich oboje pod wodę. Twarz Falka znalazła się pod wodą, zanim zdążył nabrać powietrza. Lauren machnęła ręką, uderzając go w głowę i wpychając głębiej pod wodę.

Wszystko było przytłumione, ale po chwili znów był na górze z wodą w ustach. Zdążył zaczerpnąć zaledwie pół oddechu, gdy znów znalazł się pod taflą, jego uchwyt rozluźnił się. Z całych sił zwalczał instynkt przetrwania, który nakazywał mu puścić szamocącą się kobietę. Poczł ruch w wodzie i czyjeś ramię – nie Lauren. Zaczepiło się pod jego pachą i pociągnęło. Jego twarz wynurzyła się i coś przewleczono pod jego ramieniem – lina – i już nie musiał walczyć o pozostanie na powierzchni. Nabierając powietrza, uświadomił sobie, że już nie trzyma Lauren, i przestraszył się.

– W porządku, mam ją – powiedział głos przy jego uchu. Carmen. Chciał się obrócić, ale nie mógł. – Odwaliłeś najtrudniejszą robotę. Już jesteśmy prawie na brzegu.

– Dziękuję – chciał powiedzieć, ale tylko łapał powietrze.

– Oddychaj – poleciała, kiedy lina boleśnie wbijała się mu pod pachy. Jego

plecy otarły się o kamienie i dwóch funkcjonariuszy wyciągnęło go na brzeg. Gdy leżał na błotnistym brzegu, zobaczył, jak wyciągają Lauren. Trzęsła się, ale już nie walczyła, przynajmniej przez chwilę.

Płuca Falka bolały, a w głowie mu dudniło, ale to nie miało znaczenia. Czuł tylko ulgę. Trząśnięcie było tak mocne, że jego łopatki uderzały o kamienie. Okryto go kocem, a potem następnym. Poczucił ciężar na piersi i otworzył oczy.

– Uratowałeś ją. – Carmen pochylała się nad nim.

– Ty też – chciał powiedzieć, ale jego twarz zamarzała i z trudem formułował słowa.

Położył się i próbował złapać oddech. Busz rozdzielał się przy wodospadzie i choć raz Falk nie widział żadnych drzew. Tylko twarz Carmen i nocne niebo nad nią. Trzęsła się mocno i Falk otulił ją częścią swojego koca. Przysunęła się bliżej i nagle jej usta znalazły się na jego wargach, równie zimnych. Zamknął oczy. Wszystko było zdrętwiałe z zimna, oprócz jednego ciepłego poruszenia w jego piersi.

Uczucie minęło zbyt szybko. Falk zamrugał. Carmen patrzyła na niego. Nie była zawstydzona i niczego nie żałowała. Nadal była blisko, ale już nie tak jak przed chwilą.

– Nie zrozum mnie źle. Nadal wychodzę za męża. A ty jesteś cholernym idiotą, nie powinieneś być skakać. – Uśmiechnęła się. – Ale cieszę się, że nic ci nie jest.

Leżeli obok siebie, tylko oddychając, aż przyszedł strażnik z kocem termicznym i Carmen odsunęła się od partnera.

Falk wpatrywał się w niebo. Słyszał kołysanie drzew na wietrze, ale nie chciał na nie patrzeć. Zamiast tego oglądał blade gwiazdy, szukając Krzyża Południa, jak robił to kiedyś z tatą. Nie widział go, ale to nie miało znaczenia. Wiedział, że gdzieś tam jest.

Jego ciało było zimne tam, gdzie wcześniej była Carmen, ale ciepło z jego wnętrza zaczęło się po nim rozlewać. Kiedy tak leżał, patrząc

w gwiazdy i słuchając drzew, uświadomił sobie, że ręka już go nie boli.

Rozdział 35

Falk usiadł i podziwiał pracę swoich rąk. Nie było idealnie, ale znacznie lepiej. Wczesnopopołudniowe słońce wpadało przez okna, napędzając jego mieszkanie ciepłym blaskiem. W oddali połyskiwało Melbourne.

Minęły dwa tygodnie, odkąd on i Carmen wyjechali z buszu na dobre. Przynajmniej Falk miał taką nadzieję. Czuł, że może minąć sporo czasu, zanim znów poczuje potrzebę zobaczenia tych drzew.

Był w domu od trzech dni, kiedy pocztą nadeszła anonimowa szara koperta. Nadano ją na adres biura z adnotacją, że należy ją przekazać agentowi Falkowi. Zawierała pendrive. Nic więcej. Falk podłączył go do komputera i krew zaczęła krążyć mu szybciej w żyłach.

Zdobądźcie umowy. Zdobądźcie umowy.

Wpatrywał się w ekran przez ponad godzinę, a następnie sięgnął po telefon i wybrał numer.

– Dziękuję – powiedział.

Po drugiej stronie usłyszał, jak Beth McKenzie nabiera powietrza.

– Słyszałeś, jak BaileyTennants zachowało się wobec Bree? – zapytała. – Usiłują się od niej odciąć, umyć ręce.

– Słyszałem.

– Ja też już tam nie pracuję.

– Wiem o tym. Co teraz zrobisz?

– Nie wiem.

– Może coś, do czego kwalifikuje cię twoje wykształcenie? – zasugerował. – Marnowałaś się w tym archiwum.

– Tak sądzisz?

– Tak.

To było mało powiedziane. Przeglądał folder, kiedy rozmawiali.

Wszystko tam było. Kopie dokumentów, których zażądała Alice. Niektóre już im wcześniej przekazała, niektóre Falk widział po raz pierwszy. Miał przed sobą te cholerne umowy i czuł przyływ ulgi i adrenaliny równocześnie. Wyobrażał sobie minę Carmen, jak jej powie. Wrócił na początek akt.

– Jak ci...

– Po prostu nigdy nie ufałam Alice. Zawsze była niegrzeczna. A ona i Bree pracowały zbyt blisko. Z łatwością mogła więc obarczyć winą moją siostrę, jeśli coś poszłoby nie tak. Robiłam kopie jej zamówień.

– Dziękuję ci z całego serca.

Westchnęła.

– Co teraz będzie?

– Z Bree?

– I z Lauren.

– Nie wiem – powiedział szczerze Falk.

Autopsja potwierdziła, że Alice Russell zmarła z powodu krwotoku mózgu spowodowanego uderzeniem o kamień, który znajdował się niedaleko ścieżki. Zarówno Lauren, jak i Bree staną przed sądem, ale Falk miał nadzieję, że końcowy wyrok nie będzie zbyt surowy. Nie mógł się oprzeć, żeby im nie współczuć.

Baileyowie byli już poważnie zamieszani w publiczne dochodzenie dotyczące nieprzyzwoitych zdjęć rzekomo rozpowszechnianych przez syna Daniela, Joela. Media zwietrzyły skandal i w gazetach ukazały się obszerne kilkustronicowe artykuły opatrzone zdjęciami ekskluzywnej szkoły, do której młody Bailey uczęszczał. Przynajmniej zanim został z niej wyrzucony. Jak dotąd nazwisko Margot Russell nie pojawiała się w związku z tą sprawą.

Dzięki Beth Baileyów czekały teraz znacznie większe kłopoty. Falk nie czuł do nich żadnej sympatii. Rodzina od dwóch pokoleń czerpała zyski z niedoli innych. Włączając w to Jill. Nieważne, czy czuła, że ma wybór, czy

nie, jeśli chodzi o interesy, była Baileyem do szpiku kości.

Od wyjazdu ze schroniska Falk dużo myślał. O związkach i o tym, jak niewiele trzeba, żeby je popsuć. O chowaniu urazy. O przebaczeniu.

Falk i Carmen usiłowali odwiedzić Margot i Rebecę. Ojciec Margot powiedział im, że córka nie chce nikogo widzieć. Nie chce też się do nikogo odzywać ani wychodzić ze swojego pokoju. Wyglądał na przerażonego.

Rebecca w końcu dała się namówić na wyjście z domu i siedziała przed nimi w milczeniu przy stoliku w kawiarni. Carmen bez pytania zamówiła wszystkim kanapki i dziewczyna przyglądała się im, jak jedli.

– Co się zdarzyło przy wodospadzie? – zapytała w końcu. Falk udzielił jej okrojonych informacji. Starał się być jak najbardziej prawdomówny. Kładł nacisk na miłość, umniejszał żal.

Dziewczyna spojrzała na swój talerz.

– Mama nie mówi za dużo.

– A co ci powiedziała?

– Że mnie kocha i że przeprasza.

– Zapamiętaj to sobie – powiedział Falk.

Rebecca bawiła się serwetką.

– Czy to przeze mnie? Bo nie chciałam jeść?

– Nie. Naprawdę sędzę, że chodziło o coś znacznie więcej.

Dziewczyna nie wyglądała na przekonaną, ale kiedy wstała, żeby wyjść, zabrała kanapkę zwiniętą w serwetkę ze sobą... Falk i Carmen patrzyli za nią przez okno. Na końcu ulicy zatrzymała się przy koszu na śmieci. Przez dłuższą chwilę trzymała nad nim kanapkę, po czym z fizycznym niemal wysiłkiem schowała ją do torby i zniknęła za rogiem.

– Dobry początek – powiedział Falk. Myślał o setkach małych rzeczy, które dodane do siebie prowadzą do złego. Może setki małych rzeczy mogą prowadzić również do czegoś dobrego.

Po paru dniach spędzonych w domu na myśleniu Falk zaczął działać. Udał się do sklepu z meblami po kilka rzeczy i oczywiście wrócił z kilkoma

więcej, niż planował.

Teraz siedział w nowym fotelu w rogu salonu i patrzył, jak plama światła przesuwa się po dywanie. Był wygodny, to była dobra decyzja. Sprawił, że całe pomieszczenie wyglądało inaczej. Pełniej, żywiej – Falkowi się to podobało. I z perspektywy fotela mógł podziwiać ostatnią wprowadzoną przez siebie zmianę.

Na ścianie wisały dwa zdjęcia jego i ojca – oprawione i wypolerowane. Zmieniły atmosferę w pokoju i to też się mu podobało. Naprawdę myślał tak, jak powiedział Lauren przy wodospadzie. W rodzinie się wybacza. Ale nie wystarczyło w to wierzyć, trzeba to było skutecznić.

Spojrzał na zegar. Było piękne piątkowe popołudnie. Następnego dnia w Sydney Carmen wychodziła za mąż. Życzył jej wszystkiego dobrego. Nie rozmawiali o tym, co zaszło między nimi przy wodospadzie. Wyczuł, że dla niej będzie najlepiej, jeśli pozostanie to ulotnym wspomnieniem. Dobrze to rozumiał. Jego garnitur i zapakowany prezent ślubny czekały przy torbie. Wszystko było gotowe do wylotu do Sydney.

Już był prawie czas na wyjście, ale Falk pomyślał, że zdąży jeszcze szybko zadzwonić.

Usłyszał dźwięk połączenia i wyobraził sobie, jak w Kiewarze dzwoni telefon. W jego rodzinnym miasteczku. Znajomy głos.

– Greg Raco, słucham.

– Tu Aaron, jesteś zajęty?

Śmiech.

– Nie.

– Nadal wymigujesz się od pracy? – zapytał Falk. Wyobrażał sobie sierżanta w jego domu, a nie w mundurze w pracy.

– To się nazywa rekonwalescencja, ale dzięki, stary. To, niestety, trochę trwa.

– Wiem – powiedział Falk, patrząc na własną poparzoną rękę. Naprawdę wiedział i miał szczęście.

Rozmawiali przez chwilę. Sprawy miały się trochę lepiej, odkąd susza się przełamała. Falk pytał o córkę Raco, o rodzinę Hadlerów. Wszystko w porządku. A co u reszty?

Raco się roześmiał.

– Stary, jeśli tak bardzo jesteś ciekaw, to może się tu pofatygujesz?

Może i tak. W końcu Falk spojrział na zegar. Musiał już iść. Zdążyć na samolot.

– Słuchaj, a nie nudzi ci się już ta twoja rekonwalescencja?

– Bardzo.

– Myślę, żeby wybrać się na szlak. W któryś weekend. Może chciałbyś się przyłączyć? Coś łagodnego.

– Jasne, z chęcią. Świetny pomysł. Gdzie się wybieramy?

Falk spojrział na mapy ojca rozłożone na stoliku kawowym i skąpane w ciepłym świetle.

– Gdzie tylko chcesz. Znam mnóstwo świetnych miejsc.

Staranne znaczki naniesione ołówkiem wskazywały mu drogę. Było tak wiele do odkrycia.

Przypisy końcowe

1. Australijski numer alarmowy (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki). [\[wróć\]](#)